

**Jonathan Kellerman**

**Wściekłość**  
*(Rage)*

*Przekład Przemysław Bieliński*

# 1

W nudną, zimną grudniową sobotę, niedługo po tym, jak Lakersi nadrobili szesnastopunktowy deficyt z pierwszej połowy i pokonali New Jersey, zadzwonił do mnie morderca.

Nie oglądałem koszykówki od czasów studiów, wróciłem do tego, bo poważnie zabrałem się do rozwijania moich umiejętności w dziedzinie spędzania wolnego czasu. Kobieta mojego życia była w odwiedzinach u swojej babki w Connecticut; poprzednia kobieta mojego życia mieszkała w Seattle ze swoim nowym facetem – chwilowo, twierdziła, jakbym miał prawo się tym interesować a ja właśnie miałem mniej pracy.

Trzy sprawy sądowe w dwa miesiące: dwa rozstrzygnięcia w przypadku opieki nad dzieckiem, jedno stosunkowo bezproblemowe, drugie koszarne, oraz konsultacja w sprawie piętnastolatki, która straciła rękę w wypadku samochodowym. Teraz wszystkie papiery już poskladałem i szykowałem się na tydzień albo dwa nicnierobienia.

Oglądając mecz, wypilem dwa piwa i drzemałem na kanapie w salonie. Obudził mnie charakterystyczny pisk służbowego telefonu. Zazwyczaj czekam, aż dzwoniący nagra się na sekretarkę. Dlaczego teraz odebrałem, wciąż nie umiem wyjaśnić.

– Doktor Delaware?

Nie poznałem jego głosu. Minęło osiem lat.

– Przy telefonie. Kto mówi?

– Rand.

Teraz sobie przypominałem. Ten sam bełkotliwy głos, zmieniony w męski baryton. To już mężczyzna. Też mi mężczyzna.

– Skąd dzwonicz, Rand?

– Wyszedłem.

– Wyszedłeś z poprawczaka.

– Ja... aha, skończyłem.

Jakby mówił o jakimś kursie. Może tak to odbierał.

– Kiedy?

– Dwa tygodnie temu.

Co miałem powiedzieć? Gratuluję? Boże dopomóż?

– Co cię trapi, Rand?

– Mógłbym, e... z panem porozmawiać?

– Proszę.

– E, nie tak... porozmawiać... naprawdę.

– Osobiście.

– Aha.

Za oknami salonu było ciemno. Osiemnasta czterdzieści pięć.

– O czym chcesz porozmawiać, Rand?

– E... toby było... tak jakby...

– Co cię gnębi, Rand?

Cisza.

– Czy to ma jakiś związek z Kristal?

– A-ha. – Głos mu się załamał, przepoławiając to słowo.

– Skąd dzwonicz? – spytałem.

– Jestem niedaleko pana domu.

Mój domowy adres był zastrzeżony. Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

– Przyjadę do ciebie, Rand. Gdzie jesteś?

– E... chyba... Westwood.

– Westwood Village?

– Chyba... chwilę... – Usłyszałem stuknięcie odwieszanej słuchawki. Słuchawka na kablu, w tle odgłosy ulicy. Budka. Randa nie było przez ponad minutę. – Napisane Westwood. Jest tu takie duże, e... centrum handlowe. Z takim mostkiem.

Centrum handlowe.

– Westside Pavilion?

– No.

Trzy kilometry na południe. Dogodna odległość od mojego domu w Glen.

– Gdzie w tym centrum jesteś?

– E... nie jestem tam. Widzę je z drugiej strony ulicy. Pisz... chyba pisze tam „Pizza”.

Dwa „z”... aha, pizza.

Osiem lat, a on ledwie czyta. Tyle na temat resocjalizacji.

Chwilę to trwało, ale w końcu ustaliłem mniej więcej, gdzie to jest: na Westwood Boulevard, kawałek na północ od Pico, po wschodniej stronie ulicy, zielono-biało-czerwony szyld w kształcie buta.

– Będę tam za piętnaście, dwadzieścia minut, Rand. Może chcesz mi coś powiedzieć już teraz?

– E... Możemy się spotkać w pizzerii?

– Jesteś głodny?

– Jadłem śniadanie. – Jest pora kolacji.

– Aha.

– Za dwadzieścia minut.

– Dobra... dzięki.

– Na pewno nie chcesz mi niczego powiedzieć, zanim się spotkamy?

– Na przykład?

– Czegokolwiek.

Głośniejsze odgłosy ulicy. Czas płynął.

– Rand?

– Nie jestem złym człowiekiem.

Ze znalezieniem sprawców tego, co spotkało Kristal Malley, nie było problemów.

Dzień po Bożym Narodzeniu dwuletnia dziewczynka poszła z matką do Buy-Rite Plaza w Panorama City. Obietnice MEGA WYPRZEDAŻ!!! GIGANTYCZNE OBNIŻKI!!! zapełniły odrapane, stare centrum handlowe łowcami okazji. Nastolatki korzystające z ferii zimowych wałęsały się pod barem szybkiej obsługi Happy Taste i gromadziły wokół stojaków z płytami CD we Flip Disc Music. Podświetlone ultrafioletem Galaxy Video Emporium pulsowało hormonami i wrogością. Zalatywało kukurydzą w karmelu, musztardą i potem. Zza nieszczelnych drzwi niedawno zamkniętego krytego lodowiska wiało chłodem.

Kristal Malley, żywa, kapryśna dwuletnia dziewczynka, jakoś wykorzystała nieuwagę matki i wyrwała rękę z jej ręki. Lara Malley twierdziła, że trwało to ledwie kilka sekund; odwróciła się, żeby pomacać bluzkę leżącą w koszu z przecenionymi rzeczami, poczuła, że dłoń córki wyslizguje się z jej dłoni, obróciła się, by ją złapać, ale dziewczynki już nie było. Przepychając się przez tłum kupujących, zaczęła szukać Kristal, wołając ją po imieniu. Krzyczała.

Przybiegła ochrona: dwaj sześćdziesięciolatekowie bez żadnego doświadczenia policyjnego. Na ich prośby, by się uspokoiła i powiedziała, o co chodzi, Lara Malley zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej i uderzyła jednego z nich w ramię. Ochroniarze skuli ją i zadzwonili po policję.

Mundurowi z Valley przyjechali czternaście minut później i przeszukali sklep po sklepie, całe centrum. Sprawdzono dokładnie wszystkie lokale. Wszystkie łazienki i magazyny. Wezwano na pomoc oddział Eagle Scouts. Jednostki K-9 wypuściły swoje psy, a one wpadły na trop dziewczynki w miejscu, gdzie odłączyła się od matki. Potem, przytłoczone tysiącami innych zapachów, dotarły do wschodniego wyjścia z centrum i się zgubiły.

Poszukiwania trwały sześć godzin. Mundurowi rozmawiali z każdym wychodzącym klientem. Nikt nie widział Kristal. Zapadła noc. Centrum zamknięto. Dwaj detektywi z Valley zostali i obejrzeli taśmy wideo ochrony.

Wszystkie cztery magnetowidy, używane przez firmę ochroniarską, były przestarzałe i zaniedbane, czarno-białe filmy niewyraźne i ciemne, czasami zupełnie czarne przez kilka minut.

Detektywi skupili się na czasie tuż po zgłoszonym zniknięciu Kristal Malley. Nawet to nie było proste; cyfrowe zapisy kamer późniły się albo spieszyły od trzech do pięciu godzin. W końcu zlokalizowano właściwe klatki.

I znaleziono.

Dalekie ujęcie małej postaci, zwisającej między dwoma mężczyznami. Kristal Malley miała na sobie spodnie od dresu. Krótkie nóżki kopały.

Trzy postacie wychodzące z centrum wschodnim wyjściem. Nic więcej; na parkingu nie było kamer.

Taśmę cofnięto i detektywi zaczęli wyszukiwać szczegóły. Większy porywacz – jasny T-shirt, dżinsy i jasne buty, prawdopodobnie adidas. Krótkie, ciemne włosy. Wydawał się mocno zbudowany, przynajmniej tak widzieli go detektywi.

Brak rysów twarzy. Kamera, umieszczona wysoko w rogu, rejestrowała wchodzących z przodu, ale wychodzących tylko z tyłu.

Drugi mężczyzna był niższy i szczuplejszy i miał dłuższe włosy, chyba blond. Ubrany był w ciemną koszulkę, dżinsy i adidas.

– Według mnie wyglądają na dzieci – powiedziała Sue Kramer.

– Według mnie też – odparł Fernie Reyes.

Dalej oglądali nagranie. Kristal Malley na chwilę wykręciła się w uścisku porywaczy i kamera nagrała 23 sekundy jej twarzy.

Było za daleko, a ostrość zbyt słaba, by zarejestrować cokolwiek więcej niż mały, jasny owal. Prowadząca detektyw II klasy, Sue Kramer, powiedziała:

– Popatrzcie na mowę ciała. Ona się wyrywa.

– I nikt nie zwraca na to uwagi – stwierdził jej partner, Fernando Reyes, wskazując strumień kupujących, przelewający się przez drzwi. Ludzie opływali dziewczynkę ze wszystkich stron, jakby była śmieciem w wodach przystani.

– Pewnie pomyśleli, że dzieciaki się bawią – powiedziała Kramer. – Dobry Boże.

Lara Malley obejrzała nagranie przez lzy i spazmy i nie rozpoznała dwóch porywaczy.

– Jak mam ich poznać? – jęknęła. – Nawet gdybym ich znała, są za daleko.

Kramer i Reyes znowu puścili jej nagranie. I jeszcze raz. I jeszcze sześć razy. Za każdym ujęciem coraz wolniej kręciła głowę. Kiedy do pomieszczenia ochrony wszedł mundurowy policjant i oznajmił: „Przyjechał ojciec dziecka”, biedna kobieta wpadła już niemal w katatonię.

Uznając, że to salon gier wideo przyciąga dzieciaki do centrum handlowego, detektywi ściągnęli właściciela Galaxy i dwóch jego pracowników, którzy byli tego dnia na zmianie, braci Lance’a i Prestona Kukachów, pryszczatych, ledwie pełnoletnich chłopaków bez szkoły.

– Nagranie jest do niczego, ale to Troy – powiedział właściciel salonu po zaledwie chwili, pięćdziesięcioletni inżynier po Caltechu Al Nussbaum, który zarobił więcej przez trzy lata prowadzenia salonu niż przez wcześniejszych dziesięć w laboratorium Jet Propulsion Labs. Tego dnia zabrał dzieci na konie i wrócił, żeby sprawdzić stan kasy.

– Który to Troy? – spytała Sue Kramer.

Nussbaum wskazał mniejszego chłopca w ciemnej koszulce.

– Wciąż tu przyłazi, zawsze ma tę koszulkę. To koszulka Harleja, widzicie logo, o tu?

Stuknął palcem w plecy T-shirtu. Dla Kramer i Reyesa niby to skrzydlaty symbol był niewyraźną szarą smugą.

– Jak Troy ma na nazwisko? spytała Kramer.

– Nie wiem, ale to stały klient. – Nussbaum odwrócił się do Lance’a i Prestona.

Bracia pokiwali głowami.

– Co to za dzieciak, panowie? – spytał Fernie Reyes.

– Dupek – odparł Lance.

– Raz go przyłapałem, jak próbował kraść żetony – powiedział Preston. Nachylił się nad ladą, tuż przy mnie, i próbował złapać rolkę. Kiedy mu ją zabrałem, chciał mnie walnąć, ale skopałem mu tyłek.

– I pozwoliłeś mu wrócić? – spytał Nussbaum.

Chłopak poczerwieniał.

– Mamy tu zasady – oświadczył Nussbaum detektywom. – Kradniesz, wylatujesz. A do tego cię uderzył!

Preston Kukach wbił wzrok w podłogę.

– Kim jest ten drugi? – spytała Sue Kramer, wskazując większego chłopaka.

Preston nie podnosił głowy.

– Jeśli wiesz, to gadaj – polecił Al Nussbaum.

– Nie wiem, jak się nazywa. Przychodzi tu raz na jakiś czas, nigdy nie gra.

– A co robi? – spytała Sue Kramer.

– Obija się.  
– Z kim?  
– Z Troyem.  
– Zawsze z Troyem?  
– Aha.  
– Troy gra, a on się obija.  
– Aha.  
– Skoro już wiecie, kto to jest – powiedział Al Nussbaum – dlaczego nie biegniecie ich szukać, żeby znaleźć to dziecko?  
Reyes odwrócił się do braci.  
– Na czym polega to jego obijanie się?  
– Stoi obok, kiedy Troy gra – wyjaśnił Lance.  
– Próbował kiedyś kraść?  
Obaj Kukachowie pokręcili głowami.  
– Widzieliście kiedyś któregoś z nich z małymi dziećmi?  
– Nie – zaprzeczył Lance.  
– Nigdy – potwierdził Preston.  
– Co jeszcze możecie nam o nich powiedzieć? – spytał Reyes.  
Wzruszyli ramionami.  
– Cokolwiek, panowie. To poważna sprawa.  
– Gadać rozkazał Al Nussbaum.  
– Nie wiem, ale mogą mieszkać niedaleko – zasugerował Lance.  
– Dlaczego tak myślisz? – spytała Kramer.  
– Bo widziałem, jak wychodzili na parking i dalej na ulicę. Nikt nie zabierał ich do samochodu.  
– Którym wyjściem wychodzili?  
– Tym, które prowadzi na parking.  
– Na parking prowadzą trzy wyjścia, Lance – zauważył Al Nussbaum.  
– Tym pod śmietnikiem – uściślił Lance.  
Ferne Reyes zerknął na partnerkę i wyszedł.

W kontenerach przy wschodnim wyjściu nie znaleziono ciała.

Pięć godzin dalszego przeczesywania okolicy pozwoliło detektywom zidentyfikować chłopców. Obaj mieszkali na biednym, państwowym osiedlu, przecinającym niczym blizna zaniedbany park, za centrum handlowym, równoległe do niego. Dwieście były jakich, opłacanych z federalnych pieniędzy kawalerek w czterech trzypiętrowych budynkach, otoczonych płotem z drucianej podziurawionej siatki. Było to paskudne, przypominające więzienie miejsce dobrze znane mundurowym, którzy patrolowali tę okolicę – nazywali je 415 City, od numeru paragrafu oznaczającego zakłócanie spokoju.

Dozorca budynku numer 4 obejrzał nagranie i po krótkiej chwili wskazał mniejszego z chłopców.

– Troy Turner. Byliście już tu w jego sprawie. W zeszłym tygodniu.  
– No tak – powiedziała Sue Kramer.  
– Aha. Rąbnął matkę talerzem, rozwalił jej twarz. – Dozorca potarł zarośnięty policzek. – Przedtem straszył mniejsze dzieci.  
– Jak straszył?  
– Szarpał, popychał, wymachiwał nożem. Powinniście go zamknąć. Co zrobił?

- Kim jest ten większy? – spytał Reyes.
- Randolph Duchay. Trochę niedorozwinięty, ale nie stwarza problemów. Jeśli coś zrobił, to pewnie przez Troya.
- Ile mają lat? – spytał Reyes.
- Niech pomyślę – odparł dozorca. – Troy chyba dwanaście, ten drugi może trzynaście.

Detektywi znaleźli chłopców w parku. Siedzieli w ciemnościach na huśtawkach, palili, a rozżarzone końcówki papierosów tańczyły w mroku jak pomarańczowe świetliki. Sue Kramer już z kilku metrów wyczuła piwo. Kiedy wraz z Reyesem podeszła bliżej, Rand Duchay rzucił swojego budweisera w trawę, ale ten mniejszy, Troy Turner, nie próbował go nawet chować.

Pociągnął długi łyk, kiedy Sue stanęła z nim twarzą w twarz. Patrzył na nią, jakby chciał powiedzieć „pierdolę cię”, najzimniejszymi oczami, jakich nie widziała od dawna.

Poza tym był to zaskakująco drobny, kruchy chłopiec, z patykowatymi rękami i bladą, trójkątną twarzą, wyzierającą spod strzechy długich, brudno-blond włosów. Boki głowy wygolił do zera, przez co czub wydawał się jeszcze większy. Dozorca powiedział, że Troy ma dwanaście lat; wyglądał raczej na młodszego.

Randolph Duchay był dobrze zbudowany i barczysty, miał faliste, krótkie ciemne włosy i puciołowatą twarz o grubych wargach, zsypaną mokrymi pryszczami. Na jego rękach zaczęły już wychodzić żyły i pojawiać się wyraźne mięśnie. Jemu Sue dałaby piętnaście albo szesnaście lat.

Był duży i przerażony. Latarka Sue od razu wychwyliła oznaki jego strachu, pot na czole i nosie. Kroplę spadającą z pryszczatego podbródka. Mrugające gwałtownie oczy.

Podeszła do niego od razu, wycelowała palec w twarz.

– Gdzie jest Kristal Malley?

Randolph Duchay potrząsnął głową. Zaczął płakać.

– Gdzie ona jest?

Chłopak wzruszył ramionami. Zacisnął powieki i zaczął się kołysać.

Sue szarpnięciem postawiła go na nogi. Fernie zrobił to samo z Troyem Turnerem i też zadał mu to pytanie.

Turner biernie zniósł przeszukanie. Jego twarz niczego nie wyrażała.

Sue ścisnęła Duchaya za ramię. Dzieciak miał biceps twardy jak skała; gdyby zaczął stawiać opór, niełatwo byłoby go pokonać. Pistolet trzymała w kaburze na biodrze, poza zasięgiem.

– Gdzie ona do cholery jest, Randy?!

– Rand – powiedział Troy Turner. – To nie żaden Randy.

– Gdzie jest Kristal, Rand?

Milczenie. Sue ścisnęła mocniej, wbiła paznokcie. Duchay pisnął i pokazał w lewo. Za huśtawki, za plac zabaw, w kierunku dwóch publicznych toalet z betonowych pustaków.

– Jest w ubikacji? – spytał Fernie Reyes.

Rand Duchay pokręcił głową.

– Gdzie ona jest? – warknęła Sue. – Gadaj natychmiast!

Duchay wskazał w tę samą stronę.

Ale patrzył na coś innego. Na prawo od kibli. Na południowy róg betonowego budynku, zza którego wystawał ciemny, metalowy kształt.

Kontener na śmieci. O Boże.

Sue skuła Duchaya i wepchnęła go na tylny fotel crown victorii. Pobiegnęła zajrzeć. Kiedy wróciła, Troy też był już skuty. Siedział obok kumpla, wciąż obojętny.

Fernie czekał przy samochodzie. Na widok Sue pytająco uniósł brwi.

Tylko pokręciła głową.

Fernie wezwał koronera.



Chłopcy nie próbowali ukrywać zwłok. Ciało Kristal leżało na pięciodniowej warstwie odpadków z parku, ubrane, ale bez jednego bucika. Biała skarpetka była ubrudzona na palcach. Dziecko miało kark skrzyżowany jak stara lalka. W tym wieku szyjka jest tak delikatna, pomyślała Sue, miała nadzieję, że dziewczynka zginęła od razu. Kilka dni później koroner potwierdził jej domysły: kilka pękniętych kręgów szyjnych, rozerwana tchawica, wylew krwi do mózgu. Dwadzieścia kilka sińców na ciele, a także obrażenia wewnętrzne, które mogły okazać się śmiertelne. Nie było śladów napastowania seksualnego.

– A to ma jeszcze jakieś znaczenie? – spytał patolog, kiedy skończył sekcję. Banerjee, twardy zazwyczaj facet, kiedy oddawał raport Sue i Ferniemu, wyglądał na przybitego i jakby postarzałego.

Zamknięty w areszcie na posterunku Rand-nie-Randy Duchay siedział zgarbiony, bez ruchu, milczący. Przestał płakać, a oczy miał szkliste i nieruchome jak w transie. W jego celi śmierdziało. Sue wahała ten odór wiele razy. Strach, poczucie winy, hormony, wszystko naraz.

W celi Troya Turnera zalatywało piwem. Puszki znalezione przez detektywów świadczyły, że każdy z chłopców wypił po trzy budweisery. Jak na masę ciała Troya sporo, ale po chłopaku nic nie było widać. Miał suche oczy, był spokojny. Przez całą drogę na komisariat wyglądał przez okno samochodu jadącego ciemnymi ulicami Valley. Jakby to była rodzinna wycieczka.

Kiedy Sue spytała go, czy chciałby coś powiedzieć, cicho i dziwnie chrząknął.

Taki odgłos mógłby z siebie wydać stary, zirytowany mężczyzna. Jakby pokrzyżowali mu plany.

– Co to miało znaczyć, Troy?

Jego oczy zwięzły się, były teraz jak szparki. Sue miała dwoje dzieci, w tym dwunastoletniego syna. Turner ją przerażał. Zmusiła się, żeby wytrzymać jego spojrzenie; w końcu odwrócił wzrok i znów chrząknął.

– Coś ci przyszło do głowy, Troy?

– Aha.

– Co?

– Mogę zapalić?

Obaj chłopcy, jak się okazało, mieli po trzynaście lat i to Troy był z nich dwóch starszy – brakowało mu miesiąca do czternastu. Żaden nie znał Kristal Malley. Jak doniosły gazety, chłopcom skończyły się drobne; kiedy wyszli z salonu gier, wypatryli dziewczynkę, która błąkała się po centrum handlowym; chyba się zgubiła. Uznając, że byłoby „fajnie” się z nią „zabawić”, dali Kristal starego cukierka, którego Rand znalazł w kieszeni swoich brudnych dżinsów, a ona poszła za nimi dobrowolnie.

Mimo świadczącym o czymś wręcz przeciwnym dowodom w lokalnych doniesieniach prasowych przewijały się sugestie napastowania seksualnego. Podchwyciły to prasa ogólnokrajowa i serwisy internetowe, lubujące się drastycznymi wiadomościami i karmiące tanią sensacją swoich międzynarodowych klientów.

To spowodowało jak zwykle wysyp gadających głów, głośnych intelektualistów i innych hien. Na rynku felietonistów doszło do przesytu.

Oczywistą pierwotną przyczyną tak niesłychanej zbrodni było: ubóstwo; szalejący kryzys społeczny; przemoc w mediach; śmieciowe jedzenie i niedożywienie; rozchwianie wartości rodzinnych; bezbożność; brak wpajania zasad moralnych w szkołach; organizacje religijne, które

nie zaspokajały potrzeb najuboższych; wagarowanie; niedofinansowanie federalnych programów pomocy społecznej; zbyt ścisła kontrola rządu nad życiem obywateli.

Jakiś geniusz, umysł sponsorowany przez Fundację Forda, próbował powiązać zbrodnię z sezonem poświęceń wyprzedzaży – zgubny materializm zrodził frustrację, ta zaś doprowadziła do morderstwa. „Szał nabywczy”, tak to nazwał. Coś takiego bez przerwy dzieje się w brazylijskich fawelach.

– Kupuj do upadłego – zauważył wtedy Milo. – Co za dupek.

Nie rozmawialiśmy zbyt wiele o tej sprawie, a jeśli już, to głównie ja mówiłem. Milo pracował już nad setkami morderstw, ale to nie dawało mu spokoju.

Szum w mediach trwał przez jakiś czas. W sądzie tymczasem zaczął się proces, po cichu i prozaicznie. Chłopcy zostali umieszczeni w areszcie hrabstwa, na oddziale dla wyjątkowo niebezpiecznych przestępców. Ponieważ obaj byli za młodzi na przesłuchanie z paragrafu 707, mające ustalić, czy można ich sądzić jak dorosłych, większość ekspertów była zdania, że sprawa trafi przed sąd dla nieletnich.

Powołując się na brutalność zbrodni, biuro prokuratora okręgowego wystosowało wnioski o przeniesienie sprawy przed sąd okręgowy. Sędzia Troya Turnera i Randolpha Duchaya uznał, że dokumenty złożone w sądzie przez policję w żadnym razie nie dają ku temu podstaw. Prasa znów miała o czym mówić przez parę dni. Potem zapadła cisza, kiedy kompletowano akta i wyznaczano sędziego.

Sędzia sądu dla nieletnich Thomas A. Laskin III – były prokurator okręgowy z doświadczeniem w oskarżaniu członków gangów – miał opinię surowego. Po sądzie rozeszły się plotki, że zapowiada się ciekawy proces.

Zadzwoił do mnie trzy tygodnie po morderstwie.

– Doktor Alex Delaware? Tom Laskin. Nie znamy się, ale sędzia Bonnaccio powiedział, że pan jest człowiekiem, którego potrzebuję.

Peter Bonnaccio był przez kilka lat przewodniczącym wydziału do spraw rodzinnych sądu okręgowego i już przed nim zeznawałem. W pierwszej chwili nie przypadł mi do gustu, uznałem, że decyzje o przyznaniu praw do opieki podejmuje pośpiesznie i bez głębszego namysłu. Myliłem się. Mówił szybko, sypał dowcipami, czasem zachowywał się niestosownie. Ale jego decyzje były przemyślane i zazwyczaj miał rację.

– A jakiego człowieka pan potrzebuje, panie sędzio? – spytałem.

– Tom. Jestem tym szczęściarzem, który dostał morderstwo Kristal Malley i potrzebuję oceny psychologicznej oskarżonych. Podstawowa kwestia, oczywiście, to czy przed i w trakcie popełniania zbrodni myśleli na tyle odpowiedzialnie i świadomie, by można ich uznać za umyślowo dojrzałych. Prokuratura wkroczyła na nowy teren, ale z tego, co widziałem, minimum szesnastu lat do 707 nie zawsze się stosuje. Sprawa druga, i to już kwestia w takim samym stopniu osobista, jak urzędowa: chciałbym wiedzieć, co nimi powodowało. Mam trójkę własnych dzieci i po prostu tego nie rozumiem.

– Trudna sprawa – przyznałem. – Niestety nie mogę ci pomóc.

– Słucham?

– Jestem niewłaściwym człowiekiem do tego zadania.

– Dlaczego?

– Testy psychologiczne mogą ustalić, jak ktoś funkcjonuje intelektualnie i emocjonalnie w chwili obecnej, ale nie mogą powiedzieć niczego o stanie umysłu kiedyś. Poza tym stworzono je do analizy zagadnień takich jak upośledzenia w nauce czy wyjątkowe uzdolnienia, a nie zachowań morderczych. Jeśli chodzi o to, co tymi chłopcami powodowało, moje wykształcenie

jest jeszcze mniej przydatne. Jesteśmy dobrzy w formułowaniu zasad kierujących ludzkim zachowaniem, ale kiepsko wychodzi nam rozumienie wyjątków.

– Mówimy tu o niespotykanym zachowaniu – powiedział Laskin. – To nie twoja działka?

– Mogę mieć swoje zdanie, ale tylko tyle i nic więcej: mój osobisty punkt widzenia.

– Ja chcę się tylko dowiedzieć, czy oni myśleli jak dzieci, czy jak dorośli.

– Na ten temat nie istnieją żadne naukowo poparte konkrety. Jeśli inni psychologowie mówią co innego, kłamią.

Laskin się zaśmiał.

– Pete Bonnaccio mówił, że taki bywasz. I dlatego właśnie do ciebie zadzwoniłem. Wszystko, co zrobię w tej sprawie, będzie analizowane jak pod mikroskopem. Ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba, to żeby jedna z tych eksperckich sprzedajnych dziwek zrobiła z tego wszystkiego cyrk. Nie przyjąłem na słowo zapewnień Pete'a, że jesteś bezstronny, rozmawiałem z innymi sędziami i kilkoma policjantami. Nawet ludzie, którzy uważają cię za namolnego upierdliwca, przyznają, że nie jesteś doktrynerem. Potrzebny mi tu otwarty umysł. Ale nie aż tak otwarty, żeby wypadł z niego mózg.

– A ty masz otwarty umysł? – spytałem.

– O co ci chodzi?

– Naprawdę jeszcze nie podjąłeś decyzji?

Usłyszałem jego oddech. Przyspieszony, potem wolniejszy, jakby zmuszał się, żeby zachować spokój.

– Nie, nie podjąłem decyzji, doktorze. Obejrzałem tylko zdjęcia z autopsji. Wpadłem też do aresztu i zerknąłem na oskarżonych. W więziennych ciuchach, ostrzyżeni, wyglądają jak ofiary porwania. Nic z tego nie rozumiem.

– Wiem, ale...

– Bez pierdoł, doktorze. Uczciwi obywatele domagają mi się tu zemsty, a ludzie z ACLU\*[American Civil Liberties Union – Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich, potężna organizacja obrońców praw obywatela (przyp. tłum.)] i ich kumple chcą zbić na tej sprawie polityczny kapitał. Podsumowując, zapoznam się ze wszystkimi danymi i wyrobię sobie opinię. Ale muszę mieć pewność, że dostałem najlepsze informacje. Jeśli nie ty przeprowadzisz ocenę tych chłopców, zrobi to ktoś inny, pewnie któraś z medialnych kurew. Chcesz się wymigać od obywatelskiego obowiązku, proszę bardzo. Następnym razem, kiedy wydarzy się coś złego, powiedz sobie, że zrobiłeś, co mogłeś.

– Imponujące zagranie na poczuciu winy.

Laskin się zaśmiał.

– Ważne, że działa. No więc jak? Pogadaj z nimi, przetestuj ich, zrób, co ci się będzie podobało, a potem zdaj mi z tego sprawę.

– Muszę to przemyśleć.

– Nie zastanawiaj się zbyt długo. Dobra, zdecydowałeś się?

– Jedno musi być jasne – powiedziałem. – Mogę nie rozstrzygnąć definitywnie, czy to dorośli, czy dzieci.

– Będę się o to martwił, kiedy do tego dojdzie.

– Muszę mieć nieograniczony dostęp do chłopców. I bez nacisków czasowych.

– Na pierwsze tak, na drugie nie. Mam wydać wyrok w trzydzieści dni. Mogę to przeciągnąć do czterdziestu pięciu, może sześćdziesięciu, ale jeśli nie będę działał sprawnie, zostanę posądzony o bierność. Wchodzisz?

– Wchodzę.

– A twoja stawka?

Powiedziałem mu.

– Sporo – stwierdził. – Ale nie ponad normę. Przyślij rachunek bezpośrednio do mnie.

Może nawet dostaniesz pieniądze w rozsądnym terminie.

– Pocieszające.

– W tej sprawie tylko to jest pocieszające.

Opieka społeczna przeprowadziła ocenę rodzin chłopców, zanim przydzielono im mieszkania na osiedlu. Potrzebny był mi do tego nakaz sądowy, ale dotarłem do tych danych.

Troy Turner junior mieszkał z matką, dwudziestoosmioletnią alkoholiczką i narkomanką uzależnioną od kokainy, Jane Hannabee. Przez większość swojego dorosłego życia co chwila trafiała na odwyk, a jako nastolatka spędziła dwa lata w szpitalu psychiatrycznym w Camarillo. Diagnozowano u niej różne choroby, od wahań nastroju i depresji do zaburzeń osobowości, zaburzenia narcystyczno-cykloidalnego i schizoafektywnego. Czyli nikt tak naprawdę nie wiedział, co z nią jest. Podczas podejmowanych prób leczenia Troy mieszkał u jej rodziców w San Diego. Dziadek, emerytowany sierżant piechoty, uznawał zachowanie i zwyczaje chłopca za nie do przyjęcia. Nie żył od siedmiu lat, jego żona od sześciu.

Ojcem chłopca był podobno nałogowy przestępca i narkoman Troy Wayne Turner. Jane Hannabee twierdziła, że mając piętnaście lat, spędziła jedną noc z tym trzydziestodwuletnim w motelu w San Fernando. Turner, by mieć pieniądze na swój nałóg, zabrał się wtedy właśnie do rabowania banków i po krótkim romansie z Hannabee został złapany podczas ucieczki z Bank of America w Covina. Skazany na dziesięć lat w San Quentin, trzy lata później zmarł – chorował na wątrobę; nigdy nie poznał ani nie uznał swojego syna.

Niedługo po aresztowaniu chłopca Jane Hannabee opuściła 415 City, udając się w nieznanym kierunku.

Rodzice Randa Duchaya byli kierowcami ciężarówki; zginęli na Grapevine w zimowym karambolu, w którym uczestniczyło trzydzieści samochodów. Poboczny w chwili wypadku Rand jechał razem z nimi, spał w schowku za przednim fotelem. Przeżył bez żadnych widocznych obrażeń, całe życie mieszkał z dziadkami, Elmerem i Margaret Sieffami, niewykształconymi ludźmi, którym najpierw splajtowała farma, a potem nie powiodły się inne drobne przedsięwzięcia. Elmer umarł, kiedy Rand miał cztery lata, a Margaret, chora na cukrzycę i serce, przeniosła się na osiedle dla biedoty, kiedy skończyły się jej pieniądze. Według opieki społecznej zrobiła, co mogła.

Z tego, co stwierdziłem, żaden z chłopców nie spędził wiele czasu w szkole i nikt nie zwracał na to większej uwagi.

Złożyłem wniosek o odwiedziny więźniów; zastępcy prokuratora okręgowego przydzieleni do sprawy poprosili o uprzednie spotkanie. To samo zrobili ich obrońcy z urzędu. Niepotrzebne mi były pouczenia żadnej ze stron, więc odmówiłem. Kiedy wszyscy prawnicy zaprotestowali, poprosiłem sędziego Laskina o interwencję. Następnego dnia miałem upoważnienie do wejścia do aresztu.

Byłem już przedtem w areszcie hrabstwa, przywykłem do szarości, czekania, bramek i mundurów. Do badawczych spojrzeń odruchowo podejrzliwych strażników z biura szeryfa, rzucanych w moją stronę, kiedy stałem przed furtką. Znałem też strażnika z oddziału, na który szedłem – wiele lat temu odwiedzałem tam pacjenta, też dzieciaka, który chwiał się na krawędzi i spadł. Kiedy szedłem korytarzem w eskorcie strażników, z odległych cel dobiegały mnie jęki i chichoty, a w powietrzu mieszał się fetor odchodów i odór środków dezynfekujących. Cały świat mógł się zmienić, ale tutaj nie zmieniało się nic.

Kolejność ocen psychologicznych ułożono alfabetycznie: najpierw Randolph Duchay. Leżał zwinięty w kłębek na pryczy w swojej celi, twarzą do wejścia; spał. Gestem poprosiłem strażnika, żeby poczekał, i przez kilka chwil przyglądałem się chłopcu.

Był wyrosnięty jak na swój wiek, ale w zimnym, gołym, musztardowo-żółtym pomieszczeniu wyglądał mizernie.

W celi były tylko umywalka, krzesło, sedes bez klapy i półka na rzeczy osobiste – pusta. Po tygodniach spędzonych za kratami Rand nabrał ziemistej cery; miał ciemne sińce pod oczami, pogryzione wargi i obwisłą twarz, zniszczoną przez szalejący trądzik. Włosy obcięto mu na krótko. Nawet z tej odległości widziałem zagony pryszczy, zapuszczające się na głowę.

Dałem znak, że jestem gotów, i strażnik otworzył celę. Kiedy drzwi zamknęły się za mną ze szczękiem, chłopiec podniósł głowę. Tępe, piwne oczy ledwie zdążyły skupić spojrzenie i znów się zamknęły.

– Przechodzę tędy co kwadrans – powiedział strażnik. – Jeśli będę panu potrzebny wcześniej, proszę krzyknąć.

Podziękowałem, odstawiłem teczkę i usiadłem na krześle.

– Dzień dobry, Rand – powiedziałem, kiedy sobie poszedł. – Nazywam się Delaware, jestem lekarzem.

– ...Dobry. – Ochrypli, zaflegmiony głos, niewiele głośniejszy od szeptu. Zakaszłał. Kilka razy zamrugał oczami. Nie wstał.

– Przeziębłeś się? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Jak cię tu traktują?

Nie odpowiedział. Potem lekko się uniósł, ale pozostał zgięty prawie równolegle do pryczy. Miał potężny tors, nieproporcjonalnie krótkie nogi. Uszy nisko osadzone, na górze zaczerwienione, dziwnie zagięte. Krótkie, grube palce. Szeroką szyję. Usta, które się nie domykały. Przednie zęby drobne i nierówne. Ogólnie: „nieuchwytny objawy” – sugestia nienormalności, które nie składały się na żaden zdiagnozowany syndrom.

– Jestem psychologiem, Rand. Wiesz, kto to jest psycholog?

– Taki doktor.

– Właśnie. Wiesz jaki?

– Uhm.

– Psychologowie nie robią zastrzyków ani nie badają ciała.

Wzdrygnął się. Jak każdy inny aresztant przeszedł pełny przegląd.

– Zajmuję się tym, jak sobie radzisz emocjonalnie.

Jego oczy powędrowały w górę. Dotknąłem swojego czoła.

– Tym, co masz w głowie.

– Jak psychiatra.

– Wiesz, kto to psychiatra.

– Szurnięty czubek.

– Psychiatrzy leczą szurniętych czubków.

– Uhm.

– Kto ci to powiedział, Rand?

– Babcia.

– Twoja babcia.

– Uhm.

– Co jeszcze mówiła o psychiatrach?

– Jak nie będę się zachowywał, to mnie pośle.

– Do psychiatry.

– Uhm.

– Co to znaczy „zachowywać się”?

- Być grzecznym.
- Jak dawno temu babcia ci to powiedziała?

Zaczął się zastanawiać, widziałem, że wkłada w to dużo wysiłku. Poddał się, wbił wzrok w kolana.

- Po tym, jak trafiłeś do aresztu, czy wcześniej?
- Wcześniej.
- Czy babcia była na ciebie zła, kiedy to mówiła?
- Trochę.
- Co ją rozgniewało?

Jego ziarnista skóra poczerwieniała.

- Różne rzeczy.
- Różne rzeczy – powtórzyłem.

Nie odpowiedział.

- Czy babcia cię tu odwiedziła?
- Chyba.
- Chyba?
- Aha.

- Jak często przychodzi?
- Czasami.
- Mówiła coś jeszcze?

Cisza.

- Nic? – spytałem.
- Przynosi mi jedzenie.
- Co przynosi?
- Ciastka. Jest wściekła.
- Dlaczego?
- Bo zepsułem.
- Co zepsułeś?
- Wszystko.
- Jak to?

Zatrzepotał powiekami. Przymknął oczy.

- Mój grzech.
- Twój grzech.
- Zabicie tego niemowlaka.

Położył się z powrotem, zasłonił oczy przedramieniem.

- Przykro ci z tego powodu – powiedziałem.

Cisza.

- Że zabiłeś dziecko – zasugerowałem.

Odwrócił się ode mnie, twarzą do ściany.

- Co czujesz, kiedy myślisz o tym, co się stało, Rand?

Minęło kilka sekund.

- Rand?

On się śmiał.

- Kto się śmiał?
- Troy.
- Troy się śmiał.
- Uhm.

- Kiedy?
- Kiedy ją bił.
- Troy się śmiał, kiedy bił Kristal.

Cisza.

- Czy Troy zrobił coś jeszcze Kristal?

Leżał bez ruchu przez prawie minutę, potem znów odwrócił się do mnie. Uchylił powieki.

Oblizwał usta.

- Trudno o tym mówić – powiedziałem.

Lekkie „tak” głową.

- Co jeszcze Troy zrobił dziecku?

Siadając sztywno i mozolnie jak stary człowiek, Rand otoczył szyję dłońmi i pokazał duszenie. To było coś więcej niż przedstawienie: oczy wyszły mu na wierzch, twarz zrobiła się purpurowa, z ust wystawał język.

- Troy dusił dziewczynkę – powiedziałem.

Kłykcie mu pobiegały; ścisnął mocniej.

Wystarczy, Rand.

Zaczął się kotłować, wbił palce w szyję. Wstałem, oderwałem mu dłonie. Był silny; nie poszło łatwo. Zadyszał, zacharczał, opadł na posłanie. Stałem obok niego, dopóki nie uspokoił mu się oddech. Przyciągnął kolana do piersi. Na szyi miał ślady.

Zanotowałem: poprosić o pilnowanie, żeby się nie zabił.

- Nie rób tego więcej, Rand.

– Przepraszam.

- Źle ci z tym, co się stało z tym dzieckiem.

Żadnej odpowiedzi.

– Patrzyłeś, jak Troy dusił i bił dziewczynkę, i kiedy o tym myślisz, czujesz się bardzo źle.

Z czyjegoś radia poleciał hiphopowy kawałek. W oddali zabrzmiały kroki, ale nikt nie przyszedł.

- Masz wyrzuty sumienia, że przyglądałeś się Troyowi.

Wymamrotał coś.

- Słucham, Rand?

Bezgłośnie poruszył ustami.

- Co takiego, Rand?

Za drzwiami przeszedł strażnik, który mnie odprowadzał. Zajrzał do celi i poszedł dalej. Piętnaście minut jeszcze nie minęło. Personel wyjątkowo się przejął.

- Rand?

– Ja też ją biłem.

Przez następny tydzień spotykałem się z nim dwa razy dziennie na godzinnych sesjach, raz rano, raz po południu. Zamiast się otwierać, zamknął się w sobie, nie chciał zdradzić nic więcej na temat morderstwa. Dużo czasu poświęciłem na formalne testy. Wywiad kliniczny był prawdziwym wyzwaniem. W niektóre dni Rand uparcie milczał; mogłem mieć nadzieję najwyżej na bierne odpowiedzi monosylabami na pytania: „tak-nie”.

Kiedy poruszyłem temat uprowadzenia, nie wiedział, dlaczego wziął w tym udział, był bardziej oszołomiony niż przerażony. Po części wynikało to z wyparcia, ale podejrzewałem też wpływ jego niskiej inteligencji. Kiedy bada się przeszłość dzieci, które dopuściły się poważnych



aktów przemocy, często trafia się na urazy głowy. Przyszedł mi do głowy wypadek, w którym zginęli rodzice Randa, ale w którym on sam nie odniósł widocznych obrażeń.

Wynik testu inteligencji Wechslera nie był zaskoczeniem: iloraz inteligencji 79, z poważnymi brakami w rozumowaniu werbalnym, używaniu języka, wiedzy dotyczącej faktów i logice matematycznej.

Tom Laskin chciał wiedzieć, czy Rand działał jak człowiek dorosły, kiedy zabijał Kristal Malley. Nawet gdyby Rand miał trzydzieści pięć lat, byłoby to właściwe pytanie.

Testy Apercepcji Tematycznej i Rorschach okazały się bezużyteczne: Rand był zbyt przygnębiony i intelektualnie upośledzony, by zdobyć się na sensowne reakcje na widok kart. Jego IQ według testu Peabody'ego było nie wyższe niż według bardziej zorientowanego na słownictwo Wechslera. Na polecenie narysowania człowieka narysował maleńką, pozbawioną kończyn, patykowatą postać z dwoma kosmykami włosów i bez ust. Kiedy poprosiłem, żeby narysował coś od siebie, spojrział na mnie tępo. Kiedy zaproponowałem, żeby narysował siebie i Troya, odmówił, udając, że śpi.

– No to narysuj cokolwiek.

Leżał bez ruchu, oddychając ustami. Miał coraz więcej krost. Sugestia konsultacji dermatologa wywołałaby uśmiechy politowania u personelu więzienia.

– Rand?

– Uhm.

– Narysuj coś.

– Nie.

– Dlaczego?

Skrzywił się, jakby bolał go ząb.

– Nie umiem.

– Siadaj i mimo wszystko spróbuj.

Na mój ostry ton zamrugął oczami. Popatrzył na mnie, ale nie mógł skoncentrować wzroku dłużej niż kilka sekund. W ogóle miał problemy z koncentracją. Być może wynikało to po części z deprywacji sensorycznej spowodowanej zamknięciem, ale moim zdaniem nigdy nie umiał skupić na czymś uwagi.

Podąłem mu ołówek, kartkę i podkładkę do rysowania. Przez chwilę siedział bez ruchu, w końcu położył podkładkę na kolanach i ścisnął ołówek. Jego czubek zamarł na papierze.

– Rysuj – zachęciłem.

Jego ręka zaczęła leniwie krążyć nad kartką. W końcu dotknął ołówkiem papieru, pojawiły się nierówne, ledwie widoczne, koncentryczne elipsy. Kartka zaczęła się wypełniać. Elipsy pociemniały. Rand zamknął oczy. W ciągu ostatnich dwóch tygodni często to robił – oślepiając się w ucieczce przed koszmarną rzeczywistością.

Dzisiaj jego ręka z ołówkiem zaczęła poruszać się szybciej. Elipsy zrobiły się bardziej kanciaste. Płaskie, ciemniejsze. Wyostrzyły się do poszarpanych, spiczastych kształtów.

Nie przerywał; pomiędzy warg wysunął mu się czubek języka. Kartka zamieniła się w burzę czerni. Wolną dłoń Rand zacisnął w pięść, zbierając w niej skrawek swojej więziennej koszuli; ta z ołówkiem jeszcze przyspieszyła. Grafit wbił się w kartkę, papier się zmarszczył. Podarł. Rand przycisnął mocniej. Jeszcze szybciej. Coraz mocniej, drąc kartkę na strzępy. Ołówek przebił się do podkładki, przeszył w błyszczącą powierzchnię i wysunął się z ręki chłopca.

Upadł na podłogę celi.

Rand szybko się schylił, podniósł go. Odetchnął. Ścisnął żółty ogryzek w brudnej spoczonej dłoni.

– Przepraszam.

Z kartki zostało konfetti. Grafitowy czubek ołówek ułamał się, pozostawiając drewniane drzazgi. Ostre, małe kolce.

Zabrałem ołówek. Schowałem go do kieszeni.

Po ostatnich odwiedzinach, kiedy szedłem na podziemny parking, usłyszałem, jak ktoś woła mnie po nazwisku. Odwróciłem się i zobaczyłem otyłą kobietę w sukience w kwiaty, wspierającą się na aluminiowej lasce. Niebo w kolorze brudnego mleka pasowało do jej cery. Oprzytomniałem pod słonecznym lazurem firmamentu Beverly Glen, ale wszelka radość trzymała się z dala od tego ponurego zakątka East LA, zdominowanego przez więzienie.

Kobieta podeszła do mnie, stukając laską o chodnik.

– Pan jesteś tym psychologiem, tak? Jestem babką Randa.

Podszedłem, wyciągnąłem rękę.

– Margaret Sieff – powiedziała głosem palaczki. Nie podała mi wolnej ręki. Tania, bawełniana sukienka z nadrukiem rozłaziła się w szwach. Kamelie, lilie, ostróżki i zieleń rozłożone na seledynowym tle. Kobieta miała krótkie, siwe, kręcone włosy, tak przeredzone, że miejscami wyzierała spod nich różowa skóra głowy. Niebieskie oczy uważnie mi się przyjrzały. Małe, czujne, bystre. Zupełnie inne niż oczy jej wnuka.

– Cały tydzień pan tu byłeś i się pan nie odezwał. Nie chcesz pan ze mną rozmawiać?

– Zamierzałem z panią porozmawiać, kiedy ocena psychologiczna Randa będzie gotowa.

– Ocena. – Brzmienie tego słowa chyba ją zaniepokoiło. – Jak pan myślisz, co pan możesz dla niego zrobić?

– Sędzia Laskin poprosił mnie, żebym...

– Już wszystko wiem. Masz pan stwierdzić, czy to był dzieciak, czy dorosły. Przecież to jasne jak słońce. Ja pytam, co pan możesz zrobić dla tego chłopaka.

– Co jest jasne jak słońce, pani Sieff?

– Chłopak jest głupi. Walnięty. – Postukała w swoje woskowe czoło palcem wskazującym. – Miał cztery lata, jak zaczął mówić, wciąż nie mówi za dobrze.

– Chce pani powiedzieć, że Rand...

– Chcę powiedzieć, że Randolph nigdy nie będzie dorosły.

Co było diagnozą równie trafną jak fachowy żargon moich notatek. Za nią, nad nami obojgiem, wznosiła się betonowa konstrukcja więzienia, niczym największa stora okienna na świecie.

– Dopiero pani przyszła czy już wychodzi?

– Jestem umówiona za dwie godziny. Z autobusami z Valley nigdy nic nie wiadomo, więc przyjeżdżam wcześniej. Bo jak się spóźnię, ci dranie w ogóle mnie nie wpuszczają.

– Co pani powie na kawę?

– Pan stawia?

– Stawiam.

– Niech będzie.

Wokół więzień powstaje bardzo specyficzna sieć handlowo-usługowa – tani prawnicy, firmy udzielające kredytów na kaucje, biura tłumaczeń, bary szybkiej obsługi. Znałem budkę z hamburgerami w pobliżu, ale spacer przez parking przekraczał możliwości obolałych nóg Margaret Sieff. Zaczekała przy wyjeździe, aż podjechałem po nią samochodem.

– Ładniutkie autko – powiedziała, kiedy wysiadłem, żeby otworzyć jej drzwi. – Pewnie przyjemnie jest być bogaczem.

Mój seville to rocznik 79, z podrasowanym silnikiem. Ma już trzeci winylowy dach, a drugie malowanie przegrywało właśnie bitwę z korozją. Wziąłem od Margaret Sieff laskę i przytrzymałem jej łokieć, kiedy z trudem wsiadała do samochodu.

– Ile panu płacą za tę ocenę? – spytała, kiedy w końcu się usadowiła.

– To nie pani zmartwienie, proszę pani.

Uśmiechnęła się, kiedy to usłyszała.

Zawiozłem ją do baru, posadziłem przy stoliku na zewnątrz, wszedłem do środka i stanąłem w kolejce za policjantem z patrolu motocyklowego, który wyrósł ze swojej szytej na miarę koszuli, zastępcą prokuratora okręgowego, wyglądającym na piętnaście lat, i dwoma zapuszczonymi wąsaczami ze spłowiałym tatuażem członków gangów. Ci dwaj zapłacili bilonem i chwilę trwało, zanim chłopak za ladą wszystko policzył. Kiedy w końcu przyszła moja kolej, zamówiłem dwie kawy w kartonowych kubkach.

– Jestem głodna – powiedziała Margaret Sieff, kiedy wróciłem.

Cofnąłem się więc i kupiłem jej cheeseburgera.

Wyrwała mi kanapkę z ręki i zaczęła żarłocznie jeść – usiłowała zachować pozory elegancji, pospiesznie ocierając serwetką brodę, potem jednak znów z zapalem atakowała jedzenie.

– Tego mi było trzeba – powiedziała, zbierając na palec keczup i oblizując go. – Mówię panu, czasami mogłabym zjeść takich pięć.

– Co chce mi pani powiedzieć o Randzie?

– Oprócz tego, że to głupek?

– Musiało być ciężko go wychowywać.

– Wszystko jest ciężkie – burknęła. – Wychowywanie jego matki było ciężkie.

– Pani córka miała problemy.

– Tricia była głupia, tak samo jak on. Tak jak ten idiota, za którego wyszła. To przez niego oni zginęli. Tyle mandatów za szybką jazdę, on pił, a oni dali mu ciężarówkę. – Zaśmiała się. – Durnie. I takim ludziom dają ciężarówki.

– Tricia miała kłopoty w szkole – powiedziałem.

Spojrzenie Margaret Sieff powiedziało mi, że zaczyna powątpiewać w moją inteligencję.

– Chyba właśnie to powiedziałam, nie?

– Jakie kłopoty?

Westchnęła.

– Kiedy w ogóle chciało się jej iść do szkoły, nie znosiła czytania, nie znosiła matematyki, wszystkiego nie znosiła. Mieszkaliśmy wtedy w Arizonie, najczęściej uciekała i wałęsała się po pustyni w złym towarzystwie.

– Gdzie w Arizonie?

– Gorąco było jak cholera – powiedziała, zamiast odpowiedzieć na moje pytanie. – To mój mąż miał taki świetny pomysł, chciał hodować kaktusy, bo usłyszał gdzieś, że można zrobić duże pieniądze na sprzedawaniu ich turystom. „Nic się nie martw, Margie, nie podlewaj, tylko trzymaj w doniczkach, aż urosną”. Tak, i pilnuj, żeby pies się ich nie nażarł i nie zdechł od kolców w bebechach, a potem ustaw stolik przy autostradzie i cały dzień wdychaj kurz w upale, i miej nadzieję, że jakimś turyście będzie się chciało zatrzymać. – Zerknęła na swój pusty kubek. – Siedziałam przy tym stoliku dzień w dzień i patrzyłam, jak mijają mnie ludzie. Ludzie, co to gdzieś jechali. – Wydeła wargi. – Wiesz pan co, nawet kaktusy potrzebują wody.

Wyciągnęła kubek. Przyniosłem jej dolewkę.

– A więc Tricia wychowywała się w Arizonie – zagadnąłem.

– I w Nowadzie, i w Oklahomie, a przedtem mieszkaliśmy w Waco w Teksasie, a jeszcze wcześniej w południowej Indianie. I co z tego? Tu nie chodzi o to, gdzie mieszkaliśmy. Chodzi o Randolpha i to, co zrobił złego.

Nachyliła się nad stołem, a jej biust oparł się o poplamiony tłuszczem plastikowy blat.

– Dobrze – powiedziałem. – Porozmawiajmy o tym.

Zawinęła wargi, ściągając nos w dół. Jej niebieskie oczy pociemniały, przypominały teraz granitowe kamyki.

– Mówiłam mu, żeby nie zadawał się z tym małym potworem. A teraz całe nasze życie poszło w diabły.

– Z Troyem Turnerem.

– Drogi panie, ja nie chcę nawet słyszeć tego nazwiska. Grzeszny potwór, wiedziałam, że wpakuje Randolpha w kłopoty. Dopija kawę, ścisnęła kubek i zgięła go na pół, a potem przykryła dłonią bezkształtną tekturę. Usta jej zadrżały. – Nie sądziłam, że będą takie kłopoty.

– Czego pani się bała Troya?

– Ja? Ja się nie bałam tego gnojka. Ja się martwiłam. O Randolpha. Bo jest głupi, robi, co mu się powie.

– Czy Troy jest głupi?

– On jest zły. Chcesz pan się na coś przydać? Powiedz pan sędziemu, że bez złego wpływu Randolph nigdy by nie zrobił, nie mógłby zrobić, czegoś takiego. I tyle, bo prawnik Randolpha powiedział, że niekoniecznie jesteś pan po naszej stronie.

– Nie jestem po niczyjej stronie, pani Sieff. Sędzia wyznaczył mnie, żebym...

– Sędzia jest przeciwko nam, byłoby inaczej, gdybyśmy byli bogatymi czarnuchami – warknęła. – A tak, jak ja to widzę, to, co pan robisz, to strata czasu i pieniędzy. Bo Randolph nie ma żadnych szans, gdzieś go zamkną. Albo w więzieniu dla dorosłych, albo z małymi potworami. – Wzruszyła ramionami. Oczy jej zwilgotniały i ze złością je wytarła. – Żadna różnica. Zamkną go na długo, a moje życie diabli wzięli.

– Uważa pani, że należy go wypuścić?

– Dlaczego nie?

– Zamordował dwuletnią dziewczynkę.

– To ten potwór to zrobił. Randolph był tylko za głupi, żeby się stamtąd wynieść.

Jej wnuk inaczej śpiewał.

– Jak szukasz pan winnego – powiedziała – to jest z czego wybierać. Jaka matka zostawia dziecko bez opieki? Ją też powinni wziąć pod sąd.

Starąłem się zachować obojętność. Chyba mi się nie udało, bo podniosła pojednawczo dłoń.

– Nie mówię, że to wszystko jej wina. Mówię, że wszystko trzeba... wziąć pod uwagę. Bo żeby do tego doszło, dużo rzeczy musiało się zbiec, rozumiesz pan? Jak z gwiazdami w astrologii, wszystkie muszą ustawić się na swoich miejscach. Jak kawałki układanki.

– Wiele czynników odegrało rolę – powiedziałem.

– Właśnie. Po pierwsze, zostawiła dziecko samo. Po drugie, dziecko się zgubiło. Po trzecie, Randolph poszedł z tym potworem do centrum handlowego, chociaż mu zabroniłam. Po czwarte, bolały mnie nogi, więc się położyłam, a Randolph się wymknął. Rozumiesz pan? To jak... jak film. W roli głównej diabeł, a my to ludzie, przeciwko którym diabeł działa. Cokolwiek zrobimy, wszystko szlag trafi. – Z trudem wstała, podpierając się laską. – Odwieź mnie pan z powrotem. Jak się spóźnię, ci dranie mnie nie wpuszczą i będą się z tego jeszcze cieszyć.

## 6

Odwiozłem Margaret Sieff z powrotem do więzienia i odebrałem wiadomości. obrońca Randa Duchaya, Lauritz Montez, zostawił dwie.

Nie zwracał sobie głowy uprzejmościami.

– Skończył pan z moim klientem, więc możemy w końcu porozmawiać?

– Nie widzę przeciwwskazań, jeśli chce pan wypowiedzieć się na temat jakichś istotnych faktów, panie Montez.

– Tylko jednego faktu, doktorze, ale za to bardzo ważnego. Randy jest w oczywisty sposób upośledzony. Na pewno pan to stwierdził. W jakim stopniu?

Nikt nie mówił na chłopaka „Randy”.

– Wszystko to będzie w moim raporcie – powiedziałem.

– Niech pan sobie daruje – odparł Montez. – To nie jest temat do sądowej debaty.

– Wie pan, jak to się odbywa. Sędzia Laskin widzi wszystko pierwszy.

– Tak, tak... A co pan myśli o tej babci? Postawił jej pan lunch. Nie uważa pan tego za konflikt interesów?

– Jestem dość zajęty, panie Montez...

– Spokojnie, tylko żartowałem. Co pan o niej sądzi? Serio.

– Rzykując, że się powtórzę...

– No nie, doktorze. Nie może pan mieć jakichkolwiek poważnych wątpliwości co do kompetencji. Być może zainteresuje pana, że powołuję własnego eksperta, który przeprowadzi pełny komplet badań psychometrycznych. To Herbert Davidson, profesor ze Stanford, uznany autorytet w tej dziedzinie.

– Czytałem jego podręcznik na studiach – powiedziałem.

– Byłoby głupio, gdyby pana wyniki okazały się zupełnie różne niż jego.

– Cholernie głupio – przytaknąłem.

– A więc kiedy dostanę pana raport?

– Kiedy sędzia Laskin go panu prześle.

– Jasne. Wykonujemy polecenia. Broń nas Boże przed samodzielnym myśleniem.

Troya Turnera umieszczono od Randa najdalej jak się dało, w narożnej celi za ciemnym zakrętem korytarza.

– Ten to się panu spodoba – powiedział strażnik, który mnie odprowadzał, Sherrill, kulturysta z ogoloną głową i wielkimi wąsiskami koloru słomy. Zazwyczaj biła od niego pewność siebie siłacza. Dzisiaj wyglądał na rozkojarzonego.

– Trudny dzieciak? – spytałem.

Zwolnił kroku.

– Sam mam dzieci. Czwórkę własnych plus pasierba. Poza tym przez trzy lata pracowałem w przestępczości młodocianych, więc rozumiem dzieci. W przeciwieństwie do różnych innych gości wiem, że gówniarze często zaczynają jako ofiary. Ale ten... – Pokręcił głową.

– Zrobił coś tutaj? – spytałem.

– Nie, chodzi o to, jaki on po prostu jest. – Sherrill się zatrzymał. Za nami znajdowały się puste cele. – Doktorze, jeśli jedno słowo z tego, co mówię, wydostanie się na zewnątrz, nigdy już panu nie zaufam.

– Rozmawiamy nieoficjalnie.

– Mówię poważnie. Rozmawiam z panem, bo chodzą słuchy, że jest pan w porządku i że robi pan, co może, dla sędziego Laskina, a my wszyscy szanujemy sędziego Laskina, bo on wie, jak to bywa w prawdziwym świecie.

Czekałem.

Sherrill obejrzał się przez ramię, znów się zatrzymał. Wokół cisza; w więzieniu tylko na oddziale dla wyjątkowo niebezpiecznych może być tak cicho. Kilka metrów przed nami jedna z cel była zajęta. Mężczyzna w środku nam się przyglądał. Zadbany, siwowłosy, w średnim wieku. W rękę „Times”.

Sherrill pociągnął mnie dalej korytarzem.

– To ruski mafioso, poderżnąłby panu gardło tak samo łatwo, jak by się do pana uśmiechnął – mruknął. – Nie rozmawiam za często z więźniami – wyjaśnił, kiedy zostaliśmy sami – życie jest za krótkie, po co je sobie zaśmiecać. Ale tutaj, skoro to dzieciak, próbowałem podejść do niego przyjaźnie. Turner mnie olał. Kompletnie. Jakbym był niewidzialny. Raz poszedłem na urlop, a kiedy wróciłem, wyglądał, jakby stracił na wadze. Przyniosłem mu śniadanie, dorzuciłem ekstra grzanekę, bo wyglądał żałośnie. Złapał ją i zaczął żreć jak hiena. Spytałem go, czy rozumie, dlaczego tu jest. Tym razem mnie nie olał, tylko od razu powiedział „za to, co zrobiłem”. Ale bez żadnych emocji. Jakby zamawiał frytki i colę. Potem wziął następną grzanekę z tacy, spojrzał mi w oczy i zaczął przeżuwać. Powoli, niechlujnie. Kawałki wypadały mu z ust, potem zaczął się ślinić i pluć, przewracał oczami. Zachowywał się jak idiota, jakby to był świetny dowcip. Ja stoję, on to dalej robi, a potem wypluwa wszystko na podłogę i pyta „co?” – jakbym go wkurzał. A ja mówię „nie odpowiedziałeś na moje pytanie, kolego. Dlaczego tu jesteś?” A on na to „bo zajebałem tego dzieciaka, dlatego”. A potem rozgniół grzanekę butem po podłodze i mówi „co to za syf, człowieku, daj mi coś porządnego do żarcia”.

– Pełen skruchy – mruknąłem.

– Doktorze, niech mi Bóg wybaczy to, co teraz powiem, jeśli pan komuś to powtórzy, wszystkiego się wyprę, ale czasami nasienie lepiej jest spuścić w kiblu, zanim będzie miało szansę popłynąć.

Drobny chłopak, patykowate ręce, twarz w kształcie serca. Pełne oczekiwania, piwne oczy otworzyły się szeroko, kiedy wszedłem do jego celi. Ściągnięta, skrzywdzona twarz dickensowskiej sierotki.

Przedstawiłem się.

– Miło mi pana poznać – powiedział. Zupełnie swobodnie, jakby miał to przećwiczone, a jeśli był w tym jakiś sarkazm, ja go nie wychwyliłem.

Usiadłem.

– To krzesło nie jest za wygodne.

– Nie ma tu specjalnego wyboru – zauważyłem.

– Może pan usiąść na łóżku, a ja usiądę tam.

– Dzięki, Troy, może być tak, jak jest.

– Dobrze. Wyprostował się, oparł dłonie na kolanach.

Wyjąłem notes. Spojrzałem na jego ręce. Wąskie, białe, o drugich palcach; paznokcie miał trochę brudne, ale równo przycięte. Delikatne dłonie. Uduszenie dziecka nie wymaga wielkiej siły, ale mimo wszystko...

– Troy, jestem psychologiem.

– Chce pan porozmawiać ze mną o moich uczuciach.

– Ktoś ci to powiedział.

– Panna Weider.

Sydney Weider była jego głównym obrońcą. Bardziej niż Lauritz Montez nalegała na spotkanie ze mną, zanim zacząłem swoją ocenę, i zrobiła się agresywna, kiedy odmówiłem. Laskin nazwał ją pitbullem. „Niech pan zapamięta moje słowa, ona już robi notatki do apelacji”.

– Co panna Weider ci o mnie mówiła?

– Że będzie mi pan zadawał pytania, a ja mam współpracować. – Uśmiechnął się, jakby chcąc zademonstrować swoją skłonność do współpracy.

– Czy chciałbyś porozmawiać o czymś konkretnym? – spytałem.

– Chyba tak.

– O czym?

– Powinienem mówić o niej.

– O niej?

– O tym niemowlaku.

– Wszyscy mówią o niej „niemowlak”, ale raczej już nim nie była, prawda?

– Chyba tak.

– Kristal miała dwa lata, Troy. Umiała już chodzić i trochę mówić.

– Nie słyszałem, żeby mówiła.

– Widziałeś ją wcześniej?

– Nie.

– Dlaczego postanowiliście ją zabrać?

– Poszła za nami.

– Gdzie?

– Na dwór.

– Wyszła z centrum handlowego.

– Aha.



Kamera zarejestrowała Kristal zwisającą między nimi dwoma, przebierającą nogami. Policja założyła, że to była walka, ale obaj obrońcy sugerowali, że cała trójka po prostu się wygłupiała.

Jakby to miało jakieś znaczenie.

– Dlaczego Kristal za wami poszła? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Niczego się nie domyślasz, Troy?

– Pewnie stwierdziła, że jesteśmy fajni.

– A dlaczego?

– Bo była mała, a my byliśmy duzi.

– Duże jest fajne.

– Aha.

– No dobrze. Kristal poszła za wami, a co było potem?

– Poszliśmy do parku, zapaliliśmy i napiliśmy się piwa.

– Wszyscy.

– Aha.

– Skąd wzięliście piwo?

Zmrużył oczy, nagle ostrożny.

– Mieliśmy.

– Mieliście je przy sobie w centrum handlowym?

– Wcześniej.

– Gdzie je trzymaliście?

– W parku.

– Gdzie w parku?

Wahanie.

– Za drzewem.

– Schowane.

– Aha.

– A więc napiliście się i zapaliliście. Wszyscy troje.

– Aha.

– Kristal piła i paliła.

– Próbowwała. Nie szło jej.

– Kristal miała trudności z piciem i paleniem – podsumowałem.

– Kaszłała od tego.

– A co wy zrobiliście?

– Dalej próbowaliśmy.

– Zmusić Kristal do palenia?

– Pomóc jej.

– Jak poszło?

– Nie za dobrze.

– Co się stało?

– Dalej kaszłała.

– Coś jeszcze?

– Zwymiotowała.

– Gdzie?

– Na moją koszulkę. – Jego oczy zwięzły się już w szparki.

– Nie spodobało ci się to.

– Śmierdziało jak gówno... Brzydko.  
– Obrzydlistwo.  
– Aha.  
– I co z tym zrobiłeś?  
– Z czym?  
– Z tym, że się na ciebie zhaftowała.  
– Odepchnąłem ją.  
– Gdzie pchnąłeś Kristal?  
Położył dłonie na piersi.  
– Gdzie upadła?  
– Przewróciła się.  
– Na ziemię.  
– Na trawę. Twardo upadła?  
– To była trawa.  
– Miękka.  
– Aha.  
– Mocno ją pchnąłeś?  
Cisza.  
– Troy?  
– Nie zrobiłem nic poważnego – powiedział. – Usiadła na tyłku i zaczęła strasznie głośno płakać. Rand dał jej piwa.  
– Po co?  
Wzruszył ramionami.  
– Pewnie żeby ją uciszyć. To był pomysł Randa.  
– Aha.  
Koroner znalazł ślady budweisera w maleńkim żołądku Kristal. W jej płucach też – dziecko zachłysnęło się piwem.  
– To był pomysł Randa, żeby dać Kristal piwa – powtórzyłem.  
– Przecież powiedziałem.  
Jak myślisz, skąd Randowi przyszedł do głowy taki pomysł?  
– Bo jest głupi.  
– Rand.  
– Aha.  
– Dużo się z nim zadajesz.  
– To on zadaje się ze mną. – Jego głos stwardniał. Uświadomił to sobie. Uśmiechnął się. –  
W sumie jest w porządku.  
– Co się dzieje, kiedy nie jest w porządku?  
– Robi głupie rzeczy. Takie jak to.  
– To?  
– To, że dał dzieciakowi piwo.  
– Czy Kristal piwo smakowało?  
– Nie za bardzo.  
– Znowu wymiotowała?  
– Wydawała takie dźwięki. – Wydał policzki i głośno wypuścił powietrze. – Zaczęło jej lecieć z nosa. Potem zaczęła krzyczeć.  
– Głośno?  
– Trochę.

– Musiało cię to irytować.  
Jego oczy były wąskie jak kreseczki.  
– Przyjemne to nie było.  
– No to co zrobiłeś?  
– Nic.  
– Kristal zwymiotowała na ciebie, głośno krzyczała i cię denerwowała, a ty nic nie zrobiłeś?  
– Nie musiałem – odparł. Przez jego usta przemknął uśmiezek. Trwał niecałą sekundę, dopóki jego rysy nie ułożyły się znów w wyraz dziecięcej niewinności. Gdybym wtedy notował, nie zauważyłbym niczego.  
– Dlaczego nie musiałeś nic robić, Troy?  
– Rand zrobił.  
– Rand rozwiązał problem.  
– Aha.  
– Jak?  
– Potrząsnął nią, uderzył ją i położył jej rękę na szyi.  
– Rand położył rękę na szyi Kristal.  
– Dusił ją.  
– Pokaż mi, jak Rand dusił Kristal.  
Zawahał się.  
– Przecież przy tym byłeś, Troy.  
– O tak – powiedział, przesuwając po własnej szyi bezwładną ręką. Nacisnął lekko wierzchem dłoni i puścił. – O tak – powtórzył.  
– Co było potem?  
– Przewróciła się. – Przechylił się w bok, żeby to pokazać, w zwolnionym tempie opuścił się na pryczkę. Znow usiadł. – O tak.  
– Kristal upadła po tym, jak Rand ją dusił?  
– Aha.  
– Jak się czuleś, kiedy to zobaczyłeś?  
– Źle – powiedział za szybko. – Bardzo źle. Proszę pana.  
– Dlaczego czuleś się źle, Troy?  
– Ona się nie ruszała. – Trzepoczące rzęsy. – Powinienem był na to nie pozwolić.  
– Powinieneś był nie pozwolić, żeby Rand udusił Kristal?  
– Aha.  
Jego wargi zawinęły się do środka, a ja wypatrywałem powrotu uśmiezku. Ale w oczach Troya zaszła zmiana, która złagodziła ten grymas. Na jego ustach pojawił się zrezygowany, znużony uśmiech kogoś, kto widział już wszystko, ale komu udało się zachować swoją godność.  
– Bardzo przepraszam – powiedział. – Wszystko zależało ode mnie. Jestem mądrzejszy.

Rzeczywiście był.

Iloraz inteligencji 117 – a więc górne dwadzieścia pięć procent. Biorąc pod uwagę podtest rozumowania abstrakcyjnego w dziewięćdziesiątym percentylu i wagarowanie, uznałem, że to wynik zaniżony.

Intelektualnie całe lata świetlne od Randa Duchaya.

„Powinienem był na to nie pozwolić”.

Może nie dotarły do niego instrukcje Sydney Weider. A może podała mu fakty, a on je wyparł.

A może po prostu postanowił skłamać, uznając mnie za łatwowiernego frajera.  
Czytałem raport koronera.  
Ślady skóry Kristal Malley znaleziono za paznokciami Troya, nie Randa.

Przez pozostałe sesje w pełni współpracowałem, bezczelnie kłamiąc na każdym kroku.

Kiedy zapytałem go o matkę, powiedział, że próbowała zostać aktorką i że bez przerwy go odwiedzała. Według książki gości była w areszcie tylko raz. Sherrill powiedział, że Jane Hannabee była wyraźnie upalona, jej wizyta trwała dziesięć minut, a kiedy wychodziła, wyglądała na wściekłą.

– Kiedy się z nią pan zobaczy, doktorze, może zrozumie pan trochę tego dzieciaka. Ale nie wszystko, prawda? Inni gówniarze, co mają ćpunka za matki, też robią złe rzeczy, ale nie aż tak złe.

Według Troya, jego ojciec zginął „w wojsku. Strzelał do terrorystów”.

Kiedy zapytałem go, kto to jest terrorysta, odparł:

– To jak przestępca, tyle że to zwykle czarnuchy i wysadzają różne rzeczy w powietrze.

Kilka razy wracałem do morderstwa, a on powtarzał niezmiennie: Kristal poszła z nim i z Randem dobrowolnie; Rand był sprawcą bicia i duszenia. Troy czuł się źle z tym, że nie interweniował.

Na szóstym spotkaniu zamienił „źle” na „winny”.

– Czujesz się winny. Bardzo, proszę pana.

– Winny czego?

– Że do tego dopuściłem, proszę pana. Wszystko mi się teraz opóźni.

– Jak to opóźni?

– Miałem niedługo zostać bogaty, teraz to będzie później.

– Dlaczego?

– Bo gdzieś mnie zamkną.

– W więzieniu.

Wzruszył ramionami.

– Jak myślisz, na jak długo cię zamkną?

– Mógłby im pan powiedzieć prawdę, proszę pana, i może nie musiałyby to być tak długo.

Przekrzywił głowę, niemal dziewczęcym gestem. Jego uśmiech też miał w sobie coś kobiecego. Troy miał dziesiątki uśmiechów; ten wariant widziałem po raz pierwszy.

– Uważasz, że jeśli powiem im prawdę, twój wyrok będzie krótszy.

– Sędzia pana lubi.

– Ktoś ci to powiedział?

– Nie.

Większość ludzi, kiedy kłamię, zdradza to czymś – zmianą postawy, nieznacznym ruchem oczu, tonem głosu. Ten chłopak zmyślał tak spokojnie, że założyłbym się, że oszukałby wykrywacz kłamstw.

– Troy, boisz się czasem?

– Czego?

– Czegokolwiek?

Zamyślił się.

– Boję się złych uczynków.

– Dlaczego?

– Nie chcę być zły.

– A bywasz zły?

- Czasami. Jak wszyscy.
- Każdy czasem robi coś złego.
- Nikt nie jest doskonały. Oprócz Boga.
- Jesteś religijny?
- Drew i Cherish mówią, że tak, proszę pana.
- Kto to Drew i Cherish?
- Duchowni.
- Odwiedzają cię?
- Aha. Proszę pana.
- Uważasz, że to ci pomaga?
- Tak, proszę pana. Bardzo pomaga.
- Jak Drew i Cherish ci pomagają?
- Mówią mi, że wszystko będzie w porządku. Mówią, że każdy popełnia błędy.
- A więc uważasz, że czasem robisz coś złego. Co na przykład?
- Nie chodzę do szkoły. Nie czytam książek. – Wstał, z dolnej półki wziął książkę.

Czarna, twarda okładka. Zielony tytuł, Biblia.

- Drew i Cherish ci to dali?
  - Tak, proszę pana. A ja to czytam.
  - O czym czytasz?
- Sekunda zawahania.
- O Drugim Dniu.
  - Stworzenia?
  - Tak, proszę pana. Bóg stworzył niebo.
  - Co dla ciebie znaczy niebo?
  - Dobre miejsce.
  - Co w nim dobrego?
  - Człowiek jest bogaty i dostaje fajne rzeczy.
  - Jakie fajne rzeczy?
  - Wszystko, czego chce.
  - Kto idzie do nieba?
  - Dobrzy ludzie.
  - Ludzie, którzy nie popełniają bardzo złych uczynków.
  - Nikt nie jest doskonały – powiedział zduszonym głosem.
  - Na pewno – odparłem.
  - Ja pójdę do nieba.
  - Tyle że później.
  - Tak, proszę pana.
  - Mówiłeś, że będziesz bogaty. Jak zamierzasz to zrobić?

I znów ten uśmiezek. Tym razem nie zniknął; Troy wpatrzył się we mnie, a jego delikatne, małe dłonie zmieniły się w kościste, małe pięści.

– Bo jestem sprytny – powiedział. – Czy mogę iść już spać? Jestem zmęczony, proszę pana.

Późniejsza sesja okazała się bezproduktywna; Troy twierdził, że jest zmęczony albo „źle się czuje”. Próby określenia konkretnych objawów były bezowocne. Badania wykonane przez więziennego lekarza niczego nie wykazały. Kiedy przyszedłem do Troja po raz ostatni, czytał Biblię i zignorował mnie, gdy usiadłem.

– Ciekawe? – spytałem.

– Aha.

– Co zamierzasz?

Położył otwartą książkę na pryczy i spojrzał gdzieś przeze mnie.

– Troy?

– Źle się czuję.

– Co cię boli?

– Wszystko.

– Doktor Bronsky zbadał cię i powiedział, że nic ci nie jest.

– Jestem chory.

– Możliwe, że ostatni raz do ciebie przychodzę. Chcesz mi coś powiedzieć?

– Co pan powie sędziemu?

– Opiszę mu tylko, o czym rozmawialiśmy.

Uśmiechnął się.

– To cię cieszy.

– Dobry z pana człowiek, proszę pana. Lubi pan pomagać innym.

Wstałem i wziąłem do ręki Biblię. Drobne, szare smugi znaczyły miejsce, w którym Troy przestał czytać. *Genesis*, rozdział czwarty. Kain i Abel.

– Niezła historia – powiedziałem.

– Tak, proszę pana.

– Co o tym sądzisz?

– O czym?

– O tym, że Kain zabił brata i został przeklęty.

– Zasłużył na to.

– Kain?

– Tak, proszę pana.

– Dlaczego?

– Popęłnił grzech.

– Grzech morderstwa.

– Właśnie – powiedział Troy, zabierając mi Biblię i delikatnie ją zamykając. – Jak Rand. Pójdzie do piekła.

Spotkałem się z dwojgiem obrońców z urzędu w sali konferencyjnej w areszcie.

Lauritz Montez już tam był, kiedy przyszedłem; drobny mężczyzna około trzydziestki, ciemne włosy ściągnięte w kucyk. Ekstrawaganckie, nawoskowane wąsy zwisały nad krótką, hiszpańską bródką. Miał na sobie klasyczny, szary, trzyczęściowy tweedowy garnitur, do tego cienką niebieską muszkę, właściwie sznurowadło.

Sydney Weider wpadła do środka kilka sekund później. Była starsza od Monteza – po czterdziestce – szczupła i wysoka, miała bujne blond włosy i duże jasne oczy. Na jej szyty na miarę czarny kostium, torebkę z krokodylów skóry i duże, perłowe kolczyki nie starczyłoby prokuratorskiej pensji. Może wyjaśnieniem tego był brylant na jej palcu. A może seksistowskie przypuszczenie, a dorobiła się na giełdzie.

Usiadła i przekręciła pierścionek brylantem do wnętrza dłoni. Włożyła cienkie okulary do czytania w złotej oprawce.

– No to jesteśmy – powiedziała. Jej słowa zbiły się w jeden ciąg. Bardzo się spieszyła z wyrażaniem swoich myśli.

Oboje prosili o spotkanie indywidualne. Powiedziałem, że zaczniemy wszyscy razem i zobaczymy, jak nam pójdzie.

Nic nie musiało nam iść. Pracowali nade mną indywidualnie, ale cele mieli takie same: podkreślić młodość i brak przestępczych doświadczeń swoich klientów, wykazać złe warunki, w jakich ich wychowywano, uświadomić mi, że wszystko inne niż sąd dla nieletnich byłoby okrutne i niehumanitarne.

Pod koniec pierwszej godziny działali już jak zespół. Po rozmowach z Troyem przeczuwałem, że Weider będzie wszystko zwać na Randa – ale to już nie moja sprawa.

Kiedy się rozgrzała, mówiła jeszcze szybciej, zdominowała Monteza. Kiedy zakończył długą mowę o niszczycielskim wpływie gier wideo i państwowych osiedli, zatrzasnęła swój notes, zdjęła okulary i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Co będzie stwierdzał pana raport? – Seria z karabinu maszynowego.

– Jeszcze go nie napisałem.

– Musiał pan dojść do jakichś wniosków.

– Przedstawię je sędziemu Laskinowi. On prześle państwu kopie.

– A więc tak to ma wyglądać – mruknęła.

– Tak zarządził sędzia Laskin, więc tak to wyglądać musi.

Weider zebrała papiery i zaczęła się bawić pierścionkiem.

– Niech pan pomyśli o tym, doktorze Delaware: psychologia to cikliwa, miękka nauka, a psychologowi na sali rozpraw bardzo łatwo wykazać niekompetencję.

– Na pewno.

– Więcej niż niekompetencję. Wprost niedorzeczność.

– Jestem pewien, że niektórzy na to zasługują.

Wyprostowała się, spróbowała pokonać mnie wzrokiem, skrzywiła się z obrzydzeniem, kiedy jej nie wyszło.

– Doktorze, nie może pan poważnie myśleć o wysłaniu tych dzieci pod sąd dla dorosłych.

– To nie będzie zależało ode mnie...

– Sędzia Laskin polega na pańskiej fachowej ocenie, więc tak naprawdę to będzie zależało właśnie od pana, doktorze.

– Z tego, co zauważyłem, sędzia Laskin to facet dość niezależnie myślący.

– Wszystkim nam chodzi o zwykłą sprawiedliwość, doktorze – wtrącił się Montez. – Dajmy tym chłopakom szansę się zrehabilitować.

– Doktorze – powiedziała Weider – przyprowadzimy własnych ekspertów.

– Pan Montez zatrudnił już profesora Davidsona ze Stanford – powiedziałem.

Weider odwróciła się i zmierzyła wzrokiem swojego kolegę. On podkreślił węża i przytaknął.

– Chwilę trwało, zanim udało się zatwierdzić jego stawki, ale pracuje już dla nas.

Weider posłała mu chłodny uśmiech.

– Co za zbieg okoliczności, Lauritz. Dzwoniłam w zeszłym tygodniu do Davidsona. Jego sekretarka powiedziała mi, że ma już zobowiązania.

– Jeśli chcesz go do swojego chłopaka, może jakoś się dogadamy – powiedział Montez.

– Nie trzeba – odparła lekko Weider. – Mam LaMarię z Cal.

– Czy któreś z państwa wyrobiło sobie już jakiś pogląd, dlaczego państwa klienci zamordowali Kristal Malley? – spytałem.

Odwrócili się oboje w moją stronę.

– O co panu chodzi, doktorze? – spytała Weider.

– Jaki wasi klienci mieli według was motyw.

– Czy motyw to nie pańska działka, doktorze?

– Myślałem, że wasza też.

Weider wstała, pokręciła głową, spojrzała na mnie z góry.

– Naprawdę pan sądzi, że wyłożę tu przed panem całą moją strategię?

– Nie interesuje mnie strategia – odparłem. – Tylko własne przemyślenia.

– Doktorze, nie mam żadnych przemyśleń. I o to mi właśnie chodzi, kiedy mówię o pana raporcie, bo potrzeba tu świeżej perspektywy. Mam nadzieję, że jest pan gotów ją przedstawić.

Wyszła. Montez odprowadził ją spojrzeniem.

– Do zobaczenia w sądzie, doktorze.

Wyszedł chwilę później; unikał mojego wzroku. Zostałem sam. Zastanawiałem się, co robić.

Kiedy wszedłem na więzienny parking, Sydney Weider zawołała mnie po nazwisku. Stała obok lodowo-błękitnego bmw kabrioletu, uderzając torebką z krokodylowej skóry o długie smukłe udo. Po jej lewej stronie stały dwie kobiety i mężczyzna.

Weider pomachała do mnie jak do starego znajomego. Podeszedłem. Uśmiechnęła się, jakbyśmy właśnie spędzili ze sobą przyjemne popołudnie. Przyciągnęła do siebie jedną z kobiet.

– Doktorze, to mama Troya, Jane.

Jane Hannabee była kilkanaście centymetrów niższa od prawniczki, a w jej uścisku zdawała się jeszcze mniejsza. Według moich danych miała dwadzieścia osiem lat. Jej ziemista twarz pocięta była siecią cieniutkich zmarszczek. Miała na sobie dzianinowy top, przedzielony na pół szerokim czerwonym paskiem; wyglądał na nowiutki. Tak samo luźne dżinsy i białe adidas. Spod golfa wyzierał tatuaż – wąż, trójkątny łeb kończył się tuż pod jej uchem. Wyszczерzone kły – rodzaj żmii.

Była chuda, miała cienkie wargi, cienki nos, rzadkie, mysie włosy zwisające za ramiona. W każdym uchu po trzy dziurki, ale nie nosiła kolczyków. Małeńka czarna kropka na lewym nozdrzu zdradzała, że to miejsce też było kiedyś przekłuwane. Zapadnięte usta świadczyły o brakach w uzębieniu. Oczy – niebieskie, zaczerwienione.

Spękany makijaż nie skrywał dobrze siniaka na lewym policzku.

Policyjne dane stwierdzały, że Troy ją bił.



Wyglądała starzej od Weider.

– Miło mi panią poznać – powiedziałem.

Jane Hannabee przygryzła wargę, spuściła wzrok na poplamiony olejem beton parkingu i podała mi zimne, suche palce.

– Doktorze – powiedziała Sydney Weider – na pewno chciałby pan porozmawiać z panną Hannabee.

– Oczywiście. Umówmy się.

– Może teraz?

Przejmowała kontrolę.

Uśmiechnąłem się do niej, ona odpowiedziała uśmiechem.

– Ma pan przecież czas dla matki Troya, doktorze.

– Oczywiście.

Weider odwróciła się do pozostałej dwójki.

– Dziękuję za przywiezienie jej.

– Do usług – powiedział mężczyzna. Pod trzydziestkę, mocno zbudowany, miał gęste, faliste włosy, które skojarzyły mi się z przejrzałym karczochem. Szeroka, sympatyczna twarz, umięśnione barki, kark zapaśnika. Miał na sobie sztruksowy garnitur koloru masła orzechowego, czarne buty, granatową koszulę z wyłożonym kołnierzykiem i jasnoniebieski krawat.

Małeńskie obrączka z białego złota na jego palcu wysadzana była maleńkimi, niebieskimi kamykami i pasowała do tej na palcu stojącej kobiety obok niego.

Kobieta była mniej więcej w jego wieku, lekko przy kości, i wyjątkowo ładna; miała długie, tapirowane włosy, ufarbowane prawie na biało i z boków zaczesane do tyłu. Pod jasnoróżowym, rozpinanym swetrem – białą, lnianą sukienkę. Na szyi nosiła cienki, srebrny łańcuszek z krzyżykiem. Skóra – opalona na brąz, a cera nieskazitelnie gładka.

Mężczyzna podszedł bliżej i zasłonił sobą jej twarz.

– Drew Daney, proszę pana. – Grube palce, ale lekki uścisk dłoni.

– Doktorze, to ludzie, którzy popierają Troya – powiedziała Sydney Weider.

Zabrzmiało to tak, jakby chłopak ubiegał się o jakiś urząd. Może i nie była to zbyt wydumana analogia – naprawdę czekała nas kampania.

– To moja żona, Cherish – powiedział Drew Daney.

– Nic nie widzę, skarbie – zaprotestowała blondynka.

Drew Daney się cofnął; zauważyłem, że Cherish się uśmiechnęła.

– Ludzie, którzy popierają Troya – powtórzyłem.

– Doradcy duchowi – uzupełniła Cherish.

– Pastorstwo?

– Jeszcze nie powiedział Drew. – Studiujemy teologię, w Fulton Seminary. Doktorze, bardzo dziękujemy, że zajął się pan Troyem. Ten chłopak potrzebuje wszelkiej pomocy, jaką można mu zapewnić.

– Zajmujecie się też państwo Randem Duchayem? – spytałem.

– Zajmiemy się, jeśli zostaniemy o to poproszeni. Wszędzie, gdzie jesteśmy potrzebni...

– Chodźmy już przerwała Sydney Weider i ścisnęła mocniej Jane Hannabee.

Hannabee skrzywiła się i zaczęła dygotać. Matczyzna troska czy narkotykowy głód? Skarciłem się w duchu za tak niepoprawne myślenie. Niech kobieta ma szansę.

– Lepiej, jeżeli pójdziemy już do Troya – powiedziała Cherish Daney.

Jej mąż spojrział na swój sportowy zegarek.

– O rany, rzeczywiście.

Cherish podeszła do Jane Hannabee, jakby chciała ją objąć, ale zmieniła zdanie, machnęła ręką i powiedziała:

– Niech cię Bóg błogosławi, Jane. Bądź zdrowa.

Hannabee zwiesiła głowę.

– Miło było pana poznać, doktorze – powiedział Drew. Powodzenia.

Oboje odeszli w stronę elektrycznie otwieranej bramy parkingu, szybkim krokiem, ramię w ramię.

Sydney Weider obserwowała ich obojętnie przez kilka sekund, potem odwróciła się do mnie.

– Trudno będzie załatwić salę przesłuchań w areszcie. Może porozmawiacie w moim aucie?

Jane Hannabee usiadła za kierownicą bmw Weider; wyglądała tak, jakby porwali ją kosmici. Ja usiadłem na miejscu pasażera. Sydney Weider kilka metrów dalej chodziła w tę i z powrotem, paliła papierosa i rozmawiała przez komórkę.

– Chce mi pani coś powiedzieć, panno Hannabee?

Nie odpowiedziała.

– Proszę pani?

– Niech im pan nie da zabić Troya – powiedziała, wpatrzona w deskę rozdzielczą.

Monotonny głos, lekko nosowy. Prośba, ale bez żaru.

– Im – powtórzyłem.

Podrapała się w rękę przez sweter, podwinęła rękaw, zaczęła drapać gołą obwisłą skórę. Na przedramieniu też miała tatuaże, prymitywne, ciemne, gotyckie. Weider prawdopodobnie kupiła jej nowe ubranie, wystroiła ją, chcąc uzyskać jak najlepszy kamuflaż.

– W więzieniu – powiedziała Hannabee. – Kiedy go zamkną, będzie miał złą sławę. Fajnie będzie mu coś zrobić.

– Jaką złą sławę?

– Mordercy dziecka. Chociaż on tego nie zrobił. Czarnuchy i Meksykanie powiedzą, że fajnie jest mu dołożyć.

– Troy nie zabił Kristal – powiedziałem – ale przez jego opinię będzie mu groziło w więzieniu niebezpieczeństwo.

Nie odpowiedziała.

– Kto zabił Kristal? – spytałem.

– Troy to moje dziecko. – Otworzyła usta, jakby potrzebowała więcej powietrza. Za spierzchniętymi wargami tkwiły trzy zęby, brązowe i pokrzywione. Uświadomiłem sobie, że ona się uśmiecha.

– Zrobiłam, co mogłam – powiedziała. – Może pan w to wierzyć albo nie.

Kiwnąłem głową.

– Nie wierzy mi pan.

– Na pewno wychowywanie syna samemu było trudne.

– Innych się pozbyłam.

– Innych?

– Zachodziłam cztery razy.

– Aborcje?

– Trzy. Ostatnia mnie uszkodziła.

– Troya pani zatrzymała.

– Uważałam, że zasłużyłam.

– Zasłużyła pani na dziecko.  
– Tak. To prawo każdej kobiety.  
– Mieć dziecko.  
– Pan w to nie wierzy?  
– Chciała pani mieć Troya – powiedziałem. – Zrobiła pani, co mogła, żeby go wychować.  
– Nie wierzy mi pan. Pośle go pan do więzienia.  
– Napiszę raport o stanie psychicznym Troya, o tym, co się dzieje w jego głowie, i dam go sędziemu. A więc wszystko, co pani o nim powie, może mu pomóc.

– Pan mówi, że to wariat?  
– Nie. Moim zdaniem ani trochę nie jest wariatem.  
Odpowiedziałem tak bezpośrednio, że się zmieszala.  
– Nie jest – powtórzyła z naciskiem, jakbyśmy dalej się spierali. – Jest bardzo mądry. Zawsze był.

– Jest bardzo bystry.  
– Tak. Chcę, żeby poszedł na studia.  
Odwróciła się i znów się uśmiechnęła delikatnie, zamkniętymi ustami. Łuk tego uśmiechu pasował do zwoju węża na jej szyi – efekt był niepokojący.

– Pomyślałam, że mógłby być lekarzem albo kimś takim, żeby zostać bogaczem.  
Troy mówił o zdobyciu fortuny. Zupełnie spokojnie. Jakby postawione mu zarzuty były jedynie drobną niedogodnością na drodze do bogactwa. Od złudzeń jego matki zapiekły mnie oczy.

Położyła dłonie na kierownicy bmw. Nacisnęła pedał gazu.  
– To jest coś – mruknęła.  
– Samochód?  
Spojrzała na Weider przez przednią szybę.  
– Myśli pan, że ona pomoże Troyowi?  
– Wydaje się dobrym prawnikiem.  
– Nigdy nie odpowiada pan na pytania, co?  
– Pomówmy o Troyu. Chce pani, żeby poszedł na studia.  
– Teraz nigdzie nie pójdzie. Pan go wysyła do więzienia.  
– Panno Hannabee, ja nie mogę go nigdzie wysłać...  
– Sędzia go nienawidzi.  
– Dlaczego pani tak uważa?  
Wyciągnęła rękę i dotknęła mojej. Pogłaskała.  
– Znam facetów. Umieją tylko nienawidzić i skakać.  
– Skakać?  
– Na kobiety – wyjaśniła, przesuwając rękę w stronę mojego ramienia. Dotknęła mojego policzka. Odsunąłem jej dłoń.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo.  
– Jeśli mężczyzna czegoś potrzebuje, ja to wiem.  
Cofnąłem się aż do drzwi.  
– Chce mi pani powiedzieć coś o Troyu?  
– Znam facetów – powtórzyła.  
Podchwyciłem jej spojrzenie i przytrzymałem je. Dotknęła siniaka na policzku. Zadrżały jej usta.

– Skąd pani to ma? – spytałem.  
– Pan myśli, że jestem brzydka.

– Nie, ale chciałbym wiedzieć...  
– Kiedyś byłam niezła. Miałam cycki jak balony, tańczyłam. – Przycisnęła dłonie do piersi.

– Panno Hannabee...

– Nie musi pan tak do mnie mówić. Panno. Żadna ze mnie panna.

– Jane...

Odwróciła się gwałtownie, znów złapała mnie za rękę. Szponiaste palce wbiły się w wełnę rękawa. Tym razem bez uwodzicielstwa. Rozpacz; zimny strach rozjaśnił jej oczy i dostrzegłem w nich dziewczynę, którą kiedyś była.

– Proszę – powiedziała. – Troy nie zabił żadnego dziecka. Ten niedorozwój to zrobił. Wszyscy wiedzą.

– Wszyscy?

– Tamten jest wielki, Troy mały. Troy to mój mały mężczyzna. To nie jego wina, że się zadawał z tym niedorozwojem.

– To Rand jest winien – stwierdziłem.

Jeszcze mocniej ścisnęła moją rękę.

– Właśnie.

– Czy Troy powiedział pani, że to Rand zabił dziecko?

– Tak.

Zerknąłem na jej palce. Zakaszłała, pociągnęła nosem i puściła.

– Poprawi mu się – powiedziała.

– Komu?

– Troyowi. Pan mu da szansę, jemu się poprawi i pójdzie na studia.

– Uważa pani, że jest chory. Wbiła we mnie wzrok.

– Każdy jest chory. Życie to choroba. Musimy przebaczać. Jak Jezus.

Nic na to nie odpowiedziałem.

– Rozumie pan? – spytała. – Przebaczenie?

– To cudowna zdolność. Umieć przebaczać.

– Ja przebaczam wszystkim.

– Wszystkim, którzy panią krzywdzą?

– Jasne, czemu nie? Kogo obchodzi, co było kiedyś? Tak samo Troy, to co zrobił, było-minęło. A poza tym to przecież nie on to zrobił. Tylko ten niedorozwój.

Odwróciła się w fotelu, uderzyła biodrem o kierownicę i zadrżała.

– Pomoże mu pan?

– Zrobię, co będę mógł, żeby poznać prawdę.

– Powinien pan. – Nachyliła się bliżej. Pachniała dziwnie: zastarzałym praniem i mdlącymi perfumami. – Mógłby pan wyglądać jak on.

– Jak kto?

– Jezus. – Uśmiechnęła się, oblizała wargi. Tak, zdecydowanie. Jeszcze broda, trochę więcej włosów i gotowe. Byłby z pana całkiem niezły Jezus.

Sekretarka Toma Laskina zadzwoniła do mnie dwa dni później, żeby zapytać o raport. Powiedziałem jej, że potrzebuję jeszcze tygodnia, przypadkowo wybierając termin, bo sam nie wiedziałem, po co mi to przedłużenie.

Poświęciłem sprawie kolejnych dziesięć dni, rozmawiając z pracownikami opieki społecznej i urzędnikami przyznającymi mieszkania w 415 City. Jeździłem tam i rozmawiałem z sąsiadami, z każdym, kto twierdził, że może mi coś powiedzieć. Margaret Sieff nigdy nie było w domu. Jane Hannabee wyprowadziła się i nikt nie wiedział dokąd.

Odwiedziłem szkołę chłopców. Wszyscy – dyrektorka, pedagog szkolny, nauczyciele – bardzo słabo i niewyraźnie kojarzyli Troya i Randa. Obaj chłopcy po raz ostatni dostali oceny rok temu. Rand trójki z minusem i dwie dwójki, co było społecznym awansem; moje testy wykazały, że jest niepiśmienny, a umiejętności matematyczne ma na poziomie drugiej klasy. Troy miał czwórki i trójki. Oceniano go jako „inteligentnego, ale krnąbrnego”.

Dla pracowników administracji osiedla młodzi zabójcy byli jedynie nazwiskami na formularzach. Wszyscy mieszkańcy zgadzali się, że przed swoim aresztowaniem Rand Duchay był postrzegany jako nieszkodliwy matolek. Każdy, z kim rozmawiałem, był przekonany, że to Troy Turner sprowadził go na złą drogę.

Opinie na temat Troya też były jednomyślne. Uważano go za cwane, podłego, nikczemnego. Bano się go mimo jego drobnej postury. Kilku mieszkańców twierdziło, że straszyl ich dzieci, ale szczegóły podawali niejasne. Młoda, czarnoskóra i zdenerwowana kobieta zaczepiła mnie, kiedy wychodziłem z bloku.

- Ten chłopak robił paskudne rzeczy mojej córce.
- Ile lat ma pani córka?
- W przyszłym miesiącu kończy sześć.
- Co się stało?

Kobieta pokręciła głową i uciekła, a ja za nią nie pobiegłem.

Poprosiłem o ponowną rozmowę z chłopcami, ale nie dopuścili do tego Montez i Weider.

– Są nieugięci – poinformował mnie Tom Laskin. – Posunęli się do tego, że złożyli wnioski o niedopuszczanie cię do chłopców.

- W czym problem? – spytałem.
- Moim zdaniem w Weider. To maniaczka.
- Fakt, mówi szybko.

– U niej wszystko kończy się konfliktem, nawet jeśli nie ma do niego powodu. Powiedziała, że spędziła aż za dużo czasu z jej klientem, że nie chce, żebyś namieszał mu w głowie, dopóki ona nie przyprowdzi własnego eksperta. Montez to pantoflarz, idzie po linii najmniejszego oporu. Mógłbym to pewnie przeforsować, Alex, ale jeśli mam mieć kłopoty, wolałbym, żeby to nie było przez jakieś drobiazgi. Naprawdę potrzebujesz więcej czasu?

– Dlaczego miałbym namieszać w głowach ich klientom?

– Nie bierz tego do siebie – odparł. – To prawnicze bzdury. Właściwie chodzi im o to, że bierzesz stronę prokuratury.

– Nie zamieniłem nawet słowa z prokuratorem.

– To takie ich gierki. Ustawiają okoliczności tak, że jeśli powiesz coś, co się im nie spodoba, będą mogli to uznać za niewiarygodne.

- Rozumiem.
- Nie martw się, obronę cię, gdy będziesz zeznawał. A więc kiedy mogę się spodziewać kompilacji twoich psychologicznych mądrości na swoim biurku?
- Niedługo.
- „Niedługo” brzmi lepiej niż przeciwna ewentualność.

Usiadłem, żeby napisać raport, zaczynając od najłatwiejszego – miejsca zbrodni, informacji o środowisku społecznym chłopców, wyników testów. Nawet to jednak była męka i nie zrobiłem za wiele, kiedy zadzwonił Lauritz Montez.

- Co słyhać, doktorze?
- Zmienił pan zdanie co do mojej rozmowy z Randem? – spytałem.
- Być może – odparł. – Mój klient współpracował w pełni za pierwszym razem, tak? Nie zapomni pan tego podkreślić, prawda?
- Zrobię, co w mojej mocy, żeby podejść do sprawy bezstronnie.
- Proszę posłuchać, ten wniosek to był pomysł Weider. Wie pan, jaka ona jest.
- Szczerze mówiąc, nie wiem.
- Nieważne. Pamięta pan, że Rand w pełni współpracował.
- Pamiętam.
- To dobrze. – Głos miał stłumiony. – Chłopak jest nieźle przybity.
- To mnie nie zaskakuje.
- Biedny dzieciak.
- Nie odpowiedziałem.
- Dzwonię dlatego, doktorze Delaware, że Weider właśnie wystąpiła o rozprawę rozłączną. Rozumie pan, co to znaczy?
- Chce oddzielić obronę Troya od obrony Randa.
- Chce mnie wydymać i wydymać Randa. Myślałem, że mamy ten sam cel, ale ona zrobiła mnie w jajo, zaczęła zwałać wszystko na mojego klienta, żeby jej mały socjopata został łagodniej potraktowany. Pomyślałem, że powinienem pana ostrzec.
- Dzięki.
- Mówię poważnie powiedział. – Prawda jest oczywista.
- Jaka to prawda?
- Właściwie dobroduszny, głupi jak but dzieciak pokumał się z zimnym, okrutnym mordercą. Wiem, że był pan w 415 City, wiem, że wszyscy to panu powiedzieli.
- Co mogę dla pana zrobić, panie Montez? – spytałem.
- Szanuję pana fachowość i chcę z panem rozmawiać szczerze. Niech się pan nie gniewa za ten wniosek o odsunięcie pana od chłopców, dobrze? Jeśli rzeczywiście chce pan porozmawiać z Randem, proszę bardzo. Chłopak ma wyrzuty sumienia. One go zżerają.
- Nie odpowiedziałem.
- A więc, zamierza go pan jeszcze odwiedzić? – spytał.
- Zadzwonię do pana. Nie zadzwoniłem.
- On też się już nie odezwał.

Trzeciego dnia pisania raportu zadzwoniłem do Toma Laskina.

- Nie idzie za dobrze.
- Co nie idzie?
- Na początku uprzedzałem cię, że być może nie będę w stanie przedstawić sensownych rekomendacji, i to się właśnie stało. Jeśli chcesz to potrącić ze stawki, proszę bardzo.

– W czym problem?

Nie potrafię podać ci jasnych informacji, które pomogłyby ci podjąć decyzję. Osobiście skłaniałbym się do traktowania ich jak nieletnich, bo to dzieci i nie mają świadomości dorosłych. Nie jestem jednak pewien, czy mógłbym spać spokojnie, gdybym był odpowiedzialny za taką decyzję.

– Dlaczego nie?

– Dopuszcili się strasznego czynu i wątpię, czy wysłanie ich na kilka lat do poprawczaka coś by pomogło.

– Wciąż są niebezpieczni? – spytał sędzia.

– Czy znów zrobiliby coś tak przerażającego? Rand Duchay na własną rękę raczej nie. Gdyby jednak dostał się pod wpływ kogoś dominującego i skłonnego do przemocy, to możliwe.

– Ma wyrzuty sumienia?

– Chyba tak – przyznałem. – Czy myślał jak dorosły w chwili popełniania morderstwa? Nie. Czy to się zmieni za pięć lat, czy nawet dziesięć? Prawdopodobnie nie, zważywszy na jego poziom intelektualny.

– Czyli?

Podąłem mu wyniki testów.

Zagwizdał.

– A Turner?

– Jest inteligentniejszy, o wiele inteligentniejszy. Potrafi kalkulować i planować. Sydney Weider będzie twierdziła, że to Rand Duchay był inicjatorem zbrodni, a jej klient niewinnym obserwatorem. Dowody rzeczowe temu przeczą, ale Rand przyznał się, że uderzył Kristal, a jego postura może świadczyć przeciwko niemu, jeśli się go lepiej nie zna.

– Ale wróćmy do wyrzutów sumienia – powiedział Laskin. – Turner jakież ma?

– Ciągłe mówi o grzechu, twierdzi, że czyta Biblię, dwójka studentów teologii zapewnia mu moralne wsparcie. Ale wątpię, czy ma jakież poważne wyrzuty. Twierdzi, że nawet nie dotknął Kristal, mimo że za jego paznokciami znaleziono jej skórę.

– Weider przysłała mi pełną żaru prośbę o rozdzielenie obrony. Wygląda na to, że będzie próbować linii obrony TTD.

To Ten Drugi.

– Zgodzisz się? – spytałem.

– Nie, jeśli nie będę musiał. Jak inteligentny jest Turner?

– Sporo ponad przeciętną. – Podąłem mu też ten wynik.

– Nie można tu mówić o ograniczonej zdolności logicznego myślenia – powiedział Laskin. – Dojrzałe pojmowanie?

– Na poziomie intelektualnym potrafi rozumować. Ale ma trzynaście lat, a to ciekawy wiek. Istnieją dowody, że mózgi osób dorastających przechodzą w wieku czternastu, piętnastu lat zmiany prowadzące do pełniejszej zdolności rozumowania. Abstrahując od tego, wiesz, jakie są nastolatki. Racjonalnego myślenia człowiek uczy się latami.

– Czasami bez skutku – stwierdził sędzia. – A więc skłaniasz się ku sądowi dla nieletnich, ale nie chcesz mi tego dać na piśmie z powodu ciężaru zbrodni.

– Nie sądzę, żeby to była kwestia psychologiczna – powiedziałem.

– A więc co to jest?

– Kwestia sądowa. Jakie rozwiązanie w największym stopniu zadośćuczyniłoby sprawiedliwości.

– Czyli to mój problem.

Milczałem.

– Wiem, że nastolatki są głupie – powiedział Laskin. – Problem w tym, że jeśli będziemy nastoletnich kryminalistów traktować ulgowo, bardzo wielu naprawdę niebezpiecznych bandziorów wykpi się tanim kosztem. A nic w moim doświadczeniu nie może się równać z okrucieństwem tej zbrodni. Naprawdę paskudnie załatwili to biedne dziecko.

– Wiem. Ale widziałeś Turnera. Wygląda na dwanaście lat. Próbuję go sobie wyobrazić w Quentin czy podobnym miejscu, i to nie jest przyjemna myśl.

– Jest mały i inteligentny, ale zamordował dwuletnie dziecko, Alex. Dlaczego, u diabła, inteligentny dzieciak miałby robić coś takiego?

– To kolejne pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć. Iloraz inteligencji i rozwój moralny do zupełnie różne sprawy. Jak powiedział Walker Percy, „można dostawać same piątki, a mimo to oblać egzamin z życia”.

– Kto to?

– Pisarz i psychiatra.

– Ciekawe połączenie – mruknął Laskin. – A więc twierdzisz, że mam tu głupiego dzieciaka i inteligentnego małego socjopatę, którzy zupełnie przypadkiem zamordowali dwulatkę. Czy któryś z nich zrobił kiedyś coś jeszcze?

– Rand nie. Wszyscy, którzy znają Troya, opisują go jako przebiegłego, część mieszkańców osiedla nazwała go okrutnym. Straszyl młodsze dzieci. Podejrzewa się go także o zabijanie bezdomnych psów i kotów, ale nie znalazłem żadnych faktów, które by to potwierdzały, więc być może fabryka plotek pracuje w nadgodzinach z powodu morderstwa. Jedna z kobiet sugerowała, że molestował jej córkę, ale nie chciała ze mną o tym rozmawiać. Zważywszy na jego wychowanie, nie byłbym wstrząśnięty, gdyby on sam był molestowany.

Opowiedziałem mu historię obu chłopców w największym skrócie, wspominając o wypadku, jaki Rand miał jako niemowlę.

– Gdybyś szukał czynników łagodzących, jest ich mnóstwo.

– Więźniowie biologii?

– I socjologii, i zwykłego pecha. Żaden z nich nie miał prawdziwego domu, Tom.

– Co nie usprawiedliwia tego, co zrobili z tą biedną dziewczynką.

– W żadnym razie.

– Czy trafiłeś na jakiś ewentualny motyw? – spytał. – Bo jak dotąd nikt niczego nie zaproponował, nawet policja.

– Z tego, co się dowiedziałem, porwanie było efektem impulsu. Obaj szli do parku zapalić i napić się piwa, kiedy zobaczyli, że Kristal błąka się bez opieki. Pomyśleli, że byłoby śmiesznie patrzeć, jak pali i pije. Zrobiło się jej niedobrze, zaczęła marudzić, zwymiotowała i sprawy wymknęły się spod kontroli. Nic nie wskazuje na to, żeby ją śledzili.

– Biedne dziecko miało pecha – powiedział sędzia. – Dobrze, a więc mamy do czynienia ze zwyczajną zbrodnią bez sensu. Miałem nadzieję na coś trochę bardziej... psychologicznie odkrywczego. Ale trudno, od początku uprzedzałeś, że może być różnie. Daruj sobie te bzdury o obcinaniu stawki. Kiedy państwo chce ci dać pieniądze, trzeba brać... Nie możesz mi powiedzieć zupełnie nic o ich skłonnościach?

– Co się stanie, jeśli uznasz ich za dorosłych?

– Na początku dostaną długie wyroki i trafią do Quentin albo innego zakładu tego rodzaju. Jeśli potraktuję ich jak nieletnich, pójdą do zakładu poprawczego California Youth Authority, który teraz nie różni się specjalnie od więzienia dla dorosłych, no może tym, że więźniowie są niżsi. Z CYA wyjdą najpóźniej w wieku dwudziestu pięciu lat.

– Czyli zostaną zwolnieni w szczytowym okresie przestępczych popędów.



– Właśnie – powiedział Laskin. – W więzieniu dla dużych chłopców byliby narażeni na Czarną Armię Partyzancką albo Nuestra Familia, prawdopodobnie schroniliby się w Bractwie Aryjskim. Stworzylibyśmy więc dwóch małych faszystów. Ale większość placówek CYA też jest opanowana przez gangi.

– Dlaczego mówisz, że dostaną długie wyroki „na początku”?

– Bo jeśli uznam ich za dorosłych, jest spora szansa, że jakiś sąd wyższej instancji obniży je i przeniesie ich do placówki o mniejszym rygorze. Co oznacza, że być może ostatecznie będą siedzieli krócej niż w poprawczaku. Muszę myśleć o rodzinie ofiary. Jak powiedziałeś, najlepsze, na co możemy mieć nadzieję, to to, że przybliżymy się do sprawiedliwości, a Bóg jeden wie, że w pełni jej nie osiągniemy. Ale musi być jakieś wyjście, które wyrządzi najmniej zła.

– Nie widziałem rodziców w mediach.

– Nie ujawniają się, ale ojciec dzwonił kilka razy do prokuratury, domagając się sprawiedliwości. Nikt nie może mu dać tego, czego on naprawdę chce: dostać swoje dziecko z powrotem. A dwójka innych dzieci zrujnowała sobie życie. Dla wszystkich, których dotyczy, to paskudna sytuacja.

– Mało powiedziane.

– Alex, oni są tak cholernie młodzi. Co do diabła zmieniło ich w takie potwory?

– Chciałbym umieć ci odpowiedzieć. Mamy tu główne czynniki: złe środowisko, może zła biologia. Ale większość dzieci wystawiona na ich działanie nie morduje niemowlaków.

– Nie, nie morduje – przytaknął Laskin. – Dobrze, przyślij mi cokolwiek, co będziesz mógł napisać. A ja uruchomię procedurę wypłaty twojego wynagrodzenia.

Ostatecznie rozwiązanie nadeszło drogą, którą nadchodzi zawsze, kiedy tylko sprawa znika z oka opinii publicznej: jako wynik negocjacji i poszukiwania najmniejszego zła.

Pięć miesięcy po aresztowaniu obaj chłopcy – co gazety nazwały „zaskakującym posunięciem” – przyznali się do winy i zostali skazani na pobyt w zakładzie poprawczym California Youth Authority do czasu osiągnięcia wieku dwudziestu pięciu lat albo do chwili, kiedy będzie można udowodnić, że skutecznie się zrehabilitowali.

Bez procesu, bez szumu w mediach. Nie musiałem występować jako biegły świadek, a mój czek z sądu przyszedł na czas.

– Nie rozmawiałem o tym z nikim oprócz Mila, udawałem, że śpiam dobrze.

Troya Turnera wysłano do obozu N.A. Chaderjiana w Stockton, a Rand Duchay trafił do Zakładu Poprawczego Dla Nieletnich Hermana G. Starka w Chino. CYA obiecała zapewnić obu chłopcom opiekę, a Randowi specjalny tryb kształcenia.

W dniu ogłoszenia wyroku ekipa telewizyjna wypatrzyła rodziców Kristal Malley wychodzących z gmachu sądu, i zapytała ich, co sądzą o takim rozwiązaniu.

Lara Malley, drobna, niska brunetka, szlochała. Jej mąż Barnett, wysoki, kościsty mężczyzna koło trzydziestki, popatrzył tylko spode łba.

– Bez komentarza – warknął.

Kamera pokazała jego twarz w zbliżeniu, bo w kamerze gniew wychodzi lepiej niż rozpacz. Malley miał rzadkie, piaskowego koloru włosy, długie baki, ostre rysy twarzy i wystające kości policzkowe. Suche, nieruchome oczy snajpera.

– Czy pana zdaniem – nie ustępował reporter – wiek oskarżonych usprawiedliwia taki wyrok?

Barnett Malley zacisnął zęby i machnął ręką. Dźwiękowiec wychwycił odgłosy szamotaniny. Reporter się cofnął; Malley stał w miejscu. Kamera zrobiła zbliżenie na jego pięść, znieruchomiałą w powietrzu.

Lara Malley załkała. Barnett patrzył jeszcze przez chwilę w oko kamery, a potem złapał żonę za ramię i popchnął, wychodząc z nią poza zasięg obiektywu.

Tom Laskin zadzwonił do mnie sześć tygodni później. Właśnie minęło południe, a ja skończyłem sesję z ośmioletnim chłopcem, który poparzył sobie twarz, bawiąc się chemikaliami basenowymi. Jego rodzice pozwali producenta do sądu, a jakiś „specjalista” od „medycyny naturalnej” stwierdził, że dziecko zachoruje na raka, kiedy dorośnie. Chłopiec usłyszał to, dostał traumy, a moim zadaniem było go zdeprogramować.

– Cześć, Tom.

– Możemy się spotkać, Alex?

– W jakiej sprawie?

– Wolałbym porozmawiać osobiście. Przyjdę do ciebie do gabinetu.

– Jasne, kiedy?

– Kończę za godzinę. Gdzie pracujesz?

Przyjechał do mnie do domu, ubrany w marynarkę z wielbłądziej wełny, brązowe spodnie, białą koszulę i czerwony krawat, wymięty i zwisający z rozpiętego kołnierzyka.

Rozmawialiśmy przez telefon, ale nigdy nie spotykaliśmy się osobiście. Widziałem jego zdjęcia w prasowych doniesieniach o sprawie Malleyów – pięćdziesiąt parę lat, siwe włosy, staroświecka fryzura, kwadratowa twarz, okulary w stalowej oprawce, prokuratorskie, czujne oczy – i stworzyłem sobie w wyobraźni obraz potężnego, imponującego mężczyzny.

Okazał się niski – jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu – tęższy i starszy; włosy miał białe, policzki obwisłe, niebieskawe worki pod oczami. Nosił marynarkę, dobrze skrojoną, ale sfatygowaną. Jego butom przydałoby się pastowanie.

– Ładny dom – powiedział, siadając na skraju fotela w salonie, który mu wskazałem. – Musi być przyjemnie pracować w domu.

– Ma to swoje zalety. Napijesz się czegoś?

Zastanowił się.

– Czemu nie? Piwa, jeśli masz.

Poszedłem do kuchni i przyniosłem dwa grolsche. Kiedy wróciłem, jeszcze się nie odprężył. Dłonie miał zaciśnięte i wyglądał jak ktoś, kogo zmuszono do poddania się terapii.

Otworzyłem butelki i podałem mu jedną. Wziął, ale się nie napił.

– Troy Turner nie żyje – powiedział.

– O nie.

– To się stało dwa tygodnie temu, tym z CYA nie przyszło do głowy, żeby do mnie zadzwonić. Dowiedziałem się od opieki społecznej, bo szukali jego matki. Znalaziono go powieszzonego na stojaku pod worki treningowe w magazynku sali gimnastycznej. Miał pochować sprzęt, taką dali mu robotę. Uznano go za zbyt niebezpiecznego do pracy w kuchni czy ogródku warzywnym z narzędziami.

– Samobójstwo?

– Tak myśleli, dopóki nie zobaczyli kałuży krwi na podłodze, nie odwrócili go i nie zobaczyli, że ma poderżnięte gardło.

Zawsze byłem aż za dobry w wyobrażaniu sobie różnych rzeczy. Ta okrutna scena małe, blade ciało wiszące w ciemnym, ponurym miejscu – miała nawiedzać moje sny.

– Wiedzą, kto to zrobił? – spytałem.

– Uznali, że to porachunki gangów – odparł Laskin. – Był tam ile, miesiąc? Od razu spróbował dostać się do Brudnych Białych Chłopaków, filii Bractwa Aryjskiego. Wciąż był na etapie inicjacji, a to wymagało od niego między innymi pobicia Latynosa. Udało mu się to dziesięć dni temu, zaskoczył jednego z mniejszych Vatos Locos pod prysznicem, uderzył go w ciemną ciężką szczotką do włosów i skopał, kiedy tamten leżał. Chłopak miał wstrząśnienie mózgu i poobijane żebra, ostatecznie przeniesiono go do innego zakładu. Karą Troya był tydzień izolacji. Do swojej sali wrócił na trzy dni. Dzień przed tym, jak zginął, znów przydzielili go do sprzątnięcia sali gimnastycznej.

– A więc wszyscy wiedzieli, gdzie będzie o danej porze.

Laskin przytaknął.

– Krew była jeszcze mokra, a broń porzucono na miejscu. To był własnej roboty majcher: szczoteczka do zębów i kawałek noża do masła, wyostrzony na żyłkę. Ten, kto to zrobił, zadał sobie trud, żeby usunąć ślady.

– Kto znalazł ciało?

– Opiekun.

Laskin dopił piwo i odstawił butelkę.

– Jeszcze jedno?

– Wypiłbym, ale nie, dziękuję. – Rozprostował nogi, wyciągnął rękę, jakby o coś prosił. – Myślałem, że postępuję litościwie, wysyłając go do Chaderjiana. Niemal jak Salomon.

– Ja też tak myślałem.  
– Zgadzałeś się z tą decyzją?  
– Biorąc pod uwagę możliwości, jakie miałeś, uważałem, że to było najlepsze wyjście.  
– Nigdy nic nie mówiłeś.  
– Nigdy nie pytałeś.  
– Malleyowie nie byli zadowoleni. Malley do mnie dzwonił.  
– Co by wolał?  
– Karę śmierci. – Laskin skrzywił się, jakby było mu niedobrze. – Wygląda na to, że ją dostał.

– Czy w więzieniu dla dorosłych Troy byłby bezpieczniejszy?  
Sędzia wziął pustą butelkę i przetoczył ją między dłońmi.  
– Pewnie nie, ale i tak czuję się parszywie.  
– Znalaziono jego matkę?  
– W końcu tak. Hrabstwo właśnie wydało jej zgodę na metadon. Znaleźli ją w przychodni, czekała w kolejce na swoją dawkę. Kierownik u Chaderjiana powiedział, że przez cały miesiąc odwiedziła Troya raz i że wizyta trwała dziesięć minut. – Pokręcił głową. – Mały drań nie miał szans.

– Kristal Malley też nie.  
Spojrzał na mnie.  
– Łatwo ci to przyszło. Taki jesteś twardy?  
– Wcale nie jestem twardy. Pracowałem przez kilka lat na onkologii Western Peds i przestałem doszukiwać się w życiu sensu.

– Jesteś nihilistą?  
– Jestem optymistą z klapkami na oczach.  
– Zazwyczaj dobrze sobie radzę z całym tym łajnem, które widzę – wyznał Laskin. – Ale teraz... Może pora iść na emeryturę.  
– Zrobiłeś, co mogłeś.  
– Dzięki, że tak mówisz. Nie wiem, dlaczego zawracam ci głowę.  
– Nie zawracasz.

Przez chwilę obaj milczeliśmy, potem Laskin sprowadził rozmowę na dwójkę swoich dzieci – studentów, spojrzał na zegarek, jeszcze raz mi podziękował i wyszedł.

Kilka tygodni później przeczytałem w gazecie o jego przyjęciu pożegnalnym w Biltmore, w śródmieściu. „Sędzia Morderców Dziecka”, tak brzmiał jego nowy tytuł i podejrzewałem, że przyłgnie to do niego na dobre.

Sądząc po opisie, przyjęcie było udane. Sędziowie, prokuratorzy, adwokaci i pracownicy sądu dziękowali Laskinowi za dwadzieścia pięć lat owocnej pracy. Następne kilka lat zamierzał spędzić, żeglując i grając w golfa.

Morderstwo Troya Turnera nie dawało mi spokoju i zastanawiałem się, jak radzi sobie Rand Duchay. Zadzwoiłem do obozu CYA w Chino, starłem się z tamtejszą biurokracją, aż połączono mnie ze znudzonym dyrektorem DiPodestą.

– No i? – spytał, kiedy powiedziałem mu o morderstwie.  
– Duchay może być w niebezpieczeństwie.  
– Będę to miał na uwadze.

Poprosiłem o rozmowę z Randem.

– Osobiste telefony są zastrzeżone dla krewnych i ludzi z zatwierdzonej listy.  
– Jak mogę się dostać na tę listę?  
– Złożyć wniosek.

- To znaczy?
- Wypełnić formularze.
- Możecie mi je państwo przesłać?

Zapisał moje nazwisko i adres, ale formularz wniosku nigdy nie przyszedł. Zastanawiałem się, czy jeszcze raz nie spróbować, i znalazłem powód, by tego nie robić: brak czasu – i ochoty – na długoterminowe zobowiązania, a więc na co mógłbym się przydać Randowi?

Przez następnych kilka tygodni przeglądałem prasę, szukając złych wiadomości na jego temat. Skoro nic takiego się nie ukazywało, przekonałem sam siebie, że trafił we właściwe miejsce.

Miał zapewnioną opiekę i edukację na następne dwanaście lat.

Teraz wyszedł po ośmiu.

Chciał ze mną porozmawiać.

Chyba byłem gotów go wysłuchać.

Wyszedłem z domu i pojechałem do Westwood. Restauracja nazywała się Newark Pizza. Szyld pod trójkolorowym butem obiecywał Autentyczny Makaron z New Jersey oraz Sycylijskie Frykasy!

Za zasłonami w różowo-białą kratę paliło się światło, widać było niewyraźne sylwetki klientów.

Nikt nie czekał na zewnątrz.

Wszedłem, w głowie zakręciło mi się od zapachu czosnku i przejrzałego sera. Kiepskie malowidła pokrywały ściany – zezowaci robotnicy sezonowi na winobranii pod obrzydliwie żółtym słońcem. Na czerwonym linoleum podłogi stało pięć okrągłych stolików, nakrytych tym samym kraciastym materiałem, z którego uszyto zasłony. W głębi znajdował się kontuar samoobsługowy, za nim zaś ceglany piec do pieczenia pizzy, z którego były drożdżowe opary.

Dwaj Latynosi w poplamionych białych fartuchach obsługiwali jedzących kolację gości przy trzech stolikach. Kucharze mieli azteckie rysy twarzy i bardzo poważnie traktowali swoją pracę.

Klientami była para Japończyków – jedli na spółkę małą pepperoni – dwoje młodych ludzi w okularach, próbujących zapanować nad dwoma rozbawionymi, umazanymi sosem pomidorowym przedszkolakami, i trzech czarnoskórych dwudziestoparolatków w dresach – oni zajadali się lazanią i sałatkami.

– Słucham? spytał jeden z kucharzy.

– Czekam na kogoś. Młody facet, około dwudziestki?

Wzruszył ramionami i przerzucił miękką, biały krąg ciasta, posypał go mąką, powtórzył ruch.

– Czy był tu ktoś taki? – spytałem.

Posypał. Przerzucił.

– *No, amigo.*

Wyszedłem i stanąłem przed wejściem. Restauracja znajdowała się w cichej okolicy, wciśnięta między punkt ksero a parterowy biurowiec. W obu budynkach było ciemno – no cóż, weekend. Niebo było czarne, a ruch na oddalonej o dwie przecznice Pico anemiczny. W LA nigdy właściwie nie kwitło nocne życie, a ta część Westwood zapadała w letarg, kiedy z centrum handlowego zniknęły tłumy kupujących.

Centrum.

Osiem lat po tym, jak zabił Kristal Malley, Rand chciał porozmawiać o tej zbrodni dwie przecznice od centrum.

„Jestem dobrym człowiekiem”.

Jeśli szukał rozgrzeszenia, nie byłem księdzem.

Może między terapią a spowiedzią różnica jest niewielka. Może on je rozróżniał. Może chciał tylko porozmawiać. Jak sędzia, który posłał go za kratki.

Zastanawiałem się, co słyszeć u Toma Laskina. Myślałem o nich wszystkich.

Stałem tak, uważając, żeby trzymać się w odbitym świetle neonu z butem, i wypatrywałem mężczyzny, którym stał się Randolph Duchay.

Duży jako dziecko, był też prawdopodobnie potężnym mężczyzną. Chyba że osiem lat państwowego wikt i Bóg wie jakich innych szykan spowolniło jego wzrost.

Przypomniało mi się, jak trudno było mu odczytać słowo „pizza”.

To był ponadpółmetrowy, trójkolorowy neon.

Minęło pięć minut. Dziesięć, piętnaście.

Przeszedłem się do skrzyżowania, oglądając się za siebie bez powodu, może tylko dlatego, że mógł mnie szukać morderca.

Czego on chciał?

Wróciłem do Newark Pizza i zajrzałem do środka na wypadek, gdybym go nie zauważył. Nie, tak się nie stało. Tym razem czarni faceci dobrze mi się przyjrzeni, a kucharz, z którym rozmawiałem, skrzywił się nieprzyjemnie.

Wyszedłem z powrotem na zewnątrz, stanąłem trzy metry od wejścia, odczekałem jeszcze pięć minut. Nic. Pojechałem do domu.

Na sekretarce nie miałem nagranych żadnych wiadomości. Przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do Mila i poprosić, żeby sprawdził szczegóły zwolnienia Randa Duchaya. Żeby jako detektyw spróbował dojść, czego Rand mógł chcieć i dlaczego się nie pojawił.

Ćwierć wieku pracy w wydziale zabójstw wszczepiło mu do mózgu chip sądu ostatecznego i domyślałem się, co by powiedział.

Szumowina zawsze będzie szumowiną, Alex. Po co sobie brudzić ręce?

Zrobiłem sobie kanapkę z tuńczykiem i bezkofeinową kawę, włączyłem alarm i siadłem na swojej służbowej kanapie z plikiem czasopism psychologicznych z ostatnich dwóch miesięcy. Gdzieś w ciemności zawył kojot – świergotliwą, jazgotliwą solówką a cappella – po części skargą padlinożercy, po części tryumfem drapieźnika.

Glen roi się od zwierząt. Stołują się w wykwinnych śmietnikach Westside, a niektóre są odkarmione i oswojone jak domowe pieszczochy.

Miałem kiedyś małego francuskiego buldoga i bałem się wypuszczać go samego na podwórko. Teraz mieszkał w Seattle i życie było prostsze.

Odchrząknąłem. Odgłos poniósł się echem; dom był pełen echa.

Wyjąca sonata się powtórzyła. Rozrosła się w duet, potem w kojoci chór.

Całe stado w uciesze z łupu.

Przemoc łańcucha pokarmowego. To coś logicznego i sensownego, i myśl ta przyniosła mi pocieszenie.

Czytałem do drugiej w nocy, zasnąłem na kanapie, do łóżka udało mi się dowiec o trzeciej. O siódmej już nie spałem, obudziłem się zmęczony. Ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, była przebieżka. Mimo to ubrałem się i szedłem właśnie do drzwi, kiedy zadzwoniła Allison z Greenwich.

– Dzień dobry, przystojniaku.

– Dzień dobry, moja śliczna.

– Fajnie, że cię zastałam. – Mówiła, jakby była trochę przybita. Samotność? A może to ja...

– Jak się mieszka z babcią?

– Znasz ba... – Zaśmiała się. – Nie znasz jej przecież, prawda? Dzisiaj rano, mimo że jest straszny mróz, uparła się, żebyśmy się przeszli i poszukali „wyjątkowych liści”. Dziewięćdziesiąt jeden lat, a ryje w śniegu jak traper. Studiowała botanikę w Smith, twierdzi, że zrobiłaby doktorat, gdyby nie „porwał jej małżeński wir”, kiedy miała dwadzieścia lat.

– Znaleźliście coś? – spytałem.

– Po przekopaniu się przez półtorametrową zaspę udało mi się wydobyć jakiś brązowy, zaschnięty szczątek, który uznała za „interesujący”. Palce mi zupełnie zdrętwiały, a miałam rękawiczki. Babcia oczywiście nie okrywa niczym dłoni, chyba że idzie na obiad do miasta.

– Najwspanialsze pokolenie. Jak duża jest posiadłość?  
– Prawie pięć hektarów, mnóstwo drzew i rzadkich roślin, sadziła je tam przez lata.  
– Brzmi sympatycznie.  
– Trochę się już to wszystko zapuściło. – Allison westchnęła. – A dom jest dla niej o wiele za duży. Cały czas siedzisz w konsultacjach?  
– Już skończyłem.  
– To świetnie.  
Zanim wyjechała, spytałem, czy chce, żebym przyjechał do niej na parę dni.  
– Gdyby to zależało ode mnie, Alex, mógłbyś zostać przez cały czas, ale babcia jest bardzo zaborcza. To dla niej rytuał: „specjalny czas” spędzony z każdym z wnuków.  
W wieku trzydziestu dziewięciu lat Allison była najmłodsza z tych wnuków.  
– Przeszkadzam ci w czymś?  
– Ani trochę – odparłem, zastanawiając się, czy to prawda.  
– Konsultacje poszły dobrze?  
– Na tyle dobrze, na ile można się było spodziewać.  
– A więc co jeszcze słyhać, kochanie? Zastanawiałem się, czy powiedzieć jej o telefonie Duchaya.  
– Nic ciekawego. O której przylatujesz?  
– To jeden z powodów, dla których dzwonię. Babcia poprosiła, żebym przedłużyła wizytę jeszcze o dwa tygodnie. Trudno jej odmówić.  
– Ma dziewięćdziesiąt jeden lat – przypomniałem.  
– W domu pachnie kamforą, sama zaczynam się czuć, jakbym miała sto dwadzieścia.  
Dostają tu już kota z nudów, Alex. Ona kładzie się spać o ósmej.  
– Mogłabyś lepić bałwanki.  
– Tęsknię za tobą.  
– Ja za tobą też.  
– Pomyślałam sobie, że moglibyśmy coś na to poradzić. Jutro do babci przylatuje przyjaciółka z Saint Louis, więc przez trzy dni będzie zajęta. Hotele w Nowym Jorku mają teraz promocje po Nowym Roku. Duże zniżki i darmowa zmiana standardu.  
– Kiedy mam tam być? – spytałem.  
– Naprawdę?  
– Naprawdę.  
– Wspaniale... Jesteś pewny?  
– Hej – powiedziałem – ja też potrzebuję specjalnego czasu.  
– O rany. Nawet nie wiesz, jak bardzo właśnie poprawiłeś mi nastrój. Dałbyś radę jutro? Mogłabym pojechać pociągiem i byłabym w hotelu, kiedy byś przyleciał.  
– W którym hotelu?  
– Kiedy jeździłam z rodzicami, zawsze zatrzymywaliśmy się w Saint Regis. Świetne położenie, na Pięćdziesiątej Piątej przy Piątej, i mają tam obsługę lokajów na każdym piętrze.  
– Miła rzecz, o ile lokaj nie jest natrętny.  
– Nie będzie, jeśli się zamkniemy i go nie wezwiemy.  
– Które łóżko dostanę? – spytałem. – Górne czy dolne?  
– Myślałam raczej o spaniu w jednym.  
– Przywiozę latarkę i zrobimy sobie namiot z kołdry.  
– Alex, strasznie idziesz mi na rękę.  
– Ani trochę. Działam z pobudek czysto egoistycznych.  
– To właśnie podoba mi się najbardziej – odparła.



Zabukowałem lot o dziewiątej rano z LAX, z głębin szafy wydobyłem szary tweedowy płaszcz, którego nigdy nie nosiłem, znalazłem podobnie zapomniane rękawiczki i szalik, spakowałem podręczną torbę i poszedłem się przebiec.

Było dwadzieścia stopni, niebo bez chmur – w Beverly Glen coś takiego uchodzi za zimę. Pogoda jest bardzo trywialnym powodem wyboru miejsca zamieszkania, chyba że człowiek umie się do tego przyznać.

Wychodziłem z nadzieją, że znajdę ukojenie w endorfinach. Mój mózg był odmiennego zdania i zacząłem myśleć o Randzie. Ciało miałem spięte i ciężkie, dyszałem i wzbijałem piętami kurz, a pole widzenia podzieliło mi się na dwie części: uważałem na mijające mnie samochody i skakałem w przeszłość.

Kiedy wróciłem do domu, zadzwoniłem do Mila. Nikt nie odbierał. Wykręciłem więc numer posterunku w Westside i poprosiłem porucznika Sturgisa. Chwilę trwało, zanim Milo odebrał, a ja wciąż ciężko dyszałem.

– Już myślałem, że ci na mnie nie zależy – powiedział.

– Ha.

– Co tam?

– Spotykam się jutro z Allison. W Nowym Jorku.

Milo sprofanował kilka wersów *Leaving on the jet plane*.

– Gdzie się zatrzymujecie?

– W Saint Regis.

– Nieźle. Ostatni raz, kiedy departament wysłał mnie do Nowego Jorku, to była ta konferencja o środkach bezpieczeństwa po 11 września. Opłacili mi pokój w nędznej norze na Trzydziestej. Skoro już tam jedziesz, przywieź mi koszulkę Knicksów ze sklepu NBA.

– Nie ma sprawy.

– Alex, ja żartowałem. Knicksów?

– Optymizm dobrze robi duszy – powiedziałem.

– Tak jak logika. Czy słusznie zakładam, że zadzwoniłeś z jakiegoś innego powodu, a nie tylko po to, żeby poszczycić się wyższością swojego hotelu nad moim?

– To ty zacząłeś. Gdybyś naprawdę był taki wrażliwy, za jakiego się podajesz, to byś skłamał.

– W Saint Regis mają lokajów.

– Płacę w stos papierów na biurku, który akurat jest niewielki. Cytując wewnętrzny okólnik, mamy właśnie do czynienia ze znacznym spadkiem przestępczości.

– Gratulacje.

– To nie moja zasługa. Najpewniej to kryształ karmiczne, śpiewy do księżyca na czworakach albo Wielka Kula Przypadkowości... Co cię gnębi?

Powiedziałem mu.

– Tamto. Nie podobało ci się, co wtedy robiłeś.

– Przyjemne to nie było.

– Duchay zdradził jakoś, czego chciał?

– Mówił, jakby miał kłopoty.

– Powinien mieć kłopoty. Osiem lat w CYA za zamordowanie dziecka?

– Czy jako fachowiec domyślasz się, dlaczego się nie pokazał?

– Zmienił zdanie, nie udało mu się przyjść, kto wie? To łajza, Alex. To ten głupszy, tak?

– Tak.

– No to dodaj do tego problemy ze skupieniem uwagi czy jak to tam teraz nazywacie, poza tym to nędzny zwyrodnialec, który przeszedł gruntowną kryminalizację po ośmiu latach zamknięcia z gnojkami z gangów. Ile on ma teraz lat?

– Dwadzieścia jeden.

– Łajza w szczytowym okresie przeładowania przestępczymi hormonami – stwierdził Milo. – Nie postawiłbym na jakiegokolwiek wzbogacające zmiany jego osobowości. I nie odbierałbym więcej jego telefonów. Jest prawdopodobnie bardziej niebezpieczny niż osiem lat temu. Po co się mieszać?

– Wygląda na to, że się właśnie nie mieszam – powiedziałem. – Chociaż przez telefon nie słyszałem żadnej wrogości ani groźby. Raczej...

– Ma kłopoty, tak, tak. Dzwoni do ciebie z Westwood, czyli nie tak daleko twojego domu. Półanalfabeta, ale znalazł jakoś twój numer.

– Nie ma powodu mieć mi cokolwiek za złe.

Cisza.

– Mieliśmy się spotkać daleko od mojego domu – dodałem.

– Na początek.

– Milo, ja nie umniejszam tego, co zrobił. Sam przyznał, że bił Kristal. Ale zawsze wydawało mi się, że to Troy Turner był siłą sprawczą tego morderstwa, a Rand po prostu uwikłał się w tę sytuację.

– Postaw go w innej sytuacji, to też się uwikła.

– Pewnie tak.

– Hej – powiedział Milo. – Zadzwońiłeś do mnie, a nie do kolegi po fachu. Co znaczy, że szukałeś bolesnej prawdy, a nie współczucia i zrozumienia.

– Sam nie wiem, czego szukałem.

– Pragnąłeś rady mędrca detektywa i czulej opieki wujka Milo. Skoro rady już ci udzieliłem, postaram się zapewnić ci to drugie, kiedy ty będziesz paradował Piątą Aleją ze śliczną damą wspartą na twoim ramieniu.

– Nie trzeba...

– Plan jest taki – przerwał. – Chociaż nie mieści się to zupełnie w zakresie moich obowiązków, będę przejeżdżał obok twojego domu co najmniej raz dziennie, dwa razy, jak dam radę, będę odbierał twoją pocztę i gazety, i wypatrywał podejrzanych typów, czających się w okolicy.

– Paradował – mruknąłem.

– Wiesz chyba, jak się paraduje? Dajesz krok za krokiem... i sypiesz forszą.

Oddzwonił o pierwszej po południu.

– Kiedy zamierzałeś wylecieć do Nowego Jorku?

– Jutro rano. Czemu pytasz?

– Wczoraj w nocy znaleziono w Bel Air zwłoki, porzucone w krzakach przy wjeździe na Czterysta Piątą. Biały mężczyzna, młody, metr osiemdziesiąt osiem, sto kilo, postrzelony w głowę, bez portfela ani dokumentów. Za to w przedniej kieszeni jego dżinsów był zwinięty kawałek papieru. Zatluszczony i postrzępiony, jakby często obracano go w rękach. Ale pismo wciąż było czytelne i zgadnij, co to było: twój numer telefonu.

Spotkałem się z Milem w jego gabinecie na pierwszym piętrze posterunku w Westside. To pozbawiona okien cela, dawniej pomieszczenie gospodarcze, oddalona od gwaru dużego pokoju detektywów. Ledwie mieszczą się tam biurko z dwoma szufladami, szafka na akta, dwa składane krzesła i zniedołężniały ze starości komputer. Na posterunku obowiązuje zakaz palenia, ale Milo ćmi czasem panatelasy; ściany jego gabinetu pożółkły, a powietrze w nim cuchnie jak tuzin starych mężczyzn.

Milo ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a kiedy przestrzega diety, waży sto trzydzieści kilo. Skulony za przymałym biurkiem wygląda jak postać z kreskówki.

To miejsce pracy niegodne porucznika, ale Milo nie jest typowym porucznikiem i twierdzi, że bardzo mu z tym dobrze. Może naprawdę tak myśli, a może jest mu łatwiej, bo ma drugi gabinet – indyjska restauracja kilka przecznic dalej, w której jest traktowany jak król.

Skok z detektywa trzeciej klasy na oficera był efektem wpływów, o które Milo nigdy nie zabiegał: wydobytych na światło dzienne paskudnych tajemnic byłego szefa policji.

Układ brzmiał tak: Milo dostaje pensję porucznika, bez służbowych obowiązków wiążących się z tym stopniem, i może zajmować się rozwiązywaniem spraw. Tak długo, jak długo pracuje sam i nie pcha się nikomu przed oczy.

Stary szef odszedł, a nowy wydawał się mieć mocne postanowienie wywrócenia wszystkiego do góry nogami. Dotąd jednak przypadek Milla uchodził jego uwagi. Jeśli obecne władze rzeczywiście tak bardzo nastawione były na efekty, jak twierdziły, może jego współczynnik zakończonych spraw sprawiłby, że potraktowano by go łaskawiej.

A może nie. Policjant gej nie był już oficjalną niemożliwością, jak wtedy, gdy Milo wstępował na służbę, ale walczył o swoje w mniej przychylnych czasach i nigdy się już nie przystosował.

Drzwi do jego gabinetu były otwarte; czytał wstępny raport ze śledztwa. Jego czarne włosy prosiły się o wizytę u fryzjera, siwe baki, które nazywał swoimi skunksami, rozrosły się krzaczasto i sięgały dobry centymetr poniżej uszu.

Świerkowo-zielona, sportowa marynarka na oparciu jego krzesła spływała na podłogę. Biała koszula z krótkimi rękawami była wymiętoszona, żółty krawat ktoś mógłby wziąć za plamę musztardy. Obrazu dopełniały szare sztruksy i beżowe buty. Nieosłonięta żarówka pod sufitem miała lekko różowawy odcień, nadając krostowatym policzkom Milla pozór opalenizny.

Milo wskazał kciukiem wolne krzesło, a ja rozłożyłem je i usiadłem. Podał mi raport i kilka zdjęć z miejsca zbrodni.

Raport był jak zwykle bezduszny; sporządził go na miejscu detektyw pierwszej klasy S.J. Binchy. Sean był dawniej basistą w zespole ska, teraz zaś nowo narodzonym chrześcijaninem; posłusznym chłopakiem, którego Milo zatrudniał czasem do żmudnych prac.

Młody był sympatyczny, umiał pisać. Jediną nową rzeczą jakiej się dowiedziałem, było to, że ekipa sprzątająca autostradę znalazła zwłoki o czwartej czternaście rano.

Na pierwszym zdjęciu zwłoki widać było z przodu: leżały na plecach, twarzą na wprost, a fotograf z biura koronera klikał z góry.

Twarz rozmyta przez noc, niewyraźne szczegóły. Na zbliżeniu – rozdziawione usta i na wpół przymknięte oczy, które widziałem już tyle razy. Prawy policzek lekko wypukły, ale nie było to zniekształcenie, jakie widuje się, kiedy w głowie zatańczył komuś małokalibrowy pocisk.

Dwa zdjęcia boczne ukazywały ciemną ranę wlotową w kształcie gwiazdy, otoczoną czarną obwódką prochu, tuż przed lewym uchem, i poszarpaną wylotową, o wiele większą, nieco wyżej na prawej skroni; wyzierały z niej kości, czerwone mięśnie i przypominające płatki owsiane strzępy mózgu.

– Na wylot – powiedziałem.

– Koroner uważa, że strzelono z przyłożenia albo prawie z przyłożenia, pociskiem pełnopłaszczowym, kaliber nie większy niż 38, bez ładunku dodatkowego.

Mówił głosem bez emocji. Dystansował się od ofiary.

Na następnym zdjęciu było zbliżenie.

– Co to za otarcia na policzku?

Znaleźli go leżącego na twarzy, może ktoś go kawałek włókł, zanim porzucił. Brak ran po próbach obrony, nie ma tkanki za paznokciami ani żadnych innych śladów szarpaniny. Tam, gdzie go znaleziono, nie było dużo krwi, czyli zastrzelono go gdzieś indziej.

– To kawał chłopca – powiedziałem. – A więc jeśli nie było szamotaniny, ktoś go wziął z zaskoczenia.

– Poprosiłbym cię, żebyś go zidentyfikował, ale właśnie odezwali się z AFIS-u\* [Automated Fingerprint Identification Systems – komputerowy system identyfikacji daktyloskopijnej (przyp. tłum.)]. Odciski palców potwierdzają, że to Duchay.

Przejrzałem zdjęcia jeszcze raz, starając się nie zwracać uwagi na śmierć i rany. Chłopięca twarz Randa Duchaya w wyniku dojrzewania wydłużyła się i stwardniała. Włosy miał ciemniejsze, niż zapamiętałem, ale może to przez oświetlenie. Za życia był wolno myślącym chłopakiem o grubych rysach twarzy. Śmierć tego nie zmieniła, ale śmierć w pewien sposób jakby rozmazuje kontury. Czy poznałbym go, gdybyśmy się mijali na ulicy?

– Wiadomo coś, kiedy to się stało? – spytałem.

– Wiesz, jak to jest z ustalaniem czasu zgonu, to głównie zgadywanka. Najprawdopodobniej gdzieś między dziewiątą a pierwszą w nocy.

Dziewiąta – długo po tym, jak wróciłem do domu z nieudanego spotkania z Duchayem. Może zmienił plany. A może ktoś zmienił je za niego.

– Dowiedziałeś się przypadkiem czy go szukałeś? – spytałem.

Milo rozprostował swoje długie nogi na tyle, na ile starczyło mu miejsca.

– Po tym, jak zadzwoniłeś, postanowiłem trochę poszperać, i dowiedziałem się, że zwolnili go trzy dni temu. Cztery lata przed terminem, dobre sprawowanie.

Rozdęte nozdrza pokazywały, co o tym myśli.

– Dowiedziałem się, do kogo trafił po wypuszczeniu, co wymagało trochę pracy. Dzwoniłem, nikt nie odbierał, uznałem, że impulsywny morderca włóczący się po Westside nie pasuje do mojego wyobrażenia o porządku. Zostawiłem Seanowi wiadomość, żeby sprawdził doniesienia o napadach i próbach włamań z ostatnich trzech dni. Potem pojechałem na Westwood i przeszedłem się po bocznych uliczkach. – Przesunął językiem pod policzkiem. – Wyobrażałem sobie, że na koniec przyjadę do ciebie, ty mi zrobisz kanapkę, a ja ci pożyczę szerokiej drogi. Wtedy zadzwonił Sean, od koronera, i powiedział, że w nocy przywieźli tam przypadek wyglądający na morderstwo i że technicy coś przeoczyli, ale pracownik kostnicy znalazł to, kiedy rozbiarał ciało. Mały kawałek papieru w kieszeni ofiary. Sean był prawie pewien, że rozpoznał twój numer, ale wołał to potwierdzić.

– Sean ma dobrą pamięć – powiedziałem.

– Sean radzi sobie.

– Pracujesz z nim nad tą sprawą?

– On pracuje nad nią ze mną.

Kiedy wychodziliśmy, Sean Binchy wychylił się z pokoju detektywów i zawołał nas. Jest rudy i piegowaty, pod trzydziestkę, wysoki jak Milo, ale o wiele szczuplejszy. Lubi garnitury zapinane na cztery guziki, jasnoniebieskie koszule, poważne krawaty i martensy. Stare tatuaże ukrywa pod długimi rękawami. Krótka, schludna fryzura zastąpiła dredy z czasów muzykowania.

– Witam, doktorze Delaware – powiedział wesoło. – Wygląda na to, że jest pan w to zamieszany.

– Sean, doktor Delaware jutro rano leci do Nowego Jorku – odparł Milo. – Nie widzę żadnego powodu, żeby to się miało zmienić.

– Jasne, nie ma sprawy... Aha, panie poruczniku, w końcu dotarłem do ludzi, u których Duchay mieszkał, a oni nie mają pojęcia, że pojechał do miasta spotkać się z doktorem Delaware. Powiedział im, że idzie szukać pracy.

– Gdzie?

– Na budowie – odparł Binchy. – Niedaleko od ich domu budują apartamentowiec, Duchay poszedł porozmawiać z kierownikiem budowy.

– W sobotę?

– Widać pracowali w sobotę.

– Sprawdź to, Sean.

– Jasne.

– O której wyszedł na to rzekome spotkanie? – spytał Milo.

– O piątej.

– Chłopak idzie się kawalek przejść o piątej, nie wraca do domu całą noc, a oni się nie martwią?

– Martwili się – powiedział Binchy. – O siódmej zadzwonili do Van Nuys, żeby zgłosić zaginięcie, ale ponieważ był dorosły i nie minęło odpowiednio dużo czasu, nie wciągnięto go na listę osób zaginionych.

– Skazany morderca włóczący się po mieście nikomu nie przeszkadzał?

– Nie wiem, czy powiedzieli to tym z Van Nuys.

– Dowiedz się tego, Sean.

– Tak jest, proszę pana.

– Z kim mieszkał? – spytałem.

– Z ludźmi, którzy biorą do siebie dzieciaki z problemami – wyjaśnił Binchy.

– Duchay był dorosły – zauważył Milo.

– W takim razie ludzi z problemami, panie poruczniku. To jacyś pastorzy, czy coś takiego.

– Daneyowie? – spytałem.

– Znasz ich?

– Byli zamieszani w sprawę Randa dawno temu.

– Kiedy zabił tę dziewczynkę – dodał Binchy. Bez zjadliwości. Za każdym razem, kiedy go widziałem, wyglądał dokładnie tak samo: sympatyczny, spokojny, bez wątpliwości. Może rzeczywiście ciche wody są najgłębsze. A może świadomość, że Bóg jest po twojej stronie, to najlepszy balsam dla duszy.

– Jak zamieszani? – spytał Milo.

– Byli duchowymi doradcami – odparłem. – Studiowali w seminarium.

– Każdemu by się to przydało – stwierdził Binchy.

– Duchayowi raczej nie pomogło – zauważył Milo.

– Nie na tym świecie. – Binchy uśmiechnął się przelotnie.

- Obaj zostali zamordowani – powiedziałem.
- Obaj kto, doktorze?
- Rand i Troy Turner.
- Nie wiedziałem o Turnerze – przyznał Milo. – Kiedy to się stało?
- Miesiąc po tym, jak trafił do zakładu.
- Czyli mamy osiem lat różnicy. Co mu się stało?

Opisałem napaść Troya na członka Vatos Locos, teorię o zemście gangu, to, jak powieszono go w schowku na sprzęt.

- Nie wiem, czy rozwiązano w ogóle tę sprawę.

– Ledwie miesiąc za kratkami, a jemu już się zdawało, że taki z niego twardziel – powiedział Milo. – Zero kontroli nad impulsami... Tak, to wygląda na zwykłe więzienne zabójstwo. Czy on i Duchay byli w jednym zakładzie?

- Nie.

- Czyli Duchay miał szczęście. Gdyby widziano w nim kumpla Troya, byłby następny.

– Nie przeszedł więzienia bez draśnięcia. Koroner powiedział, że na ciele miał stare blizny po nożu.

– Ale żył aż do wczoraj wieczorem. Był dość duży i silny, żeby się obronić – stwierdził Milo.

– Albo nauczył się unikać kłopotów – zauważyłem. – Wypuszczono go przedterminowo za dobre sprawowanie.

- To znaczy, że nie zgwałcił ani nie zadźgał nikogo na oczach strażnika.

Cisza.

– Sprawdzę dokładnie, co powiedziano Van Nuys, panie poruczniku – oświadczył Binchy. – Miłej wycieczki do Nowego Jorku, doktorze.

Kiedy wyszedł, Milo wcisnął jakieś papiery do swojej teczki, a potem razem zeszliśmy po schodach na tył posterunku. Przeszliśmy kilka przecznic do miejsca, gdzie zaparkowałem seville'a.

- Tacy goście jak Turner i Duchay przyciągają kłopoty – powiedział Milo.

- Ironia losu, prawda? – spytałem.

- Co takiego?

- Rand wytrzymuje osiem lat w CYA, wychodzi, a trzy dni potem już nie żyje.

- Przeżywasz to, co?

- A ty nie?

- Ja jestem bardziej wybredny, kiedy mam cierpieć.

Otworzyłem drzwi samochodu.

- Co cię tak naprawdę męczy, Alex? – spytał.

– To był głupi, łatwowierny dzieciak, stracił rodziców, kiedy był niemowlakiem, prawdopodobnie doznał urazu mózgu, wychowywała go babka, nie znosiła go, a system oświaty go zignorował.

- Zabił też dwuletnie dziecko. W tym momencie wektor mojego współczucia się zmienia.

- Potrafię to zrozumieć – powiedziałem.

Milo położył mi rękę na ramieniu.

- Nie pozwól, żeby cię to gryzło. Idź, zabaw się w La Manzana Grande.

- Może nie powinienem jechać?

- Dlaczego niby nie, do cholery?

- A jeśli jestem ważny dla sprawy?

- Nie jesteś. Do widzenia.

Pojechałem do domu, rozmyślając o ostatnich chwilach Randa Duchaya. Może strzał w skroń oznaczał, że chłopak patrzył przed siebie, niczego się nie spodziewał. Może nie doświadczył ostatecznego, palącego wybuchu grozy i bólu.

Wyobraziłem go sobie, jak leży twarzą do dołu w jakimś zimnym, ciemnym miejscu; nikt nie wie gdzie i nikogo to nie obchodzi. W głowie pojawiły mi się telewizyjne migawki sprzed ośmiu lat. Barnett i Lara Malleyowie wychodzący z sądu. Ona łka. On z zaciśniętymi ustami kipi gniewem. Gniewem tak wielkim, że niewiele brakowało, a uderzyłby kamerzystę.

Domagał się kary śmierci.

Teraz obaj mordercy jego córki nie żyli. Czy to mogło mu przynieść ukojenie?

Czy odegrał w tym wszystkim jakąś rolę?

Nie, to był nielogiczny banał. Zemsta najlepiej smakuje na zimno, ale osiem lat między morderstwami to już arktyczny mróz. Milo miał rację. Wykolejeni chłopcy tacy jak Turner i Duchay rzeczywiście przyciągają kłopoty. W pewnym sensie to, co się stało, było łatwym do przewidzenia zakończeniem życia dwóch zmarnowanych istnień.

Trzech.

Sprawdziłem torbę podróżną, wziąłem jeszcze szczoteczkę do zębów, której zapomniałem, i doprowadziłem dom do jakiegoś takiego porządku. Zalogowałem się do serwisu pogodowego i dowiedziałem się, że przylecę na miejsce w samym środku zamieci.

Zero do minus dziesięciu. Wyobraziłem sobie białe niebo i chodniki, migotanie manhattańskich świateł w naszym oknie, Allison i siebie w przytulnym, ciepłym apartamencie z obsługą.

Dlaczego Rand do mnie zadzwonił?

Zadzwonił telefon.

– Dzięki Bogu, złapałam cię – powiedziała Allison. – Alex, nie uwierzysz.

Napięcie w jej głosie. Moją pierwszą myślą było: coś się stało jej babce.

– Co się dzieje?

– Przyjaciółka babci, ta, która miała przylecieć z Saint Louis, dostała rano wylewu. Właśnie odebraliśmy telefon. Babcia ciężko to przeżywa. Alex, tak mi przykro, ale nie mogę jej zostawić.

– Oczywiście, że nie.

– Nic jej nie będzie, wiem o tym, zawsze dochodzi do siebie... Czy możesz jeszcze zwrócić bilet? Już dzwoniłam do hotelu i odwołałam rezerwację. Tak mi przykro.

– Nie przejmuj się – powiedziałem spokojnie. Nie udawałem, ulżyło mi, że nie lecę. Jak to o mnie świadczy?

– ...Mimo całej tej sytuacji postaram się wykręcić od dwutygodniowego przedłużenia, Alex. Maks tydzień, a potem zadzwonię do mojego kuzyna, Wesleya, i powiem, żeby mnie zmienił. Jest profesorem chemii w Barnard, siedzi na urlopie naukowym w Bostonie, więc ma nienormowany czas pracy. To jedyne sprawiedliwe wyjście, prawda?

– Prawda.

Przerwała, żeby złapać oddech.

– Nie jesteś zły?

– Bardzo chciałbym cię zobaczyć, ale wypadki chodzą po ludziach.

– Chodzą... Zresztą strasznie tu zimno.

– Zero do minus dziesięciu w Nowym Jorku.

– Sprawdziłeś – powiedziała. – Byłeś gotowy do wyjazdu. Buhuhu.

- Buhuhu.
- W apartamencie był kominek. Cholera jasna.
- Jak wrócisz, napalimy w moim.
- Przy dwudziestu stopniach na dworze?
- Kupię trochę lodu, pokruszę go i rozsypię po salonie.

Zaśmiała się.

– Już to sobie wyobrażam... Wrócę najszybciej, jak będę mogła. Maks tydzień... Oho, babcia znów mnie woła, czego znowu chce? Dolać jej herbaty. .. przepraszam, Alex, porozmawiamy jutro.

– Brzmi nieźle.

– Wszystko u ciebie w porządku?

– Jasne. Czemu pytasz?

– Wydajesz się trochę rozkojarzony.

– Tylko zawiedziony – skłamałem. – Wszystko się ułoży.

– Nie ma to jak optymizm. Jak tobie się to udaje, skoro oglądasz bez przerwy takie rzeczy?

Allison została wdową przed trzydziestką. Tak naprawdę była o wiele pogodniejsza ode mnie. Ale ja lepiej udawałem.

– To najlepszy sposób na życie – powiedziałem.

– O tak.



W poniedziałek wieczorem zastałem Mila w domu. Dopiero minęła dziesiąta i głos miał zduszony od szkockiej i zmęczenia.

– W Nowym Jorku jest pierwsza w nocy, stary.

– Ja jestem jeszcze na pacyficznym.

– Co się stało?

– Allison jest potrzebna swojej babce. – Streściłem mu całą historię.

– Współczuję. Co cię gnębi?

– Tylko się melduję.

– Chodzi ci o Duchaya? Okazuje się, że w weekendy na budowie się sprząta, ale kierownik powiedział, że nigdy się z nim nie widział. A więc albo to była lewa historyjka, albo Duchayowi coś się pokręciło. Poza tym nie mam nic nowego. Moja robocza teoria wygląda tak: Duchay pokumał się z jakimś kolesiem z CYA, żeby zrobić coś złego. Pokłócili się i kolesz go załatwił.

– Dlaczego uważasz, że coś planował?

– Bo osiem lat odsiadki to doktorat z robienia zła. Wymyśliłem sobie tego kolesia, gdyż metodą Duchaya była przestępcza współpraca.

– Jedno przestępstwo to metoda?

– Tak, kiedy to takie przestępstwo. Musisz też wziąć pod uwagę jedno, Alex: ich plan mógł dotyczyć ciebie. Jako celu.

– Też mi teoria – mruknąłem.

– Ochłoń i spróbuj popatrzeć na to obiektywnie. Skazany morderca dzwoni do ciebie nie wiadomo po co, mówi, że chce porozmawiać o swojej zbrodni, ale nie podaje żadnych szczegółów. Gdyby rzeczywiście chodziło o spowiedź i rozgrzeszenie, po co czekać osiem lat? Mógł napisać do ciebie list. I dlaczego do ciebie? Miał swoich duchowych doradców, frajerów, którzy z przyjemnością udzieliliby mu rozgrzeszenia. Cała ta sprawa śmierdzi, Alex. Wywabiał cię.

– Dlaczego chciałby zrobić mi krzywdę?

– Bo byłeś jednym z ludzi, którzy wysłali go na osiem lat za kratki. A rany po nożu świadczą, że to nie były wakacje. Dziewięć dźgnięć, Alex, trzy weszły głęboko. Miał blizny na wątrobie i jednej nerce.

Margaret Sieff kobieta, którą Rand nazywał „babcią” – wyraziła się jasno na temat mojej domniemanej lojalności.

"Prawnik Randolpha powiedział, że niekoniecznie jesteś pan po naszej stronie”.

Może przekazała to Randowi. A może zrobił to Lauritz Montez. Postrzegął mnie jako narzędzie w rękach prokuratury, podpisał się pod wnioskiem Sydney Weider, żeby nie dopuszczać mnie do chłopców.

– Czy twoje milczenie oznacza, że mówię do rzeczy? – spytał Milo.

– Wszystko jest możliwe – odparłem. – Ale przez telefon nie wyłapałem żadnej wrogości.

– Wiem, tylko zmartwienie.

– Wtedy, kiedy robiłem jego ocenę, nie było w nim wrogości, Milo. Był potulny, współpracował. W przeciwieństwie do Troya nigdy nie próbował mną manipulować.

– Miał osiem lat, żeby się tego nauczyć, Alex. I nie zapominaj: współpracował, a mimo to został zesłany do piekła. Wiesz, jak to jest w CYA. Nie wysyłają tam już za wybijanie szyb i niebezpieczne kawały. W tym roku mieli sześć morderstw.

- Blizny na wątrobie.
- Mimo to większość ludzi uznałaby, że Duchay wykpił się tanim kosztem z tego, co zrobił. Ale spróbuj powiedzieć to facetowi, który przez to przeszedł. Moim zdaniem mamy tu bardzo zgorzkniałego, dwudziestojednoletniego byłego skazańca. Może zamierzał odpłacić wielu ludziom, a ty byłeś pierwszy na liście.
- Dlaczego masz wątpliwości co do tego, że pokumał się z kumplem z więzienia?
- O co ci chodzi?
- Powiedziałeś, że twoja robocza teoria tak „wyglądała”.
- Boże drogi, analizujesz moje słowa – zdenerwował się Milo. – Nie, nie porzuciłem ogólnej przesłanki. Nie znalazłem po prostu jeszcze żadnych kumpli, których Duchay mógł poznać w pudle. Jeden facet z CYA, z którym rozmawiałem, powiedział, że Duchay nie miał żadnych powiązań z gangami, był „towarzysko odizolowany”.
- W jego aktach były jakieś problemy dyscyplinarne?
- Spokojny, posłuszny.
- Dobrze sprawowanie – powiedziałem.
- Bła bla.
- No to co teraz?
- Teraz porozmawiam z ludźmi, którzy go znali, spróbuję ustalić, co robił tego dnia. Kazałem Seanowi zajrzeć do wszystkich sklepów na Westwood, trzy przecznice na północ od Pico, i sprawdzić, czy ktoś nie widział kręcącego się tam Duchaya. Nic. Tak samo w Westside Pavilion, więc jeśli tam był, nie rzucił się nikomu w oczy. Jutro rano odwiedzę wielbego Andrew Daneya i panią Daney.
- Wielbego i wielbłą – powiedziałem. – Oboje uczyli się w seminarium.
- Wszystko jedno. Rozmawiałem z nią; Cherish, niezłe imię\*[*Cherish* (ang.) – umiłować sobie coś, cenić coś, przypisywać czemuś dużą wartość (przyp. tłum.)]. Sądząc po głosie, była bardzo załamana. Tyle dobrych intencji i wszystko na nic.
- Dlaczego wzięłeś tę sprawę, kolego?
- A dlaczego nie?
- Nie przepadałeś za ofiarą.
- To, kogo lubię, a kogo nie, nie ma z tym nic wspólnego – oświadczył Milo. – I czuję się głęboko zraniony twoimi sugestiami, że jest inaczej.
- Bła zakichane bla – odparłem. – Ale poważnie, przecież możesz wybierać. Dlaczego ta?
- Wybrałem ją, żeby się upewnić, że nie jesteś w ciągłym niebezpieczeństwie.
- Jestem wdzięczny, ale...
- Wystarczy zwykle dziękuję.
- Dziękuję.
- Proszę. Postaraj się cieszyć słońcem, dopóki nie wróci doktor Gwynn.
- O której jesteś jutro umówiony z Daneyami?
- Nie twój problem. Idź spać.
- Mam brać samochód?
- Alex, ci ludzie bronili tych chłopaków. Możesz nie być ich ulubieńcem.
- Mój raport nie był czynnikiem w decyzji uznania ich za nieletnich. A właśnie tego, pozwolę sobie zauważyć, domagali się ich prawnicy. Nie ma żadnego logicznego powodu, żebym był celem.
- Pobicie i uduszenie dwulatki nie było logiczne.
- O której? – spytałem.
- Jestem umówiony o jedenastej.

– Przyjadę.

Odebrałem go z posterunku o dziesiątej trzydzięci i pojechaliśmy Sepulveda Pass do Valley. Nic nie powiedział, kiedy mijaliśmy Sunset i miejsce, w którym znaleziono zwłoki Randa Duchaya.

– Ciekawe, jak on się dostał z Valley do miasta – powiedziałem.

– Sean sprawdza autobusy. Pewnie to strata czasu. Tak jak tyle innych rzeczy, które robimy.

Adres na Galton Street, pod którym Drew i Cherish Daneyowie doradzali duchowo, znajdował się w gorszej części Van Nuys, kilka przecznic od Czteryście Piątej. Niebo miało kolor masy papierowej. Bezustannie dawała o sobie znać bliskość autostrady.

Posesja była ogrodzona płotem z sekwojowych bali, ale bramę zostawiono otwartą i weszliśmy do środka. Pudełkowaty, bladoniebieski dom stał na przodzie pięćsetmetrowej działki. Z tyłu znajdowały się dwa mniejsze budynki – przerobiony garaż pomalowany na taki sam niebieski kolor i drugi, nieco cofnięty, surowy betonowy sześcian. Wolną przestrzeń, wyłożoną kostką, tylko miejscami zajmowały klomby niewymagających roślin, otoczone kawałkami zastygłej lawy.

Cherish Daney siedziała w słońcu na ogrodowym fotelu przed domem, pogrążona w lekturze. Kiedy nas zauważyła, zaniknęła książkę i wstała. Byłem dość blisko, by przeczytać tytuł: *Lekcje życia: jak poradzić sobie z żalem*. Spomiędzy kartek wystawała chusteczka.

Cherish wciąż miała platynowe długie włosy, ale zamiast utapirowanej fryzury sprzed ośmiu lat czesała się prosto i z grzywką. Była ubrana w biały top bez rękawów, niebieskie spodnie i szare buty; na jej szyi zauważyłem ten sam srebrny łańcuszek i krzyżyk, co tamtego dnia w areszcie. Większość ludzi z wiekiem przybiera na wadze, ona jednak nabrała twardej, suchej smukłości. Wciąż była młodą kobietą – na oko miała około trzydziestu pięciu lat – tłuszcz dobrze wygładziłby zmarszczki, które już się pojawiały na jej twarzy.

Ta sama opalona cera, te same ładne rysy. Zauważalne przygięcie pleców, jakby jej kręgosłup wykrzywił się pod jakimś straszliwym brzemieniem.

Uśmiechnęła się, nie otwierając ust. Oczy miała zaczerwienione. Jeśli mnie poznała, nic nie powiedziała. Kiedy Milo podał jej swoją wizytówkę, zerknęła na nią i kiwnęła głową.

– Dziękuję, że zgodziła się pani z nami spotkać, wielebna.

– Nie ma sprawy – powiedziała.

Usłyszeliśmy trzask drzwi i obejrzeliliśmy się w stronę, z której dobiegł.

Z domu wyszła dziewczynka, piętnasto-, może szesnastoletnia; przystanęła na schodkach, trzymając w rękach coś, co wyglądało na szkolne ćwiczenia.

– Czego potrzebujesz, Valerie? – spytała Cherish Daney.

Dziewczynka popatrzyła na nią jakby z urazą.

– Val?

– Niech mi pani pomoże z matematyką.

– Oczywiście, pokaż.

Dziewczynka zawahała się, zanim podeszła. Faliste, czarne włosy sięgały jej za pas. Pulchna, miała okrągłą i ponurą twarz, a krok sztywny i niepewny.

Kiedy stanęła przy Cherish Daney, zaczęła na nas zerkać, udając przy tym, że wcale tego nie robi.

– Ci panowie są z policji, Val. Przyszli w sprawie Randa.

– Aha.

– Wszystkim nam bardzo smutno z powodu Randa, prawda, Val?

– Aha.

– Dobrze, pokaż mi, z czym masz problem.

Valerie otworzyła ćwiczenia. Arytmetyka, szósta klasa.

– Z tym. Robię wszystko dobrze, ale wychodzą mi złe wyniki.

Cherish pogłaskała dziewczynkę po ramieniu.

– Popatrzmy.

– Wiem, że robię dobrze. – Valerie rozprostowała i zwinęła dłonie. Zakołysała się na piętach. Zerknęła na Mila i na mnie.

– Val? – powiedziała Cherish. – Skupmy się.

Dotknęła policzka dziewczynki i skierowała jej wzrok na książkę.

Val się wzdrygnęła, ale popatrzyła na zadanie. Staliśmy tak, a Cherish próbowała rozwikłać tajemnice ułamków – mówiła wolno, wszystko jasno tłumaczyła, zrezygnowała z okazywania cierpliwości, a nie protekcjonalności.

Nie traciła cierpliwości, kiedy Valerie przestawała się skupiać. A tak było często.

Dziewczynka tupiała, uderzała rękami o różne części ciała, wiła się, wyciągała szyję, wzdychała. Kontakt wzrokowy z nią był ulotny jak koliber; bez przerwy zerknęła na nas, popatrywała w niebo i w ziemię. Na książkę. Na dom. Na wiewiórkę, która przemknęła po sekwojowym ogrodzeniu.

Za długo studiowałem, żeby oprzeć się postawieniu diagnozy.

Cherish Daney nie dawała się zbić z tropu, tyle razy zmuszała dziewczynkę, żeby skupiła się na pojedynczym problemie, że wreszcie jej się udało.

– No i proszę! Świetnie, Val! Zróbmy jeszcze jedno.

– Nie, nie trzeba, już rozumiem.

– Myślę, że jeszcze jedno nie zaszkodzi.

Zdecydowane potrząśnięcie głową.

– Na pewno, Val?

Dziewczynka nie odpowiedziała, tylko pobiegła z powrotem do domu. Upuściła ćwiczenia, krzyknęła ze złością, nachyliła się, podniosła je, otworzyła drzwi i zniknęła.

– Przepraszam za tę przerwę – powiedziała Cherish. – To wspaniałe dziecko, ale wymaga dużo pracy.

– Zaburzenia koncentracji? – spytałem.

– Aż tak widać, co? – Cherish przyjrzała mi się dużymi, niebieskimi oczami. – Wiem, kim pan jest. Psychologiem, który przychodził do Randa.

– Alex Delaware. – Wyciągnąłem dłoń.

Uścisnęła ją mocno i bez wahania.

– Spotkaliśmy się w areszcie.

– Tak, wielebna.

– Wygląda na to – powiedziała – że nasze ścieżki przecinają się w smutnych miejscach.

– Ryzyko zawodowe – odparłem. – Obu naszych zawodów.

– Chyba tak... właściwie nie jestem wielebna, tylko nauczycielką.

Uśmiechnąłem się.

– „Tylko” nauczycielką?

– Przydaje się. Do nauki w domu. Uczymy dzieci w domu.

– Przybrane dzieci? – spytał Milo.

– Zgadza się.

– Jak długo u państwa zostają?

– Różnie. Val miała zostać u nas sześćdziesiąt dni, kiedy jej matka przechodziła badania kwalifikacyjne do odwyku. Potem matka przedawkowała i zmarła, a wszyscy krewni Val mieszkają w Arizonie. Ledwie ich zna; jej mama uciekła z domu. Do tego nie chcieli wziąć jej do siebie. Więc jest już u nas blisko rok.

– Iloma dziećmi się państwo opiekujecie?

– To się zmienia. Mój mąż robi zakupy w Value Club. Kupujemy hurtowo.

– Jak wyglądała umowa z Randem Duchayem? – spytał Milo.

– Umowa?

– Z władzami stanu.

Cherish Daney pokręciła głową.

– To nie był oficjalny układ, poruczniku. Dowiedzieliśmy się, że Rand został zwolniony i nie ma dokąd iść, więc wzięliśmy go do siebie.

– Władzom hrabstwa nie przeszkadzała jego obecność tutaj? – spytał Milo. – Z dziećmi?

– To nigdy nie wyszło na jaw. – Daney zeszywniała. – Nie będzie nam pan robił problemów, prawda? To by było nie fair w stosunku do dzieci.

– Nie, proszę pani. Tak mi tylko przyszło do głowy.

– Nigdy nie było żadnego niebezpieczeństwa – oświadczyła. – Rand był dobrym człowiekiem.

To samo mówił on sam. Milo ani ja nie odpowiedzieliśmy.

– Nie oczekuję, że mi panowie uwierzycie – powiedziała Cherish Daney – ale tych osiem lat go zmieniło.

– W kogo?

– W dobrego człowieka, poruczniku. Zresztą nie zamierzał zostać z nami na długo. Tylko dopóki nie znalazłby sobie pracy i jakiegoś kąta do mieszkania. Mąż wypytywał w kilku fundacjach, wymyślił, że może Rand mógłby pracować w jakimś sklepie z pamiątkami albo gdzieś w ogrodnictwie. Potem sam Rand przejął inicjatywę i wymyślił tę budowę. Tam właśnie poszedł w sobotę.

– Domyśla się pani, jak trafił do Bel Air?

Pokręciła głową.

– Nie miał żadnego powodu tam być. Tylko jedno przychodzi mi do głowy: zgubił się i ktoś go zabrał. Rand bywał bardzo ufny.

– Nie zadzwonił do państwa?

– Nie miał telefonu – odparła Cherish.

Do mnie zadzwonił z budki.

– Jak daleko jest ta budowa? – spytał Milo.

Kilka przecznic stąd, na Vanowen.

– Niezbyt daleko, żeby się zgubić.

– Poruczniku, Rand cały okres dojrzewania spędził w więzieniu. Kiedy wyszedł, był kompletnie zdezorientowany. W jego świecie panował jeden wielki zamęt.

– William James – powiedziałem.

– Słucham?

– Pionier psychologii. Nazwał dzieciństwo jednym wielkim zamętem.

– Pewnie słyszałam to na zajęciach – powiedziała Cherish. – Miałam psychologię w seminarium.

– A więc utrzymywaliście państwo regularny kontakt z Randem, kiedy był w więzieniu? – spytał Milo.

– Tak – odparła. – Tuż po śmierci Troya nawiązaliśmy kontakt.

– Dlaczego wtedy?

– Na początku więcej czasu poświęciliśmy Troyowi, bo znaleźliśmy go sprzed kłopotów.

– A te kłopoty to morderstwo Kristal Malley – stwierdził Milo.

Cherish Daney odwróciła wzrok. Przygarbiła się jeszcze bardziej.

– Skąd wcześniej znaleźcie państwo Troya, pani Daney?

– Kiedy mój mąż i ja studiowaliśmy, na seminarium ze służby społeczności musieliśmy między innymi rozpoznawać jej potrzeby. Mieszkaliśmy niedaleko 415 City, więc wiedzieliśmy, co to za miejsce. Nasz promotor uznał, że łatwo będzie tam znaleźć dzieci z potrzebami. Poszliśmy z tym do opieki społecznej, a oni wskazali nam kilku kandydatów. Troy był jednym z nich.

– Rand nie? – spytałem.

– Nazwisko Randa nigdy nie pojawiło się na żadnych listach.

– Na listach chuliganów? – uściślił Milo.

Cherish przytaknęła.

– Spotkaliśmy się z Troyem dwa razy, próbowaliśmy zainteresować go Kościołem, jakimś sportem albo hobby, ale nigdy tak naprawdę nie nawiązaliśmy ze sobą kontaktu. Potem, po... musiał wspomnieć o nas swojej prawniczkę, bo zadzwoniła do nas i powiedziała, że to świetny moment, żeby zacząć mu doradzać duchowo.

Biblia w celi. Gładkie gadki o grzechu.

– Dlaczego na początku nie udało się wam nawiązać kontaktu? – spytał Milo.

– Wie pan, jak to jest. Dzieci nie zawsze lubią słuchać pouczania.

Spojrzała na mnie, szukając potwierdzenia. Milo nie dał mi szansy.

– Czy po aresztowaniu Troy chętniej nawiązywał kontakt? – zapytał.

Cherish westchnęła.

– Uważa pan, że jesteśmy naiwni. To nie jest tak, że nie zdawaliśmy sobie sprawy z potworności tego, co Troy zrobił. Wiedzieliśmy jednak, że sam też był ofiarą. Poznał pan jego matkę, doktorze.

– Gdzie ona jest? – spytałem.

– Nie żyje – odparła krótko.. – Kiedy ciało Troya było już gotowe do pogrzebu, zadzwonili do nas z biura koronera w Chino. Nie mogli znaleźć Jane, a my byliśmy jedynymi ludźmi na jego liście gości. Próbowaliśmy się skontaktować z panną Weider, ale nie pracowała już jako publiczny obrońca. Zwłoki Troya leżały w kostnicy, aż nasz dziekan zgodził się przekazać działkę w San Bernardino, gdzie spoczywa kilku wykładowców uczelni. Urządziliśmy mu tam pogrzeb. – Dotknęła swojego krzyżyka. Nagle po jej twarzy popłynęły łzy. Nie próbowała ich ukrywać. Tamten dzień. Mój mąż, ja i doktor Wascomb, nasz dziekan. Piękny, słoneczny dzień, a my patrzyliśmy, jak pracownicy cmentarza opuszczają do grobu tę żalną, małą trumnę. Miesiąc później zadzwoniła do nas detektyw Kramer. Jane została znaleziona pod wjazdem na autostradę, w jednym z obozowisk bezdomnych, zawinięta w śpiwór i płachtę brezentu. Zawsze tak spała, więc inni bezdomni nie zwrócili na to uwagi, dopóki nie przyszło południe, a ona wciąż się nie ruszała. W nocy ktoś ją zadźgał. Ten, kto ją zabił, zawinął ją z powrotem.

Zadrzała, wyjęła chusteczkę z książki i wytarła twarz.

– Jak długo to było po śmierci Troya? – spytał Milo.

– Sześć tygodni, dwa miesiące, jaka to różnica? Chodzi mi o to, że to byli straceni chłopcy. A teraz Rand.

– Domyśla się pani, kto mógł chcieć skrzywdzić Randa?

Pokręciła głową.

- W jakim był nastroju?
- Zdezorientowany, jak panu mówiłam. Kręciło mu się w głowie od wolności.
- Nie był szczęśliwy, że wyszedł?
- Szczerze? Niezbyt.
- Miał jakieś inne plany niż znalezienie pracy?
- Nie ponaglaliśmy. Pomagaliśmy mu się zadomowić.
- Możemy zobaczyć jego pokój?
- Pewnie – powiedziała Cherish. – O ile można to nazwać pokojem.

Poszliśmy za nią przez mały, zadbanej salon, ciemną, małą kuchnię z jadalnią, potem niskim, wąskim korytarzem. Sypialnia ledwie mieściła meble, które w niej stały. Jedna łazienka na cały dom.

Na końcu korytarza znajdowało się pozbawione okien pomieszczenie, dwa i pół na dwa i pół metra.

- To tu – powiedziała Cherish Daney.
- Ściany pokrywała tania boazeria. Z PCV podłogi sterczały zakorkowane rury.
- To była pralnia? – spytał Milo.
  - Kuchenne wejście. Pralkę i suszarkę przenieśliśmy na zewnątrz.

Nad połowym łóżkiem wisiała oprawiona w ramki scenka biblijna – nordycki Salomon i dwie podobne do Walkirii kobiety, domagające się uznania swojego macierzyństwa tego samego tłustego, blondwłosego niemowlęcia. Na szafce nocnej z surowego drewna stała biała, plastikowa lampka. Milo zajrzał do szuflad. W górnej mocno zaczytana Biblia, w dolnej nic.

Rolę szafy pełniła poszczerbiona, metalowa skrzynka w nogach łóżka, w środku – dwa białe t-shirty, dwie niebieskie koszule robocze i niebieskie dzinsy.

- Nie zdążyliśmy kupić mu żadnych ubrań – powiedziała Cherish Daney.
- Wróciliśmy do drzwi wejściowych. Cherish wyjrzała przez okno.
- Jest mój mąż. Lepiej pójde mu pomóc.

Drew Daney wszedł przez bramę, niosąc w każdej ręce wielką torbę z zakupami. Z prawego kciuka zwisała mu jeszcze większa siatka pomarańczy.

Cherish wzięła owoce i sięgnęła po jedną z toreb.

Daney ją powstrzymał.

– Dam sobie radę, Cher.

Ciemne oczy nas dostrzegły. Daney zatrzymał się i położył swój ciężar na ziemi.

– Doktor Delaware.

– Zapamiętał pan.

– To niespotykane nazwisko – stwierdził, podchodząc bliżej. Już dawniej miał sylwetkę zapaśnika, a przytył jakieś dziesięć kilogramów; gęste, faliste włosy posiwiały mu na skroniach. Nosił teraz brodę, krótką, srebrną szczecinę, równo przystrzyżoną. Jego biała koszulka polo była nieskazitelnie czysta i wyprasowana, tak jak niebieskie dżinsy – wybierał takie same kolory, jak żona. – Poza tym – dodał – czytałem pana raport przedstawiony sędziemu, więc pana nazwisko utkwiło mi w pamięci.

Cherish popatrzyła na niego i weszła do domu.

– Jak pan do niego dotarł? – spytałem.

– Sydney Weider chciała poznać moje zdanie jako opiekuna Troya. Powiedziałem jej, że według mnie to dokument napisany ostrożnie. Nie chciał pan ryzykować, że wyrazi się nienaukowo. Ale też nie chciał pan chłopcom darować.

– Darować morderstwa? – spytał Milo.

– Wtedy mieliśmy nadzieję na cud.

– My?

– Rodziny chłopców, Sydney, moja żona, ja. Wydawało się nam po prostu, że zamknięcie chłopców na zawsze niczego nie rozwiąże.

– „Na zawsze” trwało raptem osiem lat, wielebny – zauważył Milo.

– Detektywie... jak się pan nazywa, proszę...

– Sturgis.

– Detektywie Sturgis, w życiu dziecka osiem lat to wieczność. – Daney przecesał dłonią włosy. – W przypadku Troya wiecznością był miesiąc. A teraz Rand... niewiarygodne.

– Domyśla się pan, kto mógł chcieć skrzywdzić Randa?

Daney wydał wargi. Szturchnął stopą jedną z toreb z zakupami i ściszył głos.

– Nie chcę, żeby słyszała to moja żona, ale chyba jest coś, co powinniście panowie wiedzieć.

– Chyba?

Daney zerknął na swój dom.

– Moglibyśmy później gdzieś porozmawiać?

– Lepiej byłoby wcześniej niż później, proszę pana.

– Dobrze, jasne, rozumiem, o co panu chodzi. Mam o drugiej spotkanie rady młodzieży w Sylmar. Mogłbym wyjść trochę wcześniej i spotkać się z wami za, powiedzmy, dziesięć minut?

– Dobrze – zgodził się Milo. – Gdzie?

– Może w Dipsy Donut na Vanowen, kilka przecznic na zachód.

– Będziemy tam, wielebny.

– Obaj panowie? – spytał.

– Doktor Delaware jest w tej sprawie konsultantem.



– Aha – powiedział Daney. – Rozumiem.

– Mówiłem ci – powiedział Milo, kiedy odjeżdżaliśmy. – Wciąż grasz w przeciwnej drużynie.

– A ty?

– Ja reprezentuję siły porządku, którym przydzielono zaszczytne zadanie rozwiązania zagadki morderstwa Duchaya.

– Chcesz, żebym poczekał w samochodzie, kiedy wy dwaj będziecie się bratać?

– Jasne. Ciekawe, co wielbny koleżka chce zataić przed żoną.

– Tak jakby to coś miało ją wystraszyć.

– Straszne – powiedział Milo – zawsze jest interesujące.

Cukiernia mieściła się w tandetnym, białym pawilonie stojącym na spękany asfalcie, zwieńczonym dwumetrowym, nadjeżdżonym pączkiem o człowiekopodobnych rysach. Brązowy gips, obłupany w kilku miejscach, niby to udawał czekoladę. Radosne spojrzenie miało świadczyć, że smażone w głębokim tłuszczu stworzenie uwielbiało być pożerane. Na asfalcie stały bezładnie trzy niezbyt czyste, aluminiowe stoliki i ławki. W szyldzie brakowało kilku liter.

W środku było pełno klientów. Weszliśmy, odetchnęliśmy tłuszczem i cukrem i stanęliśmy w kolejce; trójka zagonionych dzieciaków pakowała i podawała ciastka śliniącej się gromadzie. Milo kupił tuzin różnych pączków; jednego z galaretką i jednego z czekoladą skończył, zanim wróciliśmy do samochodu.

– O co ci chodzi? – powiedział. – To należy do moich obowiązków. Poza tym żucie to aerobik.

– Smacznego.

– Mówisz tak, ale widać, że tego nie pochwalasz.

Wyjąłem z pudełka ciastko wielkości samochodowego kołpaka i wgrzyłem się w nie.

– Zadowolony?

– Twórcze umysły nigdy nie są zadowolone.

Wsiadliśmy do seville'a – i Milo pożarł kolejnego pączka z galaretką.

– Zastanawiam się, co Rand robił między szóstą trzydzieści a dziewiątą – powiedziałem.

– Ja też. Zapomniałem o kawie, przynieść ci?

– Nie, dzięki.

Wrócił do cukierni w chwili, kiedy starym, białym dżipem podjechał wielbny Drew Daney. Wsiadłem z samochodu, a Milo wrócił z dwoma kawami.

Poczęstował Daneya pączkami z pudełka.

Daney uzupełnił swój strój niebieskim blezerem; ręce trzymał w kieszeniach.

– Są tam jakieś z likierem?

Usiedliśmy we trzech przy jednym ze stolików na zewnątrz. Daney znalazł sobie pączka z nadzieniem malinowym, ugryzł, westchnął zadowolony.

– Grzeszne przyjemności, co?

– Racja, wielbny.

– Nie jestem wyświęcony, więc proszę mi mówić po prostu Drew.

– Nie skończył pan seminarium?

– Z własnej woli – wyznał Daney. – Tak samo Cherish. Oboje zaangażowaliśmy się w pracę z młodzieżą i uznaliśmy, że to jest nasze powołanie. Nie żałuję tego. Kazalnica ma z reguły więcej wspólnego z polityką niż czynieniem dobra.

– Praca z młodzieżą – powtórzył Milo czyli rodzinny dom dziecka.

– Dom dziecka, nauka w domu, doradztwo. Współpracuję z kilkoma fundacjami; stąd to spotkanie w Sylmar. – Spojrzał na zegarek. – Lepiej przejdę do rzeczy. To prawdopodobnie nie takiego, ale uważam, że to mój obowiązek panom o tym powiedzieć.

Dokończył pączka, strzepnął okruchy z kolan.

– Sześć miesięcy temu Rand został przeniesiony do Camarillo, gdzie czekał na zwolnienie. W czwartek wieczorem moja żona i ja pojechaliśmy po niego i przywieźliśmy go do domu. Wyglądał, jakby wylądował na innej planecie.

– Był zdezorientowany – powiedziałem, używając sformułowania jego żony.

– Więcej. Oszołomiony. Niech pan pomyśli, doktorze, osiem lat ekstremalnie sztywnych reguł, cały okres dojrzewania spędzony za kratami i nagle zostaje wypuszczony w nowy, obcy świat. Daliśmy mu kolację, pokazaliśmy jego pokój, a on od razu poszedł spać. To był tylko przerobiony kuchenny ganek, ale mówię wam, Rand wyglądał, jakby był naprawdę wdzięczny, że znów może być w ciasnym pomieszczeniu. Następnego ranka wstałem jak zwykle o szóstej trzydzieści i zajrzałem do niego. Jego łóżko było puste, idealnie posłane. Znalazłem go przed domem, siedział na schodach wejściowych. Wyglądał gorzej niż poprzedniego wieczoru: ciemne worki pod oczami, bardzo zdenerwowany. Spytałem go, co się stało, a on tylko popatrzył na bramę, była szeroko otwarta. Powiedziałem mu, że wszystko się ułoży, że musi dać sobie trochę czasu. To go tylko bardziej zdenerwowało, zaczął kręcić głową, bardzo szybko. Potem ukrył twarz w dłoniach. – Daney to nam pokazał. – Wyglądał, jakby się przed czymś ukrywał. Jak struś. Siłą odgiąłem mu palce i spytałem, co się stało. Nie odpowiedział, a ja mu powiedziałem, że to ważne, żeby uzewnętrznił swoje uczucia. W końcu wydusił z siebie, że ktoś go obserwuje. Zaskoczyło mnie to, ale starałem się tego nie okazywać. Spytałem kto. Powiedział, że nie wie, ale że w nocy słyszał jakieś hałasy, jakby ktoś kręcił się pod jego oknem. Mamy małą działkę, a ani moja żona, ani ja niczego nie słyszeliśmy. Spytałem go, o której to było. Odparł, że w nocy, nie miał zegarka. Potem powiedział, że usłyszał to znów wcześniej rano, tuż po wschodzie słońca. Wstał, zastał bramę otwartą i zobaczył szybko odjeżdżającą ciężarówkę. Zawsze zamykamy bramę, ale zamek nie ma zapadki i czasem wiatr ją otwiera. Dlatego się tym nie przejąłem.

– Jaka to była ciężarówka? – spytał Milo.

– Powiedział, że czarny pikap. Nie naciskałem, bo nie chciałem z tego robić afery. Po prostu nie wydało mi się to aż tak ważne.

– Wątpił pan w jego wiarygodność – powiedział Milo.

– To nie jest kwestia wiarygodności – odparł Daney. – Doktorze Delaware, przeprowadzał pan Randowi testy. Powiedział pan detektywowi, jak bardzo upośledzony był ten chłopak pod względem nauki?

Kiwnąłem głową.

– To teraz niech panowie połączą to z szokiem wyjścia na wolność.

– Czy Rand przedtem wymyślał rzeczy, które nie istniały? – spytałem.

– Czy miał halucynacje? – sprecyzował Daney. – Nie. W piątek on nie miał przywidzeń. Raczej... wyolbrzymiał zwykłe zdarzenia. Uznałem, że usłyszał ptaka albo wiewiórkę.

– A teraz nie jest pan tego pewien – stwierdził Milo.

– W świetle tego, co się stało, byłbym głupcem, gdybym się nie zaczął zastanawiać.

– Czy coś się wydarzyło między piątkiem a sobotą wieczór?

– Nie mówił nic więcej o tym, że ktoś go obserwuje, ani o ciemnej ciężarówce, a ja tego tematu nie poruszałem – odparł Daney. – Poszedł na spacer, wrócił i powiedział, że był na budowie i że zamierza tam wrócić po południu, żeby porozmawiać z szefem.

– O której był ten pierwszy spacer? – spytał Milo.

– Jadamy wcześniej... może o ósmej, ósmej trzydzieści rano.

– Jakiej pracy szukał?  
– Chyba wszystko jedno jakiej. Nic tak naprawdę nie umiał.  
– Resocjalizacja CYA – mruknąłem.  
Na potężnych barach Daneya zagrały mięśnie.  
– Niech mi pan nawet o tym nie mówi.  
– Pana żona powiedziała, że Rand wyszedł o piątej po południu na spotkanie z kierownikiem. Ale budowę zamykają w południe powiedział Milo.  
– Pewnie Randowi coś się pomyliło, detektywie. Albo ktoś wprowadził go w błąd.  
– Po co ktoś miałby to robić?  
– Ludzie tacy jak Rand często są wprowadzani w błąd. – Daney znów spojrział na zegarek i wstał. – Przykro mi, muszę się pożegnać.  
– Jeszcze jedno pytanie – powiedział Milo. – Zamierzam się skontaktować z rodziną Randa. Jak pan myśli, gdzie powinienem zacząć?  
– Niech pan da sobie spokój – odparł Daney. – Nikogo nie ma. Jego babka zmarła kilka lat temu. Komplikacje po chorobie serca. To ja powiedziałem o tym Randowi.  
– Jak to przyjął?  
– Tak jak można by się spodziewać. Bardzo go to wzburzyło. – Zerknął na swojego dziopa.  
– Nie wiem, czy coś z tego się panom przyda, ale uznałem, że powinienem wam o tym powiedzieć.  
– Jestem wdzięczny – powiedział Milo. – Nie chciał pan, żeby pana żona się o tym dowiedziała, ponieważ...  
– Nie ma sensu jej denerwować. Nawet gdyby to było istotne, ona nie miałaby z tym nic wspólnego.  
– Czy jest jeszcze coś, co mogłoby mi pomóc, proszę pana? – spytał Milo.  
Daney wepchnął rękę do kieszeni. Znów spojrział na dziopa. Przesunął dłonią po stalowych szpilkach swojej brody.  
– To... delikatna sprawa. Naprawdę nie wiem, czy powinienem o tym mówić.  
– O czym mówić, proszę pana?  
– Randa znaleziono daleko od domu, więc tak sobie pomyślałem, że może ta ciężarówka... A jeśli ktoś go podwiózł? – Daney spróbował skubnąć trzymilimetrový włos z brody, w końcu udało mu się go złapać między paznokcie, pociągnął, poruszył policzkiem.  
– Ciemny pikap – przypomniał Milo. – Coś to panu mówi?  
– O to właśnie chodzi – powiedział Daney. – Mówi, ale naprawdę mi niezręcznie... Wiem, że to śledztwo w sprawie morderstwa, ale jeśli mogliby panowie zachować dyskrecję...  
– W sprawie?  
– Podawania mnie jako źródło. – Daney przygryzł wargę. – To długa historia.  
– Czy to się łączy z tym, co się stało osiem lat temu?  
Daney znów skubnął policzek; twarz mu się wykrzywiła.  
– Będę tak dyskretny, jak to będzie możliwe, proszę pana – zapewnił Milo.  
– Wiem, że pan będzie... – Daney odwrócił się, kiedy na parking wjechała ciężarówka wyładowana workami z nawozem. Granatowa. Z napisem HERNANDEZ OGRODNICTWO. Dwóch wąsatych mężczyzn w zakurzonych dżinsach i bejsbolówkach wysiadło i weszło do cukierni.  
– Sam pan widzi – powiedział Daney – wszędzie pełno pikapów. To na pewno nic poważnego.  
– Niech pan mimo to spróbuje, panie Daney. Dla Randa.  
Daney westchnął.

– Dobrze... – I znów westchnienie. – Barnett Malley, ojciec Krystal, jeździ ciemnym pikapem. A przynajmniej jeździł.

– Osiem lat temu? – spytał Milo.

– Nie, nie, nie tak dawno. Dwa lata temu. Wtedy wpadłem na niego w sklepie z narzędziami, niedaleko stąd. Kupowałem części, żeby naprawić młynek do odpadków w zlewie, a on kupował narzędzia. Zauważyłem go od razu, ale on mnie nie widział. Próbowałem go wyminąć, spotkaliśmy się jednak przy kasie. Przepuściłem go, patrzyłem, jak wychodzi i wsiada do swojej ciężarówki. Czarnego pikapa.

– Rozmawialiście? – spytał Milo.

– Ja chciałem – odparł Daney. – Chciałem mu powiedzieć, że nigdy nie pojąłem jego cierpienia, ale modliłem się za jego córkę. Chciałem mu powiedzieć, że wyciągnięcie ręki do Troya i Randa nie znaczy, że nie rozumiem jego tragedii. Ale on popatrzył na mnie, jakby mówił „nie zaczynaj”.

Daney objął się ramionami.

– Wrogość – zasugerowałem.

– Coś więcej, doktorze.

– Jak bardzo więcej? – spytał Milo.

– Jego oczy – powiedział Daney. – Czysta nienawiść.

Patrzyliśmy, jak biały dzip odjeżdża.

– Barnett Malley – powiedział Milo. – Sprawa oficjalnie zrobiła się śliska. A więc jak zasadzka pasowałaby do ram czasowych i telefonu do ciebie półtorej godziny po tym, jak Rand wyszedł od Daneyów?

– Rand mógł skłamać Daneyom, że idzie na budowę.

– A niby po co?

– Bo miał jeszcze jedno spotkanie przed tym ze mną i nie chciał, żeby się o tym dowiedzieli. Z Barnettem Malleyem.

– Wciąż nie rozumiem.

– Mówiłem ci, że w jego głosie słyhać było niepokój. Jeśli wciąż dręczyły go wyrzuty sumienia i próbował udowodnić, że jest dobrym człowiekiem, kogo powinien poprosić o wybaczenie, jeśli nie Malleya?

– Daney powiedział, że Rand panikował, bo ktoś go obserwował.

– Ale następnego dnia rano wyglądał już lepiej. Może skontaktował się jakoś z Malleyem, postanowił działać. Prawo stanowe nakazuje powiadamiać rodziny ofiar, kiedy przestępca jest zwalniany, więc Malley wiedział, że Rand wyszedł. A jeśli miał go na oku, stanął z nim twarzą w twarz, kiedy Rand po raz pierwszy poszedł na budowę o ósmej rano? Zgodzili się spotkać później, a Rand wymyślił spotkanie z kierownikiem budowy jako przykrywkę.

– Nie było zasadzki – powiedział Milo. – Wsiadł do samochodu Malleya dobrowolnie, a potem zrobiło się nieprzyjemnie.

– Rand był łatwowski, niezbyt mądry, zależało mu na rozgrzeszeniu. Gdyby Malley wydał mu się przyjazny, skłonny do wybaczenia, Rand by to kupił.

– Dobra, przemyślmy to. Rand spotyka się z Malleyem około piątej, Malley zawozi go do miasta, wysadza przy centrum handlowym, a Rand dzwoni do ciebie, żeby umówić się na następne spotkanie? Po co, Alex?

Po raz pierwszy użył imienia ofiary. Najwyraźniej coś się zmieniło.

– Nie wiem – odparłem. Chyba że Rand i Malley pogodzili się i Rand postanowił to wykorzystać.

Milo energicznie potarł twarz, jakby się mył na sucho.

– Na krótko się pogodzili, skoro Malley go zastrzelił. Czyli jak, Malley go wysadził, a potem znowu zabrał?

– Może chciał porozmawiać o czymś jeszcze.

– I jeździli tak we dwóch, gaworząc sobie o starych, niedobrych czasach, a Malley postanowił go jednak sprzątnąć, zamiast pozwolić mu zjeść z tobą pizzę? Nawet gdybyśmy mogli to wszystko wyjaśnić, pozostaje ważne pytanie: zemsta, to dlaczego Malley czekał z nią osiem lat?

– Może chciał poczekać, aż obaj chłopcy wyjdą, ale gang z CYA w przypadku Troya okazał się szybszy.

– Więc z Randem się nie spieszył. – Milo dopił kawę. – Według Daneya dwa lata temu Malley wciąż był wściekły.

– Malley chciał kary śmierci – powiedziałem. – Są rany, które nigdy się nie goją.

– Teoria, teoria, teoria. I co teraz? Mam wejść z buciorami w życie ludzi, którzy stracili dziecko w najtragiczniejszy sposób, bo mężulo dwa lata temu spojrział krzywo na Daneya i jeździ czarnym pikapem?

– Delikatna sprawa – przyznałem.

– Sprawa, która wymagałaby wyjątkowej psychologicznej wrażliwości.

Ugryzłem pączka. Kilka minut temu smakował wspaniale. Teraz w ustach poczułem smażony w głębokim tłuszczu kurz.

– Czy ja to muszę mówić wprost, Alex? Wolałbym, żebyś ty to zrobił, a ja popatrzę.

– Nie boisz się, że sama moja obecność już coś popsuje?

– Obrona uważała cię za sprzyjającego prokuraturze, więc może Malleyowie z tego samego powodu zapamiętali cię jako sprzymierzeńca.

– W ogóle nie będą mnie pamiętali – stwierdziłem. – Nigdy się nie spotkaliśmy.

– Naprawdę?

– Nie było powodu.

Zabawne, jak obrończo to zabrzmiało.

– Cóż – powiedział Milo. – Teraz już jest.

Milo zadzwonił do wydziału komunikacji po numery prawa jazdy i rejestracji Barnetta i Lary Malleyów.

O niej nie było nic. Barnett Melton Malley był zameldowany pod adresem w Soledad Canyon, w Antelope Valley.

– Data urodzenia się zgadza – powiedział Milo. – Jeden pojazd, dziesięcioletni ford pikap. W chwili rejestracji czarny.

– Soledad to sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kilometrów od Van Nuys – powiedziałem. – Po tym, co przeszedł, rozumiem, że chciał się wynieść z miasta. Ale na wsi Lara musiałaby jeździć samochodem, więc dlaczego nie ma prawa jazdy?

– Nie mieszkają razem i wyprowadziła się ze stanu?

– Taka tragedia nieraz rozdziela ludzi.

– Wyobrażam sobie, że to mógł być potężny klin – powiedział Milo. – Krystal została porwana sprzed samego nosa matki. Może mężuło ją o to winił.

– Albo – powiedziałem – sama siebie winiła.

Kiedy wracaliśmy do miasta, zadzwonił Sean Binchy. Komenda z Van Nuys nie miała w aktach żadnego śladu telefonu Daneyów o zniknięciu Randa.

– Nic dziwnego powiedział Milo. – Nie był oficjalnie zaginiony, więc nie wciągnęli tego do akt.

– Jak wygląda na chwilę obecną twoja teoria o współniku w zbrodni?

– Czy porzuciłem ją zupełnie, bo Barnett Malley ma czarną ciężarówkę? Jak powiedział Daney, w Valley jest pełno pikapów. Ale Malley miał dobry powód nienawidzić Randa. Byłbym idiotą gdybym to zignorował.

– Kiedy zamierzałeś złożyć mu wizytę?

– Jutro – powiedział. – Na tyle późno, żeby uniknąć korków rano, ale na tyle wcześniej, żeby nie utknąć, wracając. Najpierw spróbuję się dowiedzieć, gdzie on pracuje. Jeśli będę miał fart i okaże się, że to gdzieś bliżej, zadzwonię do ciebie.

Zapisał coś w notesie, schował go z powrotem do kieszeni.

– A może będę miał fart jeszcze większy i pojawi się jakiś nowy czynnik. Na przykład żelazne alibi dla Malleya.

– Nie chcesz, żeby to był on – mruknąłem.

– Co powiesz na obiad? – odparł. – Chodzi za mną jagnięcina tandoori.

Najpierw wpadliśmy na posterunek, gdzie Milo odsłuchał wiadomości i sprawdził Barnetta Malleya w Krajowym Centrum Informacji Kryminalnej oraz innych bazach danych. Nic nie znalazł. Tak samo na temat Lary Malley.

Nie siadałem, spodziewając się, że niedługo wyjdziemy do Cafe Moghul. Milo jednak trwał z zamkniętymi oczami, przekładając telefon z ręki do ręki, aż w końcu zadzwonił do archiwum w śródmieściu i poprosił archiwistę, który był mu winien przysługę. Chwilę trwało, zanim go połączono, ale kiedy już to się stało, rozmowa była krótka. Gdy odkładał słuchawkę, wyglądał na znużonego.

– Lara Malley nie żyje. Siedem lat temu, samobójstwo z użyciem broni palnej. Teraz kobiety częściej do siebie strzelają, ale wtedy to było trochę niezwykle, prawda? Wybrały raczej pigułki.

– Nie zawsze, jeśli podchodziły do tego poważnie – powiedziałem.

– Mamusia idzie do świętego Piotra rok po morderstwie Kristal. Oczekała wystarczająco długo, żeby się przekonać, że życie wcale nie wygląda coraz lepiej. Malleyowie poddali się jakiejś terapii, Alex?

– Nie wiem.

Milo zaczął tuc w klawiaturę komputera, jakby to był jego partner sparringowy, wszedł do stanowego spisu rejestracji broni. Skrzywił się, popatrzył chwilę, zapisał coś, a potem ściągnął wargi w dziwnym, czczym uśmiechu – widząc go takim, poczułem zadowolenie, że nie jestem jego wrogiem.

– Pan Bamett Melton Malley zgromadził spory arsenał. Trzyście strzelb, karabinów i pistoletów, w tym dwie trzydziestkiósemki.

– Może mieszka sam w odludnej okolicy. Miałby powód, żeby być czujny.

– Kto powiedział, że mieszka sam?

– Na to samo wychodzi. Jeśli założył nową rodzinę, chciałby ją chronić.

– Pełny gniewu, zgorzkniały facet podsumował Milo. – Traci całą rodzinę, wyprowadza się w dzicz z uzbrojeniem wystarczającym dla oddziału milicji. Może należy do milicji, może wierzy w prawo dżungli. Czy byłoby przesadą użycie określenia „wysokie ryzyko”?

– Gdyby zamierzał kogoś zamordować, po co rejestrowałby broń?

– Kto powiedział, że zarejestrował wszystko?

Milo przegrzebał szufladę swojego biurka, wyjął cygaro z drewnianym ustnikiem, przetoczył je w dłoniach.

– Zauważ, jak Rand został zastrzelony – powiedział. – Rana kontaktowa, lewa strona głowy, morderca mniej więcej tego samego wzrostu. Ofiara wzięta z zaskoczenia, jak sugerowałeś. Składa ci się to na jakiś obraz?

– Morderca siedział po lewej. Blisko. Jak na fotelu kierowcy w samochodzie.

Milo wycelował we mnie cygaro.

– Taki właśnie program włączył mi się w głowie. Co do premedytacji, być może Malley wcale tego nie przemyślał. Może na początku chciał z Randem porozmawiać. Stanąc twarzą w twarz z człowiekiem, który zrujnował mu życie. Obaj wiemy, że rodziny ofiar czasem tego pragną.

– Malley miał na to osiem lat, ale zwolnienie Randa mogło ożywić dawne wspomnienia.

– Malley go zabiera, wysadza, jeździ po okolicy i odkrywa, że wciąż ma z Randem rachunki do wyrównania. Jadą razem gdzieś na wzgórze i coś idzie nie tak.

– Rand nie wysławiał się za dobrze. Może powiedział Malleyowi coś niewłaściwego i spowodował u niego wybuch szału.

– „Jestem dobrym człowiekiem”.

– Wyobrażam sobie, jak to mogło źle zabrzmieć.

Milo się zerwał, spróbował chodzić po małym gabinecie, dał jeden mały krok przed siebie, odbił się od mojego krzesła i usiadł. Przeszkadzałem mu. Myślam powędrowałem do Nowego Jorku w rześki, śnieżny dzień.

– Z drugiej strony, jeśli Malley przyjechał uzbrojony, mógł działać z premedytacją – zastanawiałem się.

– Jechał na spotkanie z mordercą swojej córki. Jak sam powiedziałaś, miał dobry powód, żeby być ostrożny.

– Dobry prawnik zrobiłby z tego porządną obronę własną.

Milo rzucił cygaro na biurko.

– Posłuchaj, robimy biednemu draniowi psychoanalizę, a żaden z nas nawet się z nim nie spotkał. Równie dobrze to może być pacyfista, buddysta zen, weganin i transcendentalny medytator, co mieszka w lesie, bo szuka spokoju.

– Z trzynastoma sztukami broni.

– To jest ten drobny zgrzyt – mruknął. – Rany, ależ bym chciał, żeby technicy przelecieli tę jego czarną ciężarówkę. Żeby tak mieć do tego podstawy... Alex, a może odpuścimy sobie obiad. Z jakiegoś powodu mój apetyt słabnie.

– Jasne – powiedziałem.

Odwrócił się, a ja wyszedłem.

Kiedy przeszedłem trzy metry korytarzem, usłyszałem, jak woła:

– Ten kurczak tandoori nam nie ucieknie. Moi ludzie zadzwonią do twoich ludzi.

Zatelefonował tego wieczoru o siódmej czterdzieści.

– Co się stało z twoimi ludźmi? – spytałem.

– Strajkują. Przyjrzałem się jeszcze Malleyowi. Osiem lat temu miał firmę czyszczącą baseny, zwinął ją rok później.

– Kiedy Lara się zastrzeliła. Może wypadł z rynku.

– Bez względu na powód, skoro nie mamy miejsca pracy, zamierzam wyjechać jutro o dziesiątej. Wyszczerezony dureń z prognozy w telewizji mówi, że znad Hawajów idzie ciepły front. To będzie najbliższa wakacjom w tropikach rzecz, jaka mi się może przydarzyć. Co ty na to?

– Mam przyjechać po ciebie do domu?

– Nie, ty bierzesz na siebie psychologię, ale ja prowadzę – powiedział. – Pora zachować się choć trochę urzędowo.

Przyjechał o dziesiątej piętnaście, wyglądając najbardziej urzędowo, jak potrafił: workowaty, brązowy garnitur, biała koszula, krawat w kolorze kitu do okien. Pustynne buty. Ja miałem na sobie swój strój sądowy: granatowy, prążkowany garnitur, niebieską koszulę, żółty krawat. Wszystko jedno, czy Barnett Malley był maniakiem broni, który zaprzysiągł zemstę, czy pogrążoną w cichej żałobie ofiarą, garderoba nic by nie zmieniła.

Milo zabrał mi z kuchni czerstwą bagietkę i przeżuwał ją, jadąc do Sunset, potem w prawo, do Czterysta Piątej Północnej. Tym razem zwolnił i pokazał miejsce, gdzie znaleziono zwłoki Randa Duchaya. Kępa krzaków na wschodniej stronie wzniesienia, biegnącego równoległe do podjazdu. Żadnych wysokich drzew, tylko jałowce i chwasty. Morderca niezbyt się starał.

Trasa z miejsca porzucenia zwłok do Soledad Canyon prowadziła właśnie tędy.

Milo powiedział to, co było oczywiste.

– Zrobiłeś swoje, wywal go, jedź do domu.

Wyprawa zajęła pięćdziesiąt osiem minut spokojnej jazdy pod niebieskim niebem. Pogodynka miała rację: dwadzieścia sześć stopni, smogu brak, jedna z tych lekko owocowych tropikalnych bryz, które wieją o wiele za rzadko.

Przejechaliśmy przez północny skraj Bel Air, przez soczyście zielone wzgórza najeżone porozstawianymi optymistycznie w niemożliwych miejscach domami. Potem minęliśmy oszałamiająco białe sześciany – Muzeum Getty'ego. To architektoniczne dzieło sztuki, stworzone przez fundację skorumpowanego miliardera, a wystawia się w nim trzeciorzędne obrazy. Czyste LA: kto ma władzę, ten ma rację, a najważniejsze jest opakowanie.



Przez całą drogę przez Valley na drodze było luźno. Na obrzeżach autostrady wyrosła wielka fabryka opakowań Sunkista, mniejsze zakłady, markety, salony samochodowe. Niedaleko na wschód znajdował się dom Daneyów, gdzie Rand przespał trzy noce swojej rzekomej wolności. Kiedy przeskoczyliśmy na piątkę, zostaliśmy już prawie tylko my i osiemnastokółowce, które zjechały na trasę dla ciężarówek. Trzy minuty później byliśmy na Cal 14, pędząc na północny wschód w stronę Antelope Valley. Góry zrobiły się majestatyczne, zamiast soczystej zieleni pomarszczony, brązowy filc. Krajobraz wzdłuż autostrady wypełniły szroty, zwirownie i co jakiś czas szyld: LUKSUSOWY DOM NA SPRZEDAŻ. Mądrzy ludzie mówią, że ekspansja na północny wschód to przyszłość LA. I któregoś dnia wrażenie otwartej przestrzeni zniknie. Na razie jednak jastrzębie i kruki szybują wysoko na niebie, a ziemia spoczywa płaska i nieruchoma.

Dziesięć stopni chłodniej. Zamknęliśmy okna, a wiatr zagwizdał w uszczelkach.

Piętnaście kilometrów dalej Milo zjechał w Soledad Canyon i skręcił w lewo, oddalając się od rozwijającego się prężnie osiedla Santa Clarita w stronę ciszy i spokoju. Droga wspinała się, wiła, kręciła i zawracała. Od zachodu do autostrady przytulały się samotne kępy świerków i rzadkie eukaliptusowe wiatrochrony; ich szarozielone korony migotały na wietrze. Zagajniki majestatycznych drzew ciągnęły się aż do następnego wzniesienia. Te twarde, starożytne istoty czerpią rozkosz z umartwiania się; jeśli dasz im za dużo wody, umierają.

W miarę jak roślinność rzedła, droga stawała się coraz trudniejsza – ostre zakręty wokół załamań zboczy góry, żwir i gruz po osuwiskach – Milo musiał bardzo uważać. Gwizd wiatru wzmógł się do natarczywego wycia. Wielkie ptaki opadły niżej, latały z większą pewnością siebie. Nic nie mogło im stanąć na drodze, chyba tylko z rzadka rozstawione słupy wysokiego napięcia.

Na wiele kilometrów wokoło ani śladu samochodu, a potem nagle zza ślepego zakrętu wypadła minivanem kobieta szczebiocząca wesoło przez komórkę i o mało nie otarła się o nas bokiem.

– Super – powiedział Milo. A kiedy uspokoił mu się oddech: Soledad. To znaczy samotność, prawda? Trzeba naprawdę bardzo cenić sobie prywatność, żeby się tu wyprowadzić.

Trzysta metrów wyżej pojawiło się kilka rancz, małych, nędznych, ponurych działek wciśniętych w żleby odchodzące od autostrady i otoczonych metalową siatką. Krowa tu, koń tam. Spłowiąły drogowskaz donikąd reklamował weekendowe jazdy na kucykach. Kucyków nigdzie nie było widać.

– Przeczytaj mi adres, Alex.

Przeczytałem.

– Jesteśmy już blisko.

Piętnaście kilometrów dalej natknęliśmy się na kilka prywatnych kempingów wycieczkowych, położonych po zachodniej stronie Soledad Canyon Road.

Przytulne Pożegnanie. Przystanek Oaza u Smitha. Gościnne Ranczo Lulu.

Numery odpowiadające adresowi Barnetta Malleya były wypalone na niebieskim szyldzie z reklamą: GÓRSKIE WIDOKI: WYPOCZYNEK I PIKNIKI.

– Może mimo wszystko nie jest aż taki antyspołeczny – powiedziałem.

Milo skręcił na podjazd. Tłukliśmy się błotnistą drogą w szpalerze dębów, aż dotarliśmy do chwiejnego, drewnianego mostka nad wąską rozpadliną. Pod niebieską tablicą z napisem WITAMY! przybito pobieloną deskę ze spisem obowiązujących tu zasad: ZAKAZ PALENIA, ZAKAZ PICIA, ZAKAZ WJAZDU MOTOCYKLEM, ZAKAZ WJAZDU SAMOCHODEM TERENOWYM, ZAKAZ GŁOŚNEJ MUZYKI. ZWIERZĘTA TYLKO ZA ZGODĄ KIEROWNIKA, DZIECI MUSZĄ BYĆ NADZOROWANE, BASEN TYLKO DLA ZAMELDOWANYCH GOŚCI...

– A masz, Thoreau – powiedział Milo i pojechał dalej.

Droga dojazdowa kończyła się sto metrów dalej otwartym, kwadratowym, wyłożonym kostką placem. Po lewej rosły dęby – stary gęsty zagajnik – a na wprost przed nami stały trzy małe, białe budynki. Po prawej rozciągał się drugi plac, większy i podzielony białymi liniami. Sześć dużych przyczep kempingowych było podłączonych do instalacji. Za nimi rozpościerało się strome złote zbocze góry.

Zaparkowaliśmy i wysiedliśmy. Stojący za parkingiem dla wozów turystycznych generator wielkości małej stodoły buczał i parskął. Napis: WYPOCZYNEK I PIKNIKI oznaczał widać miejsce do zaparkowania, dostęp do rzędu przenośnych toalet i kilka drewnianych stołów. Wkopany w ziemię basen, opróżniony na zimę, wyglądał jak wielka, biała betonowa miska. Za basenem znajdowała się pusta i spłowiała od słońca zagroda dla koni.

Kilkoro ludzi, wszyscy powyżej sześćdziesiątki, siedziało na składanych krzesłach pod swoimi samochodami; czytali, dziergali, jedli.

– To pewnie kemping-przystanek – powiedziałem.

– W drodze dokąd – spytał Milo.

Nie umiałem na to odpowiedzieć. Ruszyliśmy dalej w stronę białych budynków. Były to przedwojenne bungalowy – wszystkie trzy, pokryte zieloną papą, miały okna z okiennicami i maleńkie ganki. Największy stał w sporej odległości od parkingu. Żwirowy podjazd przed nim zajmował trzydziestoletni dodge charger, czerwony, z chromowanymi kołpakami.

Przymocowane na palikach znaki w kształcie dłoni z wyciągniętymi palcami wskazującymi odsyłały do pozostałych dwóch: Recepcji i Sklepiku. W słońcu trudno było zauważyć, czy w którymś pali się światło. Najpierw ruszyliśmy do recepcji.

Drzwi zamknięte na klucz, w oknach zaciągnięte zasłony. Nikt nie odpowiedział na pukanie Mila.

Kiedy podeszliśmy do sklepiku, ze skrzypieniem otworzyły się jego drzwi i na ganek wyszła wysoka, chuda kobieta w brązowej, prostej sukience; oparła ręce na biodrach.

– Mogę w czymś pomóc?

Milo, podchodząc do niej, uśmiechnął się na powitanie. Nie zmieniło to czujnego wyrazu jej twarzy. Nie dokonały tego również jego odznaka i wizytówka.

Policjka z LA. – Miała głos palaczki, żylaste, piegowate ręce i pooraną zmarszczkami, spaloną słońcem twarz, która przed laty mogła być piękna.

Szeroko rozstawione oczy o rudawych rzęsach przyjrzały się uważnie nam obu. Nos miała mocny i prosty, usta wąskie, ale kiedyś chyba pełne. Jej twarz otaczała kasztanowa trwała, maskując nieco zwiotczałą szyję. Siwe pasemko we włosach świadczyło, że przyszła już pora na farbowanie. Linia szczęki była jędrna, jak na kobietę w jej wieku – na moje oko miała minimum sześćdziesiąt pięć lat. Wiejska kuzynka Katherine Hepburn.

Spróbowała oddać Milowi wizytówkę.

– Proszę ją zatrzymać – powiedział, a ona złożyła ją na pół tak, że cała karteczka zmieściła się jej w dłoni.

Brązowa dżersejowa sukienka w kwiatny wzorek uwydatniała sterczące kości ramion i bioder. W dekolcie w serek widać było fragment piegowatego od słońca mostka. Pierś miała płaską.

– Mieszkałam kiedyś w LA – powiedziała. – Zanim zmądrzałam. Powtarzam pytanie, poruczniku Sturgis. Co mogę dla panów zrobić?

– Czy mieszka tu Barnett Malley?

Bursztynowe oczy zamrugały.

- Wszystko z nim w porządku?
- O ile wiem, tak. Teraz ja powtarzam pytanie.
- Barnett tu pracuje, a ja mu pozwalam tu mieszkać.
- Pracuje jako...
- Mój pomocnik. Robi, co trzeba zrobić.
- Złota rączka? – spytał Milo.

Kobieta skrzywiła się, jakby nie mógł zrozumieć czegoś oczywistego.

– Naprawia różne rzeczy, ale nie zajmuje się tylko tym. Czasami mam ochotę pojechać do Santa Clarita i obejrzeć film, chociaż Bóg jeden wie po co, wszystkie są okropne. Barnett dogląda wtedy ośrodka i świetnie mu to wychodzi. Dlaczego pan o niego pyta?

- Mieszka na terenie ośrodka?
- Tam. – Wskazała dębowy zagajnik.
- Na drzewie? – spytał Milo. – To Tarzan?

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

– Nie, ma tam domek. Stąd go nie widać.

– Ale teraz go w nim nie ma.

– Kto tak powiedział?

– Spytała pani, czy wszystko z nim w porządku...

– Chodziło mi o to, czy wszystko z nim w porządku w sensie policyjnym, a nie, czy coś mu się stało, bo gdzieś pojechał. – Zerknęła w stronę autostrady. Jej oczy mówiły, że opuszczanie domowego siedliska jest mocno przereklamowane.

- Czy Barnett miał kiedyś kłopoty z policją, panno...
- Bunny powiedziała. – Bunny MacIntyre. Odpowiedź brzmi „nie”.
- A więc mieszkała pani w LA – powtórzył Milo.

– Schodzimy na tematy towarzyskie? Tak, mieszkałam w Hollywood, przy Cahuenga, bo musiałam być blisko studia Burbank. – Odgarnęła włosy. Byłam kaskaderką w filmach. Dwa razy dublowałam Kate Hepburn. Była ode mnie dużo starsza, ale miała wspaniałe ciało, więc mogli wziąć mnie.

– Panno MacIntyre...

– Wracamy do sedna, co? Barnett nigdy nie miał żadnych kłopotów, ale jeśli gliniarze z LA przejeżdżają taki kawał i zadają pytania, to nie dlatego, że chcą się napić czegoś orzeźwiającego z mojego automatu z colą, który, zupełnie przypadkiem, akurat działa. Mam *nachos*, czipsy i importowane suszone mięso z bizona. – Spojrzała znacząco na brzuch Mila. – Bizon jest zdrowy, ma tyle nasyconych tłuszczów, co kurczak bez skóry.

– Skąd jest importowane? – spytał Milo.

– Z Montany. – Odwróciła się i weszła do środka. Podążyliśmy za nią do pojedynczego, ciemnego pomieszczenia z podłogą z szerokich desek, z kilimem i wielkim, wypchanym łbem jelenia wiszącymi na ścianie w głębi. Zwierzę miało niesymetryczne poroże, z kącika pyska wystawał szary czubek języka, brakowało mu jednego szklanego oka.

– To Bullwinkle – powiedziała Bunny MacIntyre. – Dureń zakradał się do mnie i wyjadał mi warzywa z ogródka. Kiedyś sprzedawałam świeże warzywa turystom. Teraz ludzie chcą jeść tylko śmieci. Nie strzelałam do niego, bo był głupi, aż brała litość. Któregoś dnia zdechł po prostu ze starości w moich burakach, więc zawiozłam go do wypchania do Palmdale.

Podeszła do starego czerwonego automatu z colą, obok którego stały obrotowe stojaki z torebkami smażonych przysmaków. Na starym dębowym stole przycupnęła kasa. Obok niej na ladzie leżało suszone mięso – grube kawałki, prawie czarne, w plastikowych pojemnikach.

– Weźmie pan dietetyczną colę? – spytała Mila.

- Jasne.
- A pan, panie małomówny?
- Ja też – odparłem.
- Ile pasków bizona? – Dolar za sztukę.
- Może innym razem, proszę pani.

– Zauważyliście panowie, jak to tam wygląda? Obraz olejny, szlag by to trafił, siedzą te zdechlaki cały dzień w miejscu i jedzą własne jedzenie. To przez te cholerne turystyczne lodówki. Przydałoby mi się trochę ruchu w interesie.

– Wezmę kawałek – powiedział Milo.

– Minimum trzy odparła Bunny MacIntyre. – Trzy za trzy dolary, z colami to będzie sześć i pół.

Nie czekając na naszą odpowiedź, nacisnęła odpowiednie przyciski w automacie, wyjęła z niego dwie puszki, mięso zawinęła w papierowe ręczniki, spięła gumkami i zapakowała wszystko do foliowej torebki.

– Tłuszczu prawie nie ma.

– Od jak dawna Barnett dla pani pracuje? – spytał Milo.

– Cztery lata.

– Gdzie pracował przedtem?

– Na ranchu Gilberta Grassa, kawałek stąd, przy Soledad 7200. Gilbert miał zawał i wycofał się z hodowli. Barnett to dobry chłopak, nie wiem, co możecie panowie do niego mieć. I nie zwracam uwagi, kiedy wyjeżdża i wraca.

– Jak trafimy do jego domku?

– Proszę przejść za moim domem, tym bez napisu, i zobaczycie przecinkę w drzewach. Zbudowałam ten domek, żeby mieć trochę prywatności. To miało być moje studio malarskie, ale jakoś nigdy nie wzięłam się do malowania. Zrobiłam z niego składzik. Dopóki Barnett nie wyszykował go ładnie dla siebie.

Ścieżka między drzewami miała dwa metry szerokości i biegła pod zwieszającymi się nad nią gałęziami. Przed domkiem stał zaparkowany czarny ford pikap.

Małeńki budynek zbudowany był z nieheblowanych cedrowych bali z podłogą z desek. Z przodu miał pojedyncze, kwadratowe okno – prostota rodem z dziecięcego obrazka. Po lewej stały zbiorniki z propanem-butanem, razem z wieszakiem na pranie i mniejszym generatorem.

Okna ciężarówka były zamknięte. Milo podszedł i zajrzał przez szybę do środka.

– Dbaj o porządek.

Przez skraj marynarki spróbował otworzyć drzwi.

– Zamknięte. Można by pomyśleć, że tutaj nie powinien się bać złodzieja.

Podeszliśmy do domku. Zielone zasłony z nieprzemakalnego materiału zasłaniały okno. Za ganek służył kwadrat wylanego betonu. Na konopnej wycieracze widniał napis: WITAJ.

Milo zapukał. Drewno było solidne i prawie nie odpowiedziało. Jednak kilka sekund później drzwi się otworzyły.

Wyrzał zza nich Barnett Malley. Był wyższy, niż wyglądał w telewizji – mierzył parę centymetrów ponad metr dziewięćdziesiąt Milla. Wciąż szczupły i kościsty, miał długie, rozpuszczone jasne włosy. Krzaczaste baki zakreślały pod linią szczęki i zawijały się do bezwargich ust. Od długiego przebywania na słońcu jego skóra była szorstka i ciemna. Miał na sobie szarą roboczą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Grube nadgarstki, żylaste przedramiona, poślizgnięte, krótko przycięte paznokcie. Zakurzone dżinsy, kowbojskie buty. Tuż pod wydatnym jabłkiem Adama srebrny naszyjnik wysadzany turkusami.

Ze środkowego turkusa zwisała pacyfka. Malley wyglądał raczej na podstarzałego hipisa niż bojówkarza.

Oczy miał srebrno-błękitne i nieruchome.

Milo pokazał mu swoją odznakę. Malley ledwie na nią zerknął.

– Panie Malley, nie chcę się naprzykrzać, ale chciałbym zadać panu kilka pytań.

Milczenie.

– Proszę pana?

Cisza.

– Czy wie pan, że Rand Duchay został zamordowany w sobotę w nocy? – spytał Milo.

Malley szczerknął zębami. Cofnął się do domu. Zamknął drzwi.

Milo zapukał. Zawołał go po nazwisku.

Bez odpowiedzi.

Obeszliśmy dom od południowej strony. Nie było tam okien. Z tyłu – jedno, poziome, wstawione wysoko w północną ścianę. Milo wspiął się na palce i zabębnił palcami w szybę.

Świergot ptaków, leśne odgłosy. Potem: muzyka.

Bluesowe pianino. Piosenka, którą zawsze lubiłem: *Last date* Floyda Cramera. Pianino solo, nagranie, którego nigdy nie słyszałem.

Chwila wahania, potem piosenka się powtórzyła. Pierwszy dźwięk fałszywy, potem już płynnie.

To nie było nagranie. Wykonanie na żywo.

Malley dokończył piosenkę i zaczął od początku, improwizując proste, ale niezłe frazowane solo.

Wykonanie się powtórzyło. Skończyło.

Milo wykorzystał chwilę ciszy i znów zapukał w okno.

Malley ponownie zaczął grać. Tę samą piosenkę. Z inną improwizacją. Milo odwrócił się na pięcie, poruszając ustami. Nie rozumiałem, co powiedział, ale wiedziałem, że lepiej nie pytać.

Opuszczając kemping, zauważyliśmy Bunny MacIntyre – stała przy jednym z wozów turystycznych i rozmawiała ze starszymi ludźmi. Wyciągnęła rękę, jakieś banknoty zmieniły właściciela. Zobaczyła nas, odwróciła się.

– Wiejska życzliwość – burknął Milo, kiedy wsiadaliśmy do samochodu. – Czy to melodię z *Wybawienia* słyszę, płynącą wśród sosnowych borów?

– Szkoda, że nie wziąłem swojej gitary.

– Duet z Barnettem Pianistą? Czy to była reakcja niewinnego faceta, Alex? Miałem nadzieję, że będę mógł go wyeliminować, ale wyszło wręcz przeciwnie.

– Ciekawe, po co trzyma tę wycieraczkę z napisem „Witaj” – powiedziałem.

– Może niektórzy ludzie są tam mile widziani. – Milo przekręcił kluczyk i zostawił samochód na luzie. – Ogar we mnie rwie się, żeby węszyć, ale samozwańczy obrońca pokrzywdzonych uważa, że szkoda byłoby, gdyby to Malley okazał się mordercą. Facetowi życie rozleciało się na kawałki. Nie czytuję Biblii, ale jakoś tam przemawia do mnie koncepcja oko za oko.

– Do mnie też – powiedziałem. – Chociaż nigdy nie należało rozumieć tego dosłownie.

– Kto tak powiedział?

– Jeśli wczytasz się w oryginalny tekst, kontekst staje się zupełnie jasny. To prawo cywilne: pieniężne odszkodowanie za szkodę.

– Sam do tego doszedłeś?

– Powiedział mi pewien rabin.

– No, on powinien wiedzieć, co mówi.

Milo wyjechał z kempingu, skręcił na drogę, włączył częstotliwość policyjną. Ciężkich przestępstw nie było, ale wykroczenia dyspozytor recytował bez przerwy.

– Perspektywy są ponure – mruknął Milo.

W czwartek zadzwonił o jedenastej piętnaście.

– Pora na tandoori.

Właśnie skończyłem rozmowę z Allison. Udało nam się ześliznąć na tematy osobiste, zanim odciągnęło ją wołanie babki, domagającej się herbaty i towarzystwa. Zamierzała wrócić za dwa albo trzy dni.

– Co tam? – spytałem.

– Pogadamy przy jedzeniu odparł. – To będzie próba naszych apetytów.

Cafe Moghul znajduje się przy Santa Monica Boulevard, dwie przecznice na zachód od Butler, niedaleko posterunku. Atmosferę sali głównej tworzą odlewane płaskorzeźby w kolorze złamanej bieli – mają naśladować polichromie z kości słoniowej – przedstawiające indyjskie scenki rodzajowe z plakatów hollywoodzkiej produkcji. Muzyka grająca w tle to monotonne brzęczenie sitarów z ultrawysokimi, sopranowymi partiami pendzabskiego popu.

Właścicielka powitała mnie swoim zwykłym uśmiechem. Zawsze witamy się jak starzy przyjaciele; nigdy nie dowiedziałem się, jak jej na imię. Dzisiaj miała na sobie niebieskie, jedwabne sari wyszywane w złote zakrętasy. Zdjęła okulary – tych olbrzymich, czekoladowych oczu nigdy dotąd nie zauważyłem.

– Soczewki – powiedziała. – Próbuję czegoś nowego.

– Z dobrym skutkiem.

– Jak na razie. Jest tam. – Wskazała stół w głębi, jakby to było potrzebne.

Stołki stały w dwóch rzędach po cztery, rozdzielone szerokim przejściem.

Przy dwóch, zsuniętych razem, tłoczyło się dwadzieścia kilka osób – maczały chleb *nan* w miseczkach *chutneya* i pasty chili i oblewały jakiś sukces piwem Lal Toofan.

Poza nimi w środku był tylko Milo. Garbił się nad gigantyczną misą sałatki, grzebiąc w niej i wyławiając kawałki czegoś, co wyglądało na rybę. Obok na stole stał kryształowy dzban z mrożoną herbatą z goździkami. Kiedy Milo mnie zobaczył, napełnił z niego szklanekę i pchnął ją w moją stronę.

– Specjalność zakładu – powiedział, stukając widelcem w krawędź miski. – Łosoś, *paneer* i takie małe, suche ryżowe kluseczki z zieleniną w sosie z oliwy i cytryny. Zdrowo, co?

– Zaczynam się o ciebie martwić.

– Martw się, martw burknął. – To dziki łosoś oceaniczny. Niezłomny duchem typ, co skacze w górę strumienia, kiedy jest napalony. Jak się okazuje, te hodowlane to blade leniwe wymoczki, pełne toksycznych świństw.

– Politycy rybiego świata – powiedziałem.

Milo nadział na widelec kawałek ryby.

– Dla ciebie zamówiłem to samo.

Napiłem się herbaty.

– Co będzie próbą dla moich soków żołądkowych?

– Samobójstwo Lary Malley. Dopadłem wreszcie raport z Van Nuys. Okazuje się, że detektywi, którzy się tym zajmowali, to ci sami, którzy przyskrzynili Turnera i Randa.

– Sue Kramer i jej partner – powiedziałem. – Coś na „R”.

– Fernie Reyes. Jestem pod wrażeniem.

– Czytałem ich raport o Kristal więcej razy, niżbym chciał.

– Fernie przeniósł się do Scottsdale, pracuje w ochronie sieci hoteli. Sue odeszła ze służby i zatrudniła się w agencji detektywistycznej w San Bernardino. Mam do niej zajrzeć za... idzie twoje żarcie.

Kobieta w niebieskim sari postawiła delikatnie miskę i znikła. Mojej sałatki było o połowę mniej niż tej Mila, co nie znaczyło, że było jej mało.

– Dobrze, co? – spytał.

Nie podniosłem jeszcze widelca. Patrzył na mnie, aż to zrobiłem, przyglądał się, jak jem.

– Pyszne – powiedziałem. Niby tak było, ale napięcie zablokowało połączenie moich kubków smakowych z mózgiem i równie dobrze mógłbym żuć serwetkę. – Co jest nie tak z tym samobójstwem?

– Przyczyną śmierci był strzał w lewą skroń, z trzydziestkiósemki. Lara była leworęczna, więc coroner uznał, że to potwierdza teorię rany zadanej własną ręką.

– Na wylot?

– Tak, kula zatrzymała się w drzwiach pasażera. Bronią był Smith & Wesson samopowtarzalny udoskonalony rewolwer zarejestrowany na Barnetta. Trzymał go załadowanego w swojej nocnej szafce. Według niego Lara musiała go zabrać, kiedy on był w pracy, pojechała w cichy zakątek parku Sepulveda i bum.

– Zostawiła list?

– Jeśli tak, nie ma tego w raporcie coronera.

– Czy broń zwrócono Malleyowi?

– Nie było powodu, żeby tego nie zrobić – powiedział Milo. – Legalny właściciel i żadnych oznak nieczystej gry.

Włożył rybę i kostki *sera paneer* do ust.

– Może moje ambiwalentne uczucia co do Malleya były mylne. Jego życie diabli wzięli, ale wygląda na to, że odreagował to, pozbywając się wszystkich, których winił za śmierć Kristal. Zaczynając od Lary, bo nie upilnowała dziecka. Potem system CYA załatwił sprawę Turnera. Ostatnim elementem do sprzątnięcia został Rand.

– Po co miałby czekać z zabiciem Lary aż rok od śmierci Kristal? – spytałem.

– Wyraziłem się nieściśle. Zginęła siedem lat i siedem miesięcy temu. Zaledwie miesiąc po tym, jak Troya i Randa posłano za kratki. Jaki jest oczywisty wniosek?

– Matczyzny żal.

– Otóż to. Świetna przykrywka. – Milo zaczął przesuwac jedzenie po talerzu. – Malley to dziwak, Alex. To jak zaczął tłuc w to pianino. To znaczy, najlepiej byłoby, kiedy przychodzi gliny, udawać pełną współpracę. Gdyby tak zrobił, może bym go zostawił w spokoju.

Nie sądzę, pomyślałem.

– *Last date. Ostatnia randka.*

– Co?

– Piosenka, którą grał.

– Chcesz powiedzieć, że to porównanie? Że niby Rand miał ostatnią randkę z życiem?

Wzruszyłem ramionami.

– Facet zamyka samochód na klucz, chociaż mieszka w dziczy, a wóz stoi tuż przed jego domkiem. Bo wie, że trudno pozbyć się śladów tak, żeby zupełnie nic nie zostało. Może on rozumie oko za oko tradycyjnie, a biblijny kontekst ma w dupie.

– Czy poza podobieństwem do Randa w samobójstwie Lary było coś podejrzanego?

– W raporcie Sue nic.

– Czy Sue była dobrym detektywem?

– Tak. Fernie też. Normalnie założyłbym, że byli cholernie dokładni. Ale w tym przypadku może widzieli w Barnecie ofiarę i wszystkiego nie przemyśleli. – Milo zmarszczył brwi. – Bunny MacIntyre go lubi, ale nie potwierdziła, co robił w niedzielę.

Nalał sobie herbaty, ale jej nie wypił.

– Muszę dokładnie przejrzeć całe akta Lary, zanim porozmawiam z Sue. To dopiero będzie ubaw otworzyć na nowo sprawę, którą inny detektyw uważa za dawno zamkniętą. Może spróbuję grać na bezradnego: popatrz, co mi się trafiło, Sue. Przydałaby mi się pomoc.

Znow złapał widelec i wycelował nim w miskę.

– No i jak twój apetyt?

– Świetnie.

– Jestem z ciebie dumny.

Wychylił dwa bengale premium, poprosił o rachunek i wykladał właśnie pieniądze na stół, kiedy jego telefon zaczął grać *Piątą* Beethovena.

– Sturgis. O, cześć. Aha. Miło cię słyszeć, dzięki... Czy pasuje? Tak, jasne. Poczekaj, zapiszę. – Wcisnął telefon pod ucho, nabazgrał coś na serwetce. – Dzięki, do zobaczenia za dwadzieścia minut.

Wstając, pokazał drzwi. Kilka osób z dwudziestu paru przestało się śmiać i popatrzyło, jak wychodzi z restauracji. Wielki, groźny facet. Wśród tej wesołości on nie pasował.

– To była Sue Kramer powiedział już na zewnątrz. – Jest tu, w mieście. Pracuje nad samobójstwem, jak się okazało, i z przyjemnością pogada o Larze. Tyle w temacie przeglądania akt.

– To LA – powiedziałem. – Improvizuj.



Adres – Beverly Hills, przy Rexford Drive, po południowej stronie miasta, między Wilshire a Olympic, gdzie dominowały apartamentowce.

– To ona – powiedział Milo, wskazując szczupłą, ciemnowłosą kobietę; zachodnią stroną ulicy prowadziła na smyczy jasnego pudelka.

Podjechał do krawężnika, a Sue Kramer uśmiechnęła się, pomachała i wzięła pieska na rękę.

– Nie jesteś uczulony, prawda, Milo?

– Tylko na papierkową robotę.

Kramer wsiadła z tyłu. Kiedy Milo ruszał, pociągnęła nosem.

– Dobry stary smród brudu i kajdanek. Kopę lat.

– Czym jeździsz teraz, pani Prywaciaro? Jaguarem?

– Lexusem. I range roverem. – Kramer miała pięćdziesiąt parę lat, była szczupła, a jej długie nogi podkreślały czarne, prążkowane spodnie; włożyła białą, jedwabną bluzkę i szytą na miarę, szarą garsonkę. Jej włosy były czarne jak atrament, krótkie i nastroszone. Nie nosiła biżuterii, tylko czarną torebkę od Kate Spade.

– Huhu – powiedział Milo.

– Na lexusa zarobiłam sama. Mój nowy mąż robi w finansach. Kupił mi rovera jako niespodziankę.

– Fajny nowy mąż.

– Może rzeczywiście do trzech razy sztuka. – Pies sapnął. – Spokojnie, Fritzi, oni są w porządku... Chyba wywęszyła tu jakiegoś drania.

– Ostatnio wiozłem komendanta Moralesa – powiedział Milo. – Musiałem go zawieźć na zebranie w Parker.

– I wszystko jasne.

Milo przeciął Rexford przy Olympic, skręcił w lewo w Whitworth.

– Jak leci, Sue?

– Świetnie... Siad, Fritzi.

– Podoba ci się w San Bernardino?

– Obyłoby się bez smogu, ale Dwayne i ja mamy wspaniały dom weekendowy w Arrowhead. Co u ciebie?

– Lepiej być nie może. Co cię sprowadza do Beverly Hills?

– Cytując Williego Suttona, tu właśnie są pieniądze – powiedziała Kramer. – A poważnie, to smutna sprawa. Rozwód, para Koreańczyków, zwykła szarpanina o pieniądze i opiekę nad dziećmi. Mąż postanowił się zabić i zrobił to tak, żeby żona go znalazła.

– Pistolet?

– Nóż. Odkręcił wodę w wannie, wszedł, podciął sobie żyły. Przedtem zadzwonił do żony i powiedział, że może wziąć samochód, dzieci i pieniądze, ile chce, tylko żeby przyjechała do niego i żeby porozmawiali jak dorośli ludzie. Weszła, zobaczyła wodę z krwią zalewającą mieszkanie. Koroner mówi, że to samobójstwo, ale prawnik rozwodowy zatrudnił nas, żebyśmy to sprawdzili.

– Coś śmierdzi? – spytał Milo.

– Nic a nic, ale wiesz, jacy są prawnicy. Ten chce nabić sobie jeszcze kilka płatnych godzin, zanim zamknie sprawę. Co jest bardzo na rękę Bobowi, mojemu szefowi. Nie oceniamy nikogo, robimy tylko, co do nas należy. Mieszkanie, w którym to się stało, jest tam, za nami, ja

mam obserwować je przez kilka dni, sprawdzić, czy ktoś interesujący nie wchodzi tam i nie wychodzi. Jak na razie nic, dostaję kota z nudów. Zrobiłeś mi przysługę, dzwoniąc.

Nachyliła się, żeby lepiej mnie widzieć.

– Cześć, jestem Sue.

– Alex Delaware.

Wyciągnąłem do tyłu rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie. Milo powiedział jej, kim jestem.

– Znam to nazwisko – odparła. – To pan oceniał Turnera i Duchaya, prawda?

– Prawda.

– To dopiero było smutne.

– Duchay nie żyje, Sue. Dlatego tu jesteśmy – wyjaśnił Milo.

Kramer pogłaskała pudła.

– Naprawdę? Opowiedz. – A kiedy skończył, wydedukowała:

– A więc podejrzewasz, że jeśli Malley jest mordercą opętanym żądzą zemsty, może zrobił to samo Larze.

– Jestem pewien, że nic nie przeoczyłaś, ale wiesz, jak to jest, kiedy się pojawiają różne rzeczy...

– Nie musisz być taki delikatny, Milo. Gdyby sytuacja była odwrotna, ja zrobiłabym to samo. – Opadła na oparcie fotela. Oddech psa się uspokoił. Kramer szepnęła zwierzęciu coś do ucha. – Fernie i ja nie odwaliliśmy przy Larze fuszerki. Koroner potwierdził, że to było samobójstwo, nie mieliśmy powodu uważać inaczej. Lara była, jak byście to powiedzieli wy, psychologowie, w głębokiej depresji, doktorze. Od śmierci Kristal straciła na wadze, brała leki, całe dnie spała, nie chciała się z nikim kontaktować.

– Tak wam powiedział Barnett?

– Zgadza się.

– To dość małowówny facet.

– Tak, zachowywał się jak wczesny Clint Eastwood – przyznała Kramer. – Ale Fernie i ja zbliżyliśmy się do niego, bo złapaliśmy te dwa małe potwory.

– Jak zareagował na śmierć Lary?

– Był smutny, przybity, miał wyrzuty sumienia. Powiedział, że powinien był potraktować jej depresję poważniej, ale mieli swoje problemy i skupiał się na swojej pracy.

– Jakiego rodzaju problemy?

– Mażeńskie: Nie cisnęłam. Ten facet wszystko stracił.

– A więc miał wyrzuty, że nie poświęcał jej dość uwagi.

– Po samobójstwie tak bywa. Prawda, doktorze? Samobójstwo zostawia osad poczucia winy. Tak jak w tej sprawie, którą się teraz zajmuję. Żona nienawidziła męża, robiła, co mogła, żeby podczas rozvodu wycisnąć go jak cytrynę. Ale kiedy zobaczyła go zakrwawionego w tej wannie, coś jej przeskoczyło w głowie i teraz pamięta tylko cudowne rzeczy i ma do siebie pretensje.

– Czy Barnett przyznał, że ma wyrzuty, bo Lara użyła jego broni? – spytał Milo.

– Nie odparła Kramer. – Nic z tych rzeczy. Rozmawiałam też z matką Lary, powiedziała mi właściwie to samo.

– Lubiała się z Barnettem? – spytałem.

– Odniosłam wrażenie, że nie, ale nie powiedziała o nim nic złego wprost. Dowiedziałam się od niej, że Larze było bardzo ciężko po śmierci Kristal, a ona czuła się zupełnie bezsilna i nie mogła jej pomóc. Biedaczka. Nazywa się Nina. Nina Balquin. Była zdruzgotana. Jak mogła nie być?

– Lara brała leki – przypomniałem. – Dostawała je od lekarza rodzinnego?

– Lara nie chciała pójść do terapeuty, więc Nina dawała jej swoje pigułki.  
– Mama też miała depresję?  
– Po Krystal – powiedziała Kramer. – Może nie tylko. Odniosłam wrażenie, że ta rodzina wiele przeszła.

– Na przykład? – spytał Milo.

– To tylko takie wrażenie, na pewno pan się z tym spotkał, doktorze. Niektóre rodziny żyją jakby pod jakąś chmurą. Ale może mi się wydawało, bo widziałam ich w najgorszych chwilach.

– Dwa razy – powiedziałem.

– Właśnie. Ja też wpadam w depresję od samego myślenia o tym. – Kramer zaśmiała się cicho i pogłaskała pudła. – Fritzi to moja terapeutka. Uwielbia obserwacje.

– Idzie przed siebie i nic nie mówi – stwierdził Milo. – Doskonały partner.

– I nie musi sikać na osobności.

Milo parsknął śmiechem.

– Masz coś jeszcze, co by nam pomogło, Sue?

– To wszystko, panowie. Te dwie sprawy tak mnie przygnębiały, że nie mogłam się doczekać, kiedy je zamknę. Być może przeoczyłam więc coś w przypadku Lary, nie wiem. Ale naprawdę nie było niczego, co by wskazywało, że Barnett miał z tym cokolwiek wspólnego. – Westchnęła.

– Postąpiłbym tak samo, Sue – powiedział Milo.

– Naprawdę myślisz, że to on mógł ją zabić?

– Znasz go lepiej niż ja.

– Znałam go jako zrozpaczonego ojca.

– Gniewnego, zrozpaczonego ojca.

– Czy mężczyźni nie na wszystko reagują gniewem?

Żaden z nas nie odpowiedział.

– Jeśli Barnett winił Larę za zaniedbanie, nigdy mi nic takiego nie powiedział. Czy umiem go sobie wyobrazić czekającego, aż Duchay wyjdzie, i mszczącego się na zimno? Chyba tak. Wiem, że był zadowolony, kiedy Turnera stuknęli w więzieniu – oświadczyła Sue.

– Powiedział tak? – spytał Milo.

– Aha. Zadzwoiłam z tą informacją. Uznałam, że sprawa może trafić do gazet i że nie powinien tą drogą się o tym dowiadywać. Wysłuchał i zamilkł, długo nic nie mówił. Powiedziałam: „Barnett?” A on: „Słyszę?”. Spytałam: „Wszystko w porządku?” A on: „Dzięki za telefon. Dobrze mu tak, wyrwali chwast”. Potem się rozłączył. Muszę przyznać, że poczułam się trochę nieswojo, bo Turner miał trzynaście lat i zginął w obrzydliwy sposób. Z drugiej strony, to nie moje dziecko zamordował. Im więcej myślałam o bólu Barnetta, tym bardziej dochodziłam do przekonania, że miał do tego prawo.

Barnett mówił kiedyś coś o Randzie? – spytał Milo.

– Tylko przed wyrokiem. Powiedział, że chce, żeby obaj dostali to, na co zasłużyli. I chyba ostatecznie to dostali.

Milo zatrzymał się na światłach przed Doheny.

– Pamiętam, że o śmierci Turnera trąbiła prasa – powiedziała Sue Kramer – ale nie widziałam nic o Duchayu. Pisali o tym?

– Nie – odparł Milo.

– Można by pomyśleć, że o czymś takim napiszą.

– Jakiś reporter musiałby najpierw coś wywęszyć – stwierdził Milo.

– To prawda zgodziła się Kramer. – Ci ludzie karmią się tym, co usłyszą na konferencjach prasowych. – Pauza. W przeciwieństwie do nas, co, Milo? My biegamy za kłopotami. Zatykamy palcami dziury, przez które świat nabiera wody.

Milo przytaknął chrząknięciem.

– Lepiej już wróć, panowie – zdecydowała Kramer. – Jeszcze tego brakowało, żeby stało się coś ciekawego, kiedy akurat mnie nie ma. A Fritzi powinna już mieć przerwę na siusiu.

Milo zawrócił w stronę Rexford.

– Wysadź mnie w zaułku za budynkiem, Milo. Zostawiłam kawałek taśmy klejącej na dole drzwi do mieszkania, chcę sprawdzić, czy nikt jej nie zerwał.

– Superdetektyw – powiedział Milo.

– Nie mogę się doczekać, kiedy to zamkniemy. Jak skończę, Dwayne zabiera mnie na Fidzi.

– Aloha.

– Sam powinienes się trochę opalić, Milo.

– Ja się nie opalam.

– Może być tutaj, twardzielu.

Milo zatrzymał się na parkingu za białym, kanciastym apartamentowcem. Kramer wysiadła, postawiła pudła na ziemi, nachyliła się do okna i poklepała Mila po ramieniu.

– Szyszkokracja ci za bardzo nie dokucza? – spytała.

– Zostawiają mnie w spokoju – odparł.

– Czyli można to uznać za dobre traktowanie.

– To można uznać za nirwanę.

– I co o tym sądzisz? – spytał mnie, kiedy wyjechaliśmy z zaułka i pojechaliśmy na zachód Gregory Drive.

– Zachowała się kompetentnie, nie kopała za głęboko.

– A co powiesz na tę uwagę: rodzina żyjąca pod chmurą?

– Brzmi jak rzeczywistość.

Milo odchrząknął.

– Znajdźmy drugą żyjącą krewną Lary. Poznajmy jej rzeczywistość.

Nina Balquin była zameldowana na Bluebell Avenue w północnym Hollywood.

Niedaleko miejsca, w którym jej córka popełniła samobójstwo. Czy centrum handlowego Buy-Rite i parku, do którego zawleczono jej wnuczkę, by tam ją zamordować.

A także całkiem niedaleko – jadąc samochodem – od domu Daneyów w Van Nuys.

Z wyjątkiem ucieczki Barnetta Malleya w leśne ostępy, cała sprawa rozegrała się na małej scenie.

Milo zdobył numer, zamienił kilka słów, zakończył słowami: „Dziękuję pani, zrobi się”.

– Jedziemy – powiedział. – Jest zaskoczona, że chcę z nią rozmawiać o Barnetcie, nie zła.

Wręcz przeciwnie, jest samotna jak cholera.

– Wychwyciłeś to z trzydziestosekundowej rozmowy?

– Niczego nie wychwyciłem. Powiedziała mi to wprost. „Jestem samotną kobietą, poruczniku, wszelkie towarzystwo jest tu mile widziane”.

Dom – pomarańczowe jak dynia, parterowe ranczo przy jasnej, rozgrzanej ulicy. Trawnik pokrywał zielony żwir. Przy schodach wejściowych leżał niedbale zwinięty wąż ogrodowy, służący być może do podlewania bergenii, zakrywających połowę frontowej ściany. Na sizalowej wycieracze napisane było „DJB”, na tle herbowej tarczy. Dzwonek wygrywał gamę do-re-mi.

Drzwi otworzyła drobna kobieta, w nieokreślonym średnim wieku, z wąskimi, niebieskimi i błyszczącymi oczami, jędrnymi policzkami, głoszącymi pochwałą chirurgicznej stali. Miała na sobie obcisłą, pomarańczową bluzkę z krepy, czarne legginsy i czerwone chińskie kapcie, haftowane w smoki. Ciemne włosy nosiła obcięte na chłopczycę, z krótkimi, zawiniętymi do przodu baczkami. W prawej dłoni trzymała pilota, od telewizora. W lewej dymił papieros; dym opadał w dół i rozwiewał się, zanim sięgnął jej kolan.

Wsadziła sobie pilot pod pachę.

– Pan porucznik? Szybko panowie przyjechali. Jestem Nina. – Uśmiechnęła się ustami, ale otaczająca je lśniąca skóra nie chciała współpracować i wyraz twarzy był pozbawiony emocjonalnej treści.

W domu nie było holu; weszliśmy prosto do wyłożonego dębową, poźółkłą od upływu lat boazerią salonu z ukośnym belkowaniem sufitu. Miękki gruby dywan miał kolor rdzy z niebieskimi cętkami, meble były beżowe i wyglądały na nieużywane, jakby przeniesiono je tu nietknięte ze sklepowej wystawy. W obitym drewnem barku stały szklanki i butelki, a na brązowym, ceramicznym kontuarze – telewizor z płaskim kineskopem, włączony. Rozprawa sądowa, bez dźwięku – ludzie agresywnie poruszający ustami, łysy, wykrzywiony sędzia, dzierzący swój młotek w sposób, który nieodparcie przywodził na myśl teorię Freuda.

– Uwielbiam to – powiedziała Nina Balquin – przyjemnie jest oglądać durniów, którzy dostają to, co im się należy. – Wycelowała pilotem, wyłączyła telewizor. – Napijecie się czegoś, panowie?

– Nie, dziękujemy.

– Na dworze jest trochę ciepło.

– Nie trzeba, proszę pani.

– No to ja sobie naleję. – Podeszła do barku i naląła sobie czegoś przezroczystego z chromowanego dzbanka. – Rozgoście się, panowie.

Milo i ja usiedliśmy na jednej z beżowych kanap. Materiał był szorstki i gruzłowaty; pod udami czułem jakieś wybrzuszenia. Nina Balquin długo dokładała sobie lodu do napoju. Zauważyłem, że drżą jej ręce. Milo rozglądał się po pokoju, więc zrobiłem to samo.

Na ścianie w głębi wisiało krzywo kilka rodzinnych zdjęć, za daleko, żeby rozróżnić szczegóły. Przez rozsuwane szklane drzwi widać było mały, kwadratowy basen. Po powierzchni zielonkawej wody pływały zbitki liści i śmieci. Resztę podwórka zajmowały betonowe krawędzie basenu, za wąskie, żeby na nich siedzieć.

Wychodzisz, kąpiesz się, wracasz do środka.

Nina Balquin siadła prostopadle do nas i pociągnęła łyk.

– Wiem, to śmietnik, nie pływam. Nie korzystałam z usług Barnetta. Może powinnam była. Przynajmniej taki byłby z niego pożytek.

Napiła się znowu.

– Nie przepada pani za Barnettem – stwierdził Milo.

– Nie znoszę go. Za to, jak traktował Larę. I mnie. Dlaczego pan o niego pyta?

– Jak traktował Larę przed morderstwem Kristal i po?

Na wzmiankę o wnuczce Balquin się wzdrygnęła.

– Pan pyta, ja odpowiadam? Dobrze, niech mi pan jedno tylko powie: czy ten bydlak ma jakieś kłopoty?

– Być może.

Kiwnęła głową.

– Odpowiedź brzmi: był podły dla Lary przed i po. Poznała go na rodeo, uwierzy pan? Chodziła do dobrych szkół, jej ojciec był dentystą. Miała studiować na uniwersytecie. Ale w liceum jej oceny spadły na łeb, na szyję. Mielśmy jeszcze plan B, Valley College. A co ona zrobiła, kiedy tylko skończyła szkołę? Znalazła pracę na ranchu w Ojai, poznała pana Kowboja i zanim się zorientowałam, zadzwoniła do mnie z wiadomością, że się pobrali.

Wychyliła drinka, przeplukała nim usta, połknęła, wystawiła język.

– Lara miała osiemnaście lat, on dwadzieścia cztery. Przyglądała się, jak pęta konie czy cielaki, czy co oni tam pętają, i nagle oboje są w jakiejś przydrożnej kapliczce w Vegas. Jej ojciec mógł... ich zabić. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Że się tak wyrażę.

– Nie można go winić, że się zdenerwował – powiedział Milo.

– Ralph dostał ataku furii. Kto by nie dostał? Ale nigdy nie powiedział nic Larze, tłumił to w sobie. Rok później zdiagnozowano u niego raka żołądka, i cztery miesiące po tym odszedł. – Balquin zerknęła za siebie, na brudny basen. Przepraszam, nie odszedł. Zmarł. Kiedy zdiagnozowali mu raka, spłacaliśmy inny dom, przy Encino, po południowej stronie bulwaru, śliczny, wielki. Dzięki Bogu, że Ralph miał przyzwoite ubezpieczenie na życie.

– Czy Lara ma rodzeństwo? – spytałem, wciąż próbując wypatrzeć coś na zdjęciach.

– Mój najstarszy syn, Mark, jest księgowym w Los Gatos, kiedyś pracował w firmie internetowej, teraz radzi sobie świetnie jako niezależny konsultant. Sandy, najmłodsza, studiuje na Stanowym Uniwersytecie Minnesota. Socjologię. Uczy się bez końca, ma już jednego magistra. Ale nigdy nie było z nią najmniejszych kłopotów. – Wzięła do ust kostkę lodu, rozgryzła ją. – Lara była dzika. Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo byłam na nią wściekła.

– Za to, że wyszła za Barnetta?

– Za to, za wszystko... Za to, że się zabiła. – Dłoń zaczęła się jej trząść i Balquin odstawiała grzechoczącą szklankę na stół. – Mój terapeuta powiedział, że samobójstwo to ostateczny akt agresji. Lara nie musiała tego robić, naprawdę nie musiała. Mogła z kimś porozmawiać. Mówiłam jej, żeby z kimś porozmawiała.

– Poszła na terapię – dodał Milo.

– Jestem wielką fanką terapii. – Znów wzięła szklanke. – Terapii, tanqueraya z tonikiem i prozaku.

– A więc Lara była zbuntowanym dzieckiem – stwierdziłem.

– Nawet kiedy była mała, ja mówiłam jej swoje, a ona swoje. W liceum wpadła w złe towarzystwo, przez to tak się opuściła w nauce. Z całej trójki była najbystrzejsza, musiałaby tylko odrobinę się przyłożyć. Tymczasem ona wyszła za tego typu. W Vegas, na miłość boską. Jak w kiepskim filmie. On był... widzieliście panowie jego zęby?

Przez tych kilka sekund, kiedy go widzieliśmy, Malley nie otworzył ust.

– W nie najlepszym stanie? – spytał Milo.

– Zęby szumowiny z przyczepy kempingowej – burknęła Nina. Wyobraża pan sobie, co o tym myślał Ralph. – Żeby zilustrować kontrast, błysnęła pełnym zestawem porcelanowych koronek. – To łajza bez rodziny.

– Żadnej?

– Za każdym razem, kiedy pytałam go, gdzie się wychowywał, kim byli jego rodzice, zmieniał temat. To znaczy, był nowym członkiem naszej rodziny, miałam chyba prawo go zapytać? Gdzie tam. Silny i milczący. Ale jakoś nie starczyło mu sił, żeby zarobić na porządne utrzymanie. – Opróżniła szklanke, podtrzymała jedną rękę drugą. – Jesteśmy wykształconą rodziną, ja skończyłam projektowanie wnętrz, a mój mąż był jednym z najlepszych dentystów w Valley. A kto nam tu wszedł? Jakiś wieśniak.

– Lara poznała go na ranczu – wtrącił Milo.

– To była jej wakacyjna praca. – Balquin się skrzywiła. – Tutaj nigdy nie słała łóżka, ale tam mogła sprzątać pokoje za grosze. Twierdziła, że chce zarobić własne pieniądze, żeby kupić sobie droższy samochód niż ten, który chciał jej sprawić Ralph.

– Twierdziła?

– Rzuciła pracę po dwóch tygodniach, żeby uciec do Vegas z... nim. W ogóle nie miała żadnego samochodu, dopóki nie kupili sobie używanego taurusa. Wyjazd do Ojai to był zwykły bunt, jak za każdym razem.

– Powiedziała pani, że Barnett pracował w jakimś objazdowym rodeo?

– Pewnie zaimponował mojej córce sztuczkami z lassem. Jestem uczulona na konie... I nagle ona jest mężatką, informuje mnie, że chce mieć dużo dzieci. Nie po prostu dzieci, dużo dzieci. Spytałam, kto będzie utrzymywał te wszystkie dzieci, a ona miała gotową odpowiedź. Pan Kowboj odkładał swoje lassa i ostrogi, czy co tam miał, i szedł do prawdziwej pracy. – Prychnęła. – Jakby spodziewała się, że wstanę i zacznę bić brawo. Też mi kariera. Czyszczenie basenów.

– Byli małżeństwem już jakiś czas, zanim urodziła im się Kristal – powiedziałem.

– Siedem lat – odparła Balquin. – Mnie to nie przeszkadzało. Pomyślałam, że może wreszcie Lara przejrzała na oczy, zaczęła coś finansowo planować. Znalazła sobie pracę, nie jakąś świetną, została kasjerką w supermarkecie. A Kowboj kupił sobie trochę chloru i zaczął działać na własną rękę.

– Często się widywaliście?

– Prawie wcale. Potem, któregoś dnia, Lara wpadła zdenerwowana, zmieszana. Wiedziałam, że czegoś chce. Okazało się, że pieniędzy na leczenie bezpłodności. Przyznała się, że starają się od lat. Powiedziała, że kilka razy zaszła, ale nie donosiła. Potem nic. Jej lekarz podejrzewał u nich jakieś niedopasowanie. Wiedziałam, że skoro przychodzi, musi czegoś chcieć.

– Dlaczego kontakty między państwem były takie rzadkie? – spytałem.

– Bo oni tego właśnie chcieli. Zapraszaliśmy ich na wszystkie rodzinne uroczystości, ale nigdy nie przychodzili. Wtedy myślałam, że to przez niego, ale teraz nie mam już pewności. Bo moja terapeutka mówi, że muszę stawić czoło możliwości, że Lara miała swój udział w destrukcyjnej diadzie. W ramach procesu.

– Procesu? – spytał Milo.

– Procesu zdrowienia – wyjaśniła Balquin. – Zbierania się w garść. Zaburzenie równowagi chemicznej w moim mózgu wpływa na moje nastroje, ale muszę też wziąć osobistą odpowiedzialność za to, jak reaguję w sytuacjach stresowych. Moja nowa terapeutka rozumie, co to znaczy taka strata, i doprowadziła mnie do stanu, w którym mogę już mówić o Larze wprost. Dlatego to świetnie, że panowie zadzwonili. Po tym jak pan zadzwonił, powiedziałam swojej terapeutce, że będziemy rozmawiali. Według niej to przeznaczenie.

Milo kiwnął głową i założył nogę na nogę.

– Daliście państwo Larze pieniądze na leczenie?

– Żadne z nich nie miało ubezpieczenia. Nie wiem nawet, czy ubezpieczenie pokrywa koszty leczenia bezpłodności. Było mi jej żal, wiedziałam, jak trudno jej wyciągnąć do mnie rękę. Powiedziałam, że porozmawiam z jej ojcem, a ona mi podziękowała. Uściskała mnie nawet.

Balquin zatrzepotała powiekami. Wstała i dołała sobie.

– Mogę panom nalać czegoś bezalkoholowego.

– Naprawdę nie trzeba, proszę pani. A więc pani mąż zgodził się zapłacić za leczenie?

– Dziesięć tysięcy dolarów. Na początku powiedział, że nie ma mowy, potem oczywiście dał. Ralph był miękki. Lara spieniężyła czek i więcej nie było o tym mowy. Wszystko znów było po starym, nie odpowiadała na moje telefony. Moja terapeutka mówi, że muszę stawić czoło możliwości, że Lara mnie wykorzystała.

– To znaczy?

– Możliwe, że nie zapłacili lekarzowi.

– Dlaczego tak pani podejrzewa?

Palce Balquin, zaciśnięte na szklance, pobiełały.

– Nosiałam Larę w łonie przez dziewięć miesięcy i czasem tęsknię za nią tak, że nie mogę nawet o tym myśleć. Ale muszę podchodzić obiektywnie do własnego zdrowia psychicznego. Zawsze podejrzewałam, że ci dwoje wydali te pieniądze na coś innego, bo niedługo po tym, jak im je daliśmy, przeprowadzili się do większego domu, a dziecka wciąż nie było. Lara powiedziała, że Barnett potrzebował miejsca na swoje pianino. Pomyślałam, że to strata pieniędzy, grał tylko piosenki country, i to nie za dobrze. Krystal przyszła na świat dopiero kilka lat później, kiedy Lara miała dwadzieścia sześć lat.

– To musiało być wydarzenie – powiedziałem.

– Krystal? – Znów zamrugła. – Była słodka, śliczniutka. Widziałam ją tylko przez chwilę. Zostałam babcią, a nie mogłam widywać własnej wnuczki. To była decyzja Lary, ale wiedziałam, że on też odegrał w tym jakąś rolę. Odizolował ją.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ten człowiek nigdy nie powiedział nam miłego słowa. Mimo naszej dezaprobaty wobec tego małżeństwa staraliśmy się być mili. Kiedy wrócili z Vegas, urządziliśmy im małe przyjęcie, w Sportsman's Lodge. Na zaproszeniu było napisane „strój wizytowy”. A on przyszedł w brudnych dżinsach i takiej kowbojskiej koszuli, zapinanej na zatraski. Włosy miał długie i brudne; mój Ralph był strasznym czyściochem, niech pan to sobie wyobrazi. Lara kiedyś uwielbiała się stroić, ale teraz już nie. Miała na sobie dżinsy tak samo brudne, jak jego, i tandetną koszulkę na ramiączkach. – Pokręciła głową. – Jaki wstyd. Ale taka właśnie była Lara. Zawsze coś się musiało dziać.



– Proszę pani – spytał Milo – czy byłoby dla pani zbyt bolesne mówić o jej samobójstwie?

Wzrok Niny Balquin powędrował w górę.

– Czy gdybym powiedziała „tak”, zostawiłby pan ten temat?

– Oczywiście.

– No, to jest bolesne, ale nie chcę, żeby pan zostawiał ten temat. Bo to nie była moja wina, nieważne, co ludzie gadają. Lara przez całe życie sama podejmowała decyzje i na koniec podjęła tę ostateczną, straszną, głupią, parszywą.

– Kto mówi, że to pani wina? – spytałem.

– Nikt – odparła. – I wszyscy, ale nie wprost. Kiedy człowiek straci dziecko w wypadku albo przez chorobę, wszyscy mu współczują. Kiedy tracisz dziecko przez samobójstwo, wszyscy patrzą na ciebie, jakbyś był najgorszym rodzicem na świecie.

– Jak Barnett zareagował na samobójstwo?

– Nie wiem, nie rozmawialiśmy o tym. – Zaciśnęła i otworzyła oczy. – Kazał Larę skremować, nie starczyło mu godności na mszę. Nie było pogrzebu, nie było pomnika. Oszukał mnie, ten bydlak. Nie możecie mi panowie powiedzieć, o co jest podejrzany? Czy to ma coś wspólnego z narkotykami?

– Barnett brał narkotyki? – spytał Milo.

– Oboje palili trawkę. Może dlatego właśnie Lara nie mogła zajść w ciążę; trawka chyba robi coś z jajnikami czy jakoś tak?

– Skąd pani wie o tym, że brali narkotyki?

– Znam oznaki, detektywie. Lara paliła, kiedy była w liceum. Nic nie świadczyło o tym, że przestała.

– Złe towarzystwo, w które wpadła – powiedziałem.

– Zgraja rozwydrzonych bachorów. Rozbijali się bmw swoich rodziców, muzyka aż huczała, i udawali, że są z getta. Żadne z mojej pozostałej dwójki nie dało się wciągnąć w te bzdury.

– Uważa pani, że Lara dalej paliła, kiedy wyszła za męża.

– Wiem, że paliła. Kilka razy, kiedy ich odwiedziłam... kiedy mnie wpuścili. .. wszędzie był bałagan, a w powietrzu śmierdziało to świństwo.

– Czy używali kiedyś czegoś mocniejszego niż marihuana? – spytał Milo.

– Nie zdziwiłabym się. – Balquin spojrzała na niego uważnie. – A więc tu chodzi o narkotyki. Barnett jest dilerem?

– Wiedziała pani, że sprzedaje narkotyki?

– Nie, ale to logiczny wniosek. Ci, co biorą, zaczynają sprzedawać, żeby mieć pieniądze na swój nałóg, prawda? I ta jego broń... Lara była inaczej wychowana, nie mieliśmy w domu nawet zabawkowego pistoletu. A oni nagle sprawili sobie karabiny, rewolwery, coś strasznego. Trzymał je na wierzchu, w drewnianej gablocie, tak jak porządni ludzie trzymają książki. Jeśli człowiek nie robi czegoś podejrzanego, po co mu tyle broni?

– Pytała go pani o to?

– Wspomniałam o tym Larze. Powiedziała, żebym się nie wtrącała w nie swoje sprawy.

Rozejrzałem się po salonie, szukając regałów z książkami. Zobaczyłem tylko dębową boazerię i zdjęcia na ścianie.

– Lara zastrzeliła się z jego pistoletu – powiedziała Balquin. – Mam nadzieję, że jest teraz zadowolony. – Zaciśnęła dłoń w pięści. – Jeśli jest dilerem, mam nadzieję, że go złapiecie i zamkniecie na zawsze. Bo ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała moja córka, był jeszcze jeden zły wpływ.

Podrapała się w siekacz paznokciem, uniosła szklanekę do ust i wypila drinka, wolno, lecz równomiernie, bez przerwy na oddech.

– Czy chciałaby nam pani powiedzieć coś jeszcze? – spytał Milo.

– Nie powinnam tego mówić, ale... O, do cholery z tym, ona nie żyje, Kristal też i muszę się skoncentrować na odbudowie własnego życia. Znów ściągnęła twarz, utrzymała napięcie tak długo, że nawet odmłodzone mięśnie jej policzków i podbródka w końcu się poddały. – Zawsze się zastanawiałam, czy narkotyki nie miały czegoś wspólnego z tym, że Lara straciła z oczu Kristal. Upierała się, że to była tylko chwila, w sklepie tłok, odwróciła się na moment, i Kristal już nie było. Ale czy prochy nie spowalniają refleksu?

Milo rozprostował nogi. Wyjął notes, ale nic nie zapisał.

– To straszne mówić tak o własnym dziecku – powiedziała Nina Balquin. – Ale jak inaczej to wytłumaczyć? Wychowałam troje dzieci, a Mark, kiedy był mały, to było żywe srebro, nikt go nie zmusił, żeby siedział spokojnie w jednym miejscu. A ja nigdy go nie zgubiłam. Jak można zgubić własne dziecko!

Jej głos wznosił się prawie do krzyku. Opadła ciężko na kanapę, pomasowała lewą skroń.

– Cholerna migrena... Ostatnia rzecz, jakiej chcę, to winić własną córkę, ale obiektywnie rzecz biorąc... Może dlatego właśnie Lara czuła się aż tak winna, że zrobiła to, co... Och, wykrztuś to, Nina! Może dlatego właśnie się zabiła!

Obie jej dłonie zaczęły dygotać. Usiadła na nich, zamknęła oczy. Zza zaciśniętych ust wyrwał się cienki skowyt.

– Wiemy, że to trudne, proszę pani – powiedział Milo. – Doceniamy pani szczerość.

Nina Balquin otworzyła oczy.

– Wgląd – powiedziała – to draństwo.

Kiedy Milo jej dziękował, podszedłem do ściany w głębi i popatrzyłem na zdjęcia. Para trzydziestoparolatków z dwójką dzieci poniżej dziesięciu lat – syn księgowy z rodziną. Kobieta podobna do Lary Malley, w akademickim birecie i todze. Twarz grubiej ciosana niż u Lary, rude, kręcone włosy spływające spod biretu. Siostra Sandy.

Zdjęcie Lary nie było, ale pod jej rodzeństwem wisiała tanio oprawiona fotka Kristal, siedem na dwanaście. Dziewczynka miała na niej niecały rok, sądząc po tym, że potrzebowała podparcia, by siedzieć. Była ubrana w różową, westernową sukienkę i taki sam kapeluszek. W tle – wierzgające mustangi, kaktusy, maleńki księżyc nad prerią. Zdjęcie pochodziło pewnie z zakładu, jakich pełno w każdym centrum handlowym.

Uśmiechnięta dziewczyneczka, puciołowata, zaróżowiona. Duże, piwne oczy wpatrzone prosto w obiektyw. Wilgotna broda – śliniła się, widać ząbkowała.

– Dostałam je, kiedy wpadłam do nich z prezentem gwiazdkowym dla Kristal – wyjaśniła Nina Balquin. – Mieli cały plik. Musiałam poprosić, żeby mi jedno dali.

Kiedy odjeżdżaliśmy, stała w drzwiach z kolejnym drinkiem w ręku.

– Czasami moja popaprana rodzina nie wydaje mi się taka zła – mruknął Milo.

– Mamuśka nienawidzi Barnetta, ale nigdy nie pomyślała, że to on mógł zamordować Larę – powiedziałem.

– Ta kobieta jest tak delikatna, że tylko czekałem, kiedy będę musiał zbierać jej kawałki z dywanu – odparł Milo. – Ciekaw jestem, co z nią będzie, jeśli się dowiemy, że Barnett jest o wiele podlejszym typem, niż sobie wyobrażała.

Zamiast przelotówki wybrał drogę przez miasto, pojechał Van Nuys Boulevard na północ, do Beverly Glen.

– Zupełnie jak u Malleya, co? – zagadnął, kiedy jechaliśmy krętym kanionem. – Jedyna różnica to wille za grube miliony, korty tenisowe, zagraniczne samochody, o wiele więcej zieleni i żadnych kempingów.

– Zgadza się co do joty odparłem.

– Czy Balquin powiedziała coś, co pozwoliłoby nam zrozumieć psychikę Malleya?

– Jeśli można jej wierzyć, odizolował Larę od jej rodziny, nie chciał mówić o swoim pochodzeniu, brał narkotyki. Wiemy, że ta część o zbieraniu broni to prawda. Dorzuć do tego to, jak zareagował na nasz widok, i może z tego wyjść coś brzydkiego.

– Czy faceci, którzy izolują swoje żony, nie biją ich?

– Istnieje takie ryzyko – powiedziałem. – Jeśli zasadnicze podejście Malleya do życia to było „my kontra reszta świata”, zamordowanie Kristal jeszcze by taką postawę utwierdziło.

– Świat jest podły i niebezpieczny, więc trzeba być czujnym i uzbrojonym.

– I oddawać ciosy. Zainteresowało mnie podejrzenie Niny, że Lara była nieuważna przez narkotyki. To ciężki wniosek, kiedy chodzi o własne dziecko. Nieważne, ile się przeszło terapii.

– Już wiemy, za co Barnett mógł winić Larę. Chociaż sam też przypała.

– Lara była matką. Matki zawsze są obwiniane. Kiedy Troy i Rand poszli siedzieć, Lara i Barnett zaczęli przyglądać się własnemu życiu. Mamy tu parę, która miała problemy z prokreacją. W końcu spłodzili dziecko, tylko po to, by odebrano im je w najgorszy możliwy sposób. To dopiero próba dla związku. Może napięcie rosło, aż stało się nie do zniesienia, powiedzieli sobie rzeczy, których nie powinni mówić. Odizolowanie, narkotyki i bicie dodałoby jeszcze żaru. Może Lara przestała się na to godzić – głośno myślałem.

– Zrobiła się dla kowboja zbyt asertywna. – Milo wycelował palcem w szybę. – Bach.

– Właśnie, bach.

Niemal przez całą drogę powrotną do miasta Milo brnął przez biurokratyczne trzęsawisko Departamentu Policji Los Angeles, żeby zdobyć kompletne akta samobójstwa Lary Malley.

Pozwoliłem myślom biec swobodnie i doszedłem do interesujących wniosków.

Milo zatrzymał się przed moim domem.

– Dzięki. Dalej. Dokądś.

– Czy jesteś w nastroju do dalszych spekulacji?

– Co masz?

– Nina Balquin podejrzewa, że Malley był zamieszany w handel narkotykami. Jeśli to prawda, najprawdopodobniej znałby różnych nieprzyjemnych ludzi. Z rodzaju tych, co potrafią coś załatwić za kratkami.

Milo skrzywił się i odwrócił do mnie.

– Na przykład Troya Turnera? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Wolne skojarzenie.

– Turnera przypisano gangom. Napadł na członka Vatos Locos.

– I może rzeczywiście tak było – mruknąłem.

– Dlaczego nie tak miałyby to wyglądać, Alex?

– A dlaczego trzynastoletni chłopak wisiał w składziku i krwawił przez godzinę, zanim ktoś go znalazł?

– Bo w CYA mają burdel.

– Rozumiem.

Milo gwałtownie odsunął fotel i rozprostował nogi.

– Malley załatwia zabójstwo Turnera miesiąc po jego skazaniu, ale czeka osiem lat, żeby zająć się Randem?

– To pewien problem – przyznałem.

– Nie da się ukryć.

– Mogę ci zaproponować wytłumaczenie, ale to będzie większa spekulacja.

– W przeciwieństwie do dotychczasowych?

– Malley pałał żądzą natychmiastowej zemsty za śmierć córki. Za głównego winnego uważał Troya Turnera, więc Troy zapłacił szybko. Malleya to zadowoliło, jego wściekłość osłabła. Możliwe, że uznał nawet, że Rand nie zasłużył na taką karę. Ale spotkali się twarzą w twarz i coś poszło nie tak.

– Malley nie czeka z załatwieniem własnej żony, ale Randowi daje osiem lat?

– Jeśli winił Larę za śmierć Kristal, to był zupełnie inny rodzaj wściekłości.

– Zabija się tylko tych, których się kocha? No, nie wiem, Alex. To trochę naciągana teoria.

– Nawet własna matka Lary jest wciąż na nią zła. W jej domu wisi zdjęcie Kristal, ale nie ma żadnego Lary. Postaw się na miejscu Barnetta. Tyle lat bezpłodności, a potem ona wszystko psuje.

– Coś w tym jest – przyznał.

– Byłby też praktyczny powód, żeby nie zabijać Randa zaraz po Troyu. Gdyby obaj zginęli w tak krótkim odstępie czasu, wzbudziłoby to podejrzenia o zemstę. Z Lara wyglądało to inaczej, nie było powodu zakładać, że nie popełniła samobójstwa.

– Sue nic nie podejrzewała. A nie była głupia. Może...

– Jeśli Malley rzeczywiście zabił Larę i udało mu się oszukać koronera i gliniarzy, to oznacza spryt i umiejętność planowania. Co pasuje do zdolności powstrzymania się z zemstą. I do trybu życia Malleya; to asceta. Może rozmyślał o losie Randa latami i postanowił sprawdzić, jak bardzo tamten odpokutował.

– Obiewasz-giniesz – powiedział Milo. – Trzydziestkaósemka. Kowbojska spluwa... Ale mimo wszystko osiem lat to szmat czasu.

– Może tych osiem lat było przerywanych sporadycznymi kontaktami; może to był dla Randa wydłużony okres próbny.

– Malley odwiedzał go w więzieniu? Rozmawiał z gnojem, który zabił mu dziecko?

– Rozmawiał, przysyłał listy albo dzwonił – powiedziałem. – Widziałeś to nie jeden raz, ofiary i oprawcy kontaktują się po wyroku. Inicjatywa mogła wyjść od Randa. Chciał wyrzucić z siebie poczucie winy i wykonał pierwszy ruch.

– Według ciebie Malley by na coś takiego poszedł? To nie jest specjalnie wrażliwy facet.

– Przez osiem lat ludzie mogą się zmienić. A to, że gromadzi broń, nie znaczy jeszcze, że nie cierpi.

– Zabrzmiało to jak mowa obrończa. – Zaburzała policyjna częstotliwość. Dłoń Mila wystrzeliła do przodu i wyłączyła radio. – Byłbym durniem, gdybym nie sprawdził listy odwiedzających Randa. Co, zważywszy na burdel w CYA, nie będzie łatwe. A skoro już mam się zagrzebać w papierach, spróbuję od razu dowiedzieć się, ile zdołam, na temat śmierci Turnera. I nie zapominajmy o rozkoszach rozgrzebywania przeszłości Barnetta Malleya.

– Zawsze możesz na mnie liczyć, jeśli trzeba rozświetlić czymś twój dzień.

– Daj spokój – obruszył się. – To więcej niż miałem, zanim zacząłeś swoje wolne skojarzenia.

Pięć wiadomości na sekretarce. Cztery razy śmieci i Allison, rozradowana.

– Jestem wolna! Wracam jutro, lotem JetBlue o siódmej rano. Powinnam być w Long Beach o dziesiątej trzydzieści.

Dodzwoniłem się do niej na komórkę.

– Dostałem dobre wieści.

– Zagrałam na poczuciu winy kuzyna Wesleya. Mój doktorat na coś się przydał. Wesley przylatuje tu z Bostonu dziś wieczorem. Jestem już spakowana i gotowa do wyjazdu.

– Jak to przyjęła babcia?

– Trochę cicho pochlipała, ale mówi to, co się mówi w takich chwilach.

– Lot o siódmej rano z Nowego Jorku oznacza jazdę po ciemku z Connecticut.

– O trzeciej trzydzieści przyjeżdża po mnie samochód. To chyba dowodzi, jak wielka jest moja motywacja! Dzień po powrocie mam umówionych pacjentów, ale jeśli masz czas jutro, moglibyśmy się zabawić.

– Lubię się bawić – powiedziałem. – Przyjadę po ciebie.

– Zamówiłam sobie samochód w Long Beach.

– No to go odmów.

– Uhuhu – sapnęła. – Twardziel.

O dziewiątej wieczorem zadzwoniła poczta głosowa. Zjadłem właśnie kanapkę, popiłem ją piwem i byłem gotów walnąć się do łóżka z naręczem fachowych pism.

– Dzwoni Clarice Daney, panie doktorze – powiedziała telefonistka.

– Cherish Daney?

– Słucham?

– Znam Cherish Daney.  
– Och, możliwe, Loretta tak niewyraźnie pisze... Tak, to może być ona, panie doktorze. Mam zanotować numer czy połączyć? Powiedziała, że to nic pilnego.  
– Odbiorę.  
Przełączyła mnie.  
– Och! Przepraszam, chciałam tylko zostawić wiadomość. Nie musieli panu przeszkadzać – powiedziała Cherish Daney.  
– Nic się nie stało. Co słyszeć?  
– Próbowałam się właściwie dodzwonić do porucznika Sturgisa, ale powiedzieli mi, że wyjechał z miasta, więc pomyślałam, że zadzwonię do pana. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.  
Wyjechał z miasta?  
– Nic się nie stało. Co panią trapi, pani Daney?  
– Kiedy panowie wyszli, uświadomiłam sobie, że nie miałam okazji powiedzieć nic więcej o Randzie. Mój mąż z panami rozmawiał, ale pomyślałam, że mogłabym coś dodać.  
– Słucham.  
– Dobrze. To pewnie nic takiego, ale powinni chyba panowie wiedzieć, że Rand przez cały weekend był bardzo nerwowy. Bardziej niż nerwowy. Był wzburzony i pobudzony.  
– Pani mąż powiedział, że Rand czegoś się bał.  
– Czy Drew powiedział czego?  
Przypomniałem sobie opiekuńczość Drew. Uznałem, że Cherish jest dorosła i że bardziej zależy mi na jej reakcji.  
– Powiedział, że Randowi się zdawało, że ktoś kręcił się w nocy pod jego oknem. Rano Rand zauważył ciemną ciężarówkę, odjeżdżała spod państwa domu, i z jakiegoś powodu go to zmartwiło.  
– Ciemna ciężarówka – powtórzyła Cherish. – Drew mi o tym opowiadał, ale chodzi mi o coś innego. Coś leżało Randowi na sercu, zanim jeszcze został wypuszczony. Zaczęło się to tak naprawdę kilka tygodni wcześniej. Chciałam go otworzyć, ale uważałam, że nie powinnam za bardzo naciskać po tym wszystkim, co przeszedł.  
– Otworzyć go.  
– Nie jestem psychologiem, ale mam certyfikat doradcy duchowego. Widziałam u niego wszystkie oznaki niewerbalne, doktorze. Brak koncentracji, brak apetytu, bezsenność, ogólny niepokój. Przypisywałam to tremie przed zwolnieniem, ale teraz się zastanawiam... Zaczęło się to na długo, zanim wzięliśmy go do siebie, więc nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z jakąś ciężarówką, która miałaby go śledzić.  
– Może mi pani coś więcej o tym powiedzieć? – spytałem.  
– Jak mówiłam, przez jakiś czas był nerwowy. Ale kiedy odbieraliśmy go z Camarillo, wyglądał okropnie. Błady, roztrzęsiony, zupełnie nie on. Kiedy jechaliśmy do domu, zatrzymaliśmy się, żeby zatankować, mój mąż poszedł do łazienki i zostałam z Randem na kilka minut sam na sam. Ledwie był w stanie usiedzieć w miejscu. Spytałam go, co się dzieje, ale nie odpowiedział. Postanowiłam trochę go przycisnąć i w końcu przyznał, że chciał o czymś porozmawiać. Spytałam o czym, a on zaczął się wahać i w końcu wykrztusił, że chodzi o Kristal. Potem się rozplakał. Bardzo go to zawstydziło, zaczął połykać łzy i zmuszać się do uśmiechu. Nie zdążyłam go wysondować, bo wrócił Drew z napojami i jedzeniem, a widziałam, że Rand nie chce, żebym cokolwiek mówiła. Zamierzałam dokończyć tę rozmowę w weekend, ale jakoś nie mogłam trafić na dobry moment. Tak bardzo teraz żałuję, doktorze.  
– Chodzi o Kristal – powtórzyłam. – Domyśla się pani, co chciał przez to powiedzieć?

– Założyłam, że chciał się wygadać. Bo nigdy tak naprawdę nie stawiał czoła temu, co się stało. W trakcie naszych odwiedzin wyrażał jakąś tam skruchę. Ale może teraz, kiedy na horyzoncie widział już wolność, dochodził do punktu, w którym mógł wziąć na siebie większą odpowiedzialność.

– To znaczy?

– Objąć świadomością swoje zadośćuczynienie. Być może wykonując gesty proaktywne.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem.

– No właśnie. To dla pana pewnie brzmi jak bełkot. Ja sama nie wiem, czy rozumiem. Nic na to nie poradzę, cały czas mam wrażenie, że Rand chciał mi powiedzieć coś, czego nie mówił wcześniej. Cokolwiek to było, mam ochotę kopnąć się za to, że tego z niego nie wydusiłam.

– Wygląda na to, że zrobiła pani dla niego więcej niż ktokolwiek inny.

– To miło z pana strony, doktorze, ale prawda jest taka, że przy tylu dzieciach bardzo wiele spraw wymaga mojej uwagi. Powinnam była zareagować bardziej... przystępnie.

– Chce pani powiedzieć, że poczucie winy Randa miało coś wspólnego z jego zamordowaniem?

– Nie wiem, co chcę powiedzieć. Szczerze mówiąc, jest mi teraz głupio. Że panu zawracam głowę.

– Nie zawraca pani. Co Rand mówił pani przedtem?

– Na początku twierdził, że nic nie pamięta. Może to nawet była prawda, wie pan, tłumienie wspomnień. A jeśli nie, psychodynamika byłaby taka sama, prawda, doktorze? Ogrom jego przestępstwa był dla niego nie do zniesienia, więc zamknął się w sobie i wznosił mury obronne. Czy mówię do rzeczy?

– Oczywiście.

– To znaczy, jedyne, co ten biedny chłopak mógł zrobić, to poradzić sobie z każdym kolejnym dniem. Mówi się, że to zakład dla nieletnich, ale tam wcale tak nie jest.

– Rand nosił stare blizny – zauważyłem.

– Och, wiem. – Głos się jej załamał. – Słyszałam o każdej napaści, ale nie pozwolono mi go ani razu odwiedzić w szpitalu. Kiedy wróciliśmy do domu, przebrał się w świeże ubranie, a ja zabrałam stare do prania. Kiedy zdjął koszulkę, zerknęłam na jego plecy. Nie powinnam być wstrząśnięta, ale to było obrzydliwe.

– Niech mi pani opowie o tych napaściach.

– Najgorzej było, kiedy został dopadnięty przez jakiś gang i kilka razy dźgnięty zupełnie bez powodu. Rand nie lubił się bić, wręcz przeciwnie. Ale czy to mogło ich powstrzymać?

– Jak poważnie został ranny?

– Leżał w szpitalu przez ponad miesiąc. Innym razem zaskoczyli go od tyłu, dostał w głowę pod prysznicę. Jestem pewna, że były też inne incydenty, o których nie mówił. To był duży, silny chłopak, więc doszedł do siebie. Fizycznie. Po tym, jak go dźgnięto, poskarżyłam się naczelnikowi, ale mogłam sobie skarżyć. Strażnicy też biją tam więźniów. Wie pan, jak na siebie mówią? Opiekunowie. A jest wręcz przeciwnie.

– Tego rodzaju doświadczenia mogą człowieka znerwicować – powiedziałem.

– Oczywiście, że mogą – odparła Cherish. – Ale Rand się przystosował, objawy zaczęły się dopiero, kiedy miał zostać zwolniony. To był niesamowity człowiek, doktorze. Nie wiem, czy wytrzymałabym osiem lat w takim miejscu i nie zwariowała. Gdybym tylko umiała lepiej nim pokierować... Kiedy pracuje się z ludźmi, bez przerwy się widzi, że tylko Bóg jest doskonały.

– Czy odwiedzaliście państwo też Troya?

– Dwa razy. Nie było za wiele czasu, prawda?

– Czy Troy okazywał jakąś skruchę?

Milczenie.

– Troy nie zdążył duchowo dojrzeć, doktorze. To dziecko nie dostało żadnej szansy. Tak czy inaczej, to właśnie chciałam panu powiedzieć. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

– Przekażę wszystko detektywowi Sturgisowi.

– Dziękuję... Jeszcze jedno, doktorze.

– Co takiego?

– Pana raport na temat chłopców. Nie miałam okazji powiedzieć tego panu wtedy, ale moim zdaniem odwalił pan kawał dobrej roboty.

W domu Mila odebrał Rick Silverman.

– Właśnie wychodzę, Alex. Twardziel dwie godziny temu poleciał do Sacramento.

– Gdzie się zatrzymał?

– Gdzieś w Stockton, blisko jakiegoś poprawczaka. Muszę lecieć, wypadek samochodowy, liczne ofiary. Nie mam dyżuru, ale szpital potrzebuje każdej pary rąk.

– Leć.

– Miło się gadało. Jeśli będziesz z nim rozmawiał pierwszy, powiedz mu, że zajmę się Maui.

– Plany na wakacje?

– Podobnie.



Zabawa.

Ciało kobiety zwinięte w kłębek obok twojego, zapach jej skóry, jej włosów.

Krągłość biodra w dłoni, ksylofon zeber pod palcami, gładkie ramię.

Podparłem się na rękę i spojrzałem na śpiącą Allison. Wsłuchałem się w rytm jej oddechu, patrzyłem, jak wolno niknie zaróżowienie jej piersi.

Wyszedłem z łóżka, włożyłem spodenki i koszulkę – już mnie nie było.

Kiedy przyszła do kuchni w moim wytartym, żółtym szlafroku, zdążyłem już zaparzyć kawę, odsłuchać wiadomości i przemyśleć telefon od Cherish Daney.

Rand chciał porozmawiać o Kristal. To samo powiedział mnie.

Nie, nie do końca tak. On coś wymamrotał, ja poruszyłem ten temat, a on się zgodził.

Jakby się otworzył.

Allison wybełkotała coś w rodzaju „Cześć”. Szła niepewnym krokiem, a jej czarne włosy były rozpuszczone i zmierzwione tak ładnie, jak tylko mierzwią się włosy naprawdę gęste. Zamrugła oczami, walcząc z sennością, podeszła do zlewu, odkręciła wodę i przemyła twarz. Zacisnęła mocniej pasek szlafroka, wytarła się papierowym ręcznikiem i potrząsnęła głową jak szczeniak.

Ziewnęła rozzdzierająco. Nawet nie zdążyła zakryć ust.

– Pszaszam.

Kiedy ją objąłem, oparła się o mnie tak ciężko, że pomyślałem: znów zasnęła. Nawet na obcasach nie jest za wysoka. Boso sięga mi ledwie do ramienia. Pocałowałem ją w czubek głowy. Poklepała mnie po plecach dziwnie platonicznym gestem.

Zaprowadziłem ją do krzesła, nalałem kawy do kubka i postawiłem przed nią talerzyk z imbirowymi ciastkami. Kupiła je kilka tygodni temu. Nawet ich nie otworzyłem. Powtarzam sobie, że muszę nauczyć się kucharować, ale kiedy zostaję sam, jem to, co najłatwiej przygotować.

Spojrzała na ciastka, jakby to była jakaś egzotyczna ciekawostka. Wsunąłem jej jedno do ust, a ona skubnęła, pogryzła z wysiłkiem, głośno połknęła.

Wmusiłem w nią trochę kawy. Uśmiechnęła się do mnie niewyraźnie.

– Która godzina?

– Druga po południu.

– Och... Gdzie byłeś?

– Tutaj.

– Nie mogłeś spać?

– Zdrzemnąłem się.

– Padłam jak bym się upiła. Nie wiem nawet, w jakiej jestem strefie czasowej...

Spojrzała na kubek.

– Jeszcze? Dzięki. Proszę.

Pół godziny później była już po prysznicu, umalowana, włosy rozczesała równo na plecy, włożyła białą, lnianą bluzkę, czarne spodnie i półbuty na obcasach tak cienkich, że wyglądały, jakby się miały za chwilę złamać.

Nic nie jadła od czasu ostatniej herbatki z babcią poprzedniego popołudnia i głośno domagała się protein. Decyzja była obopólna i łatwa: restauracja w Santa Monica, do której

jeździliśmy, kiedy potrzebowaliśmy spokoju. Wołowina peklowana na sucho, dobry bar. Poza tym, tam byliśmy na pierwszej randce.

Na dworze było okrutne dwadzieścia pięć stopni w cieniu, wzięliśmy więc jej czarnego jaguara xjs, bo ma składany dach. Ja prowadziłem, a ona jechała całą drogę z zamkniętymi oczami, z dłonią na moim kolanie.

Wspaniały dzień. Zastanawiałem się, jaka jest pogoda w Stockton.

Byłem tam raz, wiele lat temu, na polecenie sądu. To ładne, rolnicze miasteczko na wschód od Sacramento, w samym sercu doliny San Joaquin, z portem rzeczny. Bardzo daleko w głębi łądu, dookoła pola płaskie jak taca – musi tam być goręcej.

Milo pewnie już się pocił, no i kłął.

Myślał o Maui?

Sprawa, która zaprowadziła mnie do Stockton, rozgrywała się przed sądem rodzinnym. Niedawno rozwiedziony chorwacki taksówkarz porwał swoich troje dzieci tylko po to, by trzy miesiące później zostać złapanym pod Delano, gdzie próbował obrabować sklep spożywczy, a dzieci służyły jako czujki. Skazany na dziesięć lat, zadomowił się w więzieniu i zażądał wspólnej opieki nad dziećmi i regularnych odwiedzin. Fakt, że matka była uzależniona od amfetaminy i zaczęła jeździć z motocyklowym gangiem, świadczył na jego korzyść wystarczająco, by poruszyć tryby sądowej maszyny.

Zrobiłem, co mogłem, by chronić dzieci. Głupi sędzia wszystko popsuł...

Dłoń Allison z mojego kolana przeniosła się na policzek.

– O czym myślisz?

Robin zawsze nienawidziła paskudnych spraw, którymi się zajmuję. Allison je uwielbia. Nosi w torebce mały pistolet, ale w pierwszym odruchu zawsze chce ją chronić.

– Alex?

– Tak?

– To nie było podchwytliwe pytanie, kochanie.

Byliśmy o jedną przecnicę od restauracji. Zaczęliśmy rozmawiać.

Krótką przerwę w rozmowie; zamówiliśmy steki dla nas obojga i butelkę francuskiego czerwonego wina.

– Wygląda na to – powiedziała Allison – że pan i pani Daney nie mają ze sobą najlepszych stosunków.

– Dlaczego tak uważasz?

– Daney ma tajemnice przed żoną i opowiada wam o tym, jak Rand bał się, że ktoś go śledzi, bał się ciemnej ciężarówki. Wszystko to wydaje się mieć solidne podstawy, Rand został w końcu zamordowany. Ale pani Daney lekceważy to i kieruje cię w zupełnie inną stronę.

– Tak naprawdę nigdzie mnie nie skierowała – powiedziałem. – Głównie recytowała jakiś pseudopsychologiczny bełkot.

– To jej poczucie winy, że go „nie otworzyła”. Takich słów użyła?

Kiwnąłem głową.

– To terapeutka?

– Ma jakiś certyfikat doradztwa duchowego.

– Już niedługo wszyscy będą prowadzić terapie i nikt nie będzie miał czasu na nie chodzić. Może powinnam przerzucić się na weterynarię.

– Przyszło ci to do głowy, kiedy poznałaś Spike’a?

– Kochasz Spike’a jak brata. Przyznaj się.

– Mówią ci coś imiona Kain i Abel?

Zaśmiała się, dolała sobie wina, zamyśliła się.

– Brzmi to tak, jakby Rand był jej pracą domową, a ona myślała, że może go wyleczyć. Teraz, kiedy on nie żyje, ona się zadrecza, że nosił w sobie jakiś mroczny sekret, który powinna wydobyć na światło dzienne. Co może być prawdą to samo sugerował w rozmowie z tobą. Pytanie brzmi: czy jego sekret miał jakiś związek z morderstwem? Pani Daney chyba nie ma na ten temat nic konkretnego do powiedzenia. Przejmuje się głównie własnym poczuciem winy.

– No to po co próbowała skontaktować się z Milem?

– Żeby mieć poczucie spełnionego obywatelskiego obowiązku. – Allison pogłaskała mnie po palcach. – Z drugiej strony Rand nie dzwonił do ciebie bez powodu, a kilka godzin później już nie żył.

Przyniesiono jedzenie.

– Nie domyślasz się, o czym Rand chciał rozmawiać? – spytała Allison.

– Na koniec powiedział, że jest dobrym człowiekiem. Uznałem, że chodzi mu o jakieś rozgrzeszenie.

– To ma sens, ostatecznie nie różnimy się tak bardzo od księży.

– Zastanawiam się powiedziałem – dlaczego zadzwonił do mnie. Moja rola w tej sprawie była raczej minimalna.

– Może nie dla niego, Alex. A może po prostu chciał wyrównać rachunki ze wszystkimi, którzy brali w tej sprawie udział. A zatem oczywiście z ojcem Kristal, który przypadkiem jeździ ciemną ciężarówką.

– Wracamy do Barnetta.

– Co wiesz o tym facecie?

– Matka Lary jest pewna, że on i Lara coś brali, podejrzewa, że Barnett mógł sprzedawać narkotyki. Mówi też, że izolował Larę, co kojarzy mi się z maltretowaniem. Mieszka w dziczy, zbiera broń.

– Uroczy koleżka.

– Mama Lary zastanawiała się też głośno, czy Lara mogła być na haju, kiedy zgubiła Kristal.

– Zgubiła – powiedziała Allison. – To brzmi, jakby posiadała gdzieś klucze.

Zjedliśmy deser i wypiliśmy kawę, długo trawiliśmy. Allison upierała się, że zapłaci, no i postawiła na swoim. Zaróżowiły się jej policzki.

– Dobrze mieć cię z powrotem – powiedziałem. – Chociaż nie pozwalasz mi płacić.

– Dobrze być z powrotem... Coś mi nie daje spokoju, Alex. Rozumiem, że haj Lary mógł być problemem dla jej męża. Ale dlaczego miałyby to obchodzić Randa i skąd w ogóle miałby o tym wiedzieć?

Nie umiałem tego wyjaśnić.

Skubnęła mój rękaw.

– Jestem namolna? Przepraszam, wzbudziłeś moją ciekawość.

– Daj spokój. Mów dalej.

– To miał być przypadkowy akt przemocy, tak? Chłopcy nie znali Kristal, zanim ją porwali.

– Powiedzieli, że wypatrzyli ją, jak błąkała się sama. Czemu pytasz?

– To dziwne. Mała dziewczynka w centrum handlowym, tyłu kupujących. Można by pomyśleć, że nie zabłąkałaby się daleko, dopóki ktoś by nie interweniował.

– Poświęteczne wyprzedaje – stwierdziłem. – Wszyscy szukali przecen. Może nikt nic nie zauważył, bo nie było gwałtownej szarpaniny. Dla przypadkowego obserwatora mogło to wyglądać tak: dwóch nastolatków, opiekujących się młodszą siostrą.

- Niewykluczone.
- Co ci chodzi po głowie?
- Kristal miała dwa latka, prawda?
- Bez jednego miesiąca.
- To szczytowy okres lęku przed rozdzieleniem. Dlaczego się nie broniła?
- Niektóre dzieci są bardziej ufne niż inne.
- A niektóre, zaniedbywane i maltretowane, w ogóle nie boją się nieznajomych. Czy coś wskazywało na maltretowanie?
- Autopsja nie wykazała żadnych starych złamań ani blizn, Kristal była zadbana. Przypuszczam, że jeśli twierdzenia Niny o narkotykach i izolacji są prawdziwe, można podejrzewać jakiś poziom zaniedbania.
- Jak daleko Malleyowie mieli do centrum handlowego?
- Kilkaset metrów.
- Więc Lara pewnie często chodziła tam po zakupy.
- Chodziła.
- Jak daleko było od nich do osiedla?
- Mniej więcej tyle samo. Myślisz, że chłopcy znali Kristal, chociaż twierdzili, że nie znali?
- Kręcili się pod salonem gier, mieliby okazją ją zauważyć. Może już wcześniej zauważyli rozkojarzenie Lary, może nawet rozmawiali z Kristal, kiedy Lara straciła ją z oczu. Wtedy łatwiej byłoby im ją porwać.
- Premedytacja – powiedziałem. – Chłopcy wszystko zaplanowali, a potem skłamali, bo ukazałoby to ich w gorszym świetle? Myślisz, że to właśnie dręczyło Randa?
- Albo coś wręcz przeciwnego, Alex. Rand powiedział ci, że jest dobrym człowiekiem. Próbował zminimalizować swoją winę, a jak zrobić to lepiej, niż zwalić ją na innych? Po pierwsze na Troya. Ale też na Larę, bo Rand już wcześniej widział, jak pozwalała Kristal odchodzić od siebie. Lara na pewno by się do tego nie przyznała, ale mogło ją to męczyć, przyczynić się do depresji i samobójstwa. Wszystko to Barnett zostawił za sobą. To się nazywa nacisnąć niewłaściwy guzik.
- Moje procesy trawienne ustały i stek zaległ mi cegłą na żołądku.
- Rand nie był za bystry, mógł źle odczytać sygnały. Masz bardzo płodny umysł.
- Tylko głośno myślę, kochanie. Tak jak ty.
- Ależ z nas rozkoszna parka.
- Naprawdę tak jest, Alex. O głupotach każdy potrafi rozmawiać.

Ciepło jak na tę porę roku – powiedział Milo. – W przeciwieństwie do przyjęcia, jakie spotkało mnie u Chaderjiana.

Jego szerokie plecy się zaokrągliły, kiedy wsadził głowę do mojej lodówki.

Wrócił ze Stockton przed godziną, przyjechał prosto do mnie i obwieścił, że linie lotnicze postanowiły go zagłodzić. Na blacie już leżał bochenek chleba, obok stał słoik masła orzechowego. Milo wypił pół kartonu mleka, nie zwracając sobie głowy szklanką.

– Kończy ci się zaopatrzenie – stwierdził głosem stłumionym przez ściany lodówki. Ani dżemu, ani konfitur, przetworów czy jakiegś ich rozsądnej pochodnej, to niewybaczalne.

– Zapakować ci do szkoły trochę czipsów i ciasta, synu?

– Hm. – Milo pogrzebał w lodówce, wyprostował się, lewą ręką pomasaował krzyż. – To musi wystarczyć. – Jego wielka dłoń skrywała coś, co niósł na blat. Postawił to coś obok chleba.

Karton brzoskwiniowego jogurtu. Kolejny zakup Allison... chyba sprzed paru tygodni.

– Może być niedobry – powiedziałem.

– To tak jak ja. Oderwał wieczko, powąchał, skrzywił się, łyżeczką wywalił beżową, lśniąca maż do zlewu i spłukał ją wodą, ochlapując sobie krawat.

Znów powąchał.

– Dżem na dnie jest jeszcze dobry.

Łyżka pomarańczowej galarety wylądowała na kromce chleba. Na drugiej rozsmarował masło, potem złączył oba kawałki razem. Zgiął kanapkę i zaczął jeść na stojąco.

– *Bon appetit.*

– Bez francuskiego, nie mam dzisiaj na to cierpliwości. *Mon ami.*

– CYA nie chciała współpracować? – spytałem.

– Można by pomyśleć, że naczelnicy i reszta tych więziennych typków pójda na rękę gliniarzom, skoro wszyscy pracujemy na rzecz publicznego bezpieczeństwa. – Otarł usta. – Ale gdybyś tak pomyślał, to byś się pomylił. Naszym zadaniem jest posyłać męty za kratki, tam jest chroniczny tłok, bryzgają im wiadrami gówna w twarze i robią różne inne przykrości. Więc ich celem jest wyrzucanie mętów na wolność. Czuję się u nich jak robak, Alex.

– Nie zaopiekowali się tobą? – spytałem.

– Co?

– Tak się nazywają strażnicy w CYA. Opiekunowie.

Zaśmiał się.

– Atmosfera tam była napięta, Alex. Wszędzie cisza, czuję, że coś wisi w powietrzu. Później przeczytałem w lokalnej gazecie, że chodzi o śledztwo w sprawie całego systemu CYA, prowadzone przez legislaturę. Za dużo więźniów im ginie. Do tego archiwa mają jeszcze gorsze niż nasze. Ale nie wszystko stracone... Masz jeszcze trochę jogurtu?

– *Mi lodówka es su lodówka.*

– Teraz po hiszpańsku? Idź pracować w ONZ-ecie.

– Skoro już mowa o mętach.

Drugi zestaw stworzył na bazie miodu jako źródła cukru, skonsumował go już spokojniej.

W czterech kęsach, na siedząco.

– Mów, co chcesz, ale czasem łakomstwo popłaca – mruknął. – Nie miałem nic w ustach od wczorajszego wieczoru, nora, w której mieszkałem, nie miała obsługi, a kiedy wyszedłem z zakładu, czuję się podle. Pierwsze, co wypatrzyłem, to bar z grillem dwie przecznice od

więzienia. Barman podgrzał mi w mikrofalce porcję zeberek i zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że pracował jako kucharz w więzieniu, odszedł siedem lat temu.

– Rok po zamordowaniu Troya.

– Dokładnie dziesięć miesięcy. Dobrze pamiętał to morderstwo, widział, jak wynosili zwłoki. Dwóch opiekunów wyniosło je przez kuchnię na rampę załadowniczą. Nawet dzieciaka w nic nie zawinęli, położyli tylko na desce i przypięli paskami, żeby nie zjechał do zupy. Barman powiedział, że Turner wyglądał, jakby był nie większy od oskubanego indyka, miał nawet taki sam kolor.

Milo podszedł do lodówki, wyjął piwo, otworzył je, usiadł.

– Barman miał oko do szczegółów – stwierdziłem.

– Pomogło mu to, że nie kochał więzienia. Twierdzi, że zwolnili go bez powodu. Bardzo dobrze pamięta, że był główny podejrzany o to morderstwo. Nie Vato Loco, tylko wolny strzelec do wynajęcia Nestor Almeida. Vatos Locos i inne gangi korzystały z jego usług, kiedy chciały załatwić coś po cichu. I wiesz co? Rzeczony księciunio wyszedł na wolność kilka miesięcy temu, a jego ostatni znany adres zamieszkania jest tu, w LA, w dystrykcie Westlake.

– Almeida pracował dla klientów spoza gangów?

– Na przykład Barnetta Malleya? Z tego, co wiem, Malley nigdy go nie odwiedził. Randa też nie. Troy miał trzy wizyty, raz odwiedziła go matka, dwa razy Drew i Cherish Daneyowie. Nie zachowano wykazów rozmów telefonicznych.

– Za co Nestor Almeida trafił do Chaderjiana? – spytałem.

– Zadźgał dwoje innych dzieciaków w parku MacArthura, kiedy miał piętnaście lat. Odsiedział sześć za nieumyślne spowodowanie śmierci i wyszedł.

– Dwoje zabitych dzieci to nieumyślne spowodowanie śmierci?

– Tak, kiedy te dzieci same noszą noże, a kartoteki mają tak samo zapaskudzone jak ten, kto je załatwił. obrońca Nestora twierdził, że to była obrona własna, i udało mu się obniżyć kwalifikację czynu.

– A Nestor w więzieniu wykazał się prywatną inicjatywą – powiedziałem.

– Nic nowego. Barman mówił, że to było bardzo, bardzo zły człowiek. Łatwo tracił panowanie nad sobą, wszyscy uważali go za wariata. To chyba pasuje do tego, jak zginął Troy.

– Nestor miał coś wspólnego z narkotykami?

– Heroina.

– Jeśli Malley sprzedawał, mogli się znać.

Milo poczłapał z powrotem do lodówki, wyjął mleko, dopił je.

– Kiedy jedziesz do Westlake? – spytałem.

– Zaraz. Nestor znalazł sobie pracę w budce zjedzeniem przy Alvarado. To dopiero przyjemna myśl, co? Zakrwawione ręce nadziewają ci burito?

Turysta, który wybierałby się do LA i wpisałby „Westlake” do okienka wyszukiwarki któregoś z internetowych serwisów z mapami, łatwo mógłby się pogubić.

Jest Westlake Village, na dalekim, zachodnim skraju Valley, dzielnica-sypialnia pełna niewielkich zakładów, drogich centrów handlowych, waniliowych domków krytych dachówką, rozsianych wśród malowniczych, porośniętych dębami wzgórz, i rozległych rancz ze stadami koni. Ludzie zamożni, obojętni na przyjemności miasta, przeprowadzają się do Westlake Village, by uciec od przestępczości, tłoku i smogu.

Czego w dystrykcie Westlake jest pod dostatkiem.

Położona na zachód od śródmieścia i nazwana tak od sztucznego zbiornika wodnego, w który zmieniono bagno – dawniej park MacArthura – dzielnica Westlake dorównuje gęstością

zaludnienia którejs z stolic państw Trzeciego Świata. Alvarado, jej główna arteria, jest pełna barów, dyskotek, kantorów, komisów i budek z szybkim jedzeniem. Zachowało się kilka wspaniałych niegdyś apartamentowców, wzniesionych w latach dwudziestych – stoją rozrzucone wśród ohydnych, powojennych blokowisk, które wypchnęły stąd historię i architekturę i zniszczyły charakter Westlake jako prestiżowej dzielnicy. Część budynków wielokrotnie dzielono, tworząc w nich mieszkania kwaterunkowe. Oficjalne dane o zaludnieniu nijak się mają do rzeczywistości.

Przez dwadzieścia lat od swojego powstania tamtejszy park był malowniczym miejscem niedzielnych spacerów. Potem zrobiło się tam równie bezpiecznie jak w Afganistanie; zaroiło się od ćpunów, dilerów, bandytów, pedofilów i szaleńców rozmawiających z Bogiem. Wilshire Boulevard rozdziela park na dwie części, które połączono tunelem. Przechodząc przez szary, wysmarowany sprayem korytarz, kiedyś ryzykowało się śmierć. Teraz gangsterskie slogany zostały przykryte porządnymi malowidłami, a biedni, w większości okoliczni Latynosi, urządzają sobie pikniki nad wodą po niedzielnej mszy i mają nadzieję, że jakoś to będzie.

Milo pojechał Szóstą ulicą od miejsca, gdzie zaczyna się ona przy San Vicente. Skręcił w lewo i podążył na południe na Alvarado. Ruch był spory, jak zwykle, skrzyżowania pełne pieszych, zmierzających dokądś albo błędzących bez celu. Lepiej wyjść na dwór, odetchnąć brudnym powietrzem, niż siedzieć samemu w jednym, cuchnącym pokoju, dzielnym z ośmioma nieznajomymi.

Nasz samochód włókł się powoli razem z innymi. Hiszpański na szyldach, tanizna porozkładana na chodnikach. Plastikowe torebki owoców i pęczki goździków barwionych na różne, nienaturalne kolory, sprzedawane przez drobnych mężczyzn o skórze barwy cynamonu, którzy igrali ze śmiercią, żeby przedostać się przez granicę. Za nami rozciągał się park.

– Czy to się rozpuszcza w deszczu? – spytał Milo.

– Dawno nie padało – odparłem.

– W takim razie rozpuszcza się w smogu... No, popatrz tylko na to.

Ruchem głowy wskazał okno pasażera.

Odwróciłem się i nie zobaczyłem niczego niezwykłego.

– Co?

– Przed tym zakładem fotograficznym właśnie nastąpiła sprzedaż heroiny. Łajzy nawet nie próbowały się kryć... Dobra, jesteśmy na miejscu.

Zaparkował na zakazie parkowania. Do okienka Taqueria Grande wiła się kolejka ludzi. Budynek był obłożony niebieskim stiukiem, obłupanym na rogach. Gdyby go powiększyć, byłby rozmiarów garażu na jeden samochód.

– Chciałbym zobaczyć Taqueria Pequena – mruknął Milo, poprawił szelki z pistoletem, włożył marynarkę i wysiadł.

Ustawiliśmy się w kolejce. Z okienka na ulicę buchał zapach wieprzowiny, kukurydzy i cebuli. Ceny były niskie, porcje słuszne. Klienci płacili zatłuszczonymi jednodolarówkami i bilonem i dokładnie przeliczali resztę. W środku pracowało dwoje ludzi, młody mężczyzna przy smażalnicy i niska, okrągła kobieta w średnim wieku, przyjmująca zamówienia.

Kucharz, około dwudziestu lat, był chudy, ze spiczastym podbródkiem. Na głowie miał niebieską bandanę. Widoczne spod niej włosy były ostrzyżone przy samej skórze, na ramionach wiły mu się tatuaże. Wszędzie dookoła pryskał gorący tłuszcz. Nie było żadnych osłon, widziałem, jak krople lądują mu na rękach i twarzy. To musiało boleć. Pracował spokojnie, obojętnie.

Klient przed nami zabrał swoje *tamales* z ryżem i *agua de tamarindo*, a my podeszliśmy do okienka. Okrągła kobieta miała upięte włosy. Makijaż, który nałożyła rano, toczył bitwę z potem. Uniosła ołówek nad kartką, nie patrząc na nas.

– *Que?*

– Proszę pani – powiedział Milo i pokazał jej swoją odznakę.

Uśmiechnęła się powoli.

– Tak, proszę pana?

– Szukam Nestora Almedeiry.

Uśmiech natychmiast się zwinął, jak szturchnięty morski anemon. Kobieta pokręciła głową.

Milo zerknął na mężczyznę w bandanie.

– To nie on?

Kobieta przesunęła się w bok i wyjrzała zza Miła. Za nimi stało kilkoro klientów, ale teraz się rozchodzili.

– Carlos.

– Czy moglibyśmy zobaczyć jakiś dowód tożsamości Carlosa?

– Nie ma prawa jazdy.

– Sprawdzę cokolwiek, co ma, proszę pani.

Kobieta odwróciła się i krzyknęła coś po hiszpańsku. Bandana zdrętwiał, oderwał ręce od smażalnicy i zerknął na tylne wyjście.

– Niech mu pani powie – powiedział Milo – że jeśli nie jest Nestorem, nie będzie problemu. Żadnego.

Kobieta krzyknęła coś głośniejsze i młody mężczyzna zamarł. Przeszła dzielące ich dwa metry trzema szybkimi krokami, powiedziała coś, gestykulując, i wyciągnęła rękę. Mężczyzna wyjął z kieszeni żółty świstek.

Kobieta wzięła go i podała Milowi. Kwit z Western Union, potwierdzający, że Carlos Miguel Bermudez przesłał dziewięćdziesiąt pięć dolarów i pięćdziesiąt trzy centy do biura w Mascota w Meksyku. Z wczorajszą datą.

– Tylko to ma? – spytał Milo.

– To nie Nestor – odparła kobieta.

– Nestor został zwolniony?

– Nie, nie. – Oczy kobiety wyrażały znużenie. – Nestor nie żyje.

– Kiedy? – spytał Milo.

– Kilka tygodni temu. Chyba.

– Chyba?

– Nie pokazywał się za często, kiedy żył.

– Skąd pani wie, że nie żyje?

– Jego siostra mi powiedziała. Dałam mu pracę, bo ją lubię, to miła dziewczyna.

– Jak Nestor zginął?

– Nie mówiła.

– Jak długo Nestor tu pracował, oficjalnie?

Zmarszczyła brew.

– Może miesiąc.

– Kiepska frekwencja, tak?

– Kiepski charakter. – Znów wyjrzała zza nas. Klientów nie było. – Nic panowie nie zjecie?



Milo oddał jej żółty świstek, a ona schowała go do kieszeni fartucha. Carlos kucharz wciąż stał nieruchomo, niepewnie się rozglądając.

– Nie, dziękujemy – Milo uśmiechnął się nad kobietą. Carlos przygryzł wargę. – Jak się nazywa siostra Nestora, proszę pani?

– Anita.

– Gdzie mieszka?

– Pracuje u dentysty, trzy przecznice stąd.

– Wie pani, jak się nazywa ten dentysta?

– To Chińczyk. Czarny budynek. Może coś do picia?

Milo zamówił wodę sodową z cytryną, a kiedy kobieta chciała wydać mu reszty, zostawił jej na ladzie piątkę. Uśmiechnęła się.

Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, kolejka zdążyła uformować się na nowo.

Doktorowie Chang, Kim, Mendoza i Quinones prowadzili swoją praktykę w parterowym budynku z fasadą z lśniących, ceramicznych płytek. Dolna część ściany pokryta była białymi graffiti, wyglądającymi jak rozgotowany makaron. Szyld nad wejściem głosił: LATWY KREDYT, BEZBOLESNE LECZENIE, AKCEPTUJEMY MEDICAL.

Weszliśmy do poczekalni pełnej cierpiących ludzi. Milo minął ich i zapukał do okienka recepcji. Kiedy się otworzyło, poprosił Anitę Almedeirę.

Recepcjonistka Azjatka opuściła okulary.

– Mam tu tylko Anitę Moss.

– Więc chciałbym z nią porozmawiać.

– Jest zajęta, ale pójde zapytać.

W poczekalni czuć było gruszycką, starym praniem i środkiem do czyszczenia wykładziny. Na stojaku pod ścianą leżały gazety i pisma, hiszpańskie i koreańskie.

Do recepcji podeszła blada kobieta pod trzydziestkę. Miała długie, czarne, proste włosy, okrągłą twarz i gładkie, spokojne rysy. Różowa, nylonowa spódniczka uniformu opinała się na pełnej, jędrnej figurze. Według identyfikatora była to A. Moss, zarejestrowana higienistka. Kiedy się uśmiechnęła, pokazała śliczne białe zęby. Widać praca miała swoje zalety.

– Jestem Anita. W czym mogę pomóc?

Milo błysnął odznaką.

– Czy jest pani siostrą Nestora Almedeiry?

Anita Moss milczała. Kiedy znów się odezwała, prawie szeptała.

– Znalezliście ich?

– Kogo, proszę pani?

– Ludzi, którzy zabili Nestora.

– Przykro mi, nie – powiedział Milo. – Chodzi nam o coś innego.

Twarz Anity stwardniała.

– O coś, co Nestor zrobił?

– Być może, proszę pani.

Wyrzała do poczekalni.

– Jestem trochę zajęta.

– To nie potrwa długo, panno Moss.

Otworzyła drzwi, wyszła i podeszła do starszego mężczyzny w roboczym ubraniu, z zapadniętą szczęką, czytającego tabelę stawek na wyścigach.

– Panie Ramirez? Za chwilę się panem zajmę, dobrze?

Mężczyzna pokiwał głową i wrócił do zakładów.

– Chodźmy – powiedziała Anita Moss, przechodząc przez pomieszczenie. Zanim Milo i ja dotarliśmy do drzwi, ona była już na zewnątrz.

Tupała nogą i bawiła się włosami. Milo zaprosił ją do samochodu.

– Tego mi tylko brakowało – mruknęła. – Żeby ktoś mnie zobaczył w policyjnym samochodzie.

– A ja myślałem, że się dobrze maskujemy – odparł Milo.

Anita lekko się uśmiechnęła, zmieniła zdanie.

– Spotkajmy się za rogiem. Panowie podjedziecie, ja was dogonię i wsiadę.

Samochód się nagrzał i Milo otworzył okna. Staliśmy w bocznej uliczce osiedla tanich mieszkań, Anita Moss siedziała sztywno z tyłu. Obok nas przechodziły kobiety z dziećmi, węsząc, biegały bezdomne psy.

– Wiem, że to trudne, proszę pani... – zaczął Milo.

– Niech się pan o mnie nie martwi – powiedziała Moss. – Proszę pytać.

– Kiedy zamordowano pani brata?

– Cztery tygodnie temu. Zadzwoił do mnie jakiś detektyw i to było wszystko, co na ten temat słyszałam. Myślałam, że pan się tym zajmuje.

– Gdzie to się stało?

– W parku Lafayette, późną nocą. Detektyw powiedział, że Nestor kupował heroinę i że ktoś go zastrzelił i zabrał mu pieniądze.

– Pamięta pani nazwisko detektywa, który do pani dzwonił?

– Krug – powiedziała. – Detektyw Krug, nie podał mi imienia. Miałam wrażenie, że nie zamierza poświęcać temu za dużo czasu.

– Dlaczego?

– Tak to brzmiało. Uznałam, że to przez to, jakim człowiekiem był Nestor.

Wyprostowała się, spojrzała we wsteczne lustro.

– Nestor był uzależniony – powiedział Milo.

– Odkąd skończył trzynaście lat – odparła Moss. – Nie zawsze od heroiny, ale zawsze miał jakiś nałóg.

– Co oprócz heroiny?

– Kiedy był mały, wahał farbę i klej. Potem marihuana, pigułki, PCP, co pan chce. Był najmłodszy w rodzinie, ja byłam najstarsza. Nie byliśmy ze sobą blisko. Wychowałam się tutaj, ale już tu nie mieszkam.

– W Westlake.

Przytaknęła.

– Poszłam na Cal State LA i poznałam męża. Studiuję dentystrykę na uniwerku, jest na czwartym roku. Mieszkamy w Westwood. Doktor Park jest jednym z profesorów Jima. Ja zarabiam na utrzymanie, dopóki Jim nie skończy studiów.

– Nestor wyszedł z zakładu poprawczego trzy miesiące temu – powiedział Milo. – Gdzie mieszkał?

– Najpierw z moją matką, a potem nie wiem – odparła Anita. – Jak mówiłam, nie byliśmy ze sobą blisko. Nie tylko Nestor i ja. Nestor i cała rodzina. Moi dwaj pozostali bracia to porządni ludzie. Nikt nie rozumiał, dlaczego Nestor robił to, co robił.

– Trudne dziecko – powiedziałem.

– Od dnia narodzin. Nie spał, nie mógł usiedzieć w miejscu, ciągle wszystko psuł. Męczył naszego psa. – Otarła oczy. – Nie powinnam tak o nim mówić, to był mój brat. Ale torturował moją matkę, nie dosłownie, ale zniszczył jej życie. Dwa miesiące temu miała wylew i wciąż jest bardzo chora.

– Przykro mi to słyszeć.

Zmarszczyła brew.

– Nie mogę przestać myśleć, że przyczyniło się do tego to, że Nestor u niej mieszkał. Od dawna miała wysokie ciśnienie, wszyscy powtarzaliśmy Nestorowi, żeby na nią uważał, żeby jej nie stresował. Ale do niego nic nie trafiało. Mama nie była naiwna. Wiedziała, co Nestor kombinuje, i to ją tak denerwowało.

– Narkotyki.

– I wszystko, co się wiąże z takim życiem. Nie było go całe noce, całe dni spał. Przez tydzień pracował w myjni samochodowej, potem go zwalniali. Zniknął bez słowa, a potem pokazywał się i miał nie wiadomo skąd dużo pieniędzy. Mama była religijna, to był dla niej duży problem, pieniądze, których źródeł nie umiał wytłumaczyć.

Skubnęła swój identyfikator.

– Raz groził mojemu mężowi.

– Kiedy to było? – spytałam.

– Może tydzień po tym, jak wyszedł. Przyjechał do nas późno w nocy i zażądał, żebyśmy dali mu u nas zamieszkać. Jim zaproponował mu pieniądze, ale nie chciał go wpuścić. Nestor się wściekł, złapał Jima za koszulę, zaczęli się szarpać. Powiedział mu, że tego pożałuje. Potem na niego splunął i poszedł.

– Wezwaliście państwo policję?

– Ja chciałam, ale Jim nie. Myślał, że Nestor się uspokoi. Jim to bardzo zrównoważony człowiek, nic go nie wzrusza.

– Czy Nestor się uspokoił?

– Już się nam nie naprzykrzał, tydzień później przyszedł do lecznicy i błagał o wybaczenie. Twierdził, że już nie bierze, że tym razem chce wszystko wyprostować, że potrzebuje porządnej pracy. Znam kobietę, która prowadzi budkę z jedzeniem kilka przecznic dalej, spytałam ją, czy dałaby mu szansę. Zgodziła się, ale on wszystko spieprzył.

– Jak?

– Pyskował, pracował, kiedy chciał. Teraz nie chodzę tam nawet jeść.

– Być siostrą Nestora nie było łatwe – powiedziałam.

Westchnęła i skubnęła rzęsę.

– Dlaczego panowie o to wszystko pytacie?

– Czy domyśla się pani – spytał Milo – gdzie Nestor mieszkał tuż przed śmiercią i z kim się zadawał?

– Nie mam pojęcia – odparła. – Niedługo po tym, jak wyszedł, kupił sobie ładne ubrania. Uznałam, że pewnie sprzedał jakieś narkotyki. Kilka tygodni później wrócił do mamy, a ubrań już nie miał.

– Badamy coś, co Nestor mógł zrobić w więzieniu. Może coś o tym mówił.

Cisza.

– Proszę pani?

– Och – powiedziała Anita. – Ta sprawa.

Znów opadła na oparcie fotela. Przesunęła dłonią po oczach.

– Próbowałam coś z tym zrobić.

– Z czym, proszę pani?

– Chodzi panom o tego białego chłopca, tak? Tego, co zabił tę dziewczynkę.

– Troya Turnera – powiedział Milo.

Anita Moss zeszytywniała. Dłoń zaciśnięta w pięść zabębniła o siedzenie.

– Teraz dopiero przyjechaliście?

– O co pani chodzi?

– Kiedy Nestor mi o tym opowiedział, próbowałam powiadomić władze. Ale nikt mnie nie słuchał.

– Jakie władze?

– Najpierw u Chaderjiana. Zadzwoiłam do nich i poprosiłam kogoś, kto zajmuje się przestępstwami popełnionymi w więzieniu. Rozmawiałam z jakimś terapeutą, opiekunem, nie wiem. Wysłuchał mnie i powiedział, że oddzwoni, ale nie oddzwonił. Więc zadzwoniłam na

policej, na posterunek Ramparts, bo Nestor tam mieszkał. Powiedzieli mi, że to jurysdykcja Chaderjiana.

Jej oczy płonęły.

– Przykro mi, proszę pani – powiedział Milo.

– Dzwoniłam, bo bałam się Nestora. Mieszkał z mamą, nie chciałam, żeby zrobił coś głupiego.

Jej oczy zwilgotniały.

– Ciężko było na niego donieść. Był moim bratem. Ale musiałam myśleć o mamie. Nikt się wtedy tym nie przejął, a teraz Nestor nie żyje, a wy tu przyjechaliście. To chyba strata czasu.

– Co dokładnie Nestor pani powiedział?

Że u Chaderjiana był płatnym mordercą. Że płacili mu za krzywdzenie i zabijanie i że w więzieniu zabił sporo dzieci.

– Kiedy to pani powiedział?

– Niedługo po tym, jak wyszedł, dwa dni potem. To były urodziny mojego brata Antonia, wszyscy byliśmy u mamy, chcieliśmy zrobić z tego rodzinne spotkanie, moi bracia z rodzinami, Jim i ja. Mama nie czuła się dobrze, nie wyglądała najlepiej, ale przygotowała świetny obiad. Nestor się spóźnił, przyniósł drogą tequilę i tuzin kubańskich cygar. Nalegał, żeby wszyscy mężczyźni wyszli na dwór zapalić. Jim nie tyka tytoniu, więc odmówił, ale moi bracia wyszli na balkon. Niedługo potem mój najstarszy brat Willy przyszedł do mnie i powiedział, że Nestor bredzi o jakichś wariactwach, chwali się jakimiś paskudztwami, że mama nie może tego usłyszeć i że bym poszła go uspokoić.

Zmarszczyła brew.

– Radziła sobie pani z Nestorem lepiej niż ktokolwiek – powiedziałem.

– Tylko ja nie bałam się mu przeciwstawić, a on nigdy nie odnosił się do mnie wrogo. Może dlatego, że jestem kobietą i byłam dla niego miła, nawet kiedy był dzikim małym chłopcem.

– A więc poszła pani porozmawiać z Nestorem.

– Palił wielkie cygaro, puszczał kłęby śmierdzącego dymu. Powiedziałam, żeby dmuchał w inną stronę, a potem, żeby przestał gadać bzdury. A on na to: „Nie gadam żadnych bzdur, Anita, to prawda”. Potem uśmiechnął się jakoś tak dziwacznie i mówi: „Wyszło prawie po chrześcijańsku”. Pytam go: „O co ci chodzi”, a on mówi: „Jak się kolesi wiesz i spuszcza z nich krew, to są prawie jak Jezus, nie? Tak właśnie zrobiłem, Anita, nie miałem gwoździ, ale związałem kolesia, pociąłem go i spuściłem z niego krew”. Zrobiło mi się niedobrze. Powiedziałam, żeby się zamknął, że mnie od tego mdli, i że jak nie umie się zachować, to niech się wynosi. Ale on dalej mówił o tym, co zrobił, jakby było dla niego ważne o tym porozmawiać. Uczepił się tego Chrystusa, porównał się do Judasza, dostał dwadzieścia srebrników, żeby wykonać swoją robotę. Potem powiedział: „Ale to nie był Jezus, to był diabeł w ciele białego dzieciaka, więc zrobiłem dobry uczynek”. Spytałam, co on bredzi, a on powiedział, że koles, którego powiesił, to był jakiś biały dzieciak, który zabił innego białego dzieciaka. Potem wyjął coś z kieszeni i mi pokazał. To był identyfikator z Chaderjiana, taki sam jak jego, ale ze zdjęciem innego chłopca.

– Troya Turnera.

– Takie było na nim nazwisko. Powiedziałam, że mógł sobie taki zrobić sam. Nestorowi odbiło, zaczął powtarzać: „To ja, to ja! Powiesiłem kolesia i spuściłem z niego krew, sprawdź w swoim komputerze, cwaniaro, coś tam musi być”.

Po szyi Anity Moss przebiegł dreszcz.

– Było mi od tego niedobrze. Mama ugotowała taki świetny obiad, tyle dobrego jedzenia, a to wszystko podchodziło mi do gardła. Wyrwałam Nestorowi cygaro i rozdeptałam je. Potem kazałam, żeby się zamknął, że ja nie żartuję, i wróciłam do środka. Nestor wyszedł i nie wrócił, więc wszyscy byli zadowoleni. Tamtej nocy, kiedy się położyłam, nie mogłam przestać myśleć o zdjęciu tego chłopca na identyfikatorze. Wyglądał tak młodo. Chociaż Nestor zawsze opowiadał niestworzone historie i kłamał, tym razem mnie przeraził. Szczegółami.

– Jakimi szczegółami? – spytał Milo.

– Uparł się, żeby mi opowiedzieć, jak to zrobił. Jak śledził tego chłopca przez wiele dni. „Polowałam na niego jak na królika”. Poznał rozkład dnia Troya Turnera, w końcu dopadł go w składziku sali gimnastycznej. – Jej twarz się ściągnęła. – Niedobrze mi od samego opowiadania. Nestor powiedział, że uderzył go w twarz, żeby go zastraszyć. Potem... – Przełknęła ślinę. – Tamtej nocy, kiedy Jim zasnął, wstałam, włączyłam komputer i wpisałam nazwisko Troya Turnera. Znalazłam krótki artykuł w „Timesie” i dłuższy z lokalnej gazety z okolic Chiaderjiana. To, co napisano w obu, pasowało do tego, co opowiadał Nestor. Ale może nie on to zrobił, może tylko o tym słyszał i zdobył gdzieś ten identyfikator.

– Znając Nestora, wierzy pani, że to mógł być on – powiedziałem.

– Był z tego dumny!

– Nestor mówił, że płacono mu za zabijanie innych chłopców – powiedział Milo. – Czy wymieniał jakieś inne nazwiska?

Anita pokręciła głową.

– Chciał rozmawiać tylko o Troyu Turnerze. Jakby to był dla niego nie lada wyczyn, duże osiągnięcie.

– Bo Troy miał taką złą sławę? – spytałem.

Przytaknęła.

– Tak powiedział. „Koleś myślał, że twardy z niego morderca, ale ja go załatwiłem”.

– Czy mówił, ile mu zapłacono?

Pokręciła głową. Spuściła wzrok.

– Znienawidziłam Nestora, ale mówienie o nim w ten sposób...

– Czy Nestor wspominał, kto mu zapłacił, proszę pani?

Anita nie podniosła głowy, szepnęła:

– Powiedział tylko, że to był biały mężczyzna i że chodziło o to, że Turner zabił to dziecko.

– Czy podał pani jakieś szczegóły na temat tego białego mężczyzny? – spytał Milo.

– Nie, powiedział tylko tyle. To samo powiedziałam tamtemu opiekunowi. Kiedy nie oddzwonił, zadzwoniłam na policję. Wszyscy mieli to gdzieś. – Wciągnęła usta. Zakołysała głową w przód i w tył. – Tamten chłopiec. Tamto zdjęcie. On był taki mały.

Siedzieliśmy w głębi restauracji przy Vermont, kawałek na północ od Wilshire, piliśmy colę i czekaliśmy na detektywa z Ramparts, Philipa Kruga. Krug jechał akurat samochodem, kiedy do niego zadzwoniliśmy, i ucieszył się perspektywą towarzystwa przy obiedzie.

To on wybrał miejsce, duży, jasny, na wpół pusty lokal z fioletowo-brązowymi winylowymi boksami, matowymi oknami i zewnętrznym wyglądem statku kosmicznego.

Spóźnił się dwadzieścia minut, a ja w tym czasie poruszyłem tematy, na które zwróciła uwagę Allison.

– Ta premedytacja brzmi interesująco – powiedział Milo ale nie wiem, do czego nas to ma prowadzić. To, że Rand chciał się poczuć mniej winny, obwiniając Larę, może być istotne. Jeśli próbował tego z Malleyem. Co sądzisz o przechwałkach Nestora?

– Brzmia autentycznie. Znał wszystkie szczegóły powiedziałem.

– Zastanawiałem się nad tym białym facetem, który go wynajął.

– Zabójstwo z zemsty. Pasuje.

Milo spojrział na swojego timeksa.

– Troy też się przechwalał – powiedziałem – kiedy rozmawiałem z nim w więzieniu. Mówił, że zamierza być bogaty.

– Myślisz, że też wyobrażał sobie, że będzie płatnym mordercą?

– W Lidze Bluszczowej go raczej nie widzę. Może uważał Krystal za wprawkę do zawodu.

– Cholerne małe dzikusy. Co z nimi robić?

Phil Krug okazał się krępyim mężczyzną w wieku czterdziestu paru lat, miał rzadkie, rude włosy i miedziany, sztywny wąs, tak gęsty, że uwypuklał się pod jego spłaszczonym nosem. Ubrany był w szary garnitur, granatową koszulę i jasnoniebieski krawat. Kelnerka go знаła i spytała: „To, co zwykle?”, zanim zdążył usiąść.

Krug skinął jej głową i rozpiął marynarkę.

– Miło mi was poznać, panowie. Powiedzcie Elise, co zjecie.

Zamówiliśmy hamburgery.

– Phil zamawia swoje z błękitnym serem powiedziała kelnerka.

– To właśnie „to, co zwykle” – wyjaśnił Krug.

– Jasne – powiedział Milo.

Nonkonformizm wydał mi się nieuprzejmością.

– Dla mnie też – powiedziałem.

Między kęsami ociekającej serem, mielonej karkówki wciśniętej w kawał buły Krug opowiedział to, czego dowiedział się o zamordowaniu Nestora Almedeiry. Nieznany napastnik, żadnych śladów, granulki heroiny na ziemi w pobliżu zwłok.

Pojedynczy strzał w głowę, z bliskiej odległości, rana skroni na wylot, według koronera kaliber 38, nie znaleziono kuli ani łuski, więc morderca ją zabrał albo strzelał z rewolweru.

Zerknąłem z ukosa na Mila. Jego twarz niczego nie wyrażała.

– Park Lafayette powiedział.

Krug wytarł ser z wąsów.

– Coś wam opowiem o parku Lafayette. Dwa miesiące temu zostałem wezwany na przysięgłego, sprawa w sądzie cywilnym, rozprawy odbywają się w sądzie na Commonwealth, tuż obok parku. Wiedziałem, że będę zdyskwalifikowany, ale musiałem przyjść, odczekać swoje

i odbębnić cały ten obywatelski obowiązek. Przychodzi przerwa obiadowa, urzędniczka odczytuje przysięgłym przygotowane oświadczenie, mówiąc wszystkim, gdzie mogą coś zjeść. A potem wygłasza całą mowę o tym, żeby nie zapuszczać się do parku Lafayette, nawet w dzień. Parę metrów obok jest gmach sądu, roi się tam od policji, a ona mówi, żeby nie wchodzić ani na krok do parku.

– Aż tak źle? – zdziwiłem się.

– Skończyło się źle dla naszego Nestora – powiedział Krug. – A więc co ma z tym wspólnego West LA?

Milo opowiedział mu o morderstwach Randa Duchaya i Troya Turnera, ale pominął samobójstwo Lary Malley i podobieństwa sposobu zadania śmierci.

– Pamiętam to, porwane małe dziecko – powiedział Krug. – Przygnębiająca sprawa, dobrze, że to nie moje. A więc może Nestor załatwił Turnera, co?

– Tak powiedział swojej siostrze.

– Mnie o tym nie wspominała.

– Dzwoniła do CYA tuż po tym, jak Nestor się tym przechwalał, nikogo sprawą nie zainteresowała, zadzwoniła więc do Ramparts, też bez skutku.

– Pewnie rozmawiała z jakimś cywilem – powiedział Krug. – Nie zawsze trafiają do nas najostrzejsze noże z całej szuflady... Ci durnie tak właśnie robią. Przechwalają się. Ile spraw w ten sposób rozwiązałeś? Mnóstwo, prawda?

– Mnóstwo – powiedział Milo.

– A więc co myślicie, ktoś chciał się zemścić i stuknąć tego drugiego mordercę dziecka? Po tylu latach? Ile to, dziesięć?

– Osiem – powiedział Milo.

– Długo – stwierdził Krug.

– Wiem, to problem, Phil, ale nie mamy żadnych innych tropów.

– Myślałem, że z Nestorem poszło po prostu o prochy. Według ludzi z patroli to była łajza z wrednym charakterem, pracował w Lafayette, Mac Arthurze i na ulicach.

– Łajza, w sensie ćpun?

Krug wykonał pantomimę ciągnięcia za dzwonek.

– Bingo. Ręce i nogi miał całe pokłute, we krwi znaleźli prochy. Wiecie, jak to jest, kiedy się dochodzi do takiego stanu. Sprzedają tylko po to, żeby mieć dla siebie.

Milo pokiwał głową.

– Ile miał w sobie heroiny?

– Nie pamiętam liczb odparł Krug – ale wystarczająco dużo, żeby był na haju. Według mnie przez to, że był otepiały, łatwiej go było zabić. Znaleźli przy nim nóż, ale nie wyjął go z kieszeni.

– Morderca dał mu działkę, a potem go zabił? – spytał Milo.

– Albo Nestor sam sobie dał w żyłę, a potem spotkał go pech. Gdybym chciał dostać faceta takiego jak Nestor, właśnie tak bym to rozegrał. A facet taki jak Nestor musiał mieć wrogów.

– Wredny charakter.

– Najgorszy z możliwych – odparł Krug – ale na ulicy nie dowiedzieliśmy się, z kim konkretnie zadarł.

– Gdzie mieszkał? – spytał Milo.

– W norze przy Shatto, płatnej co tydzień. Możecie tam pojechać, ale nic nie znajdziecie. Wszystkie rzeczy Nestora zmieściły się w kartonowym pudle i nie było tam nic ciekawego. Może



koroner jeszcze to ma, ale wiecie, jakie mają problemy magazynowe w krypcie. Moim zdaniem wszystko poszło do śmieci.

– Siostra Nestora mówiła, że pokazał jej identyfikator Turnera.

– Nie było go w jego rzeczach.

– A co było?

– Igły, łyżki, ubrania, byle jakie ciuchy.

– Ktoś w jego melinie miał coś do powiedzenia?

– Żartujesz, prawda? – zachnął się Krug. – Mówimy tu o chwilowych mieszkańcach i recepcjoniście, który nic nie widzi, nie słyszy i nie mówi. – Ugryzł hamburgera. – Świetne, prawda? Jedyny pożytek z tych Francuzów to ser... W każdym razie, czymkolwiek Nestor się kiedyś przechwalał, jego przechwałki się skończyły.

Sięgnął do kieszeni i wyjął pośmiertną fotkę zjawy o zapadniętych policzkach. Brudne włosy, ziemista cera, szkliste, martwe oczy z szarymi workami. Rzadki zarost wyglądał jak szara wysypka.

Podobnie jak jego siostra Nestor Almeida miał okrągłą twarz. Podły tryb życia starł z niej wszelkie podobieństwo.

Sięgnąłem po zdjęcie i przyjrzałem się dokładniej. Nestor był najmłodszym dzieckiem w rodzinie, ale wyglądał na dziesięć lat starszego niż Anita. Fotograf z kostnicy przekrzywił mu głowę, żeby zrobić zdjęcie rany wlotowej. Lewa skroń, czarno-rubinowa dziura wyostrzona gwiazdźście rozerwaną skórą i obwiedziona cieniutkim pierścieniem prochu.

– Czy siedział, kiedy został zastrzelony? – spytał Milo.

– Na ławce w parku – odparł Krug. – Wasz morderca dzieci też siedział?

– Może w samochodzie. Coś się dzieje z tą sprawą, Phil?

– Nic więcej niż już wiecie – powiedział Krug; dokończył hamburgera i wytarł usta. – Nie zapomnijcie dać znać, jeśli się czegoś dowiecie. Miło byłoby to zamknąć, chociaż wszyscy mają to w dupie.

– Rodzina nie nalega – stwierdził Milo.

– Poznaliście siostrę. Uważa, że Nestor był szmatą. Rodzina nie chciała odebrać zwłok, koroner musiał ich ścigać. W końcu jeden z braci zapłacił zakładowi pogrzebowemu, żeby je zabrał.

Krug pomachał ręką; kelnerka przyniosła rachunek i położyła go na środku stołu. Krug dość długo czyścił wąsy, wyjął z kieszeni koszuli stalową wykałaczkę i zaczął nią gmerać w zębach.

– A więc. – Uśmiechnął się.

Milo wziął rachunek.

– Dzięki – powiedział Krug i wyszedł.

Kelnerka przysłała po pieniądze.

– Poprosimy kawę – zamówił Milo.

Zerknęła z dezaprobatą na wydrukowany rachunek.

– Będę musiała podliczyć wszystko jeszcze raz.

Milo podał jej zwitek banknotów.

– Reszty nie trzeba.

Przeliczyła pieniądze i mrugnęła.

– Kawa będzie od firmy.

Wróciła za ladę.

– Jeśli to Malley był tym białym mężczyzną który zapłacił Nestorowi za Troya Turnera – powiedział Milo – to Nestor był przeszkodą, którą należało usunąć. Z drugiej strony, Nestor nie umiał trzymać języka za zębami, a jednak przez te wszystkie lata w CYA nie sypnął Malleya.

– Bo chciał wyjść. Ale kiedy już był wolny, i naćpany, hamulce mu puściły. Przechwalał się Anicie, więc jest spora szansa, że powiedział o tym też innym ludziom. Problem w tym, że to byli prawdopodobnie ludzie, którzy mieli to gdzieś.

– Inne ćpuny i męty – mruknął Milo. – Dla nich był po prostu kolejnym durniem, co kłapie jadaczką. Anita się przejęła, próbowała to zgłosić, a wszyscy ją splawili. – Milo skubnął górną wargę. – Kolejna szczytna chwila departamentu... Opis miejsca zbrodni w przypadku Nestora jest bardzo podobny do Randa. I Lary. Dobrze, w takim razie Malley zostaje podejrzanym tygodnia.

– Jest jeszcze jedna denatka, o której powinniśmy pomyśleć. Jane Hannabee została zabita kilka miesięcy po Troyu. Kiedy z nią rozmawiałem, przepowiedziała śmierć Troya. Stwierdziła, że ze swoją złą sławą będzie pożądanym celem. Z tego, co mówiła Anita, właśnie tak widział go Nestor.

– Myślisz, że Hannabee domyśliła się, kto zapłacił za śmierć Troya?

– Albo została wyeliminowana z zemsty za to, że go splodziła – powiedziałem.

– Ty niszczysz moją rodzinę, ja niszcę ciebie. Rany, ależ to bezduszne.

– Tak samo jak zastrzelenie własnej żony sześć miesięcy po tym, jak straciła jedyne dziecko, i upozorowanie samobójstwa.

Milo zmarszczył czoło.

– Hannabee nie została zastrzelona.

– Troy też nie – powiedziałem. – Bo Troy był za kratkami, a chociaż CYA boryka się z mnóstwem problemów, broni palnej tam nie ma. Zastrzelenie kogoś w obozowisku bezdomnych w środku nocy byłoby możliwe, ale bardzo lekkomyślne. Hannabee została zamordowana tak cicho, że nie odkryto tego przez wiele godzin. Ktoś wyciągnął ją ze śpiwora, zadźgał, wsunął z powrotem, zawiązał w folię.

– Chcesz powiedzieć, że dla Malleya metoda nie ma znaczenia.

– Nie powoduje nim przymus strukturalny, bo jego celem nie jest seksualne zaspokojenie. Jego celem jest posprzątanie. I stosuje takie metody, jakie do tego celu prowadzą.

– Alex, jeśli Malley naprawdę załatwił tych wszystkich ludzi, mimo wszystko jest seryjnym mordercą. Babcia Randa miała chyba szczęście, umierając na serce.

Kelnerka przyniosła naszą kawę. Postawiła kubek Mila z przesadną ostrożnością, nachyliła się i błysnęła trójkątem piegowatych piersi. W rowku między nimi mignęły drobniutkie zmarszczki. Stała tak pochylona przez krótką chwilę, zanim się wyprostowała.

– Coś jeszcze? – zapytała niemal śpiewnie.

– Nie, Elise, bardzo dziękujemy.

– Jest pan bardzo uprzejmy.

– Tak mówią.

Ruszyliśmy z powrotem do West LA, znów wybierając Szóstą. Milo zwolnił, żeby popatrzeć na park Lafayette. Drzewa, trawa, ławki, kilku mężczyzn siedziało, kilku innych chodziło. W oddali majaczył gmach sądu przy Commonwealth. Kto by pomyślał, że w tej zielonej pustce czai się tyle niebezpieczeństw.

– Każdy, kto by się zbliżał do kempingu, na którym mieszka Malley, z dowolnego kierunku na Soledad, szybko zostałby zauważony – stwierdził Milo. – Na drodze nie ma się gdzie schować, więc można zapomnieć o obserwacji. Zresztą obserwacja nic by mi nie powiedziała.

Malley nie wybierze się raczej na rundkę po barach, żeby wypaplać coś swoim przyjaciółom z nizin społecznych. – Potarł twarz i niespodziewanie zmienił pas, co wywołało czyjeś wściekłe trąbienie. – Dobra, dobra – mruknął.

Toyota trąbiąc wskoczyła przed nas. Na tylnym zderzaku miała naklejkę z napisem: WOJNA NIE JEST ODPOWIEDZIĄ.

– Wypleniała niewolnictwo z Ameryki i nazistów z Niemiec – warknął Milo.

– Jeśli Malley wciąż zajmuje się handlem narkotykami rozważałem może opuszczać kemping nieregularnie.

– Jeśli nie mogę go obserwować, jak mam to sprawdzić?

– Może jego szefowa jest bardziej świadoma tego, kiedy wyjeżdża i wraca, niż nam powiedziała.

– Bunny kaskaderka? Myślisz, że mamy tu coś więcej niż stosunek pracy? Wyczułem, że dzieje się tam coś osobistego.

– Kto wie. Podkreśliła, że nie pilnuje Malleya. Co było odpowiedzią na pytanie, którego nie zadałeś.

– Zbyt gorliwie protestowała? – zastanowił się Milo. – Jeśli jest kochanką Barnetta, wypytywanie jej tylko go zaalarmuje. Zadzwoń do koronera i zapytam o rzeczy Nestora, sprawdzę jego melinę na Shatto mimo oświadczenia Kruga. Anita miała co do niego rację. Ma to w dupie. Znam też jednego mundurowego w Ramparts, który mógłby mnie skierować do ulicznych ćpunów, może mi się poszczęści i dowiem się, że Nestor wygadał się komuś jeszcze. Lepiej też sprawdzić śmierć Jane Hannabee. Ubaw po pachy, co?

– Poradzisz sobie z jeszcze jedną komplikacją?

– Co mnie nie zabije, uczyni mnie silniejszym.

– Jeśli gniew Malleya rozciąga się na wszystkich, których uważa za stojących po stronie chłopców, a zabicie Randa rozbudziło ten gniew, Daneyowie mogą być w niebezpieczeństwie. Jeśli to Malley był pod oknem Randa tamtej nocy, mógł równie dobrze szpiegować właśnie ich.

Milo się nad tym zastanowił.

– Tak, pewnie wypadałoby ich ostrzec, ale to nie takie proste. A jeśli pojedą do Malleya i spróbują z nim pogadać? Tacy są przecież uduchowieni, wierzą w dobroć człowieka i tak dalej. Jeśli mamy rację co do tego, co się przydarzyło Randowi, szczerą rozmową z Kowbojem Barnettem nie jest najlepszą receptą na długowieczność.

– Ostrzeż ich, żeby się z nim nie kontaktowali – poradziłem.

– Myślisz, że mogę współzawodniczyć z Bogiem?

– Słuszna uwaga – przyznałem. – Zwłaszcza Cherish mogłaby spróbować wszystko wyjaśnić. Uważa się za terapeutkę.

– Niech Bóg błogosławi sprzedających Boga. Podoba ci się taka cukierkowa religia, Alex? Dobroć wrodzona ludzkiej duszy, wieczne przebaczenie, pewność życia po śmierci, gdzie wszystko jest jasne i pachnące?

– Każdy potrzebuje otuchy.

Milo zaśmiał się ze złością.

– Ja wolę tę starą religię, bracie. I nie mówię o śpiewaniu hymnów i bełkotaniu językami. Moje dzieciństwo to zakonnice, które tłukły mi ręce do krwi, i księża z obsesją winy, ognia piekielnego i krwawych ofiar.

– Krwawe ofiary zapewniają powodzenie filmom – powiedziałem.

– Dobrze robią całym cywilizacjom.

– Optymizm jest dla mięczaków?

– Co ty, jest świetny, jeśli potrafisz go przyjąć – powiedział. – Encyklopedia Ślepej Wiary.

Milo wysadził mnie pod moim domem i wychylił się z okna pasażera.

– Czy moje uporczywe trwanie w negacji cię przybiło? Bo możesz coś dla mnie zrobić, kiedy będę tkwił po szyję w papierach Nestora.

– Jasne.

– Może to ty byś ostrzegł Daneyów? Bądź psychologicznie wrażliwy i wstrzymaj się, jeśli wyczujesz, że mogą zrobić jakieś głupstwo. A skoro już ostrzegamy ludzi, co z prawnikami chłopców? Ci dopiero narazili się Malleyowi. Pamiętasz, jak się nazywali?

– Sydney Weider u Troya, Lauritz Montez u Randa.

– Powiedziałeś to bez namysłu. Prześladowała cię ta sprawa.

– Dopóki Rand nie zadzwonił, zdawało mi się, że o niej zapomniałem.

– Tyle w temacie optymizmu, kolego. W każdym razie czuj się upoważniony pogawędzić też z nimi. Nienawidzę rozmów z prawnikami.

W poniedziałek zadzwoniłem do Daneyów. Nikt nie odbierał, więc zająłem się Sydney Weider i Lauritzem Montezem.

Weider nie pracowała już jako obrońca publiczny i nie znalazłem nigdzie jej telefonu ani adresu. Lauritz Montez wciąż był adwokatem, ale przeniósł się do kancelarii w Beverly Hills.

Sam odebrał telefon, tak jak to robił lata temu. Tym razem na moje nazwisko zareagował milczeniem.

– Och... pan jest tym psychologiem – powiedział, kiedy spytałem, czy słyszał o Randzie.  
– Nie, co z nim?

– Został zamordowany.

– O cholera. Kiedy?

– Dziewięć dni temu.

Z jego głosu zniknęły emocje, kiedy włączyła się w nim prawnicza czujność.

– Nie zadzwonił pan tylko po to, żeby mnie o tym poinformować.

– Chciałbym z panem porozmawiać. Moglibyśmy się spotkać?

– W jakiej sprawie?

– Lepiej byłoby osobiście.

– Rozumiem... Kiedy chciałby się pan spotkać?

– Lepiej wcześniej niż później.

– Dobrze... Która to godzina, czwarta trzydzieści. Mam trochę roboty, ale muszę coś zjeść. Wie pan, gdzie jest Bagel Bin na Małej Santa Monica?

– Znajdę.

– Pewnie, że pan znajdzie. Punkt pięta.

Lokal utrzymany był w stylu New Age: w szklanych gablotach wędzona ryba i mięso, i sałatki jak trzeba, ale meble z nierdzewnej stali i winylu stwarzały atmosferę prosektorium. Może tak było ucziwie: wiele stworzeń zginęło, by nakarmić wczesnoobiadową tłuszczy.

Dotarłem punktualnie, ale Lauritz Montez stał już przy ladzie, składając zamówienie. Nie podszedłem, zczekałem.

Włosy miał już zupełnie siwe, ale wciąż długie i związane w koński ogon. Kościstą twarz przecinały te same nawoskowane wąsy; zniknęła kępka zarostu z brody. Miał na sobie wymięły, kremowy lniany garnitur, różową koszulę i muszkę w kolorze butelkowej zieleni, na nogach dwukolorowe, oliwkowo-brązowe mokasyny; lewa stopa wystukiwała na podłodze szybki rytm.

Zapłacił, dostał paragon, odwrócił się, kiwnął głową.

– Prawie wcale się pan nie zmienił – powiedział, wskazując mi jedyny wolny stolik.

– Pan też.

– Dzięki za kłamstwo.

Usiedliśmy, a on zaczął ustawiać solniczkę, pieprzniczkę i cukierniczkę w zwarty, mały trójkąt.

– Trochę posprawdzałem i dotarłem do akt zabójstwa Randa w West LA, ale nikt nie chciał mi nic powiedzieć. Widać ma pan dojścia do odpowiednich ludzi.

– Pracuję przy tej sprawie jako konsultant.

– Kto jest detektywem?

– Milo Sturgis.

– Nie znam. – Przyjrzał mi się. – Wciąż jest pan pieskiem prokuratury, co? Jak długo Rand był na wolności, zanim zginął?

– Trzy dni.

– Jezu. Jak to się stało?

– Został postrzelony w głowę i wyrzucony przy Czterysta Piątej Północnej w Bel Air.

– Brzmi to jak egzekucja.

– Zgadza się.

– Znaleziono jakieś ślady?

– Musiałby pan zapytać detektywa Sturgisa.

– Jaka dyskrecja. Czego pan ode mnie oczekuje?

Chłopak w papierowej czapce i fartuchu przyniósł jego zamówienie. Krojony pumpernikiel, pieczony łosoś, sałatka coleslaw i pieczona fasola. Styropianowy kubek herbaty.

– Nie mamy żadnych podejrzanych – powiedziałem – ale jest pewna hipoteza. A skoro mowa o dyskrecji...

– Tak, tak, jasne. Pracuje pan dla drugiej strony na pełny etat?

– Dla drugiej strony?

– Dla obrońców słusznej sprawy, którzy siedzą po drugiej stronie sali rozpraw. Jest pan stałym ekspertem prokuratury czy tylko pan tak dorabia?

– Od czasu do czasu prowadzę konsultacje.

– Specjalista od Freuda do wynajęcia? – Montez ułożył sztucce idealnie równolegle do talerza. Wyjął z miski torebkę cukru i wyprostował zagięty rożek, zanim odłożył ją na miejsce. – Jak brzmi hipoteza?

– Policja przygląda się ojcu Kristal Malley – powiedziałem.

– Jemu – odparł. – Zawsze uważałem, że facet mnie nienawidzi. Naprawdę uważa pan, że byłby aż tak stuknięty?

– Nie wiem.

– To chyba pana zawód stwierdzać, czy ktoś jest stuknięty.

– Nie znam Malleya tak dobrze, żeby postawić diagnozę. Nie spotkałem się z nim podczas przeprowadzania oceny i nie rozmawiałem z nim od tamtej pory. A pan?

Montez przyglądził wąsy.

– Osobiście widziałem go tylko na odczytaniu wyroku.

– Ale ma pan przecucie, że pana nienawidzi.

– Nie mam przecucia, tylko wiem. Tamtego dnia w sądzie powiedziałem swoje, wróciłem do stołu obrony i zobaczyłem, że Malley się na mnie gapi. Zignorowałem go, ale cały czas czułem takie dziwne swędzenie na karku. Zaczekałem, aż prokurator zacznie nawijać, i dopiero wtedy się odwróciłem, bo uznałem, że Malley będzie patrzył na niego. Dalej patrzył na mnie. Mówię panu, gdyby jego oczy mogły strzelać, już by mnie tu nie było.

– Malley ma prawdziwą broń – powiedziałem.

– Ja też odparł Lauritz. Strzepnął swoją muszkę. – Zaskoczony?

– A powinienem być?

– Jestem zdeklarowanym pacyfistą. – O tym, że się uśmiechnął, świadczyło tylko lekkie uniesienie wąsów. – Ale dopóki mogę legalnie posiadać pukawkę, będę ją miał.

– Samoobrona?

– Mój ojciec był wojskowym i jedyną rzeczą, jaką robiliśmy razem, było rozwalanie bezbronnych zwierząt. – Montez potarł lewą skroń. – Byłem w tym wystarczająco dobry, żeby się załapać do drużyny uniwersyteckiej.

– Ktoś panu groził z powodu pana pracy? – spytałem.

– Otwarcie nie, ale to niebezpieczna robota, więc jestem czujny.

Wyjął kolejną torebkę, wygładził jej brzegi, przełożył z ręki do ręki.

– Prawo rodzi porządek – powiedział. – I całą furę nieporządku. Już dawno przestałem się oszukiwać. Jestem częścią systemu, więc na noc zamykam drzwi na potrójny zamek.

– Czy Malley zrobił coś więcej, niż patrzył?

– Nie, ale to było bardzo wymowne spojrzenie. Był cholernie wściekły. Nie mam do niego pretensji. Jego dzieciak nie żył, system został stworzony na zasadzie my-oni, a ja należałem do tych „onych”. Nie przestraszył mnie wtedy i nie boję się teraz. Dlaczego miałbym się bać? Minęło tyle czasu, a on nic mi nie zrobił. Czy policja naprawdę sądzi, że to on zabił Randa?

– To tylko...

– Wiem, hipoteza. – Strzepnął ziarenka soli z wierzchu solniczki. – Pan pewnie wie, że Troy Turner też został zamordowany.

Kiwnąłem głową.

– Myśli pan, że jest tu jakiś związek? – spytał.

– Troy został zabity miesiąc po ogłoszeniu wyroku – odparłem.

– A Rand osiem lat później. Tak, gdybym był Malleyem i chciał się zemścić, załatwiłbym sprawę szybko. Myślałem o tym, kiedy dowiedziałem się o śmierci Troya. Martwiłem się o Randa, zadzwoniłem do naczelnika zakładu i poprosiłem o dodatkową straż. Palant powiedział, że się tym zajmie. Wyrażnie mnie spławił.

– Czy kiedy pan dzwonił, myślał pan o Barnecie Malleyu?

– Może. Ale tak w ogóle pomyślałem, że Rand byłby niezłym trofeum dla jakiegoś nabuzowanego testosteronem socjopaty, co to chce zbudować sobie reputację. – Spojrzał najedzenie, ale go nie tknął. – Tak czy inaczej, dziękuję za ostrzeżenie, gdybym jednak bał się każdego członka rodziny ofiar, dawno trafiłbym do czubków.

Wyciągnął dłoń, wnętrzem do góry, nieruchome.

– Widzi pan, zero niepokoju.

Tylko kompulsywne układanie przedmiotów na stole.

– Teraz pracuje pan w Beverly Hills – powiedziałem. – Przestępcy też są pewnie inni.

– Beverly Hills to nie tylko sławne aktorki, co podkradają szminki ze sklepów. Bierzemy też sporo przestępstw z West Hollywood, więc nie, nie umieram tu z nudów.

– Nie zamierzałem sugerować, że tak jest.

Montez zaczął robić sobie kanapkę z łososiem i serem. Jeden po drugim brał kapary i wbijał je wzdłuż krawędzi pumpernika. Przyjrzał się swojemu dziełu, przykrył kanapkę, ale jej nie ugryzł.

– Czy miał pan jakiś kontakt z Randem, kiedy go zamknięto? – spytałem.

– Dwa razy do niego dzwoniłem – odparł. – Potem dałem sobie spokój. Czemu pan pyta?

– Dzwonił do mnie w dzień śmierci, powiedział, że chce porozmawiać o Kristal, ale nie chciał podać żadnych szczegółów przez telefon. Umówiliśmy się, ja przyjechałem, ale jego nie było. Kilka godzin później znaleziono go martwego. Domyśla się pan, o co mogło mu chodzić?

Montez bawił się kanapką na talerzu, szturchając ją kciukiem, aż ustawił ją idealnie na środku. Kiedy podniósł wzrok, miał zaciśnięte zęby.

– Pan wcale nie chce mnie ostrzec, prawda? Pan chce ze mnie wycisnąć informacje.

– Jedno i drugie – odparłem.

– Jasne.

– Nie jesteśmy przeciwnikami, panie Montez.

– Jestem prawnikiem. W moim świecie przeciwnikiem jest każdy.

– Proszę bardzo, ale teraz jesteśmy po tej samej stronie.  
– To znaczy po której?  
– Po tej, która chce znaleźć sprawiedliwość dla Randa.  
– Zamykając jego mordercę?  
– Czy to by nie był dobry początek? – spytałem.  
– W pana świecie.  
– A w pana nie?  
– Wie pan co? – powiedział. – Jeśli policja rzeczywiście znajdzie tego, kto zastrzelił Randa, i biuro obrońców publicznych dostanie tę sprawę, wezmę ją z przyjemnością.  
– Nawet jeśli okaże się, że strzelał Barnett Malley?  
– Gdyby Malley się na mnie zgodził, zrobiłbym co w mojej mocy, żeby uratować mu dupę przed więzieniem.  
– Umie się pan zdystansować – stwierdziłem.  
– Umiejętność przetrwania nie kończy się na broni.  
– Kiedy reprezentował pan Randa, czy miał pan wrażenie, że coś zataja?  
– Wszystko zatajał. Nie chciał ze mną rozmawiać, udawał niemowę. Nieważne, ile razy mu powtarzałem, że jestem po jego stronie. To by było frustrujące, gdyby nie fakt, że scenariusz już był napisany. Nie zdążyłem sprowadzić własnego psychologa, bo doszło do ugody. Jasne, chciałbym wiedzieć, co się działo w głowie tego chłopaka. Z pana raportu się tego nie dowiedziałem. To był majstersztyk wymijającej odpowiedzi. Napisał pan tylko, że Rand jest głupi.  
– Mądry nie był – odparłem – ale w głowie działo mu się dużo. Uznałem, że ma wyrzuty sumienia, i napisałem to. Wątpię, czy pana ekspert wymyśliłby coś więcej.  
– Po prostu głupi chłopak? Złe nasienie?  
Milczałem.  
– Tak, ja też wyczułem wyrzuty sumienia – przyznał Montez. – W przeciwieństwie do jego koleżki. Tamten to był dopiero element. Podła mała gnida, gdyby Rand się z nim nie zadawał, jego życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej.  
– Troy był prowodyrem – powiedziałem. – Ale Rand się przyznał, że bił Kristal.  
– Rand był głupim, biernym naśladowcą, który dostał się pod wpływ bezlitosnego małego socjopaty. Na rozprawie położyłbym nacisk na to naśladownictwo. Ale jak powiedziałem, to by nie miało znaczenia.  
– Scenariusz.  
– Właśnie.  
– Kto go napisał?  
– System – odparł Montez. – Nie można zamordować słodkiego, białego bobasa i odejść bezkarnie. – Jego dłoń przesunęła się nad nożem do masła. Poprawił kąt jego ułożenia. – Weider twierdziła, że chce zbudować wspólną linię obrony. Byłem tak zielony, że to kupiłem. To świadczy o tym, jak działa system, prawda? Rok po studiach, i zostałem jednoosobową armią Randa. – Pokiwał palcem. – Sprawiedliwość dla wszystkich.  
– Dlaczego zmieniła zdanie?  
– Bo chciała tylko wydobyć ode mnie informacje. W sądzie zamierzała szybko zmienić front i całą winę zwalić na mojego klienta. W swoich wnioskach wstępnych podkreślała masywną budowę ciała i siłę Randa, zdobyła wyniki badań eksperckich, z których wynikało, że socjopaci z niskim IQ częściej stosują przemoc. Gdyby doszło do procesu, Turner zostałaby delikatnym, małym naiwniakiem, którego Rand zastraszył siłą. Tak czy inaczej, tego wszystkiego nam oszczędzono. Sprawa zakończyła się bez bólu.



– Nie dla Malleyów – powiedziałem.

Pokazał mi wnętrze dłoni.

– Nie mogę myśleć w takich kategoriach. A jeśli Barnett Malley tego nie rozumie, czekam na niego. Miło było znów pana widzieć, doktorze.

Wstałem i spytałem, czy wie, gdzie mogę znaleźć Sydney Weider.

– Ją też chce pan ostrzec?

– I wydobyć od niej informacje.

Montez wyjął okulary przeciwsłoneczne i przejrzał się w nich jak w lusterku. Jeden koniec muszki opadł niżej niż drugi. Skrzywił się i poprawił go.

– Prawdopodobnie znajdzie ją pan na korcie tenisowym albo polu golfowym, albo sącząca cosmopolitana na tarasie country clubu.

– Którego country clubu?

– To przenośnia. Nie mam pojęcia, czy ona należy do jakiegoś klubu, ale nie byłbym zaskoczony. Sydney już wtedy była bogata, więc teraz jest pewnie jeszcze bogatsza.

– Bogata dziewczynka bawiąca się w prawo? – spytałem.

– Co za przenikliwość, chyba jest pan psychologiem. Od pierwszego spotkania Sydney dawała każdemu wyraźnie do zrozumienia, kim jest. Wymachiwała torebką od Gucciego, wszystkie istotne dane recytowała jak karabin maszynowy. Jakby człowiek był uczniem, a ona prowadziła kurs: wstęp do Sydney.

– Mówiła o swoich pieniądzach?

– O swoim tatusiu, szyszce filmowej, o swoim mężu, szyszce filmowej, no i o branżowych przyjęciach, na które „musiała” chodzić. O synach na Harvardzie, o rezydencji w Brentwood, o weekendowym domku w Malibu, o beemce i porszaku na dni parzyste i nieparzyste.

Montez udał, że wpycha sobie palec do gardła, jakby chciał zwymiotować.

– Kiedy odeszła z biura obrońców publicznych? – spytałem.

– Niedługo po zamknięciu sprawy Malleyów, skoro już o tym mowa.

– Jak bardzo niedługo?

– Może miesiąc, nie wiem.

– Myśli pan, że to miało coś wspólnego z tą sprawą?

– Może pośrednio. Jej nazwisko trafiło do gazet i niedługo potem dostała od Stavrosa Menasa propozycję niezłej prywatnej praktyki.

– Rzecznika potęg tego świata – mruknąłem.

– Zgadza się. To, czym zajmuje się Menas, to bardziej PR niż obrona sądowa. Dlatego tak idealnie odnajduje się w LA. On na kolejne dni tygodnia ma bentleya i aston martina.

– Weider ciągle u niego pracuje? Nie ma jej w książce telefonicznej.

– To dlatego że nigdy u niego nie pracowała. Z tego, co słyszałem, zmieniła zdanie i rzuciła pracę, poświęcając się życiu w luksusie.

– Dlaczego?

Montez spojrział na swoje jedzenie.

– Nie umiem powiedzieć.

– Wypaliła się?

– Sydney nie miała dość uczuć, żeby się wypalić. Pewnie się jej po prostu znudziło. Z takimi pieniędzmi użerać się z tym całym gównem? Kiedy dowiedziałem się, że dała sobie spokój, pomyślałem, że będzie próbowała sprzedać komuś scenariusz filmowy na podstawie tej sprawy. Ale tak się nie stało.

– Uznał pan tak, bo jej mąż był producentem filmowym?

– Nie, bo ona taka właśnie jest. Manipuluje ludźmi, dba tylko o siebie. Latała na weekend do Aspen prywatnym odrzutowcem, w poniedziałek przychodziła do pracy w kostiumie Chanel i próbowała wypaść przekonująco, perorując o walce o sprawiedliwość dla jakiegoś kolesia z Compton. Przy obiedzie rzucała nazwiskami ludzi, którzy siedzieli obok niej w Palm. – Zaśmiał się. – Chciałbym myśleć, że nie jest naprawdę szczęśliwa, ale pewnie jest.

– Słyszał pan jakieś konkretne plotki na temat tego scenariusza? – spytałem.

– Wiem, że walczyła o to, żeby dostać tę sprawę.

– Jak?

– Podlizując się szefowi. Biuro obrońców działa tak, że następny na liście dostaje bieżącą sprawę. Chyba że szef osobiście kogoś wybierze. Wiem na pewno, że Sydney nie była pierwsza na liście do Troya Turnera, bo facet, który był, powiedział mi, że go odsunęli. Nie narzekał, nie miał jaj do takich prestiżowych pierdoł. Ujął to tak: „Suka zrobiła mi przysługę”.

– Miała do tego kwalifikacje?

Montez zgrzytnął zębami.

– Chciałbym powiedzieć, że nie, ale tak, była dość bystra. Miała wtedy trzy, cztery lata doświadczenia, a stosunek wygranych spraw do przegranych nie gorszy niż inni.

– Trzy czy cztery lata po studiach? – spytałem. – Zapamiętałem ją jako starszą.

– Bo była starsza. Kiedy zdała egzamin do palestry, wyszła za męża i zajęła się matkowaniem, dopóki dzieci nie podrosły. – Montez otarł usta i złożył serwetkę. – Jak się z nią pan zobaczy, proszę jej przekazać ode mnie pozdrowienia.

– Przekażę.

– Żartowałem.

Zadzwońnię z samochodu do Mila. W pracy go nie było, więc poprosiłem detektywa Binchy'ego.

– Cześć, doktorze Delaware – przywitał się Sean.

– Mógłbyś mi załatwić zastrzeżony adres?

– Nie wiem, doktorze, to trochę wbrew przepisom.

– Milo prosił, żebym porozmawiał z tą osobą więc w pewnym sensie występuję w roli policjanta.

– W roli policjanta... Dobrze. Chyba. Nikogo pan nie zastrzeli, prawda?

– Chyba że mnie ktoś wkurzy.

Cisza.

– Ha – powiedział w końcu. – Dobrze, niech pan zaczeka.

Lauritz Montez, obgadując Sydney Weider, wspomniiał o domach w Brentwood i Malibu, ale może to też były metafory. A może Weider nie spełniła jego oczekiwań, nie dorobiła się jeszcze większych pieniędzy, tylko wręcz przeciwnie.

Była zameldowana w niedużym, parterowym domku przy La Cumbre Del Mar, na zachodnim skraju Pacific Palisades. Była to słoneczna ulica, schładzana prądami Pacyfiku, z widokiem na ocean wartym siedmiocyfrową sumę, ale w żadnym razie nie pałacowa. Białe, stiukowy front obłożony był pękającym drewnianym sidingiem. Za płaskim trawnikiem najeżonym palusznikami rosły na wpół uschnięte palmy sago i oklapnięte paprocie. Rosochaty stary niebiesko-listny eukaliptus sypał szarością na trawę. Na podjeździe stał poobijany, szary nissan pathfinder obsrany przez mewy.

Podchodząc do drzwi, czułem zapach Pacyfiku, słyszałem wolny oddech szumiącego przypyływu. Nikt nie odpowiedział na moje pukanie ani dwukrotne naciśnięcie dzwonka. Po

drugiej stronie ulicy jakaś młoda kobieta stanęła w drzwiach i zaczęła mi się przyglądać. Kiedy się odwróciłem, weszła z powrotem do domu.

Poczekalem jeszcze chwilę, wyjąłem wizytówkę, napisałem na odwrocie prośbę, żeby Sydney Weider do mnie zadzwoniła, i wrzuciłem ją do szpary na listy. Wracając do samochodu, zobaczyłem ją na ulicy.

Miała na sobie zielony dres, białe adidas i ciemne okulary, szła sztywnym krokiem, zarzucając dziwnie biodrem. Włosy przycięła krótko, pozwoliła im posiwieć. Wciąż była szczupła, ale jej ciało wyglądało na zwiotczone i zaniedbane.

Stanąłem pod zadaszeniem przed jej domem. Zobaczyła mnie i zatrzymała się jakby ją zamurowało.

Pomachałem jej.

Nie zareagowała.

Ruszyłem w jej stronę i uśmiechnąłem się. Wyciągnęła przed siebie ręce w smutnym, bezsensownym obronnym geście. Jak ktoś, to naoglądał się filmów karate.

– Pani Weider...

– Czego pan chce?

Nie mówiła pewnym głosem, ale z jakąś pełną strachu zgrzytliwością.

– Alex Delaware. Pracowałem przy sprawie Malleyów...

– Kim pan jest?

Przedstawiłem się jeszcze raz.

Podeszła bliżej. Usta jej zatrzepotały, broda zadrżała.

– Niech się pan wynosi!

– Nie moglibyśmy chwilę porozmawiać? Rand Duchay został zamordowany, współpracuję w tej sprawie z policją i gdyby mogła mi pani poświęcić...

– Chwilę o czym? – Ratatata.

– O tym, kto mógł zabić Randa. Został zastrzelony w zeszłą...

– Skąd mam wiedzieć?! – krzyknęła.

– Pani Weider, nie chcę pani straszyć, ale tu może chodzić o pani osobiste bezpieczeństwo.

Przeorała powietrze zakrzywionymi jak szpony palcami. Drugą dłoń zwinęła w pięść, przycisnęła do boku.

– O czym pan mówi? O czym pan do cholery mówi?

– Jest możliwe...

– Wynocha, wypierdalaj!

Potrząsnęła gorączkowo głową, jakby chcąc się z czegoś otrząsnąć.

– Pani Weider...

Rozdziawiła usta. Przez chwilę cisza, potem zaczęła wrzeszczeć.

Razem z nią krzyknęła mewa. Ta sama sąsiadka z naprzeciwka znów wyszła przed dom.

Sydney Weider zaczęła drzeć się jeszcze głośniejsze.

Uciekłem.

Zaszczuty wyraz oczu Sydney Weider prześladował mnie przez całą drogę do domu.

Poszedłem do gabinetu i zagrałem w wyszukiwarkowego pokera. „Sydney Weider” pojawiła się trzydzieści razy, ale tylko jeden zapis dotyczył jej pracy przy *Stany Zjednoczone kontra Turner i Duchay*. Akapit w „Western Legal Journal”, z datą miesiąca przed ogłoszeniem wyroku, spekulujący na temat implikacji uznania chłopców za nieletnich.

Zacytowano w nim Weider przepowiadającą, że dojdzie do wielu niezwykle „brzemiennych konsekwencji”. Słów mądrości Lauritza Monteza nie było. Albo odmówił komentarza, albo nikt nie pytał go o zdanie.

Pozostałe zapisy poprzedzały przydział Weider do biura obrońców publicznych o całe lata. Według nekrologu jej ojciec nazywał się Gunnar Weider, był producentem niskobudżetowych horrorów, a potem telewizyjnych seriali. Sydney była podobno jego jedyną spadkobierczynią i żoną Martina Boestlinga, agenta filmowego CAA.

Zanim zapanowała w nim polityczna poprawność, „Times” prowadził kolumnę towarzyską. Zalogowałem się do archiwów i znalazłem wzmiankę, sprzed dwudziestu ośmiu lat, o małżeństwie Weider i Boestlinga. Sydney miała dwadzieścia trzy lata, jej narzeczony był o dwa lata starszy. Huczne wesele w Beverly Hills Hotel, wśród gości wiele znanych twarzy.

Wpisałem do wyszukiwarki nazwisko Boestlinga. Kilka lat po ślubie z Sydney przeszedł z CAA do ICM, potem do Williama Morrisa. Jeszcze później dostał posadę w Miramaksie, skąd odszedł rok przed sprawą Malleyów, by założyć MBP Ltd. własną wytwórnię filmową.

Według notatki prasowej w „Variety”, nowa firma miała kłaść nacisk na „dobre, średniobudżetowe kino fabularne”. Wzmiankę o MBP znalazłem tylko przy trzech nakręconych dla telewizji tandetach, w tym remake’u sitcomu, który był denny już w pierwszej wersji.

Lauritz Montez mówił o scenariuszu. Czy rzeczywiście był taki scenariusz, a Boestling założył własną firmę, żeby go sprzedać?

Moim zdaniem sprawa Malleyów nie miała w sobie nic, na czym można by oprzeć film – nie było tam happy endu, nawrócenia, moralnych przemian postaci – ale ja się przecież nie znam.

Może dałoby się z tego zrobić niskobudżetowy zapychacz dla kablówki. Poszukałem jeszcze trochę. Z tego, co się zdołałem dowiedzieć, nikt, w tym Martin Boestling, niczego takiego nie nakręcił.

Pozostałe wyniki poszukiwań były wzmiankami o Sydney i Martinie jako darczyńcach wspierających najbardziej oczywiste inicjatywy: Ligę Ochrony Gór Santa Monica, Fundację Ratujmy Zatokę, Centrum Zdrowia Kobiety, Obywatelską Inicjatywę Kontroli Broni, Stowarzyszenie na rzecz Większego Zoo w LA.

Jedynе zdjęcie, jakie znalazłem, ukazywało ich oboje na balu urządzonym przez Centrum Zdrowia. Weider wyglądała tak, jak pamiętałem ją sprzed ośmiu lat: szczupła, jasnowłosa, modnie ubrana. Martin Boestling był brunetem, krępy, nachylonym do przodu jak agresywny pies.

Weider zawsze szybko mówiła, ale teraz jej chłodna, rzeczowa powierzchowność ustąpiła wariackiemu belkotowi i spazmom lęków. Prywatne odrzutowce i porszak/beemka – i obfajdany przez ptaki nissan.

Czy tylko jeden samochód na podjeździe oznaczał, że Boestling był w pracy? Czy może Weider mieszkała sama?

Zadzwońiłem do Binchy’ego. Nie było go, za to wrócił Milo.

Streściłem mu rozmowę z Montezem, opowiedziałem o powitaniu, jakie zgotowała mi Weider, o jej domu, jej samochodzie.

– Wygląda mi na nieszczęśliwą kobietę – powiedział.

– Nerwową kobietę, a ja zdenerwowałem ją jeszcze bardziej. Wystraszyłem ją jak cholera.

– Może nie chce, żeby jej przypominać o przeszłości. Tak bywa, kiedy człowiek zbiednieje. Nie, żebym nad nią płakał, ciągle mieszka w Palisades.

– Możesz się dowiedzieć, czy rozeszła się z Boestlingiem? – spytałem.

– Po co?

– Zbiedniała. I mam wrażenie, że mieszka sama.

– I co z tego?

– Zareagowała dziwacznie.

– Zaczekaj. – Przełączył się na inną linię, wrócił kilka minut później. – Tak, są rozwiedzeni. Pozew złożony siedem lat temu, sprawa zamknięta trzy lata później. Tyle mogę powiedzieć bez wycieczki do śródmieścia. Trzy lata przeciąganej bitwy prawników to nic zabawnego i może nie dostała, czego chciała. Teraz ja się pochwałę: pojechałem do meliny Nestora Almedeiry na Shatto. Karaluchów tyle, że nie nadażasz z deptaniem. Tak jak powiedział Krug, nikt nie pamięta, żeby Nestor w ogóle istniał. Trochę drażyłem i recepcjonista powiedział, że chyba Nestor czasami zadawał się z innym ćpunem o ksywce Zbok, ale nie miał pojęcia, jak Zbok naprawdę się nazywa. Biały mężczyzna, lat dwadzieścia pięć do czterdziestu pięciu, ciemne włosy i wąsy. Być może.

– Być może?

– Włosy mogły być ciemnoblonde albo rudawe, albo rudobrazowe. Wąsy – na pewno nie broda? Recepcjonista ma jakieś metr sześćdziesiąt, więc pewnie każdy jest dla niego wysoki. O ósmej rano śmierdziało mu z pyska gorzałą, więc nie polegałbym na jego słowie. Rzeczy osobistych Nestora nigdzie nie było. Popytałem o Kruga, ma opinię lenia. Założę się, że nie chciało mu się przejrzeć kłopotów Nestora, dał reszcie ćpunów czas, żeby obsąpili jego zestaw do dawania w żyłę i wszystko inne, co mogli znaleźć, wykorzystać albo sprzedać. Reszta pewnie trafiła do śmieci.

– W tym więzienny identyfikator Troya Turnera – powiedziałem. – Na ulicy nie miał żadnej wartości. A może Nestor nosił go przy sobie i morderca zabrał go na pamiątkę.

– Jeśli motywem było uciszenie Nestora, to bardzo prawdopodobne. Byłoby miło dostać nakaz przeszukania domku Kowboja Barnetta i znaleźć to w jego szufladzie, co? Następna sprawa: Jane Hannabee. W Central najwyraźniej nie mogą znaleźć jej książki morderstwa, jeden z detektywów, którzy się tą sprawą zajmowali, nie żyje, a drugi przeprowadził się do Portland w Oregonie. Zostawiłem mu wiadomość, czekam na telefon. Udało mi się zlokalizować raport koronera z sekcji Hannabee, spodziewam się faksu w każdej chwili. Wreszcie, sprawdziłem przeszłość naszej starej kaskaderki, Bunny MacIntyre. To porządna obywatelka, jest właścicielką kempingu od dwudziestu czterech lat. Tak to wygląda. Jakies sugestie?

– Nie mając żadnych dramatycznych tropów, zająłbym się Sydney Weider.

– Znowu ona? Czemu tak cię to obchodzi?

– Zrozumiałbyś, gdybyś tam był. To, jak przeszła z czujności do paniki. Poza tym walczyła o tę sprawę osiem lat temu, a Montez półzartem wyraził podejrzenie, że ona i Boestling chcieli na tej podstawie zrobić film. Wiem, że to wszystko nie ma związku, ale coś mnie tknęło.

– Chcesz porozmawiać z jej byłym, proszę bardzo. Co z Daneyami? Jak zareagowali na ostrzeżenie?

– Nie było ich w domu.

– W porządku – powiedział Milo. – Zrobimy tak: ty jeszcze raz spróbujesz z Daneyami... o, faks od koronera w sprawie Hannabee wychodzi z maszyny... wygląda na to, że jest tego sporo; przejrzę to, jak będzie tam coś interesującego, zadzwonię do ciebie.

Jeszcze dwa razy spróbowałem do dzwonić się do Daneyów. Telefon dzwonił, nikt nie odbierał.

Nie mieli sekretarki. Zważywszy na liczbę dzieci, którymi się opiekowali, wydało mi się to dziwne.

Za piętnaście szóstą zadzwoniłem do Allison do gabinetu.

– Jeszcze jeden pacjent i jestem wolna – powiedziała. – Masz ochotę na coś innego?

– Na przykład?

– Może kręgle?

– Nie wiedziałem, że grasz w kręgle.

– Nie gram – powiedziała. – Dlatego to będzie coś innego.

Pojechaliśmy na Mistrzowskie Tory Culver City. Było tam ciemno, świeciły tylko lampy ultrafioletowe, huczała muzyka taneczna, tłoczyli się chudzi młodzi ludzie z włosami na żel – wyglądali jak odrzuty z jakiegoś reality show. Picie, śmiech, łapanie za tyłek, hurgot sześciokilowych kul, czasem klekot trafień.

Wszystkie tory zajęte.

– Wieczór studio – powiedział człowiek z obsługi, mężczyzna w średnim wieku z podpuchniętymi oczami. – Metro Pictures ma z nami umowę. Raz w miesiącu urządzą imprezę dla niewolników. Dobrze wychodzimy na gorzale.

Zerknął wymownie na bar na północnym końcu alejki.

– Kim są niewolnicy? – spytała Allison.

– Posłańcy, chłopcy do wszystkiego, asystenci reżyserów, asystenci asystentów reżyserów. – Uśmiechnął się pod nosem. – Branża.

– Jak długo to potrwa? – spytałem.

– Jeszcze godzinę.

– Chcesz zaczekać? – spytałem Allison.

– Jasne – odparła. – Zagrajmy na tej maszynie, gdzie się wyławia fajne fanty.

Wydałem pięć dolarów, grzebiąc niezdarną, mechaniczną łapą w stosie zabawek za dwadzieścia centów, bo bezskutecznie próbowałem pochwycić skarb. W końcu maleńkiemu, różowemu, wełnianemu stworkowi o urodzie trolla i uśmiechu kogoś męczonego przez niestrawność udało się zaczepić łapką o szczypcę.

– Śliczny – powiedziała Allison, wrzuciła go do torebki i dotknęła ustami moich ust.

Potem weszliśmy do baru i zajęliśmy boks w głębi. Ściany pokrywał czerwony filc, zapleśniała wykładzina była tak cienka, że wyczuwało się przez nią nierówny cement podłogi. W tej odległości od torów łomot techno brzmiał jak puls serca. Allison zamówiła kanapkę z tuńczykiem i dzin z tonikiem, ja – piwo.

– Jakie niedobrości knułeś? – spytała.

Wszystko jej opowiedziałem.

– Nie mogłam przestać myśleć o tej ośmioletniej przerwie – wyznała. – Co powiesz na to: fakt, że Rand został zwolniony, poruszył coś w Malleyu. Czy on bierze amfetaminę albo kokę?

– Nie wiem.

– Jeśli tak, to jeszcze bardziej mogło podsycić jego wściekłość. Wiedział o zwolnieniu Randa, prawda?

– Przynajmniej na trzydzieści dni wcześniej – odparłem. – A więc skłonił go do tego stres?

– Takie reakcje obserwuje się bardzo często u pacjentów nadużywających substancji odurzających. Kontrolują impulsy i złe nawyki, wszystko idzie świetnie. A potem coś ich trafia i tracą panowanie.

Morderstwo jako zły nawyk. Czasami bywa i tak.

W poniedziałek nocowałem u Allison. We wtorek miała sześcioro pacjentów, więc wyszedłem tuż przed ósmą. Jadąc do domu, spróbowałem dodzwonić się do Daneyów. Wciąż nikt nie odbierał.

Rodzinne wakacje z przybranymi dziećmi? Nauczanie w domu oznaczało, że miały elastyczny rozkład zajęć, więc być może tak właśnie było.

A jeśli spotkało ich coś zupełnie nierozrywkowego?

Przejechałem przez Brentwood do Bel Air, skręciłem z Sunset na Beverly Glen. Mijając drogę prowadzącą do mojego domu, pojechałem dalej na północ, w głąb Valley.

Galton Street była cicha i spokojna, jakiś mężczyzna podlewał trawnik, ganiało się dwoje dzieci, śpiewały ptaki. Hałas przelotówki brzmiał jak nieustanne, dalekie pochrząkiwanie. Zatrzymałem się pół przecznicy od posesji Daneyów. Drewniana brama była zamknięta, a ogrodzenie zasłaniało wszystko z wyjątkiem samego szczytu dachu.

Przypomniałem sobie, jak dużo miejsca zajmują trzy budynki. Nie było tam gdzie zaparkować, wszystkie samochody musiałyby stać na ulicy. Białego dzipa Drew Daneya nigdzie nie było widać. Nie miałem pojęcia, czym jeździ Cherish.

Podjechałem do przodu, wypatrując czarnej ciężarówki czy czegośkolwiek innego, co wyglądałoby podejrzanie. Dwa domy dalej stał ciemny pikap.

Czarny? Nie, granatowy. Dłuższy niż ciężarówka Barnetta Malleya, z dodatkowym fotelem, dwudziestocalowymi oponami i chromowanymi felgami.

W Valley było pełno ciężarówek.

Zatrzymałem się trzy metry od bramy, miałem właśnie wyłączyć silnik, kiedy po przeciwnej stronie ulicy od krawężnika ruszył mały samochód i popędził przed siebie tak szybko, na ile tylko pozwalały mu cztery nierozgrzane cylindry.

Toyota corolla, poobijana i powgniatana, na drzwiach kilka lat szpachlówki. W przelocie mignął mi kierowca.

Długowłosa blondynka, obiema rękami ściskająca kierownicę. Cherish Daney miała rozognione spojrzenie.

Dojechała do rogu ulicy, zwolniła, skręciła w prawo, przyspieszyła.

Miała trochę przewagi, ale cztery cylindry nie były dla mnie żadnym wyzwaniem.

Poranny ruch był niewielki i bez trudu ją dogoniłem – gnała na zachód ulicą Vanowen. Chowając się za wolno jadącym wozem turystycznym, nie spuszczałem wzroku z obwisłego zderzaka małego samochodu, zbliżającego się do Wschodniej Przelotowej Ventura.

Toyota wjechała na podjazd, wytraciła szybkość, jadąc pod górkę, i jeszcze bardziej zwolniła. Wyprzedziłem turystyczny, podjechałem pod rampę i czekałem, aż Cherish zniknie na szczycie. Gdyby zobaczył mnie jakiś policjant, musiałbym się gęsto tłumaczyć.

Ale żadnego nie było w zasięgu wzroku. W ogóle mało kto był. Corolla wreszcie zniknęła i wystrzeliłem do przodu.

Cherish Daney zjechała nerwowo na prawy pas, odbiła i zajęła środkowy. Z ręką przy uchu; rozmawiała przez komórkę. Potrzebowała prawie kilometra, żeby rozpędzić się do stu dwudziestu, utrzymywała tę prędkość, jadąc przez północne Hollywood i Burbank do Glendale, gdzie zjechała na Brand Boulevard.

Może jechała po prostu po zakupy do Gallerii i będzie mi głupio.

Nie, centrum nie było jeszcze otwarte. Widziałem wyraz jej twarzy, powiedział mi, że nie myślała o przecenach.



Na Brand trzymałem się dwa samochody za corollą, jechałem na południe.

Minęliśmy Gallerię. Kilometr, trzy, cztery.

Nagle, bez kierunkowskazu, Cherish Daney szarpnęła kierownicą corolli i zjechała na parking restauracji Patty's Place. Baner na witrynie obiecywał: ŚNIADANIOWY SPECJAŁ: NAJLEPSZE *HUEVOS RANCHEROS* W MIEŚCIE! Pod spodem: NALEJ SOBIE KAWY! NASZ DZBANEK JEST ZAWSZE PEŁNY! NASZE NALEŚNIKI SĄ NAJPYSZNIJSZE!

Glendale pozostawało jednak najwyraźniej sceptycznie nastawione wobec tych kulinarnych zachęt – na przestronnym, skąpanym w słońcu parkingu stały tylko trzy samochody.

Dwa sedany. Czarny pikap.

Cherish zaparkowała obok ciężarówki. Nim zdążyła wysiąść, już stał przy niej Barnett Malley. Miał na sobie taki sam strój, jaki widziałem u niego w domu, do tego kapelusz z szerokim rondem. Siwo-blond włosy spadały mu na kołnierz. Kciuki miał założone za pas, a nogi krzywe.

Pan Kowboj.

Cherish Daney wyglądała jak typowa miejska dziewczyna: dopasowany żółty top, czarne spodnie, czarne sandały na obcasie. Biało-blond włosy, rozpuszczone w samochodzie, teraz upięła w kok.

Oboje przysunęli się do siebie, zatrzymali się niemal nos w nos. Bez słowa poszli do restauracji, krok w krok obok siebie. Kiedy Malley otworzył drzwi przed Cherish, weszła do środka bez wahania.

Była do tego przyzwyczajona.

Siedzieli w środku prawie godzinę, a kiedy wyszli, on trzymał ją za rękę. Z mojego punktu obserwacyjnego po drugiej stronie ulicy Patty's Place widać było bardzo dobrze, ale byłem za daleko, żeby rozróżnić wyraz ich twarzy.

Barnett Malley otworzył Cherish drzwi samochodu, zczekał, aż wsiadła, zanim sam wsiadł do swojej czarnej pikapa. Cherish ruszyła dalej na południe Brand, a on po chwili pojechał za nią. Ja jechałem jako trzeci w konwoju, trzymając się przecznice za nimi.

Pojechali do Best Western niedaleko Chevy Chase Boulevard. Za szklaną fasadą motelu widać było dwie kondygnacje pokoi nad jasną taflą basenu.

Barnett Malley wszedł do środka, a Cherish Daney zczekała w swoim samochodzie. Po siedmiu minutach wysiadła z corolli, rozejrzała się, poprawiła włosy. Seville był jednym z wielu samochodów na motelowym parkingu i tym razem byłem dość blisko, by wychwycić szczegóły.

Miała spiętą twarz. Co chwila oblizywała usta. Zerknęła na zegarek, znów przyklepała włosy, poprawiła bluzkę, przesunęła palcem po dolnej wardze. Obejrzała go, wytarła o nogawkę spodni. Potem zamknęła samochód, wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i z determinacją ruszyła w stronę motelowego wejścia.

Myślała o grzechach ciała? Czy może koncepcja ta straciła już swoją moc?

Wyszła sama czterdzieści pięć minut później. Wciąż napięta, lekko przygarbiona, tak jak za pierwszym razem, kiedy ją widziałem. Ramiona przyciskała do ciała. Podbiegła do corolli, wycofała się z parkingu, szybko odjechała.

Pozwoliłem jej odjechać i czekałem.

Malley pojawił się po dziewięciu minutach. Kapelusz niósł w rękę, szedł luźnym, swobodnym krokiem i palił długie, cienkie cygaro.

Pojechałem za nim na Sto Trzydziestą Czwartą Zachodnią. Jakies półtora kilometra później skręcił na Piątą Północną; kiedy zjechał na Cal 14 trzydzieści kilometrów dalej,

zwolniłem i pozwoliłem, żeby rozdzieliły nas dwa osiemnastokątne. Malley gnał prawie sto czterdzieści i następne czterdzieści kilometrów zostało pochłonięte jak hamburger. Kiedy zjechał w Crown Valley, ja pojechałem dalej, wybrałem następny zjazd, wróciłem na autostradę i pojechałem z powrotem do LA.

Tak jak powiedział Milo: to był jego teren, nie było się tu gdzie schować.

W domu byłem o pierwszej. Na moje telefony z komórki u Mila odpowiadała automatyczna sekretarka. W pracy też go nie było.

Allison miała pracować jeszcze przez dwie godziny. Zamierzaliśmy spotkać się o piątej, może pójść do kina. Nakarmiłem ryby, spróbowałem się odprężyć, znów złapałem za telefon.

– Cześć – powiedział Milo.

– Malley jednak wychodzi czasem z domu – oznajmiłem. – Potrzeba mu tylko odrobiny motywacji.

Opowiedziałem mu, co widziałem.

– To wszystko zmienia – stwierdził.

O drugiej Milo wmaszerował przez frontowe drzwi, które zostawiłem otwarte. Złapał karton soku pomarańczowego.

– Muszę wyjść na powietrze – rzucił.

Wyszliśmy nad oczko.

– Staralem się zachowywać jak porządny obywatel powiedział. – W sensie wążania kwiatków. Rick miał wolne, więc poszliśmy na spacer do Franklin Canyon, potem wpadliśmy coś zjeść do Urth Cafe. Wszędzie tylu pięknych ludzi, a w środku dla kontrastują. – Poklepał się po brzuchu. – Razowe gofry... w pewien sposób coś takiego odbiera człowiekowi całą radość z przejedzenia.

Przytknął karton soku do ust.

– Przepraszam, że zepsułem ci odpoczynek – powiedziałem.

– Jaki odpoczynek? Ricka wezwali, żeby połatał jakiegoś dzieciaka, który spadł z drzewa, a ja myślałem o sprawie i udawałem, że się relaksuję. – Rzucił do wody granulki karmy. – Chodźcie do wujka Milo – mruknął.

Koi zaroily się, zatrzepotały w wodzie.

– Miło, kiedy ktoś człowieka docenia.

Wypił sok do końca, ukląkł i podniósł kilka liści z trawy rosnącej wokół kamiennego brzegu stawu. Starł je w palcach na proch, zanim usiadł.

– Malley i Cherish świntuszą. Dobra, stara ludzka słabość.

– To pasuje do tego, co powiedziała Allison na temat braku porozumienia między Daneyami. Do sceptycyzmu Cherish w sprawie czarnej ciężarówki. Broniła Malleya.

– Odwracała uwagę od swojego chłopaka – mruknął Milo. – Jak myślisz, jak ci dwoje się poznali?

– Pewnie w związku z Kristal.

– Byli po przeciwnych stronach.

– Miłość jest dziwna – powiedziałem.

– Niby jak, mijali się na korytarzu i coś między nimi zaiskrzyło? Z tego, co słyszałem, Malley nienawidził wszystkich z drużyny obrońców.

– Najwyraźniej wszystkich oprócz Cherish.

Milo podrapał się po nosie.

– Myślisz, że to się ciągnie od ośmiu lat?

– Jakiś czas na pewno. Czuli się ze sobą swobodnie.

– Dobra stara Cherish, pani duchowna. A tymczasem kowboj obraca ją w jakimś nędznym moteliku.

– To był całkiem porządny motel – sprostowałem. – Certyfikat AAA, basen...

– Jasne i wodne łóżka kołyszące się w rytm wyrodných żądz. Co się dzieje z tymi pobożniami, Alex?

– Jest mnóstwo religijnych osób, które naprawdę czynią dobro. Innych religia przyciąga, bo zmagają się z zakazanymi impulsami.

– A jeszcze inni widzą w niej sposób na zarobienie paru dolców, tle hrabstwo płaci za opiekę nad sierotami?

– Kiedyś to było pięćset, sześćset miesięcznie od podopiecznego.

– Trudno się na tym wzbogacić – stwierdził Milo.

– Pięćset razy ósmioro dzieci to cztery tysiące miesięcznie – odparłem. – A to raczej grubsza forsa dla kogoś, kto wyleciał ze szkoły dla kandydatów na świętych. Zwłaszcza, jeśli dodać do tego inne dochody.

– Inne zajęcia Daneya. Jak on to nazywał, fundacje. Jeździ po kościołach, a jego żonka wyklada w motelach. Się wyklada.

– Oprócz tego mogą dostawać jakieś dodatkowe pieniądze. Nie znam się na przepisach socjału, ale być może jest jakiś dodatek za naukę w domu. Albo dodatkowe pieniądze za opiekę nad dziećmi z ADD.

– Więc razem zgarnialiby niezłą forszę. – Milo poruszył szczęką. – Dobrze, Cherish i Malley mają romans. Co to ma wspólnego z morderstwami, o ile w ogóle coś?

– Tak sobie myślę: Troy miał trzy wizyty, zanim został zamordowany. Raz była u niego matka, dwa razy Daneyowie. Teoretycznie Cherish mogła nawiązać kontakt z Nestorem Almedeirą.

Milo odstawił torebkę z karmą. Rozpiął guzik koszuli, wsunął dłoń pod spód, pomasaował pierś.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Odwrócił się do mnie.

– Wielebna Blondi była wysłanniczką Malleya, żeby zorganizować zabójstwo? Udaje duchowego doradcę trzynastolatka, żeby ktoś go pociął jak wieprza? Jezu, niezły byłby z niej potwór.

– To hipoteza. Tak samo logiczne jest założenie, że Barnett znał Nestora, bo handlował narkotykami.

– A Cherish jest zwykłą cudzołżnicą.

Znów pomasaował pierś.

– Swędzi? – spytałem.

– Własnoręczny masaż serca. Jeśli Cherish i Malley nie zaczęli romansować w ciągu sześciu miesięcy przed skazaniem chłopców, kiedy mieliby inną sposobność?

– Mieszkali niedaleko siebie.

– Niby jak, spotkali się przypadkiem w sklepie? Jedno spojrzenie na Cherish i Barnett z rozwścieczonego tatuśka zmienia się w kochasia?

Wzruszyłem ramionami.

– Dobra, zostawmy to i zastanówmy się nad następnym trupem: Lara. Ciągłe jest możliwe, że było tak, jak sobie wymyśliśmy: Malley winił ją za Kristal, ich małżeństwo się rozpadało. Ale jeśli dorzucić do tego nową dziewczynę, pojawia się motywacja. Ciekawe, czy Lara była jakoś ubezpieczona na życie.

– Jeśli była, Malley nie wykorzystał pieniędzy z polisy, żeby poprawić sobie warunki.

Milo zapisał coś w notesie. Podniósł torebkę i rzucił rybkom jeszcze trochę granulek.

– Nową dziewczyną nie musiała być Cherish – powiedziałem.

– Barnett kobieciarzem?

– Wyglądał bardzo dziarsko, kiedy wychodził z motelu, ty wyczułeś jakąś chemię między nim a Bunny MacIntyre. Cherish z kolei wydawała się dość spięta.

– Kowboj graczem – zastanowił się Milo. – Jasne, czemu nie. Ten tekst MacIntyre, że nie pilnuje, kiedy on wyjeżdża i wraca, to była zwykła bzdura. Widziałeś, jak tam wygląda teren. Malley przedziera się tą swoją ciężarówką między drzewami, a ona ma tego nie zauważyć? Następny truposz: Hannabee. Chociaż wciąż nie jestem przekonany, czy ona ma z tym wszystkim coś wspólnego. Czy Cherish z Barnettem coś tu nowego wnoszą?

– Daneyowie wspierali Jane podczas procesu. Cherish mogła wiedzieć, gdzie Jane nocuje.

– Czyli znów miałyby ją wystawić. Dobra, założmy na potrzeby dyskusji, że Cherish jest członkinią Klubu Bardzo Złych Pań. Co to wnosi do sprawy, za której rozwiązanie biorę od miasta pieniądze?

– Kieruje nas to do następnego układu. Jeśli Cherish ma brudne ręce, Drew mówił prawdę, że Rand słyszał pod oknem jakieś hałasy i widział ciemną ciężarówkę. Barnett Malley polował na Randa, bo Rand wiedział na temat morderstwa Kristal coś, co było dla Malleya niebezpieczne. Coś, co powiedział Cherish, bo jej ufał.

– A ona podkablowała go swojemu chłopakowi. Co Rand mógł takiego wiedzieć, osiem lat po fackie, co zagrażałoby Malleyowi?

– Ciśnie się na usta odpowiedź, że Barnett miał coś wspólnego ze śmiercią swojej córki.

– Chłopcy pobili i udusili Kristal, nikt tego nie podważa. Dlaczego Barnett miałby mieć z tym cokolwiek wspólnego?

– Nie wiem.

Zapatrzyliśmy się na ryby, które wpuściłem do oczka, bo myślałem, że dzięki nim łatwiej będzie mi się odprężyć. Czasem rzeczywiście tak bywa.

– Nawet jeśli coś w tym jest powiedział Milo – czemu czekał osiem lat? O czym my w ogóle mówimy? Co to jest, jakieś odzyskane wspomnienie?

– Albo młody człowiek, który zrozumiał coś, co dręczyło go od wielu lat. Rand mógł to pojąć na długo przed uwolnieniem, ale komu miał powiedzieć? Personel więzienia nie chciał się z nim zadawać, nie nauczyli go nawet czytać. Jego jedyną powierniczką była Cherish. Ale źle ulokował to zaufanie.

– Kiedy wyszedł, pomyślał o kimś innym – zastanawiał się Milo. – O facecie z doktoratem, sprawiedliwym, ciepłym i obiektywnym. – Spojrzał na mnie. – To spotkanie, na które nie przyszedł. Może właśnie po to go zabili.

Weszliśmy z powrotem do domu, otworzyliśmy sobie po piwie i usiedliśmy przy kuchennym stole.

Milo opróżnił swoją butelkę i odstawił ją.

– A co powiesz na takie paskudztwo, Alex, co, jeśli Cherish i Malley nie poznali się na procesie. Kręcili ze sobą już przed morderstwem Kristal. Ona chciała za niego wyjść, musiała się pozbyć konkurencji. W sensie jego ówczesnej rodziny. Więc znalazła sobie małego mordercę do wynajęcia i zaczęła od potomstwa.

– Cherish zapłaciła Troyowi, żeby zabił Kristal?

– Znała go już wcześniej. Interesuje się psychologią, rozejrzała się za zimnym małym psychopatą i znalazła go sobie. Troy powiedział ci, że zamierza być bogaty. Cherish namówiła go obietnicą, że wydostanie go wcześniej z więzienia, garnkiem złota na końcu tęczycy. Zamiast tego kazała go stuknąć. Pół roku później faza druga: schodzi Lara.

– Lara została zastrzelona z pistoletu Barnetta – powiedziałem.

– A więc albo Barnett zrobił to sam, albo Cherish, jako jego dziewczyna, miała możliwość wziąć trzydziestkęósemkę z jego kolekcji. Ja bym stawiał na to, że oboje mają brudne ręce. Pamiętasz, jak wściekła była Nina Balquin na Barnetta za to, że skremował Larę, zamiast ją pochować? Po co miałyby się tak spieszyć, gdyby nie miał nic do ukrycia? A jeśli to Barnett porwał Randa, musiał wiedzieć, co jest grane.

– Jedyne pytanie to takie, że minęło osiem lat, a Cherish i Barnett nie są małżeństwem – zauważyłem. – Po co mieliby przez to wszystko przechodzić, gdyby chcieli tylko na boku poromansować?

– W takich związkach różnie bywa – odparł Milo. – Żądze wygasły czy coś w tym rodzaju.

– Nie na tyle, żeby przestać się spotykać w motelach.

– Dobrze, uznali więc, że seks w wynajętych pokojach jest lepszy niż ciepłe kapcie w domu. A może Cherish nie chce rezygnować z państwowych pieniędzy i dochodów z lewizn Drew. Na rozwodzie najczęściej traci kobieta, prawda? Spójrz na Weider. Cherish ma dom, dzieci, pozory świętej, a na boku się zabawia.

– Możliwe – powiedziałem. – Pasowałyby to do tego, co Allison wymyśliła o premedytacji. Troy wziął pieniądze i zabrał ze sobą Randa jako wsparcie. Rand nie był zamieszany w tę sprawę od początku, ale jakoś doszedł sam, o co w tym chodziło.

Mocno rozmasował twarz.

– Tak czy inaczej ciężko będzie przypiąć Kristal Barnettowi. Mamy faceta, który całe lata czekał, żeby zostać ojcem. Posunął się nawet do tego, żeby pożyczyć pieniądze na leczenie bezpłodności.

– Nina Balquin podejrzewa, że wcale nie wydał tych pieniędzy na leczenie.

– Barnett i Lara musieli coś zrobić, Alex. Mieli dziecko. Jeśli Cherish to Mała Miss Hitler, wyobrażam sobie, że mogła próbować wyeliminować małe drugiej szympanicy. Ale żeby Barnett załatwił dla niej własne dziecko?

Usłyszałem to pytanie, ale myślami byłem już gdzie indziej. Wzmianka o Ninie Balquin przypomniała mi jej dom. Ścianę w głębi.

– O rany! – zawołałem.

– Co?

– Zdjęcie Kristal. Jej oczy. Duże i piwne. Barnett ma niebieskie, Lara też miała niebieskie. Pamiętam, widziałem ją w sądzie, miała wielkie, szaroniebieskie oczy, które bez przerwy wycierała, bo ciągle płakała. Dwoje ciemnookich rodziców może spłodzić jasnookie dziecko, ale odwrotnie to możliwe tylko przez spontaniczną mutację.

– Kristal nie była dzieckiem kowboja?

– Lara zaszła w ciążę dopiero sześć lat po tym, jak pożyczyci pieniądze.

– Zaradziła swojej bezpłodności w inny sposób. – Milo uśmiechnął się wrednie. Oboje zabawiali się na boku, ale Lara zostawiła ślady, a Barnett nie mógł tego znieść.

– Barnett zdominował i izolował Larę – powiedziałem. – To był dla niej kolejny powód, żeby szukać miłości gdzie indziej. Każdy mąż by się wściekł, gdyby jego żona urodziła dziecko innego, ale ktoś taki jak Barnett, aspołeczny, nerwowy, maniak broni, byłby wyjątkowo podatny na gwałtowną reakcję. Ukarzał Larę dwukrotnie. Najpierw eliminując owoc jej zdrady, a kiedy to nie zgasiło w nim ognia wściekłości, pozbył się jej samej. A jeśli potrzebował zachęty, zawsze miał Cherish.

– Rozmowy do poduszki – mruknął Milo. – „Mam rozwiązanie, skarbie”. Tak, to się trzyma kupy, co?

– Aż mnie zemdlilo.

– A więc jak Rand na to wpadł? – spytał.

– Musiał przypomnieć sobie coś z chwili morderstwa – odparłem. – Zauważył Cherish z Troyem tuż przed porwaniem. Albo widział ją z Barnettem. Całkiem możliwe, że któreś z nich poszło tamtego dnia do centrum handlowego dopilnować, żeby wszystko zagrało. A może udział Barnetta był bardziej bezpośredni. Lara powiedziała, że odwróciła głowę tylko na chwilę, kiedy Kristal zniknęła. A jeśli ktoś, kogo Kristal znała i komu ufała, odciągnął ją?

– Chodź do taty – powiedział Milo. – A potem tata oddaje ją Troyowi i Randowi. Jezu... I Rand wymyślił to wszystko sam z siebie, po latach odsiadki?

– Rand wiedział, że siedzi za kratkami, bo wziął udział w czymś strasznym. Izolacja i dojrzwianie skłoniły go do zastanowienia. Zaczął oceniać swój udział winy. Próbował poczuć się dobrym człowiekiem. Barnett i Cherish nie mieli powodu się nim przejmować, bo nie brał udziału w spisku. Dopóki nie zaczął rozmawiać z Cherish. Troy natomiast był bezpośrednim zagrożeniem i został szybko wyeliminowany.

– Jak się nazywa to seminarium, do którego chodziła?

– Fulton.

– Wiesz, gdzie to jest?

Pokręciłem głową.

– Według Cherish Troy jest tam pochowany. Namówiła dziekana, żeby odstąpił miejsce.

– Och, no pewnie. – Milo zaśmiał się i strzelił kłykciami. – Cherish to słowo, którego używam, by opisać...

– Z drugiej strony... – powiedziałem.

– Co?

– To wszystko jeden wielki domek z kart, ale tak naprawdę wiemy o Cherish tylko tyle, że sypia z Barnettem Malleyem.

Milo spoważniał.

– A więc dowiemy się więcej. O to w końcu w życiu chodzi, prawda? Żeby poszerzać sobie horyzonty.

Odprowadziłem Mila do samochodu.

Kristal została skremowana czy pochowana?

– Myślisz o DNA.

– Gdyby udało ci się pobrać próbkę od Barnetta, odpowiedziałoby to na pytanie o ojcostwo.

– Powiem ci, jak wygląda sprawa DNA w prawdziwym świecie. Kiedyś wysyłaliśmy próbki do laboratorium biura szeryfa, ale oni są zawaleni robotą do następnego tysiąclecia, poza tym hrabstwo nie chce im zafundować nowoczesnego sprzętu, więc czasami muszą wysyłać próbki dalej. Departament podpisał niedawno kontrakt z Orchid Cellmark w New Jersey, ale tam mają priorytety: najpierw morderstwa na tle seksualnym, potem gwałty, potem przestępstwa przeciwko nieletnim. Odpowiedź można od nich dostać najprędzej po dwóch do czterech miesiącach. I to zakładając, że podanie zostanie zatwierdzone przez biurwy. W tym wypadku, jeśli Kristal została pochowana, potrzebowałbym nakazu ekshumacji, co trwałoby jeszcze dłużej niż analiza DNA, zwłaszcza bez zgody żyjącego najbliższego krewnego. Poza tym wybór takiej drogi ostrzegłby Malleya, że jest podejrzany.

– Tak tylko pomyślałem – powiedziałem.

– Z drugiej strony, może koroner zatrzymał coś z autopsji Kristal i mógłbym to wysłać do Cellmark... Pojadę do krypty, zobaczę, czy coś znajdują. Ciao.

Wróciłem do domu, żeby podszkolić się w zasadach finansowania rodzinnych domów dziecka w hrabstwie Los Angeles i dowiedzieć się czegoś o Seminarium Fulton.

Pierwsze zadanie było łatwe. Zadzwoiłem do Olivii Brickerman. Olivia jest profesorem Wydziału Prac Społecznych starego uniwersytetu po drugiej stronie miasta, zahartowaną weteranką wojny, którą jest kalifornijski system opieki społecznej, i wdową po mistrzu szachowym. Ma kręcone włosy, mogłaby być moją matką i jest jedną z najbardziej inteligentnych osób, jakie znam.

– Dzwonisz tylko wtedy, kiedy czegoś chcesz – powiedziała.

– Jestem synem marnotrawnym.

Zaśmiała się, kaszlnęła.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Jakby cię to obchodziło.

– Oczywiście...

– Daję sobie radę, mój drogi. Jak ci idzie z doktor Śnieżką?

– Allison?

– Skóra jak kość słoniowa, czarne włosy, cichy głos, śliczność nad ślicznościami?

Analogia jest oczywista. Przekraczam jakieś granice?

– U Allison wszystko w porządku.

– A u Robin?

– Robin jest w Seattle.

– To nie jest odpowiedź.

– Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem, wszystko było u niej w porządku, Olivio.

– A więc to koniec?

Nie odpowiedziałem.



– Jestem nieuleczalną plotkara, Alex. Musisz mi dawać po łapach. Seattle, co? Jeździłam tam z Geniuszem. Dawno temu, zanim wymyślili komputery i kawę. Geniusz umiał nieźle wiosłować, więc wypływaliśmy na jezioro Washington... Robin ciągle jest z tym facetem od głosu?

– Aha.

– Pan Tralala – zanuciła Olivia. – Przyprowadziła go kilka miesięcy temu na niedzielny obiad. W przeciwieństwie do paru innych osób, które nie mogą znaleźć czasu.

– Allison i ja zaprosiliśmy cię na obiad do Bel Air.

– Nie wypominaj. Zmierzam do tego, że nie przypadł mi do gustu.

– Robin przypadł.

– Jest za spokojny – ciągnęła. – Wyniosły, jeśli chcesz znać moje zdanie. Nie, żeby ktokolwiek chciał.

– Zawsze chętnie chłonę twoje mądrości, Olivio.

– Ha. A więc co chcesz wiedzieć?

– Ile państwo płaci za opiekę nad sierotami?

– Miałam nadzieję, że to będzie większe wyzwanie, mój drogi. Po pierwsze, stan zleca opiekę nad sierotami i ustala podstawowe stawki, ale każde hrabstwo samo rozdziela fundusze. Hrabstwa mogą również dokładać do puli ze swoich pieniędzy. Zgodnie z tradycją raczej z tego prawa nie korzystają. Stawki się różnią, ale nie znacząco. Które to hrabstwo?

– Los Angeles.

– Druga rzecz, którą musisz wiedzieć, to że oficjalnie przybranym rodzicom się nie płaci. Na każde dziecko przysługuje określona kwota, którą dostaje do dyspozycji dorosły opiekun.

– Co znaczy, że przybranym rodzicom się płaci powiedziałem.

– Tak jest. Podstawowe stawki zależą od wieku dziecka. Czteryście dwadzieścia pięć do pięciuset dziewięćdziesięciu siedmiu dolarów miesięcznie. Starsze dzieci dostają więcej.

– Można by pomyśleć, że będzie odwrotnie. Niemowlęta wymagają więcej opieki – zauważyłem.

– To by było myślenie logiczne, mój drogi. A mówimy przecież o władzy. Bez wątpienia jakiś przezwawcz cyferek ustalił algorytm oparty na masie ciała w kilogramach.

– Która grupa wiekowa dostaje najwięcej?

– Ponad piętnaście lat. Dwanaście do czternastu dostaje pięćset czterdzieści sześć, i tak dalej aż do niemowląt, które dostają czteryście dwadzieścia pięć. Zbyt wiele pieluch i mleka w proszku się za to nie kupi. Bardzo często dziecko biorą krewni. W tym przypadku mamy właśnie z tym do czynienia?

– Nie, to ludzie niespokrewnieni – odparłem. – Czy do podstawowej stawki coś dochodzi?

– Podopieczni ze specjalnymi wymaganiami dostają dodatkowe pieniądze. Teraz maksimum miesięczne wynosi sto siedemdziesiąt dolarów. To pieniądze z opieki społecznej, ale są też inne instytucje, które można doić, jeśli się człowiek orientuje w papierach. System jest pełny różnych dobrości.

– Czy dzieci z ADD byłyby uznane za dzieci ze specjalnymi wymaganiami?

– Oczywiście. To oficjalnie uznane upośledzenie. Czy jest sens, żebym cię pytała, po co chcesz to wszystko wiedzieć?

– Mam pewnych podejrzanym – odparłem. – Milo chce wiedzieć, czy nie wzbogacają się na publicznej forsie.

– Drogi Milo. Schudł?

– Może trochę.

– Czyli nie schudł. No, ja też nie. Wiesz, co mówią wszystkim chudzielcom? Dajcież wy mi święty spokój. W każdym razie, jeśli chcesz, możesz mi podać nazwiska tych podejrzanych; kiedy wrócę do pracy, sprawdzę je w komputerze.

– Drew, prawdopodobnie Andrew, i Cherish Daneyowie.

Przeliterowałem nazwisko i podziękowałem jej.

– Cherish jak w „kocham cię”?

– Właśnie tak.

– Tyle że być może za bardzo kocha pieniądze?

– Jest taka możliwość.

– Chcesz mi powiedzieć coś jeszcze?

– Ile dzieci może przyjąć jedna rodzina?

– Sześcioro.

– Ci ludzie mają ośmioro.

– W takim razie są niegrzeczni. Ale nikt raczej ich nie skarci. Za mało jest rodzinnych domów dziecka, które państwo uważa za przyzwoite, i bardzo mało pracowników, którzy mogliby się zajmować szczegółami. Jeśli nie dzieje się nic strasznego, nikt nie zwraca na takie rzeczy uwagi.

– Co to znaczy „pryzwoity dom”? – spytałem.

– Dwoje rodziców, klasa średnia byłaby miła, ale nie jest konieczna. Nienotowani przez policję. Optymalnie ktoś pracuje, ale jest też ktoś cały czas w domu, żeby mieć na dzieci oko.

– Daneyowie pasują pod każdym względem – powiedziałem. – Czy państwo płaci za naukę w domu?

– Ta sama odpowiedź: zależy, ile się wypełni formularzy. Jest kieszonkowe na ubrania, dodatkowe kieszonkowe na ubrania, najróżniejsze fundusze opieki zdrowotnej, z których można czerpać. O co chodzi, mój drogi? To jakiś przekręt?

– To skomplikowana sprawa, Olivio.

Westchnęła.

– Z tobą tak zawsze.

Seminarium Fulton przyznawało tylko jeden stopień naukowy: magistra teologii. Według jego strony internetowej program szkoły koncentrował się na „aspektach profesjonalnego wykształcenia ewangelicznego takich jak znajomość Pisma Świętego, posługa kapłańska i służba publiczna”. Studenci mieli do wyboru cały wachlarz „intelektualnych specjalizacji”, w tym Chrześcijańskie Przywództwo, Awans Ewangeliczny i Nadzór Programowy.

Kilka akapitów poświęcono filozoficznym podstawom działalności szkoły: Bóg jest doskonały, wiara w Jezusa przeważa nad wszelkimi czynami, ludzie są skazani na potępienie, dopóki nie dostąpią zbawienia, służba i wiara to najważniejsze elementy naprawy świata, który tej naprawy bardzo potrzebuje.

Kampus zajmował nieco ponad hektar wzgórz na północnym skraju Glendale. Piętnaście minut jazdy do motelu przy Chevy Chase.

Przewinałem kilka stron zdjęć. Małe grupki schludnych, uśmiechniętych studentów, rozległe trawniki, na wszystkich ujęciach te same budynki z lat sześćdziesiątych, ze szklanymi elewacjami. Żadnej wzmianki o miejscowym cmentarzu.

W skład kadry wchodziło siedmioro duchownych. Dziekanem był wielebny doktor Crandall Wascomb, dr hab. teologii. Sądząc po zdjęciu, miał około sześćdziesiątki, pociągłą twarz, wysokie, gładkie czoło, srebrno-siwe, zakrywające czubki uszu włosy i lekko zmrużone oczy o dokładnie tym samym kolorze, co gołębia marynarka, którą miał na sobie.

Zadzwoiłem na jego numer wewnętrzny. Nagrany kobiecy głos poinformował mnie, że doktora Wascomba nie ma w gabinecie, ale że naprawdę interesuje go, co mam mu do powiedzenia.

– Proszę zostawić szczegółową wiadomość dowolnej długości i przynajmniej raz powtórzyć nazwisko oraz numer telefonu. Dziękujemy, niech cię Bóg błogosławi, życzymy cudownego dnia.

Moja wiadomość była krótka i mało szczegółowa, ale nadmieniałem, że współpracuję z policją. Bardzo możliwe, że zabrzmiało to bardziej oficjalnie, niż było w rzeczywistości, ale wykształcenie doktora Wascomba musiało przygotować go na drobne mijanie się z prawdą.

Powtórzyłem nazwisko i numer telefonu, a potem odłożyłem słuchawkę, rozmyślając o ludzkim zepsuciu.

Doktor Crandall Wascomb zadzwonił do mnie tuż po dwudziestej pierwszej, kiedy byłem na mieście z Allison.

– Przemiły człowiek – powiedziała operatorka poczty, a potem podała mi numer. Inny niż numer w gabinecie. Dochodziła jedenasta, ale mimo to zadzwoniłem. Odebrała kobieta o cichym głosie.

– Czy mogę rozmawiać z doktorem Wascombem?

– Mogę spytać, kto mówi?

– Doktor Delaware. Jestem psychologiem.

– Chwileczkę.

Chwilę później odezwał się Wascomb, witając mnie, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Mówił ożywionym tenorem, pasującym do młodszego mężczyzny.

– Czy dobrze zrozumiałem, że jest pan policyjnym psychologiem?

– Współpracuję z policją jako konsultant, doktorze Wascomb.

– Rozumiem. Czy chodzi o Baylorda Pattermana?

– Słucham?

Sekunda wahania.

– Nieważne – powiedział. – Czym mogę służyć?

– Przepraszam, że niepokoję pana tak późno, doktorze, ale chciałbym porozmawiać z panem o absolwentce pana uczelni.

– Absolwentce. O kobiecie.

– O Cherish Daney.

Chwila milczenia.

– Czy z Cherish wszystko w porządku?

– Jak na razie.

– A więc nie przydarzyło się jej nic strasznego powiedział Wascomb z ulgą w głosie.

– Nie. Czy jest jakiś powód, dla którego mógłby pan się tego obawiać?

– Policjanci nie są raczej misjonarzami nadziei. Dlaczego interesuje pana Cherish?

– Poproszono mnie, żebym zbadał jej przeszłość...

– W jakim kontekście?

– To nieco skomplikowane, doktorze Wascomb.

– Cóż. Nie mogę z panem rozmawiać przez telefon o rzeczach skomplikowanych.

– Czy moglibyśmy się spotkać w cztery oczy?

– Żeby porozmawiać o Cherish.

– Tak.

– Muszę pana uprzedzić, że o Cherish nie mogę powiedzieć nic złego. Była jedną z naszych najlepszych studentek. Nie umiem sobie wyobrazić, dlaczego policja może badać jej przeszłość.

– Dlaczego nie skończyła studiów? – spytałem.

I kim jest Baylord Patterman?

– Może jednak powinniśmy się spotkać.

– Z przyjemnością odwiedzę pana na uczelni.

– Kalendarz służbowy mam raczej zapełniony – odparł. – Niech zajrzę... wygląda na to, że mam jutro jedno okienko. O pierwszej, przerwę obiadową.

– Może być o pierwszej, doktorze Wascomb.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się wyrwać z kampusu – powiedział. – Ale to musi być gdzieś blisko, mam tylko czterdzieści pięć minut...

– Znam pewien lokal. Kawałek na południe od państwa, przy Brand. Patty's Place.

– Party's Place... Nie byłem tam od wieków. Kiedy przebudowywaliśmy uczelnię, spotykałem się tam czasem ze studentami... Wiedział pan o tym?

– Nie – odparłem. – Po prostu lubię naleśniki.

„Baylord Patterman” wyskoczył w Google'ach pięć razy. Był to adwokat z Burbank, którego rok temu aresztowano za wyłudzenie odszkodowań z ubezpieczenia, polegające na fingowaniu wypadków samochodowych. Sprawa wyszła na jaw, kiedy stłuczka na Riverside Drive zamieniła się w tragedię: poduszka powietrzna zabiła pięcioletnią dziewczynkę. Patterman, jego wynajęci kierowcy, dwoje kręgarzy-hochsztaplerów i kilkoro urzędników zostali oskarżeni o zabójstwo. Większość z nich wytargowała kwalifikację czynu do nadużycia. Pattermana skazano za nieumyślne spowodowanie śmierci, pozbawiono prawa wykonywania zawodu i wysłano na pięć lat do stanowego więzienia.

Związek tej sprawy z Seminarium Fulton pojawił się dwukrotnie: Patterman był synem członka trustu założycielskiego uczelni i jej darczyńcą. Doktor Crandall Wascomb, według autora artykułu, był „zaskoczony i przerażony” ciemną stroną swojego dobroczyńcy.

Jeśli mówił szczerze, było mi go żal. Tyle lat walki o dobro i znów miał się rozczarować.

To był mój tydzień restauracyjny.

W Patty's Place pachniało masłem i jajkami, mięsem z grilla, panierką do omletów i świeżością wody z mydłem: jej zapach unosił się wokół wesołej, młodej latynoskiej kelnerki Heather, która powiedziała:

– Niech pan siada, gdzie pan chce.

Restauracja była na wpół zapełniona gośćmi w wieku emerytalnym. Duże porcje, wysokie szklanki, tłuszcz na podbródkach. Do diabła z żywieniowymi faszystami. Moja obecność zmniejszyła średnią wieku o dziesięć lat. Zająłem stolik z widokiem na wejście, a Wesoła Heather przyniosła mi kubek niebezpiecznie gorącej kawy, nieskażonej pretensjonalną marką.

Doktor Crandall Wascomb przyszedł siedem po pierwszej; poprawił węzeł krawata i przygładził siwe włosy. Był niski, bardzo szczupły, nosił okulary w czarnej oprawce, za szerokie do jego wąskiej twarzy. Miał na sobie brązową, sportową marynarkę w jodełkę, białą koszulę, spodnie w jaśniejszym odcieniu brązu i beżowe mokasyny. Jasnobłękitny krawat bił na tym tle w oczy jak spinaker.

Kiedy zatrzymał na mnie wzrok, pomachałem do niego. Podeszedł, uściśnął mi dłoń, usiadł.

Włosy miał krótsze i rzadsze niż na zdjęciu. Gładką kopułę czaszki znaczyły mu równoległe zmarszczki. Ocenilem go na jakieś siedemdziesiąt lat. Idealnie pasował do reszty klienteli tej restauracji.

– Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać, doktorze Wascomb.

– Nie ma za co odparł. – Czy ma pan jakieś wyrobione zdanie o ewangelikach, doktorze Delaware?

– Jeśli oceniam ludzi, to po zachowaniu, a nie wierze.

– To dobrze. – Jego oczy pozostawały nieruchome. Były bardziej niebieskie niż na zdjęciu. A może przejmowały część intensywnego błękitu krawata. – Zakładam, że zapoznał się pan ze sprawą Baylorda Pattermana.

– Tak.

– Nie będę wymyślał usprawiedliwień, ale wyjaśnię. Ojciec Baylorda był dobrym człowiekiem, to on pomógł nam na początku, trzydzieści dwa lata temu. Pochodzę z Oklahoma City, pracowałem w branży paliwowej, potem wróciłem na studia. Chciałem coś zrobić. Gifford Patterman był rzadkim typem człowieka, który posiada majątek i otwarte, ciepłe serce. Byłem naiwny, sądząc, że to samo dotyczy jego syna.

Podeszła Heather z notesem w ręku.

– Dawno tu już nie byłem – powiedział Wascomb. – Czy racuchy wciąż są tak pyszne?

– Są świetne, proszę pana.

– W takim razie poproszę.

– Całą porcję czy pół?

– Całą, z masłem, syropem, dżemem, dodatkami. – Błysnął kremową sztuczną szczęką. –

Nie ma to jak śniadanie po południu, żeby dzień wydał się młody.

– Coś do picia, proszę pana?

– Gorącą herbatę, rumiankową, jeśli macie.

– A dla pana?

– Ja też poproszę racuchy.

– Dobry wybór – pochwaliła Heather. – Będzie panu smakowało.

Wascomb nie patrzył za nią, kiedy odeszła. Wzrok miał utkwiony w serwetce.

– Baylord Patterman pana zawiódł – powiedziałem.

– Zawiódł całe Fulton. Śledztwo w jego sprawie przysporzyło nam złej sławy, bo byliśmy największym beneficjentem jego brudnych pieniędzy. Niech pan sobie spróbuje wyobrazić reakcję niektórych innych darczyńców.

– Wyścig do wyjścia.

– I to hurmem. To bolało. Jesteśmy małą uczelnią, mamy skromny budżet. Według mnie jesteśmy seminarium, które robi więcej za mniej. Możemy przetrwać, tylko dlatego że do nas należy ziemia, na której stoi uczelnia, a koszty utrzymania prawie w całości pokrywa testament pewnej dobrej chrześcijanki. Babki Baylorda Pattermana.

Kelnerka przyniosła jego herbatę. Złożył dłonie, pochylił głowę i pomodlił się w milczeniu, zanim się napił.

– Przykro mi słyszeć o państwa problemach – powiedziałem.

– Dziękuję. Powoli odbijamy się od dna. Dlatego właśnie wolałem się z panem spotkać tutaj, a nie w szkole. Nie możemy sobie po prostu pozwolić na dalszą złą reklamę.

– Nie zamierzam jej państwu przysparzać.

Przyjrzał mi się znad herbaty.

– Dziękuję. Będę z panem rozmawiał otwarcie, bo jestem człowiekiem otwartym. Poza tym bądźmy szczerzy, prywatność już nie istnieje. Nie w epoce komputerów. Ale to nie znaczy, że mogę rozmawiać o swojej byłej studentce bez jej zgody. Chyba że miałbym dobry powód.

Ściskając w dłoniach kubek, opadł na oparcie.

– Co byłoby dobrym powodem? – spytałem.

– Może powie mi pan, o co panu chodzi?

– Ja również mam ograniczenia w tym, co mogę powiedzieć, doktorze Wascomb. Są pewne szczegóły, których policja nie chce zdradzać.

– A więc chodzi o zabójstwo? – Uśmiechnął się, widząc moje zaskoczenie. Pozwoliłem sobie trochę się o panu dowiedzieć, doktorze Delaware. Pana konsultacje dla policji koncentrują się na zabójstwach. To mną wstrząsnęło. Nie potrafię sobie wyobrazić Cherish zamieszanej w jakiegokolwiek przestępstwo, a co dopiero w zabójstwo. To łagodna kobieta. Jak panu mówiłem, jedna z naszych najlepszych studentek.

– Ale nie skończyła studiów.

– To było wielkie nieszczęście. Ale nie miało nic wspólnego z nią samą.

Czekałem.

Wascomb popatrzył w stronę lady. Heather rozmawiała z kasjerką.

– Doktorze? – spytałem.

– Pech Cherish był w pewien sposób podobny do mojego – powiedział. – Tak jak z Baylordem Pattermanem.

– Miała coś wspólnego z aferą ubezpieczeniową?

– Nie, chodziło mi o analogię. Biblia wielokrotnie przestrzega przed złym towarzystwem. Cherish i ja nie posłuchaliśmy tych ostrzeżeń, ale ja byłem nauczycielem, a ona uczennicą, więc przypuszczam, że winą za część jej błędów trzeba obarczyć mnie.

– Cherish została obwiniona o coś, co zrobił jej przyjaciel.

– Cherish znalazła się w niezręcznej sytuacji bez swojej winy.

Heather przyniosła nasze jedzenie.

– Proszę, panowie!

Wascomb się do niej uśmiechnął.

– Pachnie wspaniale, moja droga.

Uniosła lewą brew.

– Smacznego.

Wascomb znów zmówił cichą modlitwę, a potem przekroił na pół swój stosik racuchów, tnąc aż do dna. Obrócił talerz, znów przekroił, potem jeszcze raz, aż podzielił stosik na ósme części. Lauritz Montez byłby pod wrażeniem.

Montez i Wascomb, obaj, postanowili bronić grzeszników. Chyba nie można było mieć do nich pretensji, że szukają iluzji uporządkowanego świata.

Wascomb jadł z takim zapałem, że wstydziłem się mu przerywać. Zabrałem się do moich racuchów.

– Kim był zły przyjaciel Cherish? – spytałem w końcu.

Odłożył widelec.

– Czy to absolutnie niezbędne w państwa dochodzeniu?

– Nie mogę na to odpowiedzieć, dopóki się nie dowiem, doktorze.

– Dziękuję za szczerość. – Otarł usta, zdjął okulary, dotknął skroni czubkami palców. –

To nie był przyjaciel. To jej mąż.

– Drew Daney.

Wolno kiwnął głową.

– Dlaczego miała przez niego kłopoty? – spytałem.

– Och – westchnął Wascomb, jakby znużony na samo wspomnienie. – Od samego początku miałem do niego zastrzeżenia. Jesteśmy małą uczelnią i cierpimy na chroniczne braki funduszy, musimy być wybredni, przyjmując kandydatów. Nasz typowy student jest wyróżnionym absolwentem jakiegoś szanowanego biblijnego college'u, dobrze znającym ewangeliczną tradycję. Cherish była taką osobą. Ukończyła na pierwszym miejscu w swojej klasie Viola Mercer College w Rochester, w stanie Nowy Jork.

– A Drew?

– Drew twierdził, że uczęszczał do bardzo porządnej szkoły w Wirginii. W rzeczywistości wyrzucono go z liceum. Na tym kończyło się jego wykształcenie.

– Skłamał przy przyjęciu.

– Sfalszował świadectwa. – Wascomb westchnął. Odsunął talerz, w dwóch trzecich pełny.

– Na pewno uważa mnie pan za łatwowiernego głupca. Albo oferwę. Nie chciałbym uderzać w zbyt obronny ton, ale muszę podkreślić, że to był wyjątek. Olbrzymia większość naszych absolwentów głosi słowo Boże na świecie, świecąc przykładem.

– Drew musiał być dobry, żeby pana nabrać.

Wascomb się uśmiechnął.

– To bardzo miłe z pana strony. Tak, mówił to, co należało powiedzieć, wydawał się dobrze znać Pismo. Jak się okazało, jego religijne doświadczenie było ograniczone do pracy katechety na kilku letnich obozach dla młodzieży.

– Nauczył się zawodowego żargonu – powiedziałem.

– Właśnie.

– Kiedy to wszystko wyszło na jaw?

– Siedem i pół roku temu.

Dobra pamięć. Pół roku po morderstwie Kristal Malley.

– Co pana skłoniło, żeby sprawdzić jego przeszłość? – spytałem.

– Ktoś inny to zrobił. Bardzo rozwścieczony człowiek, który twierdził, że Drew cudzołożył z jego żoną. Skrzywił się. – A to okazało się prawdą.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

Pokręcił głową. Odsunął talerz.

– Tu wchodzi w grę kwestie szacunku. Dla zamieszanych w to niewinnych osób...  
– Pół roku przed tym, jak dowiedział się pan o Drew, on i Cherish brali udział w sprawie morderstwa, w ramach pracy społecznej dla Fulton. Opiekowali się chłopcem, który zabił dziecko. Jestem pewien, że pan to pamięta, doktorze Wascomb.

Mrugnął dwa razy, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, rozmyślił się.

– Proszę pana?

– Ta biedna dziewczynka. – Głos mu ochrypl. – To jeszcze nie koniec? Po tylu latach?

– Jeden z chłopców, którzy zamordowali Kristal Malley, sam został zamordowany.

Wascomb się skrzywił.

– Ojej. W takim razie chyba nie mogę nic zatajać. – Szczęknął sztucznymi zębami. – Drew popełnił cudzołóstwo z jedną z prawniczek w tej sprawie. Obrończynią.

– Sydney Weider.

Przytaknął.

– To jej mąż wpadł do mojego gabinetu z wynikami badań, wściekał się na szkołę, na moją niekompetencję, jak mogłem wyuczyć takiego człowieka, jestem hipokrytą, wszystkie „biblijne czubki” to zwykli hipokryci. – Odwrócił wzrok. – Obawiam się, że straciłem apetyt.

– Przykro mi. – Ale nie było mi aż tak przykro, żeby porzucić ten temat. – Mówimy o Martinie Boestlingu. Producentcie filmowym.

– Pieniacz. Wtedy uznałem go za prymitywa. Po zastanowieniu, kiedy minął mi już szok, dotarło do mnie, co przeżył, i zacząłem mu współczuć. Zadzwoiłem do niego, próbowałem przeproszać. Przyjął to dość łaskawie.

– To, co przeżył – powiedziałem. – Coś więcej niż zdradę.

Wascomb na mnie popatrzył.

– Powiedział pan, że Boestling przyniósł wyniki badań. Laboratoryjnych?

Wolno pokiwał głową.

– Swoje i żony.

– Został czymś zarażony. AIDS?

– Nie aż tak źle, ale wystarczająco źle. Rzeżączką. Złapał ją od żony i twierdził, że ona z kolei złapała ją od Drew. – Pokręcił głową. – Sugerował oczywiście rozwiązłość. Przyjrzałem się Drew uważniej, odkryłem jego kłamstwa i wyrzuciłem go z uczelni. Od tamtej pory się nie kontaktowaliśmy.

– A Cherish odeszła razem z nim – powiedziałem. – Bo była wierną żoną?

– Bo było jej wstyd. Jak mówiłem, stanowimy niewielką społeczność. – Zaczął się bawić widelcem. – Co u niej teraz słyhać? Wciąż są razem?

– Tak.

– Czy Drew odpokutował?

– Nie umiem tego stwierdzić.

– Zawsze miałem nadzieję, że Cherish znajdzie spokój... A pan właśnie o nią pyta.

– To jeszcze nic nie znaczy.

– Czy ona... czy zachowała swoją godność, doktorze Delaware? Czy może wpływ Drew skaził jej duszę?

Gdyby tylko pan wiedział...

– Z tego, co wiem, wciąż robi dobre uczynki.

– A on? Co on robi?

– To samo.

Wascombowi rozbłyły oczy.



– To nauuczka dla pana, doktorze Delaware. Ocena zachowania nie zawsze wystarczy. Liczy się to, co pod powierzchnią.

– Jak to osądzić, proszę pana?

– Tego się nie osądza – powiedział. – Nie nam to osądzać. – Wstał. – To osądza Bóg.

– Jeszcze jedno pytanie, doktorze Wascomb. Cherish powiedziała mi, że Troy Turner został pochowany na terenie państwa uczelni.

Wascomb położył dłoń na stole, jakby musiał się podeprzeć.

– To po części prawda.

– Jak to?

– Cherish mnie prosiła, błagała. Mamy mały cmentarzyk w San Bernardino. Dla kadry i ubogich osób poleconych przez darczyńców i innych godnych zaufania ludzi. Traktujemy to jak służbę społeczeństwu.

– Cherish kwalifikowała się do ludzi godnych zaufania.

– Wciąż tak jest, doktorze Delaware, chyba że powie mi pan coś, co będzie świadczyło o czymś przeciwnym.

Nie odpowiedziałem.

– Złożenie tego chłopca w poświęconej ziemi wynikało ze współczucia dla grzesznika – wyjaśnił. – Po namyśle uznałem, że tak będzie słusznie. Urządziliśmy chłopcu pogrzeb.

– Kto na nim był?

– Cherish, ja i moja żona.

– Drew nie było.

– Drew też był. Chciał odprawić mszę. Postanowiłem zrobić to sam.

– A matka Troya?

– Jej nie było. Cherish powiedziała, że próbowała się z nią skontaktować, ale się jej nie udało. Pamiętam tamten dzień. Późna wiosna, ładna pogoda, czyste powietrze. Mała trumna... nie było prawie żadnego odgłosu, kiedy opuścili ją do ziemi.

Położył na stole pieniądze.

– Ja zapłacę – powiedziałem.

– Nie, nie chcę o tym nawet słyszeć.

– W takim razie po połowie.

– Dobrze. – Uśmiechnął się.

– Przepraszam, jeśli pana zdenerwowałem, doktorze Wascomb.

– Nie, nie, pana praca jest bardzo ważna. – Odwrócił się, zatrzymał. Poklepał mnie po ramieniu. – Ten chłopiec dopuścił się strasznej rzeczy, doktorze Delaware, ale po tej trumnie nie było tego widać.

Podeszła do nas Heather i spojrzała na niedokończone jedzenie Wascomba.

– Zapakować to panu?

– Nie, dziękuję.

Popatrzyła za Wascombem, który wyszedł wolnym krokiem.

– Prawie nie tknął jedzenia. Nic mu nie jest?

– Nie.

– To pana tata?

– Nie. – Zapłaciłem jej, dodając dziesięć dolarów napiwku. – Reszta dla pani.

Szeroki uśmiech.

– Pracowała pani wczoraj?

– Tutaj? – spytała. – Chyba tak. Tak, wczoraj tu byłam.

– Pracuje pani w dwóch miejscach?

– W trzech. Tu, w KFC po piątej, a potem w czwartki i piątki wieczorami opiekuję się dziećmi lekarza z ostrego dyżuru w Glendale Memorial.

– Dużo ma pani pracy.

– Mój tata ciągle mi to powtarza. Namawia mnie, żebym coś sobie odpuściła i trochę się rozerwała. – Pokazała język. – Zbieram na szkołę projektowania mody.

– Bardzo mądrze – pochwaliłem. – Wczoraj rano, około dziewiątej, czy zauważyła pani dwoje ludzi, którzy przyjechali na śniadanie? Ona miała długie jasne włosy, on był wysoki, nosił skórzany, kowbojski kapelusz.

– Ich? Jasne. Obsługiwałam ich. Zapamiętałam go, bo przypominał mi aktora, którego kiedyś lubił mój tata. Petera... Petera Jakiegośtam.

Fondę?

– Właśnie. Jest taki strasznie stary film, który mój tata bez przerwy ogląda. Gra tam Jack Nicholson, ale o wiele młodszy i chudszy.

– *Easy Rider*.

– Aha. Jack, jeszcze jeden facet i ten trzeci, Peter, są tam takimi hipisami na motorach. – Zachichotała. – Peter jest nawet przystojny, jak ktoś lubi taką retro hipiserkę. Z tym mi się właśnie skojarzył tamten facet, ten w kapeluszu.

– Retro.

– Jakby się zatrzymał w latach sześćdziesiątych. Długie włosy, koszula na zatrzaski. Co mi nasunęło pomysł na sukienkę. Kowbojski punk.

– Oryginalne.

– Dzięki. Dlaczego pan o nich pyta?

– Pracuję dla policji.

Zrobiła wielkie oczy.

– Jest pan gliniarzem?

– Konsultantem.

– Łał. Zrobili coś paskudnego?

– Po prostu nas interesują.

– Są świadkami?

– Coś w tym rodzaju. Robili coś takiego, co by pani zapamiętała?

– Nie bardzo. Mało się odzywali.

– Do siebie?

– Do siebie i do mnie. Straszna ze mnie gaduła, zresztą sam pan widzi. Zawsze rozmawiam z klientami, mają wtedy poczucie, że się nimi interesuję, a to się przekłada na napiwki. Z nimi dwójkiem nie wyszło, siedzieli tam tylko, jakby się pokłócili.

– Jedli?

– Zamówili, ale tylko on jadł. Jajka na boczku. Ona poprosiła o drożdżówkę i mleko, ale ich nie tknęła, tak jak ten starszy pan, z którym pan rozmawiał. Pomyślałam, że nic z tego nie będzie, i miałam rację. Dziesięć procent napiwku, skąd oni się wzięli? Ona płaciła.

– Słyszała pani, o czym rozmawiali?

– Nie widziałam, żeby w ogóle rozmawiali.

– Czy byli już tu wcześniej?

– Raz. W zeszłym tygodniu. Obsługiwała ich Lauren. Była pora obiadowa i kończyłam zmianę.

– Kiedy dokładnie w zeszłym tygodniu?

– Zobaczymy. – Przycisnęła palec do dolnej wargi. – Lauren pracuje we wtorki, czwartki i piątki, a mnie w piątek nie było, bo w piątek mam wolne, to nie było we wtorek, bo we wtorek Lauren zadzwoniła, że jest chora, bo jej chłopak załatwił bilety na koncert Jasona Mraza. – Przerwała, żeby złapać oddech. – To musiał być czwartek.

– Mniej więcej o której?

– Około piątej. Łał, to jakieś śledztwo?

– Aha.

– Nie może mi pan powiedzieć, co zrobili?

– Przykro mi, Heather.

– Spoko, rozumiem.

– A więc byli tu tylko dwa razy.

– Tyle razy ich widziałam.

– Jak długo tu pani pracuje?

– Trzy lata, z przerwami.

– Jak się zachowywali w czwartek?

– Tak samo. Tak zapamiętałam. Lauren mówiła, że nie rozmawiali, tylko siedzieli. On jadł, ona nie.

– Dziesięć procent napiwku.

– Osiem procent. – Wyszczrzyła się wesoło. – Pewnie to przez mój urok osobisty.

Podziękowałam jej i dałam jeszcze jedną dziesiątkę.

– Och nie trzeba – ale nie próbowała oddawać pieniędzy. – Jeśli pan chce, mogę mieć na nich oko, i jak znów przyjdą to do pana zadzwonię.

– Właśnie miałem o to poprosić.

Podałem jej moją wizytówkę.

– Psycholog – przeczytała. – Szaleni kryminaliści, coś jak Hannibal Lecter?

– Nie zawsze jest aż tak ciekawie.

– Moja siostra chodziła do psychologa. Nieźle była popieprzona, miała paru naprawdę paskudnych przyjaciół.

– Pomogło jej?

– Niespecjalnie. Ale przynajmniej się wyprowadziła i nie muszę już słuchać jej wrzasków.

– To się chyba nazywa połowiczny sukces – stwierdziłam.

– Aha – odparła z roztargnieniem. Wróciła do kasy i zobaczyłam, że po drodze przelicza pieniądze.

Wyjechałem z powrotem na Sto Trzydziestą Czwartą Zachodnią, kiedy samochody zwolniły, sprawdziłem wiadomości.

Jedna od Olivii Brickerman. Zjechałem z autostrady na Laurel Canyon, pojechałem do Ventura Boulevard, znalazłem wolne miejsce naprzeciwko motelu dla dorosłych i zadzwoniłem do niej do gabinetu.

– Twoi państwo Daneyowie są niezli w papierowe klocki powiedziała. – Zgarniają miesięcznie prawie siedem kawałków. Przyjmują dzieci od ponad siedmiu lat i trochę i nie próbują ukrywać faktu, że przekraczają limit o dwójkę. To moim zdaniem świadczy o tym, że są weteranami i wiedzą, że system ledwie ciągnie. Pani Daney złożyła także wniosek o certyfikat terapeuty edukacyjnego, co uprawniałoby ją do dodatkowych pieniędzy. Na ogół coś takiego wymaga jakiegoś wykształcenia, ale z powodu braku chętnych trochę złagodzone przepisy. Pomogło ci to?

– Bardzo. Jak cienko system przedzie?

– Geniusze ze stanowej legislatury właśnie odrzucili prośbę o dodatkowych pracowników, a hrabstwa i tak mają już problemy kadrowe. Co oznacza, że nikt niczego nie sprawdza. Jeszcze dwie rzeczy o Daneyach: zawsze biorą nastolatki z problemami w nauce. Bardzo mnie zainteresowało, że ich podopiecznymi zawsze są dziewczynki. To niezwykle, przecież chłopców sierot nie brak.

– Czy rodzice zastępczy mogą wybierać wiek i płeć dzieci? – spytałem.

– Co do tego musi być obopólna zgoda agencji i opiekuna. W najlepszym interesie dziecka.

– A więc można poprosić o dziewczynkę.

– Alex, w tej chwili, jeśli jesteś biały, z klasy średniej, nienotowany przez policję, możesz poprosić o wszystko, i to dostaniesz.

Podziękowałem jej i poprosiłem o listę podopiecznych Daneyów.

– Udało mi się znaleźć nazwiska tylko z ostatnich paru lat powiedziała. – Prześlę ci je faksem, jak tylko odłożę słuchawkę. Pozdrów Allison. Mam nadzieję, że nie byłam za bardzo nachalna z tą doktor Śnieżką.

– W żadnym razie. Geniusz ma swoje prawa.

– Pochlebiasz mi, słońce.

Jedyny Martin Boestling, jakiego znalazłem w książce telefonicznej, był cukiernikiem na Fairfax Avenue. Wydało mi się to mało prawdopodobne, ale z Laurel Canyon było tam niedaleko.

Orzechowy Domek okazał się pawilonem handlowym przeczną na północ od kompleksu Farmer's Market/Grove. Znak „Parking z tyłu” się sprawdził i znalazłem wolne miejsce obok zielonej furgonetki z nazwą sklepu, adresem i stroną internetową pod gigantycznym nerkowcem, przypominającym bezoką larwę. Zamknięte na klucz siatkowe drzwi zasłaniały otwarte wejście dla dostawców. Zadzwoniłem. Wyrzała otyła kobieta koło sześćdziesiątki, w chuście na głowie; odsunęła zapadkę i bez słowa zniknęła w głębi sklepu.

W środku jedno wielkie pomieszczenie, zastawione koszami słodczy, kawy, herbaty, różnych suszonych łakoci we wszystkich kolorach tęczy, równie jaskrawych słoików z przetworami i orzechów. Samych migdałów było z tuzin rodzajów. Szydł głosił: „Nie ma tu orzeszków ziemnych, alergicy, nie martwcie się”.

Kupujący – same kobiety – chodzili między półkami i pakowali łakocie do rozwijanych ze szpul zielonych torebek. Krępy mężczyzna przy kasie, w zielonym fartuchu, miał pięćdziesiąt

parę lat, przygarbione ramiona, ciemne, faliste włosy i wielkie dłonie. Jego twarz wyglądała, jakby przegrał starcie ze ścianą. Rozmawiał swobodnie z dwiema kobietami płacącymi za zakupy. Na zdjęciu, które znalazłem w Internecie, był ubrany w smoking i stał ramię w ramię z Sydney Weider. Ona bardzo się zmieniła. Martin Boestling wcale.

Włożyłem do torebki wędzone migdały, czekałem, aż w sklepie zrobi się spokojniej, i podszedłem do kasy.

Boestling mnie podliczył.

– Będą panu smakować, wędzi je hinduska rodzina w Oregonie.

– Świetnie. Pan Boestling?

Zmrużył oczy.

– A o co chodzi?

– Szukam Martina Boestlinga, producenta filmowego.

Włożył migdały do papierowej torby, przesunął ją w moim kierunku, zaczął się odwracać.

Pokazałem mu swoją policyjną legitymację.

– Policyjny psycholog? – spytał. – O co chodzi?

– Jestem konsultantem...

– A teraz jest pan w Orzechowym Domku. A to się złożyło\*[Nieprzetłumaczalna gra słów. *Nut* to po angielsku „orzech”, ale też „świr, czubek”. W tym znaczeniu „Orzechowy Domek” (ang. *The Nut House*) można przełożyć jako „Wariatkowo” (przyp. tłum.)]. – Spojrzał na kobietę stojącą za mną w kolejce. – Proszę.

Odsunąłem się, czekałem, aż kobieta zapłaci.

– Mogę panu jeszcze czymś służyć, w sensie zakupów? – spytał Martin Boestling.

– Chodzi o Sydney Weider – odparłem. – I Drew Daneya.

Jego wielkie dłonie zamieniły się w maczugi z ciała i kości.

– Czego konkretnie pan chce?

– Kilku minut pana czasu, panie Boestling.

– Po co?

– Daney jest przedmiotem śledztwa.

Cisza.

– To może być coś poważnego – dodałem.

– Pan chce brudów.

– Jeśli jakieś pan ma.

Boestling przywołał kobietę w chuście.

– Magda, stań na kasie. Wpadł mój stary przyjaciel.

Wyszliśmy na Fairfax, znaleźliśmy pustą ławkę na przystanku autobusowym, usiedliśmy. Martin Boestling zapomniał zdjąć fartuch. A może nie zapomniał.

– Sydney była dziwką z piekła rodem, a on pierdolonym draniem – warknął. – To cała historia.

– Wiem o rzeźączce.

– I wie pan, jak dużego mam fiuta?

– Gdyby to było istotne, prawdopodobnie bym się dowiedział.

Boestling się wyszczerzył.

– Można by pomyśleć, że to będzie istotne, skoro rozmiar się liczy i tak dalej. Ożeniłem się z Sydney, bo była bystra, bogata, ładna i lubiła się pieprzyć. Okazało się, że robiła ze mnie durnia od dnia, kiedy połączył nas węzeł małżeński.

– Była rozwiązła.

– Gdyby choć trochę się krygowała, można by ją nazwać rozwiązłą. W dzień ślubu ruchała się z jednym z moich tak zwanych przyjaciół. – Boestling zaczął kolejno odginać palce. – Czyściciel basenów, trener tenisa, facet od akwarium, prawnicy od niej z pracy. Dopiero później, po rozwodzie, ludzie zaczęli do mnie przychodzić i mi o tym opowiadać, z fałszywym współczuciem w oczach. „Przepraszamy, Martin, nie chcieliśmy robić afery”. Nie mogę jej tego udowodnić, ale jestem przekonany, że rznąła się też ze swoimi klientami. Wie pan, jakich miała klientów?

– Nędzarzy.

– Morderców, bandziorów, złodziei. Niech pan sobie wyobrazi: ona siedzi do późna w pracy, żeby rozkładać nogi przed takimi mętami, a ja zasuwam, żeby zapewnić jej poziom życia, do jakiego przywykła. Nienawidziłem tej branży, pracowałem tam, bo rozpaczliwie chciałem jej zaimponować. Wie pan, jak się poznaliśmy?

– Jak?

– Pana dochodzenie nie sięgnęło tak daleko w przeszłość? Poznaliśmy się w country clubie Palisades Vista, do którego należała jej rodzina, a ja zarabiałem tam na chesne jako ręcznikowy. Spryskiwałem bogaczy wodą z butelek, kiedy obracali się na słońcu jak kurczaki na różnie. Powinienem był się domyślić, co jest grane, kiedy zostawiła swojego bogatego chłopaka w sali jadalnej, żeby mi zrobić dobrze w domku na plaży. Przez jakiś czas się spotykaliśmy, potem skończyłem studia, dostałem pracę w centrali pocztowej CAA i przekonałem ją, żeby za mnie wyszła.

– Czy to był pana pomysł, żeby zatrudnić się w branży? – spytałem.

– Miałem magistra anglistyki, z czego pożytek jest mniej więcej taki, jak z drugiego wyrostka. Praca w branży zapowiadała się interesująco, a ja byłem w tym dobry. Zrobiłem to głównie dla Sydney. Szalałem za nią. – Skubnął swój fartuch. – Jej stary załatwił mi pracę w centrali pocztowej, ale zasłużyłem sobie, żeby tam zostać. Harowałem jak galernik, znosiłem szykany najgorszych typów, jakich można spotkać. Wyniki miałem lepsze niż ci wszyscy dyletanci z Bluszczowej Ligi, którzy robili to dla zabawy, szybko piąłem się w górę. Kiedy Sydney kończyła studia, zarabiałem już konkretne pieniądze. Jeśli chodzi o naukę, zawsze dawała sobie radę, skończyła z wyróżnieniem, zrobiła sobie przerwę na dzieci, a potem wszyscy przeprowadziliśmy się do Berkeley, żeby mogła studiować w Boalt Law School. Ja zostałem w Los Angeles, na weekendy latałem do niej i do chłopców. Znałem to już na pamięć, w piątek o czwartej do Oakland, żeby uniknąć mgły, powrót w niedzielę w nocy. Chłopcy wyrosli grzeczni, porządni. Obaj jej nienawidzą. Nie trzeba było długo czekać, żeby nasze małżeństwo się zepsuło, znudziliśmy się sobą nawzajem. Ale wszystkie inne małżeństwa wcale nie wyglądały lepiej, więc nie zastanawiałem się nad tym głębiej.

– Aż przyszły wyniki badań powiedziałem.

– Wyniki przyszły później. Wszystko wzięło w łeb, kiedy złapałem ją, jak rznąła się z Daneyem. W moim domu, w moim łóżku, na krześle leżał mój szlafrok i kaptcie. – Zaśmiał się. – Totalna klisza. Miałem spotkanie w Fox TV w sprawie scenariusza. Prowadząca idiotka je skróciła, bo usłyszała, że mam nie taki demograf. Co znaczyło, że moje projekty były przeznaczone dla widzów o IQ wyższym od brukwi. Spodziewałem się, że spotkanie potrwa dłużej, przywiozłem ze sobą autora, biednego pajaca. No i wyszedłem po dziesięciu minutach, w nie najlepszym nastroju, postanowiłem jechać do domu, popływać i wygrzać się w nowej saunie, którą sobie zainstalowałem. Wracam do domu i słyszę stękanie i jęki z góry, idę do sypialni, a właśnie zapłaciłem fortunę, żeby ją urządzić, mówię panu, nasz dom w Brentwood był super. Drzwi były szeroko otwarte, i ten zasraniec robił z Sydney dwugłowego kozła.

Podniósł głos i zaczęli się na nas oglądać przechodnie. Wyglądził fartuch i strzelił kłykciami.

– Krzyknąłem, Sydney otwiera oczy. A potem je zamyka i dalej jedzie. Podbiegłem i walę Daneya w plecy, w kark, on chce z niej zejść, ale ona go trzyma nogami. Znów walę go w plecy, w głowę, wszędzie, gdzie mogę, on się szarpie, ale Sydney go nie puszcza. Wreszcie kończy, odpycha go, a bydlak łapie swoje ubranie i ucieka, jakby mu się paliły jaja. Zaczął się śmiać, aż w oczach stanęły mu łzy. – Teraz mogę się z tego śmiać. Nawet mi durnia żal.

Uśmiechnąłem się.

– Pan Powściągliwy – powiedział. – Niech mi pan przypomni, żebym pana nie sadzał na widowni.

– Domyśla się pan, jak długo to ciągnęli?

– Nie, bo nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Sydney zamknęła się w łazience, wzięła prysznic, a kiedy wyszła, ja byłem gotowy na awanturę. Minęła mnie, wsiadła do samochodu i pojechała. Nie wróciła do rana, na szczęście chłopcy byli w szkole. Siedziałem tam jak dureń, czekałem na nią, w końcu wynająłem sobie pokój w hotelu Bel-Air. Kilka dni później z fiuta zaczęła mi lecieć ropa. Ale nieźle ją załatwiłem. Wie pan jak?

– Pewnie finansowo.

– Intercyza, którą jej własny stary kazał spisać w jej własnym interesie. Umowa była taka, że Sydney zatrzymuje cały wkład, który wniosła do małżeństwa. Problem był taki, że jej staruszek zrobił kilka bardzo kiepskich inwestycji i wyczyścił jej fundusz trustowy. Jej całym wkładem było wielkie zero, pozostawał tylko nasz wspólny majątek. A tego nie było tak dużo, jak się nam obojgu zdawało, bo żyliśmy ponad stan. Dla mnie to nie był problem, mój ojciec pracował na siebie w orzechach. Kiedyś tym pogardzałem, że niby to mało chwalebne, dopóki się nie przekonałem, jak działa branża.

– Sydney nie umiała sobie poradzić – powiedziałem.

– Sydney była rozpuszczoną dziwką, która została prawnikiem, żeby osiągnąć status i się spełniać. Kiedy się rozstaliśmy, próbowała załatwić sobie pracę w prywatnej kancelarii, ale się jej nie udało. Tymczasem prawnicy rozwodowi złupili wszystko, co zostało. Jej matka w końcu umarła i zostawiła jej dość, żeby wystarczyło na dom w Palisades i niewielkie miesięczne kieszonkowe. Kod pocztowy jest jak trzeba, ale to nora, a ona o nią nie dba. Zawsze była niezrównoważona, słyszałem, że teraz to już zupełna maniaczka.

Popatrzył na mnie, szukając potwierdzenia.

– A co z jej pracą w kancelarii? – spytałem.

– Ach, z tym. Niestety, jej szef dostał kopię tych nieszczęsnych wyników badań. Tak jak wszystkie inne poważne kancelarie w mieście. Ciekawe, kto mógł być taki mściwy? – Ziewnął.

– Doniósł pan też na Daneya w jego seminarium.

– Uznałem, że spełniam wolę Bożą. Dzięki za wspomnienia, panie doktorze. Pora wracać do prawdziwego życia.

– Powiedział pan, że Daney powinien panu podziękować.

– Pewnie, że powinien. Załatwiałem jemu i Sydney spotkania z poważnymi ludźmi.

– Żeby mogli zrobić film?

– Nie, polską kielbasę. Pewnie, że film. Kinowy, nie telewizyjny. Sydney to mocno podkreślała, zawsze dawała mi odczuć, że ja robię dla telewizji, więc jestem na dole łańcucha pokarmowego. Jej projekt to miały być gwiazdy i duży budżet. Oboje myśleli, że mają najlepszą historię, jaką kiedykolwiek opowiedziano. Ale do kogo przyszli, kiedy potrzebowali referencji?

– Czy ta historia to było morderstwo Kristal Malley? – spytałem.

– Aha – odparł Boestling. – Dwa dzieciaki zabijają trzeciego i idą do pudła. „Titanic” to nie był.

– Czyj to był pomysł?

– Nie wiem na pewno, ale moim zdaniem Daney był typowym pajacem z urojeniami i zaraził tym Sydney. – Parsknął śmiechem. – Nie tylko tym.

– Wie pan na pewno, że to on zaraził ją rzeźączką?

– On albo któryś inny z pięciu tysięcy fiutów, których dosiadała. Jego widziałem, więc jemu przypiszę głę, że tak powiem. – Wzruszył ramionami. – Równie dobrze to mógł być prawnik tego drugiego chłopaka, Latynos.

– Lauritz Montez – powiedziałem. – Z nim też sypiała?

– Na pewno.

– Skąd pan...

– Kiedy Sydney zaczęła pracować przy tej sprawie, tylko go obmawiała. Że głupi, że niedoświadczony, że pociągnie ją w dół. Potem, dwa tygodnie później, zaczęła się z nim spotykać wieczorami. Bardzo często. Pracowali nad wspólną linią obrony. Kupowałem to, dopóki nie przyłapałem jej z tą mendą Daneyem i w końcu przestałem być najbardziej łatwownym durniem w galaktyce.

Nic na to nie powiedziałem.

– Kolejny spacer aleją wspomnień – mruknął Boestling. – A teraz, jeśli pan...

– Czy Sydney mówiła o sprawie Malleyów coś, co wydało się panu niezwykle?

– To o to chodzi? Po tylu latach? – zdziwił się. – O co Daney jest podejrzany?

– Nie mogę wchodzić w szczegóły. Przykro mi.

– Rozmowa jednostronna.

– Niestety.

– Cóż, niestety dla pana, Sydney powiedziała mi tylko, że jej klient to mały potwór i że nie ma możliwości, żeby go wybroniła. Widział pan się z nią ostatnio?

– Próbowałem z nią porozmawiać kilka dni temu. Bardzo się zdenerwowała...

– Odbiło jej i zaczęła wrzeszczeć, prawda?

– Prawda.

– Dobra, stara Sydney. Zawsze to robiła. W sądzie była bardzo opanowana, ale na zewnątrz, kiedy ktoś próbował się z nianie zgadzać, waliła ścianą jazgotu jak tor Formuły 1. We mnie, w chłopców, w rodziców. – Pokręcił głową. – Niesamowite, co ja znosiłem. Z moją drugą żoną było zupełnie inaczej. Spokojna, słodszej by pan nie znalazł. Niestety, w łóżku dętka. W końcu znajdę właściwe połączenie.

Wstał i ruszył z powrotem do sklepu. Poszedłem za nim, spróbowałem wycisnąć z niego więcej szczegółów o filmie.

– Scenariusza nigdy nie zobaczyłem. Nie byłem w to bezpośrednio zamieszany. Niech pan nie zapomina, byłem tylko gościem od telewizji.

– Ale dość dobrym, żeby ustawiać spotkania – zauważyłem.

– Właśnie. – Podrapał się po brodzie. – Robiłem wtedy dużo różnych głupich rzeczy. Miałem mały problem z substancjami odurzającymi, które przyćmiewały mi rozsądek. Rozmawiam z panem przede wszystkim dlatego, że mój terapeuta twierdzi, że muszę być ze światem szczery.

To samo powiedziała Nina Balquin. Ile z tego, co uchodziło za szczerość, tak naprawdę było próbą zadośćuczynienia?

– Jestem wdzięczny – powiedziałem.



– Robię to dla siebie – odparł Boestling. – Trzeba było być większym egoistą, kiedy to się liczyło.

Pojechałem do Beverly Hills i złapałem Lauritza Monteza – wychodził z gmachu sądu przy Burton i Civic Center. Szedł w stronę parkingu, lekko przygarbiony pod ciężarem dużej teczki.

– Panie Montez.

Uniósł brew, ale nie zwolnił. Dogoniłem go.

– Co znowu?

– Wiem z wiarygodnego źródła, że Sydney i pana łączyło coś więcej niż stosunki służbowe.

– A niby co?

– Nie mogę powiedzieć.

– Cisza.

– Niech mi pan opowie o filmowych ambicjach Sydney zaproponowałem.

– Skąd miałbym coś o tym wiedzieć?

– Zabawne. Nie spytał pan „o jakich ambicjach”?

Weszliśmy na parking, Montez podszedł do dziesięcioletniej, szarej corvetty i postawił teczkę na ziemi.

– Zaczyna mnie pan irytować.

– Sędzia Laskin przeszedł na emeryturę, ale ma jeszcze przyjaciół. Jestem pewien, że stowarzyszenie sędziów i adwokatów będzie zachwycone, kiedy się dowie, jak się pan zachowywał, prowadząc prestiżową sprawę.

– Czy to groźba?

– Broń Boże. Ale z drugiej strony, być może chciałby pan przez następne dwadzieścia lat wypełniać akty oskarżenia w Compton.

– Niezły z pana numer – powiedział, nie podnosząc głosu. – Moje pieniądze mówią mi, że Departament Policji Los Angeles nie ma pojęcia, co pan robi.

Wyciągnąłem komórkę.

– Niech pan wybierze piątkę.

Połączyłby się z moim dentystą.

Nie wziął jej. Minał nas gliniarz z Beverly Hills w nowiutkim suburbanie. Jeden funkcjonariusz na taki samochód. W 90210 ekonomia paliwowa nie istnieje.

Schowałem telefon do kieszeni.

– Czego pan naprawdę chce? – spytał Montez. Przy dwóch ostatnich słowach zadrżał mu głos.

– Żeby mi pan powiedział, co wie o filmie, i wszystko inne, co może mi pan powiedzieć o Sydney i Daneyach.

Cofnął się, stanął między corvetta a murem parkingu.

– O Daneyach – powtórzył, uśmiechając się zimno. – Zawsze miałem ich za typowych hipokrytów, bełkoczących o Jezusie, i miałem rację.

– Jak to miał pan rację?

– Daney ruchał Sydney, jak chciał.

– Jak się pan dowiedział?

– Widziałem, jak robiła mu laskę w swoim samochodzie. Na parking, po zmroku. Spytałem ją o to następnego dnia, a ona wrzasnęła, żebym się odpiardolił i nie wtrącał w jej sprawy.

– Na którym parkingu?

– Aresztu hrabstwa.

Tam, gdzie zaproponowała rozmowę z Jane Hannabee w swoim błękitnym bmw.

– Rzykowne zachowanie – stwierdziłem.

– Sydney to podniecało.

– A więc Daney złamał dziewiąte przykazanie – powiedziałem. – Dlaczego jego żona też jest hipokrytką?

– Da pan spokój – odparł Montez. – Musiała o tym wiedzieć. Sydney i Daney ruchali się bez przerwy, jak mogła nie wiedzieć?

Skrzywił usta, jakby chciał splunąć, otarł je wierzchem dłoni.

– Działała mi na nerwy. Idiotka sypiąca pseudopsychologicznym bełkotem. Obchodził ją tylko Troy, o Randzie nie chciała nawet rozmawiać. Jeśli człowiek naprawdę troszczy się o innych, to o wszystkich.

– Dlaczego chciał ją pan w to wciągnąć?

– Żeby dostać referencje.

– Dlaczego faworyzowała Troya?

– Oboje faworyzowali. Bo znali go już wcześniej – powiedział. – Zajmowali się nim, kiedy robili swoje dobre uczynki w 415 City. Widać z tego, jak byli skuteczni.

– Randem się nie zajmowali.

– Rand nie miał żadnych poważniejszych kłopotów, dopóki nie zaczął się zadawać z Troyem, więc nie miał okazji skorzystać z ich mądrości. Chociaż to i tak żadna różnica, jak panu mówiłem.

– Scenariusz.

– Jeśli pan nie wierzy, że wszystko dzieje się według scenariusza, nie zasługuje pan na swój doktorat.

– Co się stało z prawdziwym scenariuszem?

– Filmu Sydney? A jak pan sądzi? Nic się nie stało. Jesteśmy w Los Angeles.

– Jak wyglądała fabuła?

– Skąd mam wiedzieć?

– Nie czytał go pan?

– Nie, był ściśle tajny. Nie wiem nawet na pewno, czy w ogóle był jakiś scenariusz. – Wyjął pilot i wyłączył alarm samochodu. Wyminął mnie i otworzył drzwi.

– A co było?

Nie odpowiedział.

– Jak pan chce zachnąłem się i otworzyłem telefon.

– Widziałem tylko streszczenie, w porządku? Sydney nazywała to „treatmentem”. Dowiedziałem się o wszystkim tylko dlatego, że znalazłem go w jej szufladzie, kiedy szukałem zapalek. – Mały uśmieszek. – Lubię po wszystkim zapalić.

– Robiliście to w biurze?

– Te tandetne państwowe biurka chociaż do jednego się nadają.

– Co było w treatmentcie?

– Nazwiska były zmienione, ale ogólnie chodziło o sprawę Kristal Malley. Tyle że w jej wersji chłopców w morderstwo wmanipulował ojciec dziecka.

– Jaki miał motyw?

– Nie było tam napisane, mówimy o dwóch akapitach. Sydney wróciła z kibla, zobaczyła, że czytam, wyrwała mi kartki z ręki i odstawiła swoje wrzaski. Powiedziałem: „Interesująca

teoria, może moglibyśmy ją wykorzystać w rzeczywistości”. Odbiło jej i kopnęła mnie w tyłek. Dosłownie, kopnęła mnie. – Pomasował krzyż. – Miała spiczaste pantofle, bolało jak cholera.

– A więc treatment był napisany przed zakończeniem sprawy.

– Przed oficjalnym wyrokiem, ale wszyscy wiedzieli, jak to się skończy.

– Czyim pomysłem była ugoda? – spytałem.

– Sydney ją zaproponowała, a Laskin się zgodził. Skłamała i powiedziała mu, że ja też się zgodziłem. W końcu zgodziłem się naprawdę, bo uznałem, że to najlepsze, co mogę zrobić dla Randa.

– Wysłać chłopców do więzienia i zabalować z koleżanką z pracy – powiedziałem.

– To nie było tak – odparł. – Tamta noc, na jej biurku, to było po tym, jak większość roboty już odwaliliśmy. Wtedy Sydney i ja zaczęliśmy ze sobą na poważnie. Wcześniej to były jakieś drobiazgi. Robiliśmy to poza biurem.

– W motelach?

– Nie pana sprawa.

– W jej samochodzie?

– Chce pan być moralizatorskim fiutem, proszę bardzo. To nie zbrodnia, trochę się zabawić.

– Dopóki nie zaczęła pana kopać.

– Była nienormalna, ale coś panu powiem: pewne rzeczy umiała robić dobrze.

Nimfomanka – powiedział Milo. – Żeby użyć staroświeckiego określenia.

Wydmuchnął dym z cygara. Powietrze tego dnia było takie, że po zmieszaniu z dymem chyba się oczyściło.

– Nie, żebym tęsknił za staroświeckimi określeniami. Skoro sam się ich nasłuchałem.

– „Ciota” weszła do języka potocznego – zauważyłem.

– Tak jak „czarnuch”, jeśli jest się Snoop Doggiem. Spróbuj tak powiedzieć do koleśia na Main i Sześćdziesiątej Dziewiątej i zobaczymy, czy się będzie śmiał.

Kółka dymu uniosły się w górę, zakołysały i rozwiały. Spacerowaliśmy wolno dwie przecznice od posterunku, rozmyślaliśmy w milczeniu, wymienialiśmy krótkie urywane zdania.

– A więc wszyscy ruchają wszystkich – powiedział Milo. – Dosłownie i w przenośni. Myślisz, że historia Weider, zwalająca wszystko na Malleya, to prawda? A może ona i Daney dowiedzieli się czegoś osiem lat temu? Na przykład tego, że Malley nie jest ojcem Kristal. Albo Troy powiedział Weider, że Malley go do wszystkiego namówił.

– Montez w żartach zaproponował, żeby to wykorzystali w linii obrony i Weider dostała szau. Może chodziło o coś więcej niż utrzymanie w tajemnicy świetnego pomysłu.

– Ma dowody oczyszczające z winy, ale je ukrywa. Bo jej głównym celem nie jest obrona Troya, tylko sprzedanie scenariusza. Cyniczne. W Hollywood coś takiego uchodzi za moralność.

– Gdyby Weider musiała to jakoś usprawiedliwić, mogłaby – stwierdziłem. – Malley pociągał za sznurki, ale morderstwa dokonali chłopcy i niezależnie od wszystkiego mieli iść za kratki, i to na długo. Powiedziała coś takiego Marty’emu Boestlingowi. Troyowi mogła poradzić: „Siedź cicho, wyciągnę cię szybko z więzienia i będziesz bogaty”. To by tłumaczyło jego fantazje o bogactwie.

– Troy był cwany ulicznikiem, Alex. Myślisz, że by to kupił?

– Był też trzynastolatkiem bez przyszłości – powiedziałem. – Dzieci codziennie garną się do Hollywood, wierząc w Bogactwo i Sławę. Mimo to, ponieważ był dzieckiem, nie można było w nieskończoność liczyć na jego cierpliwość. Może to jednak nie Malley stał za śmiercią Troya.

Milo przygryzł cygaro. Strzępiasta chmurka dymu otoczyła jego głowę nierówną aureolą. Zdrapał z języka okruh tytoniu, splunął i zmarszczył brwi.

– Weider była obrońcą, musiała wiedzieć, jak skontaktować się z gościem takim jak Nestor Almeida.

– Może Daney też – powiedziałem. – Pracował z upośledzoną młodzieżą. On i Cherish oboje odwiedzali Troya.

– To Daney był tym białym mężczyzną, o którym mówił Nestor, nie Malley? Jezu. – Puf, puf. – Tak, spokojnie mogło to tak wyglądać, podobnie jak Cherish mogła być panią Rozpruwaczową. Zwłaszcza że nie mamy dowodów na żaden z tych scenariuszy.

Upuścił cygaro, rozdeptał je na chodniku, zaczekał, aż niedopałek wystygnie, i schował go do kieszeni.

– Jaki z ciebie porządny obywatel – zauważyłem.

– Dość jest brudu w tym mieście. A więc jak morderstwo Randa miało się do układu Weider-Drew?

– Tak samo jak do układu Cherish-Barnett. Rand o niczym nie wiedział, więc pozwolono mu żyć. Doszedł jakoś do prawdy o śmierci Kristal i wystawił się na cel.

– A ta prawda to zemsta Malleya za to, że nie był tatusiem Kristal.

– To już chyba ustaliliśmy – powiedziałem. – Jakież postępy z DNA?

– Wypełniłem wniosek, czekam na odzew decydentów. Wciąż chciałbym wiedzieć, jak i kiedy Cherish zaczęła sypiać z Barnetttem. Ale teraz może już wiemy dlaczego: z zemsty za to, że Drew się łajdaczy.

– To ma sens. Kelnerka w Patty's powiedziała, że Cherish i Barnett byli tam wcześniej tylko raz, a ona pracuje tam od lat. Cherish wybrała ten lokal, bo знаła go z czasów seminarium, Wascomb umawiał się tam ze studentami. Ale oboje mogli mieć też inne miejsca.

– Głównie motel. Pojadę tam i dowiem się, co recepcja ma do powiedzenia.

– Inna możliwość jest taka, że to Cherish podkablowała Randa Drew, a nie Barnett.

– Zdradza Drew. Dlaczego miałyby się mu zwierzać?

– Nie musiałyby się zwierzać, wystarczyło napomknąć, że Rand wydaje się bardzo zdenerwowany, że sugeruje coś na temat Troya. Bo podejrzewała, że Drew odegrał jakąś rolę w morderstwie Troya i gdyby udało się jej skłonić go do wyeliminowania Randa, oszczędziłaby kłopotu Barnettowi.

– Wierna kochanka udająca wierną żonę – sarknął Milo. – To manipulacja podniesiona do rangi sztuki. Wascomb mówił, że to uduchowiona kobieta.

– Wascomb nie nauczył się jeszcze, co to znaczy cynizm.

Milo wyjął następne cygaro, nie rozpakował go z celofanu, przetoczył z ręki na palec. Sprytna sztuczka; nigdy przedtem jej nie widziałem.

– Trzeba pomyśleć o jeszcze innej manipulacji powiedziałem. – Historia Drew o czarnej ciężarówce to powód, dla którego zaczęliśmy się poważnie przyglądać Barnettowi Malleyowi. Ale biorąc pod uwagę, czego się o nim dowiedzieliśmy, musimy rozważyć, czy nas nie zwodził.

– Nie bał się Malleya, chciał tylko skierować na niego podejrzania.

– Nieszczęśliwie dla Drew doprowadziło nas to do tego, że zaczęliśmy się uważnie przyglądać właśnie jemu.

– Troje zabitych dzieci. Może były dwa zespoły morderców – zastanawiał się Milo.

Skręciliśmy za róg.

– Alex, pomyślałem właśnie, że muszę potraktować śmierć Jane Hannabee poważniej, jako zbrodnię powiązaną ze sprawą. Jeśli Troy powiedział matce o filmie, a ona chciała mieć w tym udział, byłaby problemem dla Sydney i Drew.

– Narkomanka bez pracy i domu – powiedziałem. – Na pewno chciałyby mieć udział.

– Rozmawialiśmy o tym, że Cherish mogła wiedzieć, gdzie Jane nocowała, jako jej duchowa doradczyni, ale to samo dotyczy Drew. – Milo wcisnął ręce do kieszeni. – To się rozrasta jak rak. Dowiedziałeś się, na ile Daneyowie doją hrabstwo?

– Siedem tysięcy miesięcznie.

– Nieźle, jak na parę naiwniaków bez święceń.

– Część z tego nielegalnie – dodałem. – Olvia powiedziała, że przepisów nikt nie egzekwuje, ale można by to wykorzystać, gdyby zaszła potrzeba. Poprosiłem ją, żeby przefaksowała mi nazwiska wszystkich dzieci, które brali. Drew w przeszłości fałszował już dokumenty. Może robi inne brzydkie rzeczy.

– Słuszna uwaga. A Gorące Majtki Weider? Myślisz, że powinienem z nią porozmawiać?

– Boestling i Montez powiedzieli, że to, jak się na mnie wydarła, to jej zwykła reakcja na konflikt. Masz na nią tylko plotkę o zdradzie, a ona nie jest już prawniczką, więc groźba odebrania prawa do zawodu byłaby pusta.

– Wciąż mógłbym jej narobić wstydu.

– Po tym, jak ją upokorzył Boestling, nie sądzę, żeby zostało w niej wystarczająco dużo samooceny, której można by zagrozić.

– Tym bardziej. Dobić ją, kiedy leży.

- Mógłbyś spróbować.
- Ale ty byś nie spróbował.
- Nie teraz – powiedziałem. – Rzecz niewarta zachodu.
- A więc kto jest moim celem?
- Nie „kto”, ale „co”. Papierkowa robota.

Odprowadziłem go na parking naprzeciw posterunku; wsiadł do swojego nieoznakowanego samochodu i pojechał za mną do domu. Wyprzedził mnie na Westwood Boulevard i był na miejscu pierwszy.

Wydruk od Olivii leżał obok faksu. Pojedyncza kartka nazwisk i numerów ubezpieczenia społecznego, dat urodzenia, okresów pobytu w domu dziecka.

Dwanaście dziewczynek, w wieku od czternastu do szesnastu lat. Osiem wciąż mieszkało u Daneyów. Jedno nazwisko brzmiało znajomo. Quezada, Valerie. Niespokojna, nadąsana dziewczyna, której Cherish pomagała z matematyki. Kilka chwil później łączyła w oczach Cherish, kiedy mówiła o Randzie...

Lista obejmowała jedynie okres dwudziestu pięciu miesięcy. Na górze Olivia napisała odręcznie: *Dalej się nie dało. System archiwalny tych geniuszy to zupełny bałagan. Może nie do uprzątnięcia.*

– Zaczniemy od sprawdzenia tych czterech, które już z nimi nie mieszkają – zaproponował Milo.

- Pod jakim kątem?
  - Na początek najgorszy możliwy scenariusz.
- Zadzwoił do koronera, poprosił jakiegoś Dave’a.

– Nie, dzisiaj nie – powiedział – ale na pewno w końcu to załatwię. I daj mi lepszą maskę następnym razem. Nie boję się rozkładu, ale... tak, nie ma to, jak topielec. Słuchaj, Dave, potrzebne mi tylko pewne dane... tak, wiem, jak słyszysz mój głos, humor poprawia ci się na cały dzień.

Pięć minut później oddzwonił do nas śledczy biura koronera David O’Reilly: żadne z naszych czterech nazwisk nie znajdowało się na liście zgonów z przyczyn nienaturalnych, prowadzonej przez kryptę. Milo zadzwonił do centralnego archiwum, chwilę musiał się pouzerać, zanim w końcu dotarł do archiwów hrabstwa i listy zgonów nienaturalnych.

- Odłożył słuchawkę.
- Wszystkie najwyraźniej żyją. To nasza dzisiejsza dawka optymizmu.

Mogły umrzeć poza granicami hrabstwa LA, pomyślałem.

- Co dalej?
- Masz jakiś pomysł?
- Mógłbyś spróbować je zlokalizować, dowiedzieć się, czy mają coś do powiedzenia na temat Daneyów. Skupiłbym się na tych dwóch, są jeszcze nieletnie. Może wyszły na prostą i nie muszą już mieszkać u rodzin zastępczych. Z drugiej strony...

– To mi się podoba – przerwał mi Milo. – Konstruktywny pesymizm.

Olivia dała nam kontakt do Departamentu Spraw Dzieci i mieliśmy wszystkie dane przed trzecią.

Leticia Maryanne Hollings, lat siedemnaście, wciąż była pod opieką władz stanowych, mieszkając z „opiekunem rodzinnym” – u ciotki w Temecula. Nikt nie podnosił tam słuchawki i Milo zostawił to sobie na później.

Wilfreda Lee Ramos, lat szesnaście, nie znajdowała się już na liście. Jej ostatnim znanym członkiem rodziny był dwudziestopięcioletni brat, George Ramos.

W książce telefonicznej był jego numer, ale bez adresu. Jako miasto zamieszkania figurowało Los Angeles, Kalifornia. Zawód: Student. Kierunkowy 825 sugerował, że warto zajrzeć na uniwersytet. Zadzwoiłem. Wyłączony. Telefon do uniwersyteckiego sekretariatu pozwolił ustalić, że na liście studentów jest tam obecnie dwóch George'ów Ramosów: osiemnastoletni pierwszorzecznik i dwudziestosześcioletni student pierwszego roku prawa – i to było wszystko, czego się dowiedziałem.

Słuchawkę wziął Milo, przedstawił się, nie wydusił z sekretarki nic więcej. W sekretariacie szkoły prawniczej też nie.

Pojechaliśmy do kampusu, zaparkowaliśmy na północnym skraju, poszliśmy do szkoły, gdzie Milo wdał się w przyjazną rozmowę z sympatyczną, siwowłosą sekretarką.

– Przed chwilą panowie dzwonili – powiedziała. – Niestety, odpowiedź brzmi tak samo. Zasady zachowania prywatności.

– Chcemy tylko porozmawiać z panem Ramosem, proszę pani.

– Proszę pani. Jak w kowbojskim filmie. – Uśmiechnęła się. – Jestem pewna, że tak właśnie jest, poruczniku, ale proszę nie zapominać, gdzie jesteśmy. Wyobraża pan sobie, ilu ludzi z przyjemnością pozwałoby nas za naruszenie prywatności?

– Słuszna uwaga – odparł Milo. – Czy ułatwiłoby sprawę, gdybym pani powiedział, że pan Ramos nie ma żadnych kłopotów, ale może je mieć jego siostra? Jestem pewien, że chciałby o tym wiedzieć. Proszę pani.

– Przykro mi. Żałuję, że nie mogę panom pomóc.

Milo się rozluźnił. Rozmyślnie, tak jak to robi, kiedy zmusza się do zachowania cierpliwości. Uśmiechnął się szeroko. Odgarnął z czoła czarne włosy i napał całym ciężarem na biurko. Sekretarka odruchowo się cofnęła.

– Gdzie są w tej chwili studenci pierwszego roku?

– Powinni właśnie wychodzić z... prawoznawstwa. Może na trawniku.

– Ilu ich jest?

– Trzystu siedmiu.

– Mężczyzna, Latynos – powiedział Milo. – Poprawiło się u was z przyjęciami mniejszości, czy może zawęzi nam to pole poszukiwań?

– Nie wygląda na Latynosa – powiedziała sekretarka.

Milo na nią popatrzył. Zaczerwieniła się, nachyliła do niego.

– Gdyby ten ktoś był bardzo wysoki, łatwo byłoby go zauważyć.

Milo odpowiedział uśmiechem.

– Jak koszykarz?

– Może obrońca.

George szedł przez trawnik wolnym, długim krokiem po niezdarnej, ale zdecydowanej trajektorii. Wyglądał jak brodzący ptak – czapla – brnący przez bagno. Na oko dałem mu dwa metry. Błady, łysiejący i przygarbiony, niósł stos książek i laptopa. Resztki włosów miał średnio ciemne, cienkie i zachodzące na uszy. Był ubrany w niebieski sweter z dekoltem w serek, białą koszulę, wyprasowane w kant spodnie khaki i brązowe buty. Na haczykowatym nosie spoczywały maleńkie okulary. Młody Ben Franklin, rozciągnięty na wieszaku.

Kiedy przed nim stanęliśmy, zamrugął oczami i spróbował nas wyminąć.

– Pan Ramos? – spytał Milo.

Zatrzymał się.

– Tak?

Błysk odznaki.

– Czy ma pan chwilę, żeby porozmawiać z nami o pana siostrze, Wilfredzie?

Piwnie oczy Ramosa za szklami okularów stwardniały. Jego kłykcie nabrzmiały i pobielały.

– Panowie nie żartują.

– Nie, proszę pana.

Ramos mruknął coś pod nosem.

– Słucham?

– Moja siostra nie żyje.

– Przykro mi, proszę pana.

– Co u licha przywiodło panów do mnie?

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie dzieci z domów dziecka i...

– Lee popełniła samobójstwo trzy miesiące temu – powiedział Ramos. – Tak wszyscy na nią mówili. Lee. Gdyby pan cokolwiek o niej wiedział, wiedziałby, że nie znosiła „Wilfredy”.

Milo milczał.

– Miała szesnaście lat – powiedział Ramos.

– Wiem, proszę pana.

To dla niego rzadkość, musieć podnosić wzrok, żeby na kogoś spojrzeć. Nie lubił tego.

– Jacy rodzice daliby córce na imię Wilfreda? – mruknął Ramos.

Wszyscy trzej usiedliśmy na ławce po zachodniej stronie trawnika.

– Co panowie chcecie wiedzieć? – spytał Ramos.

– Interesują nas doświadczenia Lee z domu dziecka.

– Co, jakiś skandal?

– Może coś w tym rodzaju.

– Jej doświadczenia – powtórzył Ramos. – Dla Lee dom dziecka był o wiele lepszy niż rodzinny. Jej ojciec, mój ojczym, to faszysta. Ci kaznodzieje, z którymi mieszkała, w ogóle jej nie pilnowali. Dla kogoś takiego jak Lee to był raj.

– Co ma pan na myśli? – spytał Milo.

– Lee była buntowniczką od kołyski, robiła wszystko po swojemu, nieważne, co by się działo. Zaszła w ciążę, kiedy była u rodziny zastępczej, usunęła ją. Koroner powiedział nam o tym po autopsji. Kaznodzieje wymyślili sobie dobrą historyjkę na swoje usprawiedliwienie, ale moim zdaniem zgarnęli tylko pieniądze i puścili Lee luzem.

– Który koroner to państwu powiedział?

– Z hrabstwa Santa Barbara. Lee mieszkała w Isla Vista, z jakimiś ćpunami, kiedy...

Ramos zdjął okulary i wytarł oczy.

– To było po tym, jak opuściła rodzinę zastępczą – powiedział Milo.

Ramos kiwnął głową.

– Faszysta pozwolił jej w końcu wrócić do domu, pod warunkiem że będzie przestrzegąca wszystkich jego zasad. Wytrzymała dwa dni, potem uciekła. Faszysta powiedział, że powinna ponosić konsekwencje swojego zachowania, a moja matka zawsze była pod jego butem. Więc Lee nikt nie szukał. Gdzie mieszkała, dowiedzieliśmy się po jej śmierci. W jakiejś melinie w Isla Vista, dziesięcioro dzieciaków mieszkało tam jak zwierzęta.

– Faszysta nie jest pana ojcem – powiedziałem – ale pan i Lee mieliście to samo nazwisko.



– Nie. Nazywała się Monahan. Kiedy miał jej już tak dość, że oddał ją pod opiekę państwu, spalił jej ubrania, zamknął przed nią drzwi i powiedział jej, że nie jest już jego córką. Ona powiedziała mu „pierdol się” i zaczęła się nazywać Ramos.

– Uroczy facet – mruknął Milo.

– Przesłodka – odparł Ramos, pstrykając kłykciami. – Zadzwoń do mnie z Isla Vista, chciała, żebym jej legalnie zmienił nazwisko. Powiedziałem, że nie mogę, bo nie jest pełnoletnia, a ona rzuciła słuchawką.

– W dokumentach wpisano „Ramos” – powiedziałem.

Ramos się zaśmiał.

– Administracja stanowa nie odróżnia własnej dupy od krateru na księżycu. W całym tym systemie nie ma prawie niczego, co nie wymagałoby zmiany.

– To dlatego studiujesz prawo? – spytał Milo.

Ramos wytrzeszczył oczy.

– To żart, prawda?

Milo się uśmiechnął.

– Jasne, zaharowuję się jak wół, żeby całe życie użerać się z bezmózgą biurokracją za główniane pieniądze. – Ramos się zaśmiał. – Kiedy tylko skończę studia, idę do jakiejś dużej firmy.

Rozmawialiśmy z nim jeszcze przez kwadrans. Pod koniec rozmawiałem głównie ja, bo temat zszedł na moje rejony.

Wilfreda Lee Monahan/Ramos miała poważne problemy z uczeniem się, i odkąd jej brat sięgał pamięcią, z destrukcyjnym zachowaniem. Ojciec George’a Ramosa zmarł, kiedy ten miał pięć lat, a kilka lat później jego matka wyszła za mąż za byłego żołnierza piechoty morskiej, który uważał, że wychowywanie dzieci to rodzaj obozu szkoleniowego.

Dla Lee okres dorastania oznaczał rozwiązłość, narkotyki i wahania nastroju tak poważne, że byłbym gotów się założyć, że nie wynikały tylko z nadużywania substancji odurzających. Do czternastych urodzin podjęła dwie próby samobójcze – przedawkowane wołania o pomoc. Do obu były pobieżne konsultacje u specjalistów oraz nawała oskarżeń w domu. Kiedy ojciec nakrył ją uprawiającą seks w swoim pokoju, wygnał ją na ulicę.

George Ramos nie wiedział o żadnych większych problemach z okresu jej sześciomiesięcznego pobytu u Daneyów, ale przyznał, że spuszczonego wzrokiem, że ani razu jej nie odwiedził.

Lee Ramos opuściła rodzinę zastępczą na miesiąc przed skończeniem szesnastu lat. W dzień urodzin, o północy, została w pokoju, kiedy jej koledzy i koleżanki poszli balować. Niedługo potem podcięła sobie żyły zardzewiałym nożem tapicerskim, położyła się na brudnym, dziurawym materacu i po cichu wykrwawiła na śmierć.

Rozmowa o siostrze wyczerpała i znużyła George'a Ramosa.

Milo przeprosił go za najście.

– Panowie robicie po prostu, co do was należy – odparł Ramos i wbił wzrok w trawę.

– Miał pan jakiś kontakt z Daneyami? – spytałem.

– Zadzwoń im do nich raz po tym, jak Lee umarła. Niech mnie pan nie pyta, po co.

Może myślałem, że się przejęli.

– Nie przejęli się?

– Rozmawiałem z żoną... Charity, Chastity\*[*Charity, chastity* (ang.) – jałmużna, czystość (w znaczeniu „cnota”) (przyp. tłum.)], jakoś tak...

– Cherish.

– Właśnie. Załamała się, szlochała, prawie dostała hysterii. Może jestem cynikiem, ale pomyślałem, że trochę przesadza.

– Udawała? – spytał Milo.

– Lee była u nich tylko przez kilka miesięcy i najwyraźniej nie najlepiej sobie z nią poradziła.

– Powiedział jej pan to?

– Nie. Nie powiedziałem. Nie byłem w nastroju do rozmowy.

– Cherish zrobiła coś, co by panu kazało podejrzewać, że udaje żal?

– Nie, ale kto wie? Kto w ogóle cokolwiek wie?

– Rozmawiał pan z jej mężem?

– Nie, tylko z nią.

Ramos wstał, wziął książki i laptopa.

– Czy Lee napomykała, że jest w ciąży? – spytałem.

Pociągną twarz Ramosa wykrzywił smutek.

– Nic nie rozumiecie? Nie rozmawialiśmy ze sobą.

Zabrał książki, przycisnął laptopa do piersi i oddalił się swoim ptasim chodem. Z budynku szkoły wysypywali się inni studenci, zbitymi grupkami; kilku zaprzątniętych czymś samotników przecierało własne ścieżki.

Milo wstał i się przeciągnął.

– Aż mi zatrzeszczało w kościach.

– Nic nie słyszałem.

– A więc Daneyowie biorą za dużo podopiecznych, ale ich nie pilnują. To by się zgadzało z moralnym rozprężeniem.

– Zgadzałoby się.

– Możemy jechać?

Nie wstałem.

– Alex?

– A jeśli?...

Milo z powrotem usiadł.

Minęła nas grupka studentów.

– Jakie znowu złe myśli opętały twój mózg? – spytał Milo, kiedy poszli.

– George Ramos zakłada, że Lee zaszła na ulicy. A to się mogło zdarzyć w domu.

Dosłownie.

– Daney?

– Był tam jedynym mężczyzną. Co, kiedy się nad tym zastanowić, przypomina trochę harem. Wszystkie te nastolatki z problemami... Może Daney nie bez powodu prosił o dziewczynki.

– O, stary.

– Wiemy, że Daney to oszust i cudzołóżnik, dopiero zastanawialiśmy się nad możliwością jego udziału w morderstwie. Zapłodnienie nieletniej pod swoją opieką nie wydaje się do niego niepodobne. Dopilnowałby, żeby ciążę usunąć, co pasuje do aborcji Lee Ramos. To by mogło też tłumaczyć jej samobójstwo. Mówimy o dziewczynie z wielkimi problemami, wrogo ustosunkowanej do ojca. Szukałaby pełnego współczucia zastępcy. Państwo jej go znalazło, ale jeśli on też ją zawiódł, a potem kazał jej usunąć dowody, musiała przeżyć traumę.

– Zastępcze kazirodztwo.

– Rodzaj wykorzystania, który mógł doprowadzić do poważnej depresji.

– Podcięła sobie żyły w urodziny – powiedział Milo. – Jeśli to było samobójstwo.

– Myślisz, że nie było?

– Puszczam wodze wyobraźni.

Zadzwoił do koronera z Santa Barbara, porozmawiał z patologiem, który przeprowadził sekcję Lee Ramos, długo słuchał, odłożył słuchawkę, kręcąc głową.

– Nie ma żadnych wątpliwości, że to było samobójstwo. Zamknęła się w pokoju od środka, włączyła muzykę, jedyne okno było zamalowane. Nie było śladów szamotaniny, ran odniesionych w obronie własnej, tylko długie, wzdłużne rozcięcia nadgarstków; nie żartowała. Przedtem wypila pół litra likieru i połknęła buteleczkę valium. Gdyby żyłeczka nie dała rady, wykończyłyby ją leki. Dzieciaki, z którymi mieszkała, mówiły, że przez ostatnich kilka tygodni była w dołku. Próbowaly wyciągnąć ją ze sobą na imprezę, jej urodzinową imprezę. Lee w ostatniej chwili się wykręciła, powiedziała, że źle się czuje.

Zaszczypały mnie oczy. Dziewczyna, której nigdy w życiu nie widziałem.

– Urodzinowe samobójstwo powiedziałem. – Nie była w stanie znieść następnego roku.

Milo opadł na oparcie ławki, pokazał mi tył głowy, skrzyżował ręce na piersi. Lekki powiew wiatru zaszeleścił w liściach za nami. Kilka sekund później zawtórowała mu trawa.

– Zawsze miała jakąś gotówkę, więc jej koledzy podejrzewali, że się sprzedawała. Szesnastolatka. Takie rzeczy nie dzieją się z dnia na dzień, prawda?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zerwał się na nogi i ruszył przed siebie, tłukąc notesem o udo. W jego chodzie nie było nic ptasiego.

Połujący niedźwiedź. Zdecydowanie niedźwiedź.

Poszedłem za nim, nie wiedząc, czym jestem ja.

Wróciliśmy do samochodu i przejechaliśmy wzdłuż wschodniego skraju kampusu.

– Daney żyje z systemu – powiedziałem. – Ciekawe, czy sięgnąłby do własnej kieszeni, żeby zapłacić za aborcję.

Milo zwolnił.

– Bydlak zapładnia przybrane dziecko i s płaca je z państwowej kasy? Wszystko inne uchodziło mu na sucho, więc czemu nie?

– To jedyna rzecz powiedziałem – którą możemy wydzwignąć z teorii do rangi faktu.

– Oficjalnie akta są tajne – powiedziała Olivia – więc nie wiem, czy moglibyście je wykorzystać w sądzie.

– Sprawdźmy, czy w ogóle jest tam coś, co można wykorzystać – odparłem.

– Jak chcesz, mój drogi. To może chwilę potrwać.

- Dla ciebie zawsze warto czekać.
- O tak – powiedziała. – Ten mój dziewczęcy powab.

Moja komórka zapiszczała, kiedy jechaliśmy Glen, półtora kilometra od mojego domu. „Chwila” trwała pięć minut.

– Nie ma nic na nazwisko Ramos – powiedziała Olivia – ale usunięcie ciąży Wilfredy Lee Monahan rzeczywiście odbyło się na koszt podatnika. Usługodawca z północnego Hollywood, Centrum Zdrowia Kobiety.

Podawała mi adres przy sześciotysięcznym kwartale w Whitsett. Niedaleko domu Daneyów; kolejne oko wąskiej sieci.

– Czy był z nią ktoś dorosły? – spytałem.

– Takich rzeczy nie piszą. Najwyższy sąd stanowy zniósł konieczność zgody rodzica jeszcze w 1998 roku.

– Nawet jeśli była w rodzinie zastępczej?

– Nawet jeśli. Właściwie, skoro już i tak brali na nią pieniądze, rachunek za aborcję byłby drobnostką, wystarczyło dopisać jeden kod do całej reszty. Kody, przepraszam, liczba mnoga. Wygląda na to, że przeszła też badania ogólne, badanie ginekologiczne, porady ciążowe i kurs informacyjny o AIDS.

– Skrupulatnie – powiedziałem.

– Chyba mamy tu jakiś pierwszoligowy przekręt.

– Nie chciałabyś nawet wiedzieć, Liv. Zrobiłabyś mi przysługę i sprawdziła jeszcze jedno nazwisko? Leticia Maryanne Hollings, siedemnaście lat.

– Jeszcze jedna – powiedziała Olivia. – A więc to coś gorszego niż przekręt.

Aborcja Leticii Hollings została przeprowadzona miesiąc przed Lee Monahan. Taki sam dokładny rachunek.

Ta sama klinika.

Centrum Zdrowia Kobiety utkwilo mi w głowie, ale nie miałem pojęcia dlaczego. Poprosiłem Olivię, żeby sprawdziła dwie dziewczynki, które opuściły Daneyów i osiągnęły pełnoletność.

Jedna, Beth Scoggins, teraz dziewiętnastolatka, również usunęła ciążę w Centrum Zdrowia Kobiety. Dwa lata temu, kiedy była u rodziny zastępczej.

– Zaczyna się to robić obrzydliwe – zdenerwowała się Olivia.

Powiedziałem Milowi o Scoggins. Oczy mu zapłonęły i usłyszałem, jak zgrzyta zębami, łapiąc za telefon. Podziękował Olivii tak cicho i uprzejmie, że nigdy by się tego nie domyśliła.

Zatrzymaliśmy się przed moim domem. Wbiegłem przed Milem do gabinetu.

Trzydzieści osiem wyników w wyszukiwarce na hasło „Centrum Zdrowia Kobiety”. Większość odnosiła się do legalnych programów w dużych szpitalach. Trzy pasowały do kliniki w północnym Hollywood.

Pierwszy tłumaczył moje deja vu.

Trafiłem na niego już wcześniej, szukając informacji o Sydney Weider. Bal charytatywny, osiem lat temu. Weider i Martin Boestling wśród darczyńców. Zdjęcie dla prasy zrobione w lepszych czasach.

Dwa pozostałe wyniki miały datę o dwa lata późniejszą; również były to bale, a ich celem sfinansowanie „opartych na współczuciu, nienastawionych na zyski programów” kliniki. Żadnej wzmianki o Weider i Boestlingu; wtedy byli już po rozwodzie i wypadli z towarzyskiego obiegu.

Oba wyniki podawały listę pracowników Centrum.

Alfabetyczną. Nazwisko bijące w oczy jak blizna, wciśnięte między doktorów i magistrów, kręgarzy, doradców, terapeutów, masażystów.

Mgr teol. Drew Daney, konsultacje duszpasterskie.

Warkot dobiegający zza moich pleców sprawił, że zjeżyły mi się włoski na karku.

– „Pracuję w fundacjach non-profit” – powiedział Milo. – Jasne, że pracujesz, stary. Jesteś po prostu jebanym świętym.

– Może dostaje z tego dolę. Procent od rachunków. Dodatkowa zachęta, żeby zrobić im dziecko, a potem usuwać.

– Dodatkowa?

– W takich przypadkach nigdy nie chodzi tylko o pieniądze.

Przeszliśmy do kuchni. Zaparzyłem kawę.

– W najlepszym razie ten facet wykorzystuje młode dziewczyny – powiedział Milo. – Jeśli zrobił to wszystko, nad czym się zastanawialiśmy, to Manson dla ubogich. Problem w tym, że nie mogę w tej sprawie nic zrobić, bo oficjalnie nie wolno mi mieć dostępu do danych medycznych tych dziewczyn. Nawet gdybym miał je w ręku, nie ma dowodu, że to Daney jest sprawcą tych wszystkich ciąż.

– Jako psycholog jestem zobowiązany zgłaszać molestowanie nieletnich – powiedziałem.

– Nie dotyczą mnie zasady materiału dowodowego.

– Ile dowodów potrzebujesz, żeby złożyć doniesienie?

– Przepis mówi o podejrzeniu molestowania. Nie jest jasne, co to znaczy. Za każdym razem, kiedy próbowałem uzyskać wyjaśnienie od komisji etyki lekarskiej, mojego prawnika, stanowego stowarzyszenia psychiatrycznego, nigdy mi się nie udawało. Mam kolegów, którzy wpadli w kłopoty przez to, że zgłosili takie podejrzenie, i takich, którzy w nie wpadli, bo tego nie zrobili.

– Przepisy są do dupy – stwierdził Milo, zapominając o kawie i wyjmując piwo z lodówki. – Jednego nie rozumiem, Alex. Nawet biorąc pod uwagę forszę, zapładnianie tych wszystkich dziewczyn musiało być dla Daneya niebezpieczne. Łatwiej byłoby załatwić im jakąś antykoncepcję albo sobie, niż ryzykować, że komuś o tym powiedzą.

– Jeszcze nikomu nie powiedziały. A może powiedziały, ale nikt nie słuchał.

– Jak ta biedna Ramos.

Kiwnąłem głową.

– Nawet jeśli Daney nikogo więcej nie zamordował, jeśli to on był ojcem tego dziecka, jest w jakimś stopniu odpowiedzialny za jej śmierć.

Milo otworzył piwo, ale się nie napił.

– Jak się tego dowiedzieć?

– Może tak: mógłbym spróbować porozmawiać z Leticją Hollings i Beth Scoggins. Powiedzieć im, że to ogólne dochodzenie w sprawie rodzinnych domów dziecka. Jeśli napomkną coś o molestowaniu, będę jasno zobowiązany poinformować policję.

– Kogoś konkretnego z policji?

– Ostatecznie nadasz się ty.

Uśmiechnął się bez przekonania.

– Problem w tym, Alex, że jeśli zaczniesz z nimi rozmawiać jako współpracownik policji, kwestia poufności stanie na drodze kryminalnemu śledztwu.

– Niekoniecznie – powiedziałem. – Zacząłem jako policyjny konsultant, ale przerzuciłem się na niezależne badania.

– Myślałem, że to tylko przykrywka.

– Mógłbym naprawdę tak zrobić.

Podniósł wzrok.

– Jak to?

– Dowiedziałem się o samobójstwie Lee Ramos, pracując z tobą, i zaintrygowało mnie to.

– Co konkretnie?

– Związek między rodzinami zastępczymi a samobójstwami. Moje publikacje sprzed lat o stresie i maltretowaniu jeszcze by to uwiarygodniły.

– Wciąż zajmujesz się pracą badawczą?

– Od jakiegoś czasu już nie, ale jestem profesorem zwyczajnym, a profesorowie zwyczajni mogą robić, co chcą.

– Kiedy cię mianowali?

– W zeszłym roku.

– Nic nie mówiłeś.

– Nie chciałem się chwalić. To mianowanie kliniczne. Sprowadza się do tego, że raz na jakiś czas proszą mnie, żebym zaopiekował się jakimś stażystą albo magistrantem, zasiadł w jakiejś komisji albo zrecenzował czyjś doktorat.

– Płacą ci za to?

– Nie. W ten sposób spłacam dług społeczeństwu.

Ułożyłem z dłoni aureolę i uniosłem je nad głowę.

– Co za gość – powiedział Milo. – Wyglądasz co najwyżej na profesora nadzwyczajnego.

Zapisała jego komórka.

– Sturgis. O, cześć... Tak, kopę lat... Żartujesz. To świetnie. Wielkie dzięki. Mam u ciebie dług.

Szeroki uśmiech. Dawno go już nie widziałem.

– To była śledcza biura koronera, Nancy Martino. Znalazła w chłodni próbki tkanek Kristal Malley. Z nerki i żołądka. Część wygląda na zdegradowane, ale może do analizy wystarczy. Będą je trzymać, dopóki się do nich nie odezwę.

– Gratulacje – powiedziałem.

– Tylko co z tego.

Jego uśmiech zgasł.

– Co teraz?

– Co nam tak naprawdę da DNA, Alex? Potwierdzi to, co już wiemy z koloru oczu: kowboj nie był tatą Kristal. Czego nam na pewno nie da, to nie zbliży mnie ani na krok do Malleya w sprawie Randa. Albo do Daneya w sprawie wszystkiego, co narobił.

Wystukał rytm kalipso na butelce piwa.

– Dwóch drani, żadnych tropów, życie jest piękne.

– Lepsze to niż zero drani.

– Wielka mi pociecha – mruknął. – Chyba jesteś psychoterapeutą.

Spisałem numer Leticii Hollings w Temecula, a Milo zdobył ostatni znany adres Elisabeth Mii Scoggins z wydziału komunikacji w Santa Monica: pasował do wpisu w książce telefonicznej pod nazwiskiem Scoggins E.

Milo zabrał butelkę piwa i sam odprowadził się do wyjścia.

Beth Scoggins mieszkała przy Dwudziestej ulicy niedaleko Pico. Była to tania dzielnica, ale myśl, że dziewczyna osiągnęła jakąś niezależność, dodawała otuchy.

Była siódma piętnaście. Gabinet Allison znajdował się przy Montana, w luksusowej północnej części Santa Monica. Wiedziałem, że Allison ma pacjentów do dziewiątej, ale zazwyczaj robiła sobie przerwę na kolację o ósmej. Gdyby udało mi się umówić z Beth Scoggins, może mógłbym wpaść później...

Pan Aureolka.

Telefon odebrała młoda kobieta o czujnym głosie.

– Panna Scoggins?

– Mówi Beth.

Podaję jej nazwisko i tytuł, spytałem, czy byłaby skłonna porozmawiać o swoich doświadczeniach z rodziny zastępczej.

– Jak mnie pan znalazł!?

Panika w jej głosie sprawiła, że miałem ochotę się wycofać. Ale to by ją jeszcze bardziej wystraszyło.

– Prowadzę badania...

– Czy to... czy to jakiś dowcip?!

– Nie, naprawdę jestem psychol...

– Jakie badania?! O czym pan mówi?!

– Przepraszam, jeśli...

– Jakie badania?!

– Stresy związane z pobytem u rodzin zastępczych.

Cisza.

– Jestem konsultantem policji, młoda kobieta, którą opiekowali się ci sami ludzie, którzy opiekowali się panią została znaleziona...

– Opiekowali? Tak pan powiedział? Opiekowali?! Jak się pan nazywa?

Powiedziałem jej.

Chrobot; zapisywała to sobie.

– Panno Scog...

– Nie powinien pan być do mnie dzwonić. Tak nie wolno.

Klik.

Siedziałem i czułem się brudny. Miałem teraz dużo czasu, żeby wpaść do Allison, ale odeszła mi ochota na towarzystwo. Zalogowałem się na moje konto komputerowe szkoły medycznej, przeszukałem Ovid pod kątem samobójstw i rodzin zastępczych, nie znalazłem żadnych prac, tylko sugestie, że dzieci zabrane z domów były narażone na najróżniejsze problemy.

Wielkie dzięki, panowie uczeni.

Przyszło mi do głowy, żeby jeszcze raz zadzwonić do Beth Scoggins – to już nie powinno w niczym zaszkodzić. Może jutro. Albo pojutrze. Niech ma czas się zastanowić...

O ósmej zacząłem odczuwać potrzebę kolacji. Nie głód, raczej konieczność utrzymania poziomu cukru we krwi. Może komuś bym się na coś przydał.

Kiedy zastanawiałem się, czy wybrać zupę w puszcze, czy tuńczyka, zadzwoniła Robin.

Na dźwięk jej głosu zjeżyły mi się włosy na głowie.

– Cześć – powiedziałem. Elokwentnie.

– Przeszkadzam?

– Nic a nic.

W porządku. Nie umiem tego powiedzieć inaczej, Alex, ale uznałam, że tak trzeba. Ze Spikiem nie jest najlepiej.

– Co się stało?

– Wiek. Ma artretyzm tylnych łap, pamiętasz, że w lewej zawsze miał dysplazję? Teraz zupełnie osłabła. Poza tym kiepsko mu działa tarczyca, ma coraz mniej energii, muszę mu zakrapiać oczy, a w nocy prawie nic już nie widzi. Wszystkie pozostałe wyniki ma w normie, poza niewielkim powiększeniem serca. Weterynarz mówi, że to zrozumiałe, zważywszy na jego wiek. Jak na francuzika to już dziadunio.

Kiedy ostatni raz widziałem Spike'a, wyrzucił swoje jedenaście kilo na metr w górę i opadł na ziemię z pełną nonszalancją.

– Biedny maluch.

– To nie ten sam pies, którego zapamiętałeś, Alex. Przez cały dzień leży, nic go nie obchodzi, nawet obcy ludzie.

– To prawdziwa zmiana.

– Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć. Ma dobrą opiekę, ale... Żadnych ale. To wszystko. Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć.

– Dzięki – powiedziałem. – Cieszę się, że znalazłaś tam dobrego weterynarza.

– Mówię o doktor Rich. Jesteś z powrotem w LA?

– Jestem. Od miesiąca.

– Na stałe?

– Może... Nie chcę o tym rozmawiać. Nie umiem uczciwie powiedzieć, ile jeszcze Spike'owi zostało. Tak jest chyba lepiej, niż gdybym zadzwoniła do ciebie któregoś dnia ze złymi wiadomościami, a ty byłbyś nieprzygotowany.

– Dzięki – powtórzyłem. – Naprawdę.

– Jeśli chcesz, możesz przyjechać go odwiedzić. Albo ja kiedyś go przywiozę. – Przerwa.

– Jeśli Allison nie ma nic przeciwko.

– Allison nie miałaby nic przeciwko.

– Nie, jest bardzo miła.

– Co u ciebie? – spytałem.

– Nie najlepiej. – Przerwa. – Między Timem i mną skończone.

– Przykro mi.

– Tak było najlepiej. Ale naprawdę nie o to mi chodzi, chodzi mi o Spike'a, więc jeśli chcesz go zobaczyć...

– Chciałbym, jeśli uważasz, że to by mu pomogło. Kiedy ostatnio wpadłem, bardzo chciałem mieć cię całą dla siebie.

– To było całe wieki temu, Alex. To naprawdę nie ten sam pies. A w głębi serca on cię kocha. Myślę, że rywalizacja z tobą o moją uwagę dawała mu powód, żeby rano wstawać. Wyzwanie innego samca alfa.

– To i jedzenie – powiedziałem.



– Chciałabym, żeby jeszcze tak się obżerał. Teraz muszę go namawiać... Najśmieszniejsze jest to, że nigdy nie zwracał uwagi na Tima... Nie warczał na niego, po prostu go ignorował. Tak czy inaczej...

– Niedługo przyjadę – obiecałem. – Gdzie mieszkasz?

– Tam gdzie kiedyś. W sensie fizycznym. Do widzenia, Alex. Bądź zdrow.

Z wyliczanki wyszło mi, że zjem zupę z puszki. Kurczak z kluskami. Decyzja nie powinna była mi zająć piętnastu minut. Otwierałem właśnie puszkę, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć, to ja – powiedziała Allison. – Mam problem.

– Jesteś zajęta? Myślałem, że się spotkamy, ale może być jutro.

– Musimy się spotkać – powiedziała. – W tym właśnie problem.

Byłem u niej w poczekalni dwadzieścia minut później. Pomieszczenie było puste i subtelnie oświetlone. Nacisnąłem czerwony guzik obok plakietki DR GWYNN i Allison wyszła.

Nie przytuliła mnie, nie pocałowała, nie uśmiechnęła się – i wiedziałem dlaczego. Włosy miała związane, a długi dzień pożarł prawie cały jej makijaż. Zaprowadziła mnie do małego bocznego gabinetu, zazwyczaj zajmowanego przez jej asystentkę.

Przysiadła na krawędzi biurka, przekreśliła na ręku złotą bransoletkę.

– Mówi, że jest gotowa.

– Twoja pacjentka – powiedziałem. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

– Uwierz. Pięć miesięcy terapii.

– Możesz mi powiedzieć, jak do ciebie trafiła?

– Mogę ci powiedzieć wszystko. Dała mi wolną rękę. Nie skorzystam z tego, bo w jej obecnym stanie umysłu nie można jej wierzyć, że będzie podejmować optymalne decyzje.

– Przykro mi, Ali...

– Polecił mi ją jeden z wolontariuszy z Tabernakulum Łaski Świętej. Szukała terapeuty, trochę pobłądziła, w końcu znalazła kogoś, kto miał dość rozumu, żeby ją skierować do mnie. To odporne dziecko i pozornie radziła sobie dobrze. Dokładniejsza analiza wykazałaby, że radziła sobie świetnie, bo nie ma tu żadnego uzależnienia, dziewczyna ma pracę i zarabia: pracuje w Gapie. Ma piętnastoletniego rżęcha, który zazwyczaj odpala, i mieszka w dwupokojowym mieszkaniu z trzema innymi dziewczynami.

– Przyjmujesz ją za darmo?

– Nie ma czegoś takiego, jak „za darmo”. Nie sprzedaję złudzeń.

Allison jeden dzień w tygodniu pracowała jako wolontariuszka w hospicjum. Była jednym z niewielu zapracowanych terapeutów z Westside, którzy przyjmowali pacjentów z dużymi zniżkami.

Przez to, przypuszczałem, obecność Beth Scoggins była czymś nieco więcej niż zbiegiem okoliczności.

– Pierwsze trzy miesiące spędziłyśmy na zdobywaniu jej zaufania. Potem zaczęłyśmy tańczyć dookoła najważniejszego. Samotne dzieciństwo było oczywiście bardzo ważne, ale opierała się. Nie chciała też mówić o rodzinie zastępczej, powiedziała tylko, że to nie było przyjemne. Przez ostatnich kilka tygodni trochę z niej wyciągnęłam, ale to był długi proces. Następną wizytę miała umówioną za cztery dni, ale godzinę temu zadzwoniła. Zdenerwowana, zapłakana. Nigdy jej takiej nie słyszałam, zawsze była raczej powściągliwa. Kiedy się w końcu uspokoiła, powiedziała mi, że niespodziewanie zadzwonił do niej ktoś podający się za psychologa, niby prowadzący badania nad rodzinami zastępczymi. Wystraszyło ją to i zmieszało, nie wiedziała, co myśleć. Potem podała mi nazwisko tego dzwoniącego.

Założyła nogę na nogę.

– Przekroczyła prędkość, jadąc tu, Alex. Zaczęła wszystko z siebie wyrzucać, zanim usiadła.

– Co za bałagan. Przepraszam, Ali...

– Z drugiej strony, może to jej wyjdzie na dobre. – Jej spojrzenie napotkało moje. Niebieskie, chłodne, skupione. – Naprawdę prowadzisz badania?

– W pewnym sensie.

– W sensie, robisz coś dla Mila?

Kiwnąłem głową.

– Tego się właśnie obawiałam. Uważałeś, że oszustwo jest absolutnie niezbędne?

Powiedziałem jej, o co zaczęliśmy podejrzewać Drew Daneya. O ciąży, aborcji i samobójstwie Lee Ramos. O szlaku oszustw i zdrady, który zaprowadził mnie do Beth Scoggins.

– To wszystko rzeczywiście mogło sprawić, że uznałeś takie działanie za konieczne – stwierdziła Allison. – W tej chwili mam w gabinecie bardzo wrażliwą dziewiętnastolatkę. Gotowy?

– Myślisz, że to dobry pomysł?

– Ty uznałeś, że to świetny pomysł, zanim się dowiedziałeś, że to moja pacjentka.

– Allison...

– Nie rozmawiajmy o tym teraz, Alex. Ona czeka, a ja mam następnego pacjenta za czterdzieści minut. Nawet gdybym uważała, że to niedobry pomysł, w tej chwili nie mogę jej już od tego odwieść. Otworzyłeś jakąś puszkę Pandory, a Beth to bardzo uparta młoda kobieta. Chwilami aż obsesyjnie. Nie próbowałam tego z niej wyplenić, bo na tym etapie życia upór może jej pomóc.

Zsunęła się z biurka.

– Gotowy?

– Jakież wytyczne? – spytałem.

– Całe mnóstwo – odparła. Ale żadnych, o których musiałabym ci mówić.

Beth Scoggins siedziała sztywno na jednym z miękkich, białych foteli Allison. Kiedy wszedłem, wzdrygnęła się, a potem popatrzyła na mnie spokojnie. Allison nas sobie przedstawiła. Wyciągnąłem rękę.

Dłoń Beth była wąska, piegowata, zimna. Paznokcie ogryzione do skóry. Kiedy ją cofała, drapnęła mnie zadziorem.

– Dziękuję, że się pani ze mną spotyka – powiedziałem.

Wzruszyła ramionami. Włosy koloru słomy ostrzyżone na pазia, wąskie usta ściągnięte przez zmarszczki. Szeroko rozstawione, piwne oczy. Analizujące.

Pracowała jako sprzedawczyni w Gapie, ale tego wieczoru nie korzystała ze zniżki dla pracowników. Jej granatowy kostium wyglądał na stary poliester, do tego o jeden rozmiar za duży. Chude nogi opinały szarawe rajstopy. Niebieskie pantofle na płaskim obcasie ze ściętymi noskami, niebieska plastikowa torebka na podłodze obok fotela. Na szyi naszyjnik ze sztucznych pereł.

Przebrała się za niemodną kobietę w średnim wieku z poprzedniej dekady.

Allison siadła za biurkiem, a ja zająłem drugi biały fotel. Poduszki były ciepłe i pachniały Allison. Znalazłem się metr od Beth Scoggins.

– Przepraszam, że rzuciłam słuchawkę – powiedziała.

– To ja powinienem przeprosić.

– Może wyświadczył mi pan przysługę. – Zerknęła na Allison. – Doktor Gwynn mówi, że współpracuje pan z policją.

– Zgadza się.

– A więc to, co mi pan powiedział, o badaniu, to nie była prawda?

– Możliwe, że zajmę się ogólnie tematem rodzin zastępczych, ale w tej chwili koncentruję się na konkretnej parze zastępczych rodziców. Cherish i Drew Daneyach.

– Drew Daney mnie molestował – powiedziała.

Zerknąłem na Allison. Allison patrzyła na Beth. Przypomniały mi się czasy stażu. Rozmowy z pacjentami pod okiem przełożonych, ukrytych za weneckim lustrem.

– Na początku był bardzo miły i moralizował – ciągnęła Beth. – Myślałam, że trafiłam na kogoś uczciwego.

Jej oczy zaszyły mgłą. Potem znów jej spojrzenie odzyskało ostrość i przeniosło się na Allison.

– Mam opowiedzieć wszystko od początku?

– Jak uważasz, Beth.

Beth wzięła głęboki oddech i wyprostowała ramiona.

– Mój ojciec zostawił moją matkę, kiedy miałam osiemnaście miesięcy, jest jakimś dekarzem, ale nie wiem o nim za wiele, i nie mam żadnych braci ani sióstr. Moja matka przeprowadziła się z Teksasu do Willits, to na północy, a potem, kiedy miałam osiem lat, zostawiła mnie, żeby hodować konie w Kentucky. Mam poważne problemy z nauką. Bez przerwy kłóciłyśmy się o szkołę i wszystko inne. Zawsze mi powtarzała, że jestem trudnym dzieckiem, a kiedy odeszła, uznałam, że to moja wina.

Ścisnęła kolana, połyskujące, srebrne gałki w szarym nylonie.

– Zawsze lubiła konie. Moja matka. Lubiała je bardziej niż mnie i nie mówię tego ot, tak. Kiedyś myślałam, że to dlatego że sprawiałam jej problemy. Teraz wiem, że była leniwa, chciała po prostu mieć zwierzę, które łatwo wytresować.

Beth Scoggins przestała mówić i spojrzała w górę, na sufit. – Skarbie? – powiedziała Allison.

Beth opuściła głowę i szturchnęła stopą torebkę na podłodze. Głęboki oddech. Cichym, beznamytnym głosem podjęła swoją opowieść o odrzuceniu.

Opiekowała się nią babka ze strony matki, wdowa, która z trudem wiązała koniec z końcem, prowadząc sklepik z tandetą. Beth przeszła przez szkołę, niewiele się ucząc. W wieku dwunastu lat odkryła chłopców, prochy i alkohol, w wieku trzynastu nałogowo już uciekała z domu.

– Babcia się wściekała, ale zawsze przyjmowała mnie z powrotem. Policja powiedziała, że mogła mnie zgłosić do zakładu poprawczego, ale uznała, że musi być odpowiedzialna.

Gdyby Beth była moją pacjentką, mógłbym zasugerować, że jej babka ją kochała.

To nie była terapia.

Co to w ogóle było?

– Ostatnim razem uciekałam do Louisville. Autobusem, autostopem, w końcu po tygodniu ją znalazłam. Moją mamę. Zmieniła fryzurę, schudła, była żoną innego hodowcy koni i mieli dziecko, słodką dziewczynkę. Amandę. Nie była ani trochę podobna do mnie. Moja matka zgłupiała, kiedy się pojawiłam. Nie mogła uwierzyć, jak urosłam. Powiedziała, że mogę u nich zostać. Kręciłam się tam przez kilka dni, ale nie lubię koni i nie miałam tam co robić, więc wróciłam. Babcia zachorowała na wątrobę od picia i umarła; zebrali wszystkie śmieci z jej sklepiku do pudeł i wywieźli. Jacyś ludzie z władz stanowych chcieli ze mną rozmawiać, ale uciekałam.

Znów zamilkła.

Opowiadała historię podobną do historii Troya i Randa. Oni zamordowali dziecko. Ta młoda kobieta walczyła, żeby dać sobie radę. Szło jej nieźle, dopóki nie zadzwonił pewien nieznajomy.

– Świetnie ci idzie, Beth – powiedziała Allison.

Pięgowate dłonie Beth zmięły materiał spódnicy.

– Pojechałam aż do Oregonu, potem z powrotem do Willits. Znajomi jechali do LA. Na koncert w Anaheim Pond, powiedzieli, że załatwią mi bilet. Nie załatwili, ale skoro już tu przyjechałam, to zostałam. W Hollywood. Poznałam innych ludzi. – Zamrugała oczami. – Trafiłam w końcu do schroniska w Glendale, prowadzonego przez taką szkołę przy kościele. Przydzielili mnie do pani Daney, a ona była miła, miała włosy trochę jak moja mama. Powiedziała, że mogę się przeprowadzić do niej ze schroniska, mieszkały tam inne dziewczyny, było fajnie, nie można było tylko brać narkotyków. Przeprowadziłam się i było w porządku, tyle że za dużo się tam modlili, a pozostałe dziewczyny pochodziły głównie z Meksyku. Pani Daney uczyła wszystkich w domu, miała podręczniki i plany lekcji. Miałam siedemnaście lat, nienawidziłam szkoły. Pani Daney powiedziała, że trzeba w życiu coś robić, więc zostałam w końcu asystentką pana Daneya. To znaczyło, że jeździłam z nim wszędzie i pomagałam.

– Wszędzie to znaczy gdzie? – spytałam.

– Na obozy sportowe, do kościołów, na kolonie kościelne. Jeździł wszędzie i robił różne rzeczy.

– Związane z kościołem?

– Czasami prowadził modlitwy albo odprawiał msze. Najczęściej był doradcą albo trenerem. Albo uczył Biblii. Robił to, bo potrzebował pieniędzy.

– Tak pani powiedział?

– Powiedział, że odkąd odpuścił sobie karierą pastora, nie zarabiał dość, żeby utrzymywać się tylko z jednej pracy. Powiedział, że wszystkie pieniądze od państwa idą na dzieci. Karmili nas całkiem nieźle i zawsze miałyśmy czyste ubrania, chociaż to były głównie tanie rzeczy. Byłam jego asystentką przez jakiś miesiąc, kiedy zaczął mnie molestować.

Wbiła wzrok w dywan.

– Możesz przerwać, kiedy chcesz – powiedziała Allison.

Beth przygryzła wargę.

– Dodał mi chyba czegoś do seven-up, rohypnolu czy czegoś takiego.

– Uśpił panią? – spytałem.

– Na pewno. Jechaliśmy samochodem, wracaliśmy z jakiegoś obozu, było późno, a on powiedział, że jest głodny. Zatrzymaliśmy się w Burger Kingu, kupił cheeseburgera i dwie butelki seven-up. Kiedy wypiałam swoją, zrobiłam się śpiąca. Kiedy się obudziłam, staliśmy gdzieś indziej, na jakiejś drodze, było zupełnie ciemno. Leżałam na tylnym fotelu, a on był obok mnie, miałam zdjęte majtki i po zapachu poznałam, że to zrobiliśmy. – Zgięła się w pół, jakby zabołał ją brzuch. Dwa oddechy. – Potem zaczęliśmy to robić regularnie. Nigdy nie pytał, tylko zatrzymywał samochód i prowadził mnie na tylny fotel. Trzymał mnie za rękę, otwierał mi drzwi, mówił miłe rzeczy i nigdy mnie nie bolało. Zawsze robiliśmy to szybko, jakby to nie było nic wielkiego. Czasami mówił „dziękuję”. To nie było... to znaczy... niewiele wtedy czułam.

W kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

– Chyba myślałam, że mu na mnie zależy, bo czasem pytał, czy dobrze się czuję, czy było przyjemnie, czy mógłby coś zrobić, żeby było lepiej. – Dotknęła naszyjnika. – Kłamałam i mówiłam, że było przyjemnie. Kilka miesięcy po tym, jak zaczęliśmy, spóźnił mi się okres. Kiedy mu powiedziałam, zaczął się dziwnie zachowywać.

Obie dłonie pełne materiału, zgarnęła spódnicę nad kolana. Szybko ją wygładziła. Pospiesznie wytarła oczy palcami.

– Jak to dziwnie? – spytałem.

– Jakby był jednocześnie zadowolony i przerażony.

– Zadowolony, bo?...

– Bo zaszłam w ciążę. Jakby... nigdy nie powiedział: „Świetnie, jesteś w ciąży”, ale coś było... to, jak na mnie patrzył. Jakby był... Doktor Gwynn?

– Dumny z siebie? – podpowiedziała Allison.

– Tak, dumny z siebie. W sensie, popatrz, co zrobiłem.

– Ale był też zły.

– Właśnie, doktor Gwynn. W sensie, patrz, co narobiłaś, głupia. Nazywał to „problemem”. To twój problem, Beth, ale pomogą ci go rozwiązać. Powiedziałam, że może po prostu mi się spóźnia, już tak miałam. – Wbiła wzrok w podłogę. – Nie przyznałam się, że byłam kiedyś w ciąży, wiele lat wcześniej, ale straciłam dziecko, to nie było prawdziwe dziecko, tylko mała pecynka krwi, widziałam ją w sedesie. To było w Portland, ludzie, z którymi wtedy się zadawałam, zabrali mnie do darmowej kliniki. Wyskrobali mnie tam i bolało jak skurcze. Nie chciałam tego robić jeszcze raz, dopóki nie miałam pewności. Nie chciał mnie słuchać.

– Żądał, żebyś rozwiązała swój problem – powiedziała Allison.

– Powiedział: „Nie stać nas na czekanie, Bethy”. Tak na mnie mówił, Bethy. Nie znosiłam tego, ale nie chciałam go urazić.

Spojrzała na Allison.

– Głupio, co?

– Wcale nie, Beth. Manipulował tobą, wmówił ci, że jest dla ciebie dobry.

Oczy Beth zaszły łzami.

– Tak, dokładnie tak. Nawet kiedy mówił, że mam rozwiązać swój problem, był cierpliwy. Ale nie pozwalał mi się nie zgadzać. Kładł mi palec na ustach, kiedy chciałam powiedzieć „poczekajmy”. Bo nie chciałam znów mieć skrobanki. W każdym razie następnego dnia powiedział pani Daney, że jedziemy gdzieś daleko na jakiś mecz. Chyba do Thousand Oaks. Zamiast tego pojechaliśmy do kliniki, niedaleko jego domu. Był wieczór i wyglądało, jakby tam było zamknięte, ale lekarka kazała nam wejść. Wzięła mnie do gabinetu i szybko zrobiła aborcję.

– Pamięta pani, jak się nazywała? – spytałem.

– Nie powiedziała. Miała dziwny akcent. Niska i ciemna, jakby... nie tłusta, ale... gruba, rozumie pan? Jakby ciężko się jej nosiło obcisłe dżinsy i musiała nosić luźne. Nie było tam z nią nikogo, ale uwijała się szybko, wszystko poszło błyskawicznie. Potem Drew zgłodniał i pojechaliśmy na pączki. Miałam trochę skurczów, ale nie były takie straszne. Kilka dni później przestał mnie ze sobą zabierać i inna dziewczyna została jego asystentką. Nowa, była tam od dwóch dni. Chyba byłam zazdrosna. Na pewno mi się tam nudziło, więc podebrałam mu trochę pieniędzy z portfela i pojechałam do Fresno. Poznałam tam nowych ludzi. Doktor Gwynn? Chce mi się pić.

Wypiła dwie szklanki wody.

– Dziękują, już mi lepiej. – Do mnie: – Może pan zadawać pytania, jeśli pan chce.

– Pamięta pani, jak się nazywała dziewczyna, która została nową asystentką pana Daneya?

– Miranda. Nie wiem, jak miała na nazwisko. Była ode mnie młodsza, miała może szesnaście lat. Meksykanka, jak mówiłam, większość dziewczyn była z Meksyku. Myślałam, że jest z ulicy, ale była tylko rozwydrzona. Kiedy została jego asystentką, odbiło jej, wie pan, „patrzcie na mnie”.

Odwróciła się do Allison.

– Może powinnam była jej powiedzieć, doktor Gwynn. Na czym polega to asystowanie. Ale chociaż byłam tam tylko parę dni, była dla mnie wredna i uznałam, że skoro jest taka cwana, to niech sobie sama daje radę.

– Wiele przeszłaś. Nie musiałaś czuć się odpowiedzialna za kogoś innego – powiedziała Allison.

– Może... Poza tym, jak mówiłam wcześniej, tak naprawdę nie brałam tego za molestowanie. Myślałam, że to było...

– Zainteresowanie.

Beth odwróciła się do mnie.

– Brakowało mi wtedy uczuć, myślałam, że to zainteresowanie.

Łzy pociekły jej z oczu, odwróciła się znów do Allison.

– Co pani powiedziała w zeszłym tygodniu, doktor Gwynn? Każdy szuka kogoś, z kim mógłby się związać? Chyba jakoś tak.

Allison wyszła zza biurka i stanęła obok Beth. Beth wyciągnęła rękę, a Allison ją wzięła.

– Wszystko w porządku. Naprawdę... Proszę pana, panie doktorze, może pan zadawać pytania.

– Na pewno? – spytałem.

– Tak.

Allison poklepała ją po ramieniu i wróciła za biurko.

– Myśli pani, że pani Daney wiedziała, co robi pan Daney? – spytałem.

– Nie wiem. Ciągle jej kłamał. Nawet w drobnych sprawach, jakby oszukiwanie jej sprawiało mu przyjemność.

– Jakich drobnych sprawach?

– Kupował pączki i słodczyce i chował je w swoim dziupie. Mówił: „Cherish nie lubi, kiedy wydaję pieniądze na takie byle jakie jedzenie, ale jej nie powiem, co?” I mrugał. To była część... planu, można tak to nazwać. Ale nie dzielił się pączkami i słodczymi. Mówił: „Musisz dbać o tę fantastyczną figurę, Bethy”. – Zaśmiała się. – Jakbym była jakąś supermodelką. Pani Daney była surowa. Ustalała zasady, pilnowała, żeby wszyscy odrabiali lekcje. Czasem trochę się rządziła. Chyba nie miała za wiele rozrywek.

– Dlaczego?

– Siedziała w domu, gotowała, sprzątała, a on jeździł do swoich prac. Powiedział mi: „Cherish nie lubi się bawić”. A potem: „Tak się cieszę, że mam ciebie, Bethy, bo jesteś taka piękna i młoda, masz taką wspaniałą figurę i umiesz się bawić”. Potem zaczął mówić o religii.

– O religii?

– Jak na kazaniu w kościele. Na przykład: „Bawić się to nie grzech, Bethy. Bóg stworzył piękny świat i jeśli się nim nie cieszymy, to dopiero jest grzech”. – Uśmiechnęła się. – Zazwyczaj mówił to, kiedy rozpinął spodnie. Jakby musiał... przekonać sam siebie, że to, co robi, Bogu nie przeszkadza. – Niecierpliwie machnęła ręką. – Wygłaszał te swoje długie, głupie mowy o Bogu i zabawie. Że Bóg nie jest Bogiem zemsty, jak w Starym Testamencie. Bóg to fajny gość, który chce, żeby wszyscy się dobrze bawili.

Stwórca jako balangowicz. W Hollywood to by zrobiło furorę. Beth Scoggins zaśmiała się chrapliwie.

– Jakby musiał przekonywać sam siebie, że jest fajnym człowiekiem. Potem zasłama w ciążę i wyszło, że to mój problem. Chyba mu się to podobało.

– Co podobało?

– Moja aborcja. Kiedy jechaliśmy w tamtą stronę, nic nie mówił, ale kiedy było już po wszystkim, wpadł w świetny humor. Jedziemy na pączki. Jakby to była dla niego zabawa.

Spytałem, czy pamięta nazwę kliniki aborcyjnej.

– Coś tam kobiety.

– Centrum Zdrowia Kobiety?

– Tak, to właśnie to. Pełno tam było plakatów o AIDS, bezpiecznym seksie i podejmowaniu mądrych decyzji.

– Czy lekarka zrobiła pani coś jeszcze oprócz aborcji?

– Na przykład co?

– Badanie krwi, badanie ogólne.

– Nie, nic. Jak mówiłam, wszystko poszło szybko. Najpierw coś przeciwbólowego, potem skrob skrob, koniec, masz tu midol, jakby zaczęło boleć. – Zadrżała. – Trochę to było upiorne, wszędzie pustki, w środku nie paliły się światła. I byłam sama. Drew przekazał mnie lekarce i wyszedł. Zaczekał na mnie w samochodzie.

– Poszła pani na kontrolę?

– E-e – odparła, kręcąc głową. – Brałam tylko midol. Drew proponował mi inne pigułki, to był chyba demerol. Nie wzięłam ich. Odkąd trafiłam do schroniska, byłam czysta i trzeźwa.

Nie licząc rohypnolu, żeby rozkręcić zabawę.

– Beth, czy wie pani, czy Drew molestował też inne dziewczynki oprócz Mirandy i pani?

– Nie widziałam tego, ale pewnie tak. Bo on był... nie denerwował się. Jakby był do tego przyzwyczajony, wie pan? I w domu były tylko dziewczyny. Dlaczego pan o niego pyta?

Odwróciłem się do Allison.

– W porządku – powiedziała.

– Dziewczyna, którą się opiekował, popełniła samobójstwo.

Oczy Beth pozostały nieruchome.

– Jak?

– Podcięła sobie żyły.

– To straszne. Musiało boleć.

Spytałem, czy chciałaby wiedzieć coś jeszcze.

– Nie.

Podziękowałem jej jeszcze raz, wstałem i uścisnąłem jej dłoń. Wciąż zimną.

– Za chwilę wracam, słonko – powiedziała Allison i wyszła ze mną na zewnątrz.

Dochodziła dziewiąta, po Montana Avenue przechadzali się spacerowicze.

– Jeśli o mnie chodzi powiedziała – nie mam obowiązku tego zgłaszać, bo ona ma dziewiętnaście lat. Ten facet to potwór, ale w tej chwili to nie mój problem. Beth może zmienić zdanie, ale na razie będę nalegać, żebyś nie wciągał jej w policyjne dochodzenie.

– Oczywiście.

Dotknęła mojej dłoni. Miała spierzchnięte wargi.

– Muszę wracać. Porozmawiamy później.

– Mogę przyjechać, kiedy skończysz.

– Nie. Jestem wykończona, a mam jeszcze dwóch pacjentów. Jutro też mam ciężki dzień.

Zadzwoń.

Nachyliłem się, żeby ją pocałować.

Ścisnęła moją rękę i nadstawiła policzek.



Kiedy wróciłem do gabinetu, znalazłem teksty na temat Centrum Zdrowia Kobiety, które sobie wydrukowałem.

Jedynym pełnoetatowym lekarzem była tam dyrektor, dr med. Marta A. Demchuk.

Cztery trafienia w wyszukiwarce. Najstarsze sprzed pięciu lat – lista stanowej komisji lekarskiej, wymieniająca lekarzy, którym postawiła zarzuty prokuratura lub którzy mieli sprawy o naruszenie etyki zawodowej. Demchuk była oskarżona o wyłudzenia.

Pięć lat temu, ale wciąż praktykowała. U Mila nikt nie odbierał, ale dodzwoniłem się do niego na komórkę.

– Jesteś w mieście?

– Jeśli Van Nuys to miasto – odparł. – Właśnie skończyłem rozmawiać z dość paskudną panią doktor o szczegółach jej praktyki ginekologicznej.

– Z Martą Demchuk?

Cisza.

– Co jest, do cholery? Jeśli chowałeś się w kącie, nie widziałem cię.

Streściłem mu historię Beth Scoggins.

– Pacjentka Allison? – powiedział. – To się nazywa szczęście.

– Niestety, nie będzie można jej wykorzystać w śledztwie.

– Dlaczego?

– Allison jej broni.

– Może mógłbyś...

– Nie mogę.

Cisza.

– W porządku.

– Jak dotarłeś do Demchuk? – spytałem.

– Im więcej myślałem o tamtej klinice, tym bardziej mi śmierdziała. Daney usuwa tam ciąży nieletnich, rachunki są prawdopodobnie lewe, a on figuruje na liście pracowników z fałszywym magistrem teologii. Poszukałem w sieci tak jak ty, dowiedziałem się, kto tam jest szefem i że postawiono jej zarzuty wyłudzenia. Poszperałem troszkę głębiej, dowiedziałem się, że to Ukrainka, trzy razy zdawała egzamin nostryfikacyjny. No więc pomyślałem, że to jakiś ruski przekręt, i zadzwoniłem do znajomego w komisji lekarskiej. Z tego, co się dowiedziałem, Demchuk zawsze najlepiej wychodziły aborcje, zaczęła je robić natychmiast, jak tylko dostała licencję. Najpierw w innych klinikach, też prowadzonych przez Ukraińców, potem, dziewięć lat temu, założyła własną.

– Zdrowie Kobiety.

– Na zdrowie to wychodzi tylko jej samej – powiedział Milo. – Same ubezpieczenia państwowe, zgarnia niezłą kasę.

– Twierdzi, że klinika jest non-profit. Te wszystkie bale charytatywne...

– To znaczy tylko tyle, że Demchuk zgłosiła klinikę jako non-profit i wpisała siebie jako pracownika. Bierze olbrzymią pensję, a klinika ciągle jest niewypłacalna. Sześć lat temu wpadła w kłopoty przez niedbałe księgowanie, dublowała rachunki. Twierdziła, że to błąd księgowej, że nie wiedziała, co robi jej personel, dostała sześćdziesiąt dni zawieszenia przywilejów ściągania pieniędzy z MediCalu.

– Czyli klapsa po łapach – powiedziałem. – Odpowiednie znajomości?

– Jej mąż to znany prawnik od imigrantów, wspiera różnych polityków.

- Stąd charytatywne bale.
- Stąd. Wpadłem do niej godzinę temu. Wyciąga siedmiocyfrowe sumy, ale wystrój wnętrza mają marniutki.
- Pewnie żeby łapać za serce darczyńców – stwierdziłem. – Pracowała do późna?
- W środku paliło się światło, a mercedes Demchuk był jedynym samochodem na parkingu. Nie zatrzymałbym się, ale zauważyłem przecnicę dalej inny wóz. Białego dzipa.
- Daney tam był?
- Jeszcze jak był. Siedział w środku, jadł coś, a sądząc po tym, jak kiwał głową, słuchał muzyki. Zrobiłem kółko i zatrzymałem się pół przecznicy dalej. Dwadzieścia minut później Demchuk pojawiła się z dziewczyną, która szła trochę niepewnie. Daney wysiadł z dzipa, objął ją, pomógł wsiąść i pojechali. Rozpoznałem ją. To ta dziewczyna, którą Cherish próbowała uczyć matematyki.
- Valerie Quezada. Szesnastolatka z ADD.
- Najwyraźniej lubi młode i bezbronne. Najciekawsze jest to, że sądząc po mowie ciała ona też go lubiła. Oparła mu głowę na ramieniu. Zanim wsiadła do dzipa, pocałowała go w rękę. A to wszystko tuż po tym, jak miała aborcję.
- Beth Scoggins mówiła, że był łagodny, przekonujący, schlebiał jej. Dopóki nie zaszła w ciążę, wtedy zrobił się oschły i z nią zerwał.
- No, z Valerie jeszcze nie zerwał. To znaczy, że nawet gdybyśmy znaleźli sposób, żeby z nią porozmawiać, nie powiedziałyby ani słowa. A ty mi jeszcze mówisz, że Scoggins nie będzie współpracować. Mam związane ręce.
- Beth powiedziała, że jej następczynią była jakaś Miranda. Był ktoś taki na liście?
- Sprawdź jutro – powiedział Milo. – A więc na Allison ogrom przestępstw tego dupka nie robi wrażenia?
- Allison na krótką metę musi myśleć o zdrowiu psychicznym Beth Scoggins – wyjaśniłem. – Poza tym nie mam teraz na nią specjalnie wpływu.
- Czemu?
- Zobaczyła mnie w innym świetle i jej się to nie spodobało.
- W jakim świetle?
- Podstępny.
- Taka kobieta ciągle uważa, że mężczyźni nie kłamią? Myślałem, że kręcą ją te wszystkie policyjne sprawy.
- Kręciły, dopóki nie znalazła się za blisko.
- Naprawdę myślisz, że nie ma sensu jeszcze raz z nią porozmawiać? Może za parę dni?
- Będę improwizował. W końcu Beth może postanowić wszystko ujawnić. Na razie Allison uważa, że to by było dla niej za wiele.
- „W końcu” Daney uwiedzie następną dziewczynę. Nie odpowiedziałem.
- W porządku. W każdym razie, kiedy Daney odjechał, Demchuk została na zewnątrz i zapaliła papierosa. Lekarka, a pali. Postanowiłem zaryzykować, podszedłem ją po ciemku, błysnąłem odznaką, wystraszyłem ją jak cholera. Upuściła papierosa, cała zasypała się popiołem. Ale szybko doszła do siebie, zrobiła się pyskata, oświadczyła, że nie ma nic do powiedzenia, i wróciła do środka. Poszedłem za nią, zaczęła mi wykrzykiwać prawa obywatela, rzucała też puste pogroźki, ja się postawiłem i w końcu znaleźliśmy wspólny język. Bo ona też nie przepada za Daneyem. Mówi, że to chciwy chytrus.
- Dostaje dolę? Powiedziała to?
- Twierdzi, że *niet*, że w planie nie było nic takiego, że to była po prostu sytuacja korzystna dla wszystkich. Zaczęło się od tego, że na prośbę Sydney Weider wpisała Daneya do

komitetu doradczego. Weider chciała, żeby Daney był wiarygodniejszy przy sprzedaży scenariusza. Niedługo potem zaczął przyprowadzać Demchuk dziewczyny.

– Demchuk podejrzewała, że to coś więcej niż zatroskany zastępczy tata?

Wyparła się tego, ale daj spokój, tyle aborcji?

– Tyle?

– Umówiliśmy się tak, że kiedy przymknę Daneya, zrobię, co będę mógł, żeby Demchuk w to nie mieszać. W zamian musiała pokazać mi dokumenty wszystkich podopiecznych Daneya, którym usuwała ciążę, i udzielić innych informacji, gdybym ich zażądał. Miała to wszystko w komputerze i wydrukowała mi. Dziewięć dziewczyn w ciągu ośmiu lat.

– Mój Boże.

– Tak jak mówiłeś, Daney ma nieletni harem. Ten facet to niezły kawał drania.

– Pod własnym dachem ma idealny dobór ofiar. Porzucone dziewczynki z niską samoocena, problemami z nauką, prawdopodobnie już aktywne seksualnie. Rozmyślnie je zapładnia, dostaje dolę za usunięcie płodu. A za to wszystko płacą podatnicy.

– Nie wnikając już w kwestię, czy życie zaczyna się od poczęcia, Alex, to tak naprawdę prenatalny seryjny morderca, prawda? Co go w tym podnieca?

Zastanowiłem się.

– Tworzenie i niszczenie. Zabawa w Boga.

– Dziewięć dziewczyn – powiedział Milo. – I ani jedna się nie poskarżyła.

– Jest łagodny, uwodzi, nie zmusza. Wiąże to wszystko z ojcowską intymnością. Kiedy przerzuca się na następną dziewczynę, każda myśli, że to jej wina. Beth przyznała, że była zazdrosna. Poradziła sobie z tym, uciekając.

– Ten jego dom. Przerobiony garaż i ten dziwny budynek z pustaków? Dużo zabudowy, jak na taką małą działkę. Myślałem, że to sypialnie dla dzieci. Ale kto wie, co się tam dzieje. Cherish na pewno nie, prawda?

– Beth mówiła, że Drew uwielbiał oszukiwać Cherish. Od drobiazgów, na przykład jedzenia paczków po cichu, po zostawianie jej z całą robotą, kiedy zabierał swoje „asystentki” w trasę.

– No dobrze. Może to przez jakiś czas mu się udawało, ale w końcu się zorientowała – zauważył Milo.

– I zaczęła sypiać z Barnettem Malleyem.

– Grzech w jej własnym wydaniu.

– Jak w rozmowie z Demchuk wyszła chciwość Daneya?

– Od jakiegoś czasu sugerował, że mógłby dostawać jakąś działkę. Żeby go spławić, Demchuk pożyczala mu pieniądze, małe sumy, których nigdy nie oddał, według niej razem jakieś trzy, cztery kawałki. Ale ostatnio zrobił się natarczywy. Wprost zażądał swojej działki. Upierał się, że jest jej najlepszym „źródłem pacjentek”. Sugerował, że może pójść gdzieś indziej. Demchuk nie należy do ludzi, którzy lubią się dzielić. A Daney nie mógł trafić na gorszy moment, bo Demchuk chce przejść na emeryturę, sprzedać klinikę. Zamierzała dać mu jakieś pieniądze na odczepnego. Powiedziałem jej, że niełatwo będzie sprzedać klinikę, kiedy wyjdą na jaw wszystkie świństwa Daneya. Ująłem to tak, jakby to się miało wydarzyć szybciej niż w rzeczywistości. Demchuk próbowała udawać spokój, ale widziałem, że ją trafiłem. Dlatego właśnie powiedziała, że chce się dogadać i pozbyć Daneya. Na przykład oddając mi usunięty płód Valerie Quezada.

– Trzyma je?

– Nie, wyrzuca do śmietnika za klinikę, co jest pogwałceniem przepisów sanitarnych. Kazałem jej go wydobyć i zapakować w suchy lód, a potem zawiozłem do koronera, żeby go

przechowali razem z próbkami tkanek Kristal Malley. Tu właśnie jestem, wdycham woń rozkładu i piję państwową kawę. Na razie nic nie wiadomo o moim DNA, ale wygląda na to, że będę musiał wysłać do Cellmark następną paczkę. W płodzie mamy DNA Daneya, to będzie prezent dla Wydziału Przepływów Seksualnych Przeciwko Nieletnim, który właśnie utworzyli w śródmieściu.

– Wciągasz ich do sprawy?

– Jeszcze nie. Dopóki nie zbliżę się bardziej do Daneya za morderstwo. Ale pedofilia może się okazać dobrym punktem nacisku.

– Jak długo możesz się z tym wstrzymać?

– Osiem dziewczyn mieszkających na Galton Street spędza mi sen z oczu, ale nie mogę ryzykować, że wszystko spieprzę, działając bez dowodów. Trzeba zwłaszcza zdobyć DNA Daneya. Masz jakąś propozycję, jak się do tego zabrać?

– Zagrajmy na jego ego, zorganizujmy spotkanie. Kupiłeś jego podejrzenia wobec Barnetta Malleya, ale Malley pozostaje tajemnicą; spytaj go, czy ma jakieś inne sugestie.

– To po części prawda. Cały czas przyglądam się Malleyowi i nic na niego nie mam. Dobra, spotkanie twarzą w twarz z Dynamicznym Drew. A potem co? Zakosimy mu szczoteczkę do zębów, żeby zdobyć próbkę?

– To akurat najłatwiejsze – powiedziałem. – Lubi pączki.

Następnego ranka spadł deszcz, a temperatura obniżyła się do kilkunastu stopni. W LA w końcu ruszyły przesłuchania do roli zimy. Kiedy Milo zatrzymał swój służbowy wóz na parkingu Dipsy Donut o dziesiątej rano, niebo zamknęło już swoje podwoje i Vanowen Boulevard pachniała mokrym praniem.

Drew Daney był już na miejscu, pił kawę przy tym samym aluminiowym stoliku. Zajął taką samą pozycję jak za pierwszym razem – widać lubił powtarzalność.

Miał na sobie brązową, sztruksową marynarkę i džinsy; siedział na gazecie, którą rozłożył, żeby wchłaniała wilgoć z ławki. Kiedy nas zobaczył, uśmiechnął się i pomachał.

Ciepłym uśmiechem, który rozdzielił jego srebrzystą krótką brodę. Oczy mu zamigotały.

To była twarz wcielonego zła. Mógłby być modelem do katalogu narzędzi majsterkowicza.

Milo uściśnął mu energicznie dłoń, jakby byli starymi kumplami.

– Dzień dobry. Nie jest pan głodny?

Daney mrugnął.

– Czekałem na was, panowie.

– Może kupię pudełko?

– Brzmi nieźle, poruczniku.

Milo poszedł do cukierni, a ja usiadłem naprzeciwko Daneya. Moim zadaniem, gdybym postanowił się go podjąć, było uważać na przesłania niewerbalne i inne „psychologiczne wymysły”, które by mi wpadły do głowy.

„Moim zdaniem, Alex, jeżeli wezmę cię ze sobą, polechcę jego ego. Poczuj się jak równy z równym... chociaż ty oczywiście nie masz sobie równych”.

Zęby Daneya zniknęły, kiedy nie przestając się uśmiechać, zamknął usta.

– Dziękuję, że zgodził się pan tak szybko z nami spotkać.

– Robię, co mogę, żeby pomóc.

Pod marynarką miał nieskazitelnie czystą, żółtą koszulkę polo, ciasno opiętą na szerokiej piersi. Rozwinięta muskulatura. Cera rumiana, oczy jasne.

Uosobienie witalności; czasem – zbyt często – dobre rzeczy przytrafiają się złym ludziom.

– Jak sobie radzi pana żona? – spytałem.

Zamrugnął, słysząc to pytanie.

– W sensie?

– Po śmierci Randa. Wydawała się mocno to przeżywać.

– Oczywiście, że przeżywała – odparł. – Wszyscy przeżywamy. To długotrwały proces; gojenie ran.

– Państwa przybrane dzieci też to przeżyły?

– Zdecydowanie. Rand nie mieszkał z nami długo, ale jego obecność była bardzo odczuwalna. Wie pan, jak to jest.

– Z radzeniem sobie ze śmiercią?

– Z tym i z dziećmi w ogóle. Z fazami rozwoju, które przechodzą – dodał.

– Jaki jest rozrzut wiekowy państwa podopiecznych?

– To wszystko nastolatki.

– To dopiero wyzwanie.

– Żeby pan wiedział.

– Państwo tak z wyboru?

– Jesteśmy masochistami – odparł Daney, parszcząc śmiechem. – A na poważnie: wielu ludzi nie chce mieć do czynienia z bagażem problemów, który niosą ze sobą nastolatki, więc Cherish i ja uznaliśmy, że w ten sposób nasze wysiłki będą najbardziej wartościowe. – Chłopięce wzruszenie ramion. – Ale czasem mam wątpliwości. Czasem to przypomina chwilową utratę zmysłów.

– W to akurat potrafię uwierzyć.

Daney spojrział na cukiernię. W środku było tłoczno, jak za pierwszym razem.

– Rand też dopiero niedawno przestał być nastolatkiem – przypominałem. – Dla państwa dzieci to również mogło być istotne.

– Pewnie – odparł szybko, ale jego oczy powiedziały mi, że nie nadaża.

– Pozorne podobieństwo – ciągnąłem. – Jest cała masa prac na temat tego, jak to się przekłada na współodczuwanie.

– Jeśli to się mogło przytrafić jemu, może się też przytrafić mnie? – powiedział. – Jasne, to zupełnie logiczne. Ale ja mówiłem o podstawowych kwestiach, z którymi się zmagają. Poczucie tożsamości, ustanawianie autonomii. Poza tym, oczywiście, uważają, że są nieśmiertelne. – Krzywy uśmiech. – A czy my w tym wieku tak nie myśleliśmy? Tyle rzeczy ukrywaliśmy przed rodzicami.

Zmusiłem się do uśmiechu. Starąłem się nie myśleć, co ten facet robił z autonomią młodych dziewczyn.

Trzynastolatek wykrwawiający się w więziennym schowku.

– Dzięki Bogu – powiedziałem – że moi rodzice nie dowiedzieli się o niektórych rzeczach, które robiłem.

– Był pan rozbrykanym dzieckiem? – spytał, przysuwając się bliżej. Przyjrzał mi się uważnie swoimi ciemnymi oczami. Jakbym był najważniejszym człowiekiem na ziemi.

Znów błysnął zębami w uśmiechu.

Charyzma. Najbardziej uzdolnieni psychopaci potrafią się nią posługiwać jak nożem i widelcem. Czasami najsprytniejsi z nich wspinają się na sam szczyt korporacyjnej drabiny albo na najwyższe szczeble obieralnych urzędów. W końcu jednak płytkie aktorstwo często zaczyna być równoważone przez lenistwo i niedbałość.

Posuwanie czyjejs żony w małżeńskim łóżu.

Napisanie i próba sprzedaży kiepskiego scenariusza, i oczekiwanie, że z dnia na dzień zarobi się na nim miliony.

Zapładnianie nieletnich dla rozrywki i usuwanie ich ciąży za państwowe pieniądze.

Przy całych swoich czarodziejskich umiejętnościach manipulacji Daney był całe lata świetlne od miejsca, w którym chciał być, od stylu życia, który podpatrzył, kiedy zadawał się z Sydney Weider: od Brentwood, Aspen, prywatnych odrzutowców, marzeń o czerwonych dywanach. Od tego wszystkiego, co przed snem rozpałało mu umysł.

Patrz na mnie, patrz na mnie, patrz na mnie!

Osiem lat później, choć tyle się wydarzyło, był facetem w średnim wieku, który jeździł na kolonie, śpiewał harcerskie piosenki i próbował wymuszać pieniądze od doktor Marty Demchuk.

Głupi ruch; Demchuk była twarda, a śliski urok Daneya działał tylko na najsłabsze ofiary.

Poruszył dłonią, przeczesał palcami gęste, faliste włosy.

– Nigdy nie byłem na tyle rozbrykany, żeby wpaść w poważne kłopoty – powiedziałem – ale różnie to bywało.

– No pewnie.

– A pan?

Przez chwilę się wahał.

- Nie, ja byłem grzecznym dzieckiem. Może zbyt grzecznym.
- Ministrant?
- Wychowano mnie w przekonaniu, że rozrywka oznacza dobre uczynki.
- Dziecko pastora?
- Zgadł pan...

Jego twarz zasnuł cień.

A potem inny cień, niedźwiedziowaty, przysłonił aluminiowy blat stołu.

Daney się odwrócił i zobaczył stojącego za sobą Mila z zatłuszczonym pudełkiem w ręku.

- Świeżutkie.
- Pachną przepysznie, detektywie.

Milo pozwolił mu wybrać pierwszemu.

Z dżemem. Jak ostatnio.

Kiedy Daney żuł z widoczną przyjemnością, kazałem sobie w duchu wyłączyć tryb analizowania: może po prostu lubi pączki z dżemem.

Wytarł brodę, ugryzł następny kęs.

- Coś pysznego, prawda?
- Grzeszne przyjemności, wielebny – powiedział Milo, połykając kilka faworków naraz.

Wziąłem pączek w polewie z syropu klonowego. Na parking był ciągły ruch: wjeżdżały i wyjeżdżały samochody. Zrobiło się cieplej. Z drugiej strony Vanowen przyleciało stadko gołębi i zaczęło szukać resztek. Milo rzucił im okruch i opadły go jak paparazzi.

- Na dzisiaj dobry uczynek ma już pan z głowy – powiedział Daney.

Zaśmialiśmy się.

Po prostu kilku kumpli obżerających się słodyczami w deszczowy dzień w Valley.

- Naszły pana jakieś refleksje, wielebny? – spytał Milo.

Drew Daney zajrzał do pudełka i wybrał sobie różowego pączka posypanego czekoladowymi wiórkami.

- Nie dowiedzieliście się panowie niczego o Malleyu?
- Chciałbym. To chyba jakiś tajniak.
- To by się zgadzało – stwierdził Daney.
- Z czym?

– Jeśli w przeszłości miał problemy z antyspołecznym zachowaniem, na pewno chciałby to zataić.

- Cóż. Jeśli ukrywa coś poważnego, my to odkryjemy oświadczył Milo.

- Bardzo jest pan pewny siebie, poruczniku.

– Zazwyczaj w końcu wszystkiego się dowiadujemy. To tylko kwestia czasu... Niech mi pan poda tego z czekoladą.

Pudełko stało w zasięgu ręki Mila, ale Daney wyciągnął się nad stołem, żeby mu je przysunąć.

– W każdym razie powiedział – po tym, jak pan wczoraj wieczorem zadzwonił, zacząłem się zastanawiać, dlaczego Malley po tylu latach miałby działać tak brutalnie. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie: Rand stał się dla niego jakimś zagrożeniem. A może Malley tak go tylko postrzegał. To by oznaczało, że jakoś się kontaktowali, więc przejrzałem billing telefoniczny, żeby sprawdzić, czy Rand dzwonił gdzieś w weekend. Nie dzwonił. Więc albo rozmawiał z Malleyem z więzienia, albo zadzwonił z budki, nie wiem, co panom powiedzieć.

- Gdzie najbliżej pana domu jest jakaś budka? – spytał Milo.

Daney uciekł wzrokiem w bok.

– Możecie takie rzeczy sprawdzić?

– Jasne.

– Cóż. Jest chyba jedna kilka przecznic w tamtą stronę. Wskazał na wschód. – Nigdy nie zwracałem na to uwagi. W dzisiejszych czasach, z telefonami komórkowymi, kto by korzystał z budek?

– Ludzie bez pieniędzy – powiedział Milo.

– Hm... Chyba tak.

– Moim zdaniem nie jest ważne „gdzie” – powiedziałem. – Interesuje nas „co”. Co Rand powiedział Malleyowi.

Daney odłożył swojego różowego pączka.

– Ja tylko spekulowałem. Bo o to mnie pan poprosił. Równie dobrze Malley mógł po prostu się wściec, kiedy usłyszał, że Rand wychodzi. Otworzyły się stare rany.

– Albo rany, które nigdy się nie zagoiły – mruknął Milo. – To, jak na pana patrzył w tamtym sklepie...

– Prawda – odparł Daney. – To było mocne. Ale mimo wszystko...

– Pojawiła się znów ciemna ciężarówka?

Daney pokręcił głową.

– Ale często nie ma mnie w domu.

Milo się odwrócił, jakby coś zaprzątnęło jego uwagę. Daney przez chwilę mu się przyglądał, potem podniósł swojego różowego pączka, ale go nie zjadł.

Pozwoliłem, żeby milczenie zrobiło się niezręczne.

– Na potrzeby dyskusji założmy, że Rand powiedział Malleyowi coś, co Malleya wzburzyło. Jak pan sądzi, co to mogło być?

– Hm... – mruknął Daney. – To chyba nie musiałyby być nic złośliwego. I nie wyobrażam sobie, żeby Rand mógł dążyć do konfrontacji. Właściwie to był miły chłopak.

Zaczekał na reakcję Mila. Nie doczekał się.

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy – podjął – to, że doszło tam do jakiegoś nieporozumienia.

– Na przykład? – spytał Milo.

– Sam nie wiem dokładnie, co chcę powiedzieć – wykręcił się Daney. – Jak już mówiłem, to wszystko to takie teoretyzowanie.

– Rozumiem – odparł Milo. – Ale niech pan spróbuje, bo nie mamy nic innego.

– Cóż, kiedy przywieźliśmy Randa do domu, był wyraźnie niespokojny. Jak panom opowiadałem. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie: dręczyło go poczucie winy. Może chciał się z tego jakoś wyzwolić, spotykając się z Malleyem twarzą w twarz i przeproszając.

– Albo Malley go zaczepił i zażądał przeprosin dorzuciłem.

– Oczywiście. To też.

– Dla mnie to drugie brzmi rozsądniej, wielebny – powiedział Milo. – Malley śledzi Randa, kiedy ten wychodzi z pana domu na budowę, bierze go do samochodu albo przekonawszy o swoich pokojowych zamiarach, albo pod bronią. Potem coś, może przeprosiny, których zażądał, a może coś innego, idzie nie tak. Jak sądzisz, doktorze?

– Mogło tak być – przytaknąłem.

– Rand nie umiał się wysławiać, detektywie – przypomniał Daney. – Jestem w stanie sobie wyobrazić, że powiedział coś niewłaściwego, ujął coś w taki sposób, że rozpałił wściekłość Malleya. To znaczy, czy nie tak właśnie zaczyna się wiele zbrodni?

– Od nieporozumienia.



– Dwóch facetów w barze – powiedział Daney. – Sprzeczka wymyka się spod kontroli? Czy nie na tym polega duża część pracy policjanta?

– Jasne – odparł Milo.

Daney odgryzł kawałek różowego pączka. Zjadł połowę i odłożył go.

– Jest jeszcze coś. To ryzykowny domysł, ale skoro już teoretyzujemy...

– Co takiego?

Daney się zawahał.

– Proszę pana?

– To rzecz z bardzo dawna, detektywie. Z czasu przesłuchań chłopców. Poświęcałem tej sprawie bardzo dużo czasu, bo obrona prosiła mnie, żebym jej pomagał. Cherish i ja byliśmy na wszystkich spotkaniach i rozprawach i mogliśmy obejrzeć materiał dowodowy.

– W materiale dowodowym coś było nie tak? spytał Milo.

– Nie, nie, nic takiego. Zmierzam do tego, że w moim fachu człowiek uczy się obserwować. Ludzi, ich reakcje. Trochę tak, jak pan to robi, doktorze.

Kiwnąłem głową.

– Niezręcznie mi o tym mówić – wyznał Daney. – Nie podpisałbym się pod tym i naprawdę wolałbym, żeby się pan na mnie nie powoływał. Ale gdyby udało się to panu potwierdzić niezależnie ode mnie... – Przerwał. Podrapał się po brodzie. Pokiwał głową. – Przepraszam, że tak kręcę, ale... – Pomasował szczękę, znów pokiwał głową. – Sam nie wiem, może to nie jest najlepszy pomysł.

– Nie idzie nam najlepiej, wielebny – powiedział Milo. – Dosłownie wszystko, co może nam pan powiedzieć, będzie dla nas pomocą. A jeśli to coś, co mogę potwierdzić niezależnie, obiecuję, że tak zrobię.

– W porządku zgodził się Daney. – Po pierwsze, muszę powiedzieć, że nie mówiłem o tym do tej pory, bo chłopcy byli jednak winni. To nie znaczy, że według mnie nie zasługiwali na współczucie. Ale wszyscy dość się już wycierpieli, nie było sensu.

Sięgnął po następne ciastko, wybrał na oślep, wyjął roladkę z jabłkiem. Trzymając ją w dłoni, patrzył, jak płatki ciasta spadają niczym śnieg na stolik.

– Kolor oczu – powiedział ledwie słyszalnym szeptem. – Mała Kristal miała piwne oczy. Nie zwróciłbym na to uwagi, ale w materiale dowodowym były zdjęcia tej biednej dziewczynki. Za życia i po śmierci. Nie mogłem się zmusić, żeby obejrzeć te pośmiertne. Pozostałe były robione, kiedy była jeszcze niemowlęciem, oskarżenie zamierzało ich użyć, żeby wzbudzić współczucie. Podkreślić, jaka była mała i słodka... Ale to już nieważne. Chodzi o to, że zobaczyłem te zdjęcia, ale wtedy fakt, że Kristal miała piwne oczy, niewiele mi powiedział. Dopóki nie zauważyłem, że i Lara, i Barnett mają oczy jasne. Ona niebieskie albo zielone, nie jestem pewien. On na pewno niebieskie. Nie jestem genetykiem, ale w szkole nauczyłem się dość, żeby wiedzieć, że piwne oczy są dominujące i rodzice o jasnych oczach nie mogą zazwyczaj mieć ciemnokoch dzieci. Zacząłem coś podejrzewać, lecz tak jak mówiłem, nie było powodu tego rozgrzebywać, co by to dało? Ale wczoraj wieczorem, po tym, jak pan zadzwonił i poprosił, żebym się poważnie zastanowił nad tą sprawą, poszukałem w Internecie i okazało się, że to wysoce nieprawdopodobne, prawie niemożliwe, żeby dwoje niebieskokoch rodziców spłodziło piwnookie dziecko.

Mówił coraz szybciej, a ostatnich kilka słów zlało się w niesłyszalny szept. Odetchnął gwałtownie, wypuścił powietrze i odłożył roladkę.

– Nie chcę nikogo osądzać, ale...

– Kristal nie była córką Malleya – powiedział Milo. – Nieźle.

– To jedyny logiczny wniosek, poruczniku. I to mogło właśnie być powodem wściekłości pana Malleya.

– Krystal miała prawie dwa lata – przypomniał Milo. – Można by pomyśleć, że Malley wcześniej się połapie.

– Zrobił na mnie wrażenie raczej prostego człowieka. Pracował na rodeo czy coś w tym rodzaju.

– Rodeo?

– Ujeżdżanie, sztuczki z lassem, przynajmniej tak słyszałem – powiedział Daney. Z ust obrony.

– Wygląda na to, że panna Weider się postarała.

– Żeby pan wiedział. Była wyjątkowo pracowita i dokładna. Ucieszyłem się, kiedy dostała tę sprawę.

– Był pan w nią zaangażowany, zanim ją dostała? – spytałem. – Myślałem, że to ona pana wprowadziła jako pomoc.

– Wręcz przeciwnie – odparł Daney. – To ja ją wprowadziłem. Nieoficjalnie, ale miałem w tym swój udział.

– Jak to?

– Znałem Troya, pracowałem z nim w 415 City. Znałem też pannę Weider z pracy z młodzieżą. Moje seminarium prowadziło taki program, praca z nastolatkami z miasta, próba zainteresowania ich aktywnym letnim wypoczynkiem. W trakcie tego programu nawiązałem kontakty z Biurem obrońców Publicznych, bo tam trafiało wielu naszych podopiecznych. Znałem kilku adwokatów, ale stwierdziłem, że dla chłopców najlepsza będzie panna Weider. Właśnie dlatego, że była tak dokładna. Zadzwoiłem do niej i spytałem, czy mogłaby nam pomóc. Powiedziała, że obrońcy są przydzielani według kolejności, ale zobaczy, co się da zrobić.

– Jako przysługę dla pana.

– Po części powiedział Daney. – Szczerze mówiąc, ta sprawa ją przyciągnęła, ponieważ była prestiżowa. Weider jest bardzo ambitna.

– A potem poprosiła, żeby pan został do pomocy. – Milo wyciągał wnioski.

– Właśnie.

– Nie powiedział jej pan o tej sprawie z kolorem oczu?

– Nie, jak mówiłem, nie widziałem sensu.

Milo odetchnął.

– Nieźle... To po prostu bomba. Dzięki, wielebny.

– Nie lubię obmawiać ludzi, ale...

– Według pana Rand wiedział, że Krystal nie była dzieckiem Malleya, i wspominał mu o tym.

– Nie, nie – zaprotestował Daney. – Aż tak daleko nie zaszedłem.

– Ale tak mogło być.

– Nie, naprawdę nie sędzę, poruczniku. Jak Rand mógłby się tego dowiedzieć?

– Tak samo jak pan. Zauważył.

Daney pokręcił głową.

– Rand nie był taki spostrzegawczy. Ale nawet gdyby wiedział, nie byłoby powodu rzucać tego Malleyowi w twarz.

– W takim razie o co poszło?

– Zmierzam do tego, i to już zupełna fantazja, że może Barnett Malley nie był do końca ofiarą.

Daney się wzdrygnął, odepchnął roladkę.

– Mam wrażenie, że... brnę w coś i nie czuję się z tym dobrze. Przepraszam.

Podciągnął sztruksowy rękaw i spozjrzał na sportowy zegarek z czarną tarczą. Milo położył mu rękę na ramieniu. Błysnął swoim wilczym uśmiechem. Daney na sekundę zmartwił. Potem się przygarbił, spozjrzał na nas nieszczęśliwym wzrokiem.

– Mam takie dziwne uczucie, panowie, wiecie, jak człowiek zabrnę za daleko...

– Twierdzi pan – wtrąciłem – że Malley się dowiedział, że Lara go zdradza, wściekł się i postanowił wyładować to na Kristal.

– Więcej nie powiem – odparł Daney. – Bo się boję i nie wstydzę się do tego przyznać.

– Boi się pan Malleya? – spytał Milo.

– Mam na utrzymaniu wiele osób, detektywie. Dlatego właśnie nie skaczę ze spadochronem, nie jeżdżę na motocyklu ani nie wspinam się po górach.

– Tęskni pan za tym?

– Już nie. Naprawdę muszę już iść...

– To zupełnie nowy punkt widzenia, Milo – powiedziałem. A do Daneya: – Czy Malley znał Troya i Randa przed morderstwem?

– Nie wiem – odparł Daney.

– Lara często chodziła do centrum handlowego, chłopcy też. Więc Barnett również miałyby możliwość ich widzieć. – Odwróciłem się do Milo. – Chodzili do salonu gier. Może Malley też lubił sobie pograć. Przecież jest raczej prostym facetem.

Obaj spojrzeliśmy na Daneya.

– Możliwe – powiedział.

– Troy i Rand nigdy nie wspominali, że znali Malleya? spytał Milo. – Po aresztowaniu?

– Troy na pewno nie – odparł Daney. – Z Randem wiele nie rozmawiałem, był wtedy raczej milkliwy. Prawda, doktorze?

– O tak – odparłem. – Ale miałem wrażenie, że coś ukrywa.

– Wzbraniał się. Tak, wyczułem to samo – potwierdził.

– Frustrujące.

– Próbowałem go otworzyć – powiedział Daney – ale nie będąc psychologiem, nie chciałem zapuszczać się na niezbadane tereny. Ostatecznie okazało się, że to i tak nie miało znaczenia, ponieważ sprawa została rozwiązana optymalnie. Przynajmniej tak mi się zdawało.

– Co ma pan na myśli? – spytał Milo.

– Proszę spojrzeć, co się stało z Troyem. I z Randem.

– Rozumiem, o co panu chodzi, wielebny. Co do tego, że Rand był mało spostrzegawczy.

Ale jeśli naprawdę wiedział, że Malleyowi można przypisać część winy, czy zatajałby to przez osiem lat?

– Może – odparł Daney. – Był bardzo zagubiony.

Poderwał się.

– Przepraszam, to wszystko robi się zbyt skomplikowane, a ja nie mogę już nic więcej panom powiedzieć. Jeśli to panom w czymś pomoże, świetnie. Ale proszę nie powoływać się na moje nazwisko.

Przesunął dłońmi po koszuli, jakby strzepywał kurz.

Milo wstał, stanął naprzeciw niego, wykorzystał swój wzrost.

– Oczywiście, proszę pana. Szczerze mówiąc, nie spędzałoby mi to snu z oczu, bo nie widzę, jak miałbym cokolwiek z tego wykorzystać.

Daney spozjrzał na niego ze zdziwieniem.

– Jak pan powiedział – wyjaśnił Milo – to tylko spekulacje.

Daney kiwnął głową.

– Powodzenia.

Odwrócił się, zrobił krok do przodu.

– Chodzi mi o to, że to wszystko miałooby znaczenie dopiero wtedy, gdybyśmy zdobyli konkretne, materialne dowody przeciwko Malleyowi i wsadzili go za kratki. Wtedy poprosilibyśmy pana, żeby pan zeznawał – powiedział Milo.

Daney się zatrzymał. Słaby uśmiech.

– Gdyby tak się stało, detektywie, z przyjemnością zrobiłbym, co do mnie należy.

Milo popatrzył za odjeżdżającym białym dżipem.

– Szkoda, że nie ma tu gdzieś prysznic.

Ze swojej teczki wyjął foliową torebkę na dowody, włożył lateksowe rękawiczki, zamknął kubek z kawą Daneya i zapakował go. Do drugiej torebki trafił nadjedzony, różowy pączek.

– Zabrał się do niego tuż przed tym, jak łaskawie zdradził nam swoje przemyślenia na temat koloru oczu. Apetyt mu skoczył, bo podnieciła go gra.

– Poinformował nas, że kowboj nie był tatą Kristal. Myślał, że jest delikatny.

– Podniecało go to podwójnie: sam został bohaterem, udzielając ci ważnych informacji. Do tego jeszcze bardziej skierował twoją uwagę na Malleya.

– Tak się bał złego starego Barnetta, ale z marszu nam powiedział, że Malley jest aspołeczny, że ukrywa swoją przeszłość.

– To mogło być coś więcej niż strategia odwracania uwagi – powiedziałem. Przypisywał własne zachowania Malleyowi, świadomie lub nie.

– Sam się krył.

– Kłamstwa nie zaczęły się od podania o przyjęcie do seminarium. Daney tworzy image Wesołego Faceta, ale Wrażliwego i Uduchowionego. Kiedy ty zamawiałeś ciastka, powiedział mi, że był grzecznym dzieckiem, wychowywanym w kościele. Ciekawe, jak naprawdę wyglądało jego dzieciństwo.

Milo schował torebki do teczki.

– Pora na poważne wykopaliska. Byłoby miło, gdybym dowiedział się czegoś więcej, nie tylko o Malleyu. Nie mogę znaleźć żadnych polis ubezpieczeniowych na Larę i Kristal, kowboj najwyraźniej używa prawdziwego nazwiska i numeru ubezpieczenia, nie był aresztowany, nie służył w wojsku, nie posiada nieruchomości. Udało mi się odnaleźć jego miejsce urodzenia, w Alamogordo w Nowym Meksyku, ale tamtejsza policja nic o nim nie wie, nie mieszkają tam też żadni Malleyowie. Może coś przeoczyłem, są teraz różne komputerowe sztuczki, do których departament nie ma dostępu...

Porwał swój telefon ze stołu, wystukał numer i poprosił Sue Kramer.

Dwie sekundy później:

– Nancy Drew? Mówi Joe Hardy. Słuchaj, nie wiem, jak stoisz z czasem, ale... naprawdę? Doskonale... słuchaj, Sue, wy, prywaciarze, możecie robić różne rzeczy, których ja nie mogę... nowoczesne wynalazki, wiesz... tak, właśnie, muszę się przyjrzeć dwóm gościom... jemu i jeszcze duchowemu doradcy, Daneyowi... powiedzmy po prostu, że zaczął nas interesować... to, co zwykle, i wszystko inne, co ci przyjdzie do głowy... lepiej wcześniej niż później, zapłacę ci osobiście... nie, nie, przyślij mi pełny rachunek... mówię poważnie, Sue... dobrze, w porządku, ale przyślij coś... dzięki, miłego dnia, pomyślnych wiatrów.

Rozłączył się.

– Właśnie skończyła swoją obserwację w Beverly Hills. Zauważyła koreańską wdowę, jak wchodzi do mieszkania, znalazła ją modlącą się przy jakimś ołtarzyku, płaczącą, jak strasznie kochała mężula, dlaczego on się musiał zabić. A więc zostaje, że to samobójstwo, Sue jutro zacznie kopać, jak tylko wróci z małego urlopu.

– Wiatry. Żegluj? – spytałem.

Pomyślałem o krótkim epizodzie Mila w roli prywatnego detektywa, którym został, kiedy zawieszono go w policji. Wzrost dochodów. Plaga nudy. Kiedy departament przyjął go z powrotem, wrócił jak tresowany gołąb.

- Żegluję swoją nową łodzią – powiedział. – Całą nockę po morzu.
- Cały czas pani prywaciara?
- Brak biurokracji i paramilitarnego rygoru? Szansa zarobienia konkretnych pieniędzy?

Za czym tu tęsknić?

Spojrzał na telefon, zamknął go.

– Ta uwaga Daneya, że jestem bardzo pewny siebie. Co to było, drwina?

– Albo sondowanie. Albo jedno i drugie – odparłem. – Na pewno cię sondował, kiedy sprowadził rozmowę na temat budek telefonicznych. Kiedy powiedziałaś, że jesteście w stanie śledzić rozmowy z budek, uciekł wzrokiem.

– Tak, zauważyłem.

– Rand dzwonił do mnie z budki, ale Daney nie mógł o tym wiedzieć, chyba że przy tym był.

Oczy Mila stały się wąskie jak chirurgiczne nacięcia.

– Daney był z Randem w dniu jego śmierci.

– Albo w pobliżu, patrzył, jak Rand dzwoni. Co mi nasunęło na myśl cos takiego: a jeśli wymyślił historię o czarnej ciężarówce, żeby odwrócić uwagę od faktu, że to on sam, a nie Barnett, śledził Randa? Cherish powiedziała nam, że tego popołudnia nie było go w domu.

– Pojechał do jednej ze swoich fundacji.

Milo przełożył telefon z ręki do ręki. Zabębnił palcami po stole. Potarł twarz.

– To Daney załatwił Randa – powiedział w końcu. – A nie Malley.

– Skupiliśmy się na Malleyu, tylko dlatego że skierował nas w tę stronę Daney.

– To raz, dwa, że teściowa Malleya powiedziała, że to parszywy diler narkotyków, który maltretował Larę.

– Parszywy diler, który jest nienotowany, nie ma znanych pseudonimów i używa własnego numeru ubezpieczenia – powiedziałem. – Który legalnie rejestruje broń. Nina Balquin w pewnym sensie zaświadczyła o charakterze Malleya. Nienawidzi go, ale nigdy nie podejrzewała, że mógł zamordować Larę.

Milo schował telefon do kieszeni. Zdjął rękawiczki, złapał zawijane ciastko i zaczął jeść, sypiąc okruchami.

– Pozostaje ta sprawa koloru oczu. Malley musiał wiedzieć, że nie jest ojcem Kristal.

– Może Daney miał rację, że Malley był za prosty, żeby się tego domyślić. Ale nawet jeśli wiedział, o ile nie okaże się, że to psychopata, trudno podejrzewać, żeby z tego powodu zabił małe dziecko.

– W przeciwieństwie do Daneya, o którym wiemy, że to bardzo niegrzeczny chłopiec.

Kiwnąłem głową.

– Możliwe też, że Malley wiedział, że nie jest ojcem Kristal, i go to nie obchodziło.

Milo odłożył ciastko.

– Nie przeszkadzało mu, że wychowuje dziecko innego faceta? W to też trudno uwierzyć.

– Malleyowie przez wiele lat mieli problem z bezpłodnością. Lara w końcu zaszła w ciążę, ale co, jeśli to Barnett był bezpłodny i z czasem pogodził się z pomysłem na zastępczego ojca?

– Pozwolił, żeby Lara znalazła sobie rozplodowca?

– Albo Lara z kimś się przespała, zaszła w ciążę, a Barnett się z tym pogodził. Jeśli podejrzenia Balquin o prochy są słuszne, Lara i Barnett mogli wejść w jakieś zachowania alternatywne. Rozwiązłość, grupowy seks. Albo zwykłą pospolitą niewierność.

– Lara zachodzi w trakcie jakiejś orgii, a Barnett mówi: „Wychowajmy je”? Byłby cholernie tolerancyjny, Alex.

– Pewnie masz rację. Ale tak czy inaczej teraz, kiedy znamy prawdę o Daneyu, nie możemy zlekceważyć możliwości, że to on zabił Randa. Nie szczuła nas na Malleya z poczucia obywatelskiego obowiązku.

Milo zrobił jeszcze jedno podejście do ciastka. Skrzywił się i je odłożył.

Napiłem się kawy. Zachlupotała mi w żołądku, paląc jak kret do rur, kiedy moje myśli pomknęły dalej.

– Daney sprzedał nam jeszcze jeden drobiazg, o którym nie powinien wiedzieć. To, że Malley jeździł na rodeo. Twierdzi, że powiedziała mu o tym Sydney Weider, i może tak było. Ale czytałem wszystkie dokumenty sądowe i nic takiego tam nie widziałem. Właściwie miałem nawet wrażenie, że Weider nie interesowała się Malleyami. Daney z nami pogrywa, Milo. I spięprzył sprawę, jak typowy psychopata, bo jest za sprytny, żeby wyszło mu to na zdrowie.

– Daney załatwił Randa. – Milo zapatrzył się w dal. – Nie ma powodu, dla którego tak nie mogłoby być.

– Coś jeszcze: czy chłopcy znali Larę albo Barnetta to pytanie otwarte. Ale jeden z nich na pewno znał Daneya. Troy był rozkwitającym psychopata, Daney to wersja w pełni rozwinięta. Zestaw ich ze sobą i nie ma wątpliwości, kto będzie pociągał za sznurki.

– Troy zabił Kristal na polecenie Daneya?

– A teraz Daney pomoże ci rozwiązać tę sprawę.

– Rany – powiedział Milo. – Masz w głowie samo zło.

– Podobno.

– To pewnie tak, jak z podpalaczami, co wracają i ratują ludzi z pożaru. Albo te mamuski z zespołem Miinchausena, co reanimują swoje dzieci.

– Do Daneya to pasuje – stwierdziłem. – Image jest dla niego ważny. Na zewnątrz to człowiek wierzący, niezmordowany opiekun młodzieży, anioł stróż zbłąkanych nastolatków. Kiedy zamawiałaś ciastka, wdał się w jakiś psychologiczny bełkot, powiedział, że Cherish i on wybierają nastolatki, bo nikt inny ich nie chce. Gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę, kupiłbym to. Tymczasem on wyłudza państwowe pieniądze, uwodzi nieletnie i rozmyślnie je zapładnia. Po kryjomu usuwa ciąży i próbuje wyszarpać z tego coś dla siebie.

– Co za typ... Przynajmniej, kiedy przyjdą wyniki DNA, będziemy mogli go przyskrzynić za gwałt na nieletniej, na Yalerie Quezada. – Pokręcił głową. – Jedna rozmowa i zostaje naszym nowym Hitlerem. Jak to świadczy o winie czy niewinności Cherish?

– Nie wiem. Cały ich związek to wielki znak zapytania.

– Daneya jako szumowiną kupuję – powiedział Milo. – Ale skoro mowa o znakach zapytania, jaki miał motyw, żeby kazać zamordować Kristal?

– Kristal przeżyła powiedziałem.

– Przeżyła co?

– Po prostu przeżyła. Daney nie cierpi, kiedy jego potomstwo żyje i oddycha.

– Daney był ojcem Kristal? Skąd ci się to wzięło?

– Stąd – postukałem się w czoło. – Pomyśl: Daney lubi bawić się w Boga. Tworzy życie i je odbiera. Wiemy, że jego seksualne wyczyny nie ograniczały się do nastoletnich podopiecznych; Sydney Weider. Dlaczego nie inne mężatki? I dlaczego miałby nie grać też z nimi w ciężowego pokera? Twoja uwaga, że to prenatalny seryjny morderca, była trafna. A seryjni potrzebują coraz mocniejszych bodźców.

– Od płodu do prawdziwej ofiary – powiedział.

– Są takie matki. Raz za razem zachodzą w ciążę, ale nie potrafią znieść rodzicielstwa. Ojcowie też. O ilu słyszy się przypadkach, że chłopak albo ojciec za mocno potrząsnął dzieckiem. Zawsze zakładamy, że to impuls, słabe panowanie nad sobą. Ale może tak nie jest.

Wśród naczelnych to się zdarza. Szympanie mamy bez przerwy bronią małych przed agresywnymi tatusiami.

– Ja tworzę, ja niszczę... Tyle że uwodzenie bezbronnych nastolatek to jedno, Alex. Zapłodnienie mężatki to wielka nieostrożność pod każdym względem.

– Dziurawa prezerwatywa albo jakaś inna sztuczka. Beth Scoggins uważa, że Daney ją uspił. Może robił to rutynowo. Poza tym w pewnym sensie mężatki byłyby łatwiejszymi celami niż nastolatki. Bo przekonać je do usunięcia ciąży to pestka. Dopóki Daney nie natknął się na mężatkę, która się nie zgodziła. Bo od dawna pragnęła mieć dziecko.

– Lara – powiedział Milo.

– Pwne oczy Daneya. Chce zrobić na nas wrażenie pana Sposzregawczego, ale nie przypadkiem dowiedział się o dziedziczeniu koloru oczu.

– A teraz rzuca mi to w twarz z udawanym wahaniem. O, stary.

Wyciągnąłem rękę i poklepałem jego teczkę.

– Skoro już przy tym jesteśmy, sugerowałbym kilka innych testów DNA.

Pojechaliśmy Sto Pierwszą do Piątej Południowej, w stronę zjazdu na Mission Street. Milo jechał o wiele za szybko, wydawał się rozkojarzony.

– Jeśli Malley jest niewinny, dlaczego nie chciał ze mną rozmawiać?

– Wymiar sprawiedliwości go zawiódł, wypalił się... Nie wiem. Taką logikę można nagiąć na jego korzyść: gdyby coś ukrywał, czy chciałby wzbudzać twoje podejrzenia?

– Może – powiedział Milo. – Ale wciąż wolałbym go nie skreślać. Nawet jeśli Daney rzeczywiście okaże się ojcem Krystal.

– Otwarty umysł to rzecz zbyt cenna, żeby ją marnować.

Milo się zaśmiał. Ścisnął kierownicę i nadepnął mocniej na gaz; zerknął na leżącą z tyłu teczkę.

– Niespodziewanie otwiera się tyle nowych możliwości. Muszę ci coś wyznać: jeśli Daney zrobił to wszystko, co według ciebie zrobił, to napotkałem właśnie poziom zła, którego się boję.

– A więc jesteś człowiekiem.

– Tylko co drugi dzień. – Jeszcze raz obejrzał się na teczkę. Samochód nie zjechał ani na centymetr. – Tak czy inaczej, motyw zabicia Randa pozostaje taki sam: ukrycie prawdy o Krystal. Ale pozostaje jeszcze problem, skąd Rand o tym wiedział. I fakt, że Krystal miała prawie dwa lata; to aborcja mocno spóźniona. Jeśli Daney pała żądzą niszczenia własnego nasienia, po co czekałby tak długo?

– Może namawiał Larę, żeby usunęła ciążę. Ona się zezłościła, odmówiła, zerwała z nim kontakt. Daney musiał się wycofać, ale nie mógł znieść porażki. Cały czas fantazjował. Knuł. Znalazł trzynastolatka, którego mógł wynająć do zabójstwa.

– Lara robiła zakupy w centrum, chłopcy kręcili się przy salonie gier.

– Inna możliwość: związek Lary z Barnettem robił się coraz trudniejszy i postanowiła od niego odejść. Bo też miała swoje marzenia.

– O naszym przyjacielu Drew.

– O facecie wydolnym biologicznie. Ale naciskanie na Drew było śmiertelnym błędem.

– Zapłacił za głowę jej dzieciaka. Ją też załatwił.

– Albo to naprawdę było samobójstwo. Domyślała się, dlaczego Krystal zginęła, nie mogła nikomu o tym powiedzieć, bo sama by się obciążyla. Jej depresja się pogłębiała, aż w końcu się zabiła.

– Strzał w głowę w samochodzie? – spytał Milo. – Tak samo jak Rand? Jak dla mnie to świadczy, że zamordował ich ten sam człowiek.



– Albo ten, kto zabił Randa, naśladował samobójstwo Lary.

Milo przycisnął pięść do skroni, raptownie zmienił pas, jeszcze przyspieszył.

– Abstrahując od charakteru Daneya, to Malley ma broń i to z jego broni zginęła Lara.

Poza tym on też lubi cudze żony.

Klepnął w deskę rozdzielczą.

– A co powiesz na taki scenariusz: nie tylko Malleyowie lubili orgietki. Poznali Drew i Cherish na grupowym seksie. Drew i Lara się rozstali, ale Malley i Cherish ciągną to dalej.

Rozważyłem to.

– To by mogło wyjaśnić, dlaczego Barnett zaakceptował ciążę Lary. Jeśli to był efekt grupowej orgii, zagrożenie byłoby bezosobowe.

– Tak czy inaczej – powiedział Milo – kowboja prędko z mojej listy nie skreślę.

Zatrzymaliśmy się na parkingu biura koronera i weszliśmy do północnego budynku. Milo porozmawiał z Dave'em O'Reillym, chudym mężczyzną o czerwonej twarzy i siwych włosach, obdarzonym bystrym, dociekliwym umysłem, i poprosił o próbki tkanek Kristal Malley i usunięty płód Valerie Quezady.

– Quezadę dopiero co przywiozłeś – powiedział O'Reilly. – Masz coś nowego?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Jestem pewien, że nie chcę. Dobrze, zadzwonię na dół i każę je zapakować w termoizolacyjną torebkę i styropianowe pudełko.

– Wszystko jak trzeba – powiedział Milo. – To mi się właśnie podoba.

– A mnie się podobają wysokie, chude brunetki z wielkimi naturalnymi cyckami.

Wróciliśmy do samochodu. Milo włożył pudełko do bagażnika, razem z teczką, i odpalił silnik. Zza budynku wyjechała biała furgonetka koronera, przecięła parking i wyjechała na Mission.

– Ciekaw jestem – powiedział – jak wyglądała praca w policji za czasów gumowego węża.

– Ty i Daney sam na sam w pokoju?

– Ja i każdy, kogo chcę mieć sam na sam w pokoju. – Wyszczrzył zęby. – Według ciebie Daney mówił prawdę, że znał Weider sprzed morderstwa?

– Dlaczego miałby kłamać?

– Żeby wyjść na jeszcze większego bohatera odparł Milo. – Że niby ma takie układy w Biurze Obrońców, że to on załatwił chłopcom obronę.

– To akurat łatwo sprawdzić. A jeśli mówił prawdę, że pracował z dziećmi z miasta, interesowałby mnie oprócz Troya jeszcze jeden taki delikwent.

– Nestor Almeida.

– I pełen poświęcenia prawnik, który walczył o jego prawa.

Wcale nie tak łatwo było to sprawdzić.

Siedzieliśmy na parkingu koronera. Milo zadzwonił do Biura Obrońców Publicznych. Kilka przełączeń później dodzwonił się w końcu do kierownika. Najpierw jego ton zmienił się z przyjaznego w proszący, potem pojawiły się zawołowane pogroźki. Kiedy się rozłączał, warczał.

– Chcę się tylko dowiedzieć czegoś, co byłoby w normalnych aktach sprawy, jeśli Nestor nie był uznany za nieletniego i akt nie utajniono. I w końcu się dowiem, jeśli odpowiednio długo będę się kręcił po miejskich archiwach, ale to potrwa. Nieuzyci dranie. Nienawidzą glińiarzy i wszystkiego, co dobre i prawe.

– Spróbuj Lauritza Monteza – powiedziałem.

– Lubi gliniarzy?

– Jest miękki i ma słabą wolę.

W biurze Monteza w Beverly Hills odzywała się automatyczna sekretarka.

Wziąłem od Mila telefon, wykręciłem 411 i poprosiłem o numer gabinetu dentystycznego doktora Changa na Alvarado. Nie ma lepszego sposobu na personel lekarski niż doktorat. Anię Moss miałem na linii w kilka sekund.

– W czym mogę pomóc, doktorze?

– Byłem u pani przedwczoraj z detektywem Sturgisem...

– Z detektywem Sturgisem? Pan nie jest policjantem?

– Jestem psychologiem, policyjnym konsultantem...

– Przykro mi, jestem zajęta...

– Jedno pytanie i już więcej pani nie zawracam głowy: który obrońca reprezentował Nestora, kiedy oskarżono go o nieumyślne spowodowanie śmierci?

– Czemu pan pyta?

– To może być ważne. I tak się tego dowiemy, ale mogłaby nam to pani trochę ułatwić.

– Dobrze, dobrze. Taka blondynka – powiedziała. – Z dziwnym nazwiskiem: Sydney Jakaś-tam.

– Sydney Weider.

– Bardzo nalegała, żeby moja mama przychodziła na każdą rozprawę, chociaż mama nie czuła się najlepiej. Kazała jej siadać tak, żeby sędzia dobrze ją widział, i często płakać. Powiedziała mamie, że będzie musiała zeznawać, kiedy przyjdzie pora na wyrok dla Nestora, i skłamać, jakim to dobrym synem był Nestor, a potem jeszcze trochę popłakać. Instruowała ją, jakby mama była głupia. Jakby i bez tego cały czas nie płakała.

– Przyjęła agresywną linię obrony.

– Chyba tak – powiedziała Moss. – Zawsze miałam wrażenie, że robi to bardziej dla siebie, żeby wygrać, wie pan? Gdyby naprawdę troszczyła się o moją matkę, nie rozstawiałaby jej tak po kątach. Ale to i tak nie miało znaczenia. Nestor był winny, umówili się na ugodę. Ja nie miałam nic przeciwko temu. Nie chciałam, żeby mama musiała płakać przed obcymi ludźmi.

– Czy w sprawę Nestora był zaangażowany niejaki Drew Daney?

– Nazwisko brzmi znajomo, ale...

– Student teologii, pracował z młodzieżą...

– A, tak, on. Ten od kościoła – przypomniała sobie Moss. – Kilka miesięcy przed tym, jak Nestor zabił tego dilerka, wysłali go na jakiś odwyk i ten człowiek tam pracował. Zrobił coś złego? Bo to by mnie zaskoczyło.

– Dlaczego?

– Jego akurat lubiłam. Robił wrażenie, jakby naprawdę szczerze chciał pomóc Nestorowi. Napisał w jego imieniu list do sędziego.

– Wszystko się zaczyna zgadzać, prawda? – powiedział Milo, wyjeżdżając z parkingu.

– Daney odwiedza Troya w Stockton – powiedziałem. – Przy okazji spotyka się z Nestorem i wystawia Troya.

– Tymczasem Rand jest w Chino. Myślisz, że to dlatego Daney zostawił go w spokoju? Nie miał tam młodocianego cyngla?

– Raczej Rand nie był dla niego groźny. Do czasu.

Wyjechaliśmy na autostradę.

– Jesteś w nastroju, żeby użyć swoich zawodowych umiejętności?

- Na kim?
- Na wariatce.

Sydney Weider otworzyła frontowe drzwi ubrana w brudną białą koszulkę ze skaczącym delfinem Surfside Country Clubu nad lewą piersią, szare, obcisłe spodenki gimnastyczne i boso. Z bliska jej twarz była szara, poorana pionowymi zmarszczkami, które zaczynały się w kącikach jej oczu i wyginały w dół usta. Nogi miała białe, z żyłakami, stopy zapuszczone i brudne wokół kostek.

Otworzyła usta, zaskoczona.

– Proszę pani – powiedział Milo i pokazał jej odznakę.

Z całej siły uderzyła go w twarz.

Kiedy zawłókł ją do samochodu i skuł, syczącą i wrywającą się, z drugiej strony ulicy dobiegło nas trzaśnięcie i z ładnego, kolonialnego domu z czarnymi okiennicami wybiegła kobieta.

Ta sama sąsiadka, która patrzyła, jak Weider wrzeszczy na mnie kilka dni wcześniej.

– Zaczyna się – mruknął Milo. – A gdzie zaszła kamera?

Weider warknęła, uderzyła go głową w ramię, próbując gryźć. Odsunął ją od siebie na długość ręki.

– Otwórz drzwi, Alex.

Kiedy to zrobiłem, kobieta z naprzeciwka pobiegła w naszą stronę.

Pod czterdziestkę, jasny kucyk, ładna figura w czarnych rybaczkach i bluzce na ramiączkach w kolorze morskiej zieleni. Rysy Grace Kelly. Sydney Weider w młodszych, szczęśliwszych czasach.

Wyglądała na rozwścieczoną; zaraz usłyszymy, co ma do powiedzenia Straż Sąsiedzka.

– Proszę pani... – zaczął Milo, kiedy się zbliżyła.

– Nareszcie! – zawołała. – Ta suka wrzeszczy na wszystkie dzieci i straszy je! Uprzykrzyła wszystkim życie! Co w końcu przeskrobała, że zaczęliście coś robić?!

Sydney Weider splunęła w jej stronę. Plwocina spadła na chodnik.

– Obrzydliwa jesteś – powiedziała kobieta. – Jak zwykle.

Zanim Weider zdążyła odpowiedzieć, Milo przygiął jej głowę, wepchnął ją do samochodu i trzasnął drzwiami. Poczzerwieniał z wysiłku.

– Co w końcu zrobiła? powtórzyła kobieta. – Mówiliście, że nie możecie nic...

– Nie mogę o tym mówić, proszę pani. A teraz, jeśli pani pozwoli...

Łup, łup, łup, Weider zaczęła kopać w szybę.

– Widzi pan? – powiedziała kobieta z kucykiem. – To wariatka. Mam dla pana listę. Niech mi pan poda numer faksu.

– Była aż takim problemem? – spytałem.

– Wszyscy się ucieszą, kiedy stąd zniknie. Urządzimy, cholera, imprezę na cały kwartał. Dziecko dotknie jej trawnika, ona wychodzi i wrzeszczy, ile sił w płucach. W zeszłym miesiącu rzuciła nożem kuchennym w Poppy’ego, a Poppy nie jest wcale taki agresywny, jak inne sharpei, to słodki piesek, niech pan spyta, kogo chce, każdy panu powie. Ona biega po ulicy, gada jak upiór, to wariatka, niech mi pan wierzy, kompletna wariatka. Jestem pewna, że wszyscy sąsiedzi z przyjemnością złożą raport czy zeznanie, czy co tam panowie będą chcieli.

– Bardzo dziękuję, proszę pani – powiedział Milo.

– Szerokiej drogi. – Kobieta zajrzała w okno samochodu. Sydney Weider leżała na plecach, nogami do góry. Znów zaczęła kopać w szybę. Boso, ale dość mocno, by szkło zadygotało.

– Powinniście ją panowie skuć. Jak w telewizji.

Kiedy odjeżdżaliśmy, otwierały się drzwi innych domów, ale nikt nie wyszedł.

Sydney Weider wrzeszczała bełkotliwie i dalej kopała w okno. Milo zatrzymał samochód, zaparkował, wyjął z bagażnika plastikowe pęta i broniąc się przed kłapiącą szczęką Weider i jej kąpiącymi złośliwie stopami, zaczął próbować związać jej kostki. Wysiadłem i przytrzymałem ją za pięty. Kolejne odstępstwo od przyjętej praktyki psychologicznej.

W końcu udało mu się przewrócić ją na brzuch, zaciągnąć ciasno pęta. Wiła się, pluła i waliła głową o drzwi, kiedy ruszyliśmy. Bluzgała; tyle lat szkoły prawniczej spędzonych na rozbiorze i budowaniu eleganckich zdań poszło na marne.

Zrobiło mi się jej żal.

Kiedy Milo dojechał do Sunset, ucichła. Samochód wypełniło dyszenie, potem sapanie przez nos. Zerknąłem w tył. Wciąż leżała płasko na brzuchu. Z zamkniętymi oczami, nieruchomo.

Pomyślałem, że Milo zawiezie ją do aresztu na posterunku w Westside, ale pojechał na wschód przez Palisades i skręcił do Parku Stanowego Willa Rogersa.

– Jeździłam tu kiedyś konno oznajmił dziecinny głosik z tylnego fotela.

– To świetnie – powiedział Milo.

Chwilę później:

– Co takiego zrobiłam, że się pan tak zdenerwował?

– Co pani powie na czynną napaść na oficera policji?

– Och... Przepraszam naprawdę przepraszam, nie wiem, co się stało, po prostu mnie pan przestraszył myślałam że przysłał pana mój mąż żeby mnie dręczyć że jest pan sądowym gościem on nie odpuszcza w któreś Halloween przysłał woźnego przebranego za goblina i otworzyłam drzwi żeby dać mu cukierki a on rzucił mi papiery z sądu a kiedy ja je odrzuciłam złapał mnie wszedł w kontakt z moją ręką to dopiero była napaść niech mi pan wierzy o wiele gorsza niż to co ja zrobiłam jestem adwokatem wiem co to napaść kiedy ją widzę niech pan posłucha ja naprawdę nie chciałam pana uderzyć broniłam się pan mnie wystraszył.

Bez przerw na oddech. Sąsiadka mówiła o tym, że Weider biega po ulicy. Pamiętałam ją jako szybko mówiącą, a Marty Boestling nazwał ją maniaczką.

Jedyny maraton odbywał się w jej głowie.

– Naprawdę – powiedziała. – Teraz już wiem co zrobiłam widzę jasno i tak bardzo bardzo przepraszam.

Zaparkowaliśmy na prawie pustym parkingu naprzeciw boisk do polo.

– Nie ma tu już koni wszystko w tym mieście schodzi na psy proszę – powiedziała Sydney Weider. – Niech pan to tylko zdejmie nienawidzę być związana po prostu nie znoszę.

Milo wyłączył silnik.

– Proszę proszę obiecuję że będę się zachowywać jak należy.

– Dlaczego mam pani wierzyć, Sydney?

– Bo jestem uczciwa wiem zachowałam się irracjonalnie ale już to panu wyjaśniłam to przez mojego eks on nie przestaje nie chce przestać zamieniać mojego życia w piekło.

– Od jak dawna to robi? – spytałem.

– Przynajmniej to coś z nóg proszę? To boli wyginają mi nogi w złą stronę duszę się ciężko mi oddychać.

Milo wysiadł i rozpiął plastikowe pęta, posadził ją, zachowując ostrożną odległość od jej zębów.

Weider uśmiechnęła się, odrzuciła włosy z czoła i przez jedną żalną chwilę była ładna.

– Dziękuję dziękuję jest pan super a może kajdanki też? Milo wrócił na swoje miejsce.

– A więc jak długo pani były panią dręczący?

– Zawsze ale teraz mówię o tym od rozwodu siedem lat siedem długich lat tortur non stop i to po tym jak mnie okradł zabrał wszystko co mi zostawił ojciec mój ojciec był producentem filmowym jednym z największych w Hollywood a ten bydlak wiedział gdzie wszystko jest schowane złupił mnie złupił mnie jak po zamieszkach w Watts mieliśmy dom samochody meble Angelo Donghii dywany Sarouk co pan chce pozornie nasze życie było wspaniałe...

– Dlaczego pan Boestling tak się zdenerwował?

– A jak pan myśli to Żyd. Mściwe oko za oko nie dadzą spokoju dopóki nie wyssa z człowieka wszystkiego.

– Za co chce się zemścić?

– Za to że byłam lepsza za to że byłam... to skomplikowane on nigdy nie będzie szczęśliwy jest opętany. Czym? Żeby zapłaciła zapłaciła i zapłaciła tym ludziom chodzi tylko o pieniądze oczernia mnie rozpowiada wszystkim że jestem wariatką że mam depresję maniakalną tylko dlatego że mam więcej energii niż on on by nigdy...

Nagle przerwała.

– Pan. Pan jest psychologiem. Pan wie, że nic mi nie jest.

W jej oczach błyszczało szaleństwo.

– Jasne – powiedziałem.

Powieki Mila zadrżały. Ślad dłoni Weider na jego policzku zaczął blaknąć.

Weider znów się uśmiechnęła.

– Proszę pan się na tym zna niech pan powie temu bardzo miłemu panu z policji jestem adwokatem żoną matką wszystko to znam wychowałam dwóch ślicznych chłopców szkoda że pan nie wie jaką pracę zaproponował im Microsoft ale jej nie przyjęli piszą własne programy po co ktoś inny ma się wzbogacać na ich osiągnięciach?

– Mimo to Marty Boestling pragnie zemsty – zauważyłem.

– Bezmyślnej zemsty to zero...

– Może – przerwał Milo – znalezienie pani z Drew Daneyem nie było dla niego przyjemnym doświadczeniem.

Weider rozdziawiła usta. Skuliła się.

– Wini mnie pan za jego braki myśli pan że gdyby on mógł... zaraz pan z nim rozmawiał czy pan jest naprawdę z policji czy od niego gońcem...

– Nie! – ryknął Milo. Jestem porucznikiem Departamentu Policji Los Angeles, który ma głęboko w dupie pani małżeństwo i życie seksualne! Interesuje mnie rozmowa o Drew Daneyu.

Weider się wzdrygnęła, poruszyła ramieniem, spojrzała na boisko do polo.

– Co pan chce o nim wiedzieć?

– Co to za facet?

– Co to za facet to szmata muł z dna stawu czarna breja pod mułem...

– Mieliście sprzeczkę kochanków? – spytał Milo.

– Ha. Hahahahaha. Nie było kochanków nie było miłości nie kochaliśmy się to było tylko no wie pan był dla mnie nikim wszyscy byli.

– Kto?

– Niech pan nie udaje że Marty panu nie mówił czy powiedział też że to on wszystko zaczął to on lubił mnie oglądać z innymi facetami a problem powstał dopiero kiedy zaczęłam działać niezależnie czyli kiedy nie patrzył czy powiedział to panu powiedział?

– Mówiłem już, Sydney, pani życie seksualne mnie nie inter...

– Jasne jasne chce pan wiedzieć o Daneyu Daney był dla mnie tylko męskim narządem i to nie za dużym chce pan coś o nim wiedzieć ja panu powiem to oferra i kłamca myślał że jest taki cwany myślał że mnie wciągnie do swojej gry.

– Jaka to była gra?

– Pan mi to powie pan jest porucznikiem policji dlaczego ktoś miałby robić coś tak głupiego niech mi pan powie?

– Co było głupie?

– Przekłuwanie szpilką prezerwatywy zawsze używałam prezerwatyw zawsze kupowałam je sama bo kiedy mężczyźni myślą swoją małą główką są głupi a nie było mowy żeby ktoś mi coś takiego zrobił nie było mowy po prostu a nie lubię pigułek podobno nie szkodzą na skórę ale mi niszczyły cerę dostawałam pryszczki a moja matka umarła na raka więc po co to komu zawsze gumki. – Powolny uśmiech. – Takie łaskoczące.

– Skąd pani wiedziała, że Daney jedną przekłuł?

Nakryłam go stąd wiedziałam wysliznął się do łazienki myślał że się przebieram w tandetę którą kupił w sklepie z tandetną bielizną wszystkie te banały myślał że się dla niego w to przebiorę ha nie ma mowy więc już wyszłam z łazienki on był w łazience Marty'ego i usłyszałam że tam coś grzebie i go nakryłam mówię co ty do cholery sobie wyobrażasz a on wymyślił jakąś kiepską historyjkę że niby testuje próbkę czy jest dość mocna żeby mieć pewność wiedziałam to dałam mu w pysk...

Przerwała.

– Rozwścieczył panią – powiedział Milo.

– A pan by się nie wściekł gdyby ktoś po cichu robił panu coś takiego? – Weider się zaśmiała. – Ale mu się nie upiekło otworzyłam nową sprawdziłam czy jest dobra i kazałam mu ją włożyć na moich oczach i żartowałam że może powinnam kupić mniejszy rozmiar niech mi pan wierzy to go przyhamowało i dobrze ja ustalam zasady nigdy mnie nie załatwił ja załatwiłam jego.

– Czy to był koniec tego związku? – spytał Milo.

– Jakiego związku on był narzędziem skończyło się bo Marty był pierdołą zaważył to spotkanie i wrócił za wcześnie do domu i nas znalazł nie żebym się przejmowała Martym to przez to jak zareagował Daney uciekł z podwiniętym swoim wie pan czym. – Odrzuciła włosy z czoła. – Moje motto żadnych mięczaków żadnych oferm żadnych komplikacji.

– Jak Daney zareagował, kiedy pani z nim zerwała?

– Dzwonił do mnie bez przerwy dzwonił w końcu sobie odpuścił.

– Jak pani myśli, dlaczego przebił prezerwatywę? – spytałam.

– Pan mi powie pan jest psychologiem – odparła Weider.

– Czy może dlatego, że chciał, żeby pani zaszła w ciążę?

– Nie bo nie lubił dzieci.

– Tak pani powiedział?

– Jasne nieraz mówił że żona chciała mieć dzieci nie mogła ich mieć on powiedział nie ma mowy nie chciał się szarpać.

– Zwierzał się pani.

– Mówił o wszystkim nie mogłam go zmusić żeby się zamknął co on właściwie zrobił?

– Nie kazała mu pani nigdy wyjaśnić, dlaczego próbował przebić kondom?

– Mówiłam już sprzedał mi tę nędzną historyjkę ja mu dałam w pysk nie obchodziła mnie to jego gadanie liczyło się to żeby było tak jak ja chcę. – Znow odrzuciła włosy. – Nie sądzę żeby to była ciąża *per se* myślę że chodziło o spermę.

– Słucham?

– S-P-E-R-M-A uważał że to eliksir bogów wygłaszał te swoje długie mowy o wie pan czym i o tym jaka to magiczna różdżka przyszłości można tworzyć miasta kraje kontynenty łyżeczką od herbaty opowiadał to po swoich chwalebnych trzech minutach po wszystkim miał ochotę tylko na grzebanie mi w lodówce i gadanie.

– Magiczna sperma – powiedział Milo.

– Miał jakąś obsesję dziwną obsesję był jakie to słowo sfiksowany to termin psychologiczny prawda tak właśnie mówicie fiksacja.

Kiwnąłem głową.

– Daney miał fiksację na punkcie spermy – powiedział Milo.

– Chce pan wiedzieć co ja myślę o Daneyu myślę że był egomaniakiem sfiksowanym na punkcie spermy wszystko co robił było najważniejsze zaczęło mu się wydawać że jest adwokatem myślał że może mi mówić jak mam prowadzić swoją sprawę uwierzcie mi to nie trwało długo pokazałam mu jego miejsce.

– Sprawę Malleyów? – spytałem.

– Naoglądał się za dużo filmów miał głupie pomysły z głupich telewizyjnych seriali mówił że gliniarzy w krzyżowy ogień pytań aż się zmęczą albo zwał winę na ojca to będzie uzasadnione przypuszczenie powiedziałam zamknij się to nie Perry Mason tych małych drani złapali z ciałem przyznali się że to zrobili załatwię im najlepszy układ ale pójdą siedzieć i tak się stało.

– Daney chciał obwinić Barnetta Malleya.

– Powiedział że powinnam się przyjrzeć Malleyowi i sprawdzić czy między Malleyem i matką się układało i jeśli był jakiś konflikt mogłabym zasugerować że Malley nienawidził żony i dziecka wynajął tych dwóch małych drani żeby zabili dziecko powiedziałam zwariowałaś to najgłupsza rzecz jaką słyszałam powiedział nie jeśli Troy to potwierdzi mogłam porozmawiać z Troyem Troy mi ufał Troy powiedziałby wszystko co mu każę bo się rozumiemy...

– Daney aż tak dobrze znał Troya?

– Znał go z pracy z młodzieżą to żalotne opiekun młodzieży który nie lubi dzieci próbował mnie przekonać do swojej głupiej historyki w końcu zagroziłam że przestanę z nim sypiać powiedziałam namawiasz mnie do wymuszenia fałszywych zeznań idioto fakty są jasne możemy mieć najwyżej nadzieję na okoliczności łagodzące trudne dzieciństwo maltretowanie zaniedbanie takie rzeczy jeśli mi znajdziesz jakieś maltretowanie prawdziwe maltretowanie pójdę do tego cholernego sędziego ale w przeciwnym razie się w to nie mieszaj... może mi pan zdjąć kajdanki?

– Będzie się pani zachowywać? – spytał Milo.

– A nie zachowywałam się?

– Nie miała pani za dużego wyboru, Sydney.

– Nawet bez kajdanek jaki mam wybór jest pan trzy razy większy ode mnie w pana ramionach jestem jak mała dziewczynka.

Odrzucenie włosów.

– Jeden wybryk i zakładam je z powrotem – ostrzegł Milo.

– Jasne rozumiem pan jest szefem pan ustala reguły.

Milo jeszcze raz przeszedł na tył samochodu.

– Ach – powiedziała Sydney – to jak u Joni Mitchell nie wiesz co masz póki tego nie stracisz no to skąd te wszystkie pytania o Daneya w końcu zrobił jakąś naprawdę dużą głupotę?

Milo obszedł samochód, wsiadł z tyłu obok niej.

– W przeciwieństwie do małych głupot?

– Właśnie zawsze był mały i głupi.



– Jak go pani poznała?  
– Przy innej sprawie – odparła. – Jeszcze jeden mały psychopata Daney ze swoją pracą z młodzieżą gównem prawda zadzwonił zaproponował że pomoże pomyślałam czemu nie może mógłby przed wyrokiem napisać coś od siebie do akt...  
– To samo zrobił dla Troya – powiedziałem.  
– Tak to jest w BOP dziewięćdziesiąt pięć procent tego co robiliśmy to obrona winnych ludzi i szukanie najlepszej ugody...  
– Pamięta pani, jak się nazywał ten drugi mały psychopata?  
– Jakiś latynoski ćpun zastrzelił jakichś innych ćpunów w śródmieściu zesłałam z tym do nieumyślnego spowodowania śmierci Nestor Jakiś tam... Almodovar tak to jest to Nestor Almodovar.  
Milo jej nie poprawił.  
– Daney napisał list w obronie Nestora.  
Typowa ocena charakteru Nestor był dobrym dzieckiem ciężkie dzieciństwo okoliczności łagodzące bla bla bla.  
– I przypadkiem okazało się, że Daney pracował z innym z pani klientów?  
– Nie nie nie – odparła Weider. – Daney do mnie zadzwonił poprosił żebym broniła Troya na początku nie chciałam bo uwierzcie mi wyrabiałam nadgodziny kto by chciał brać coś takiego ale on mi nie dawał spokoju powtarzał że jestem najbystrzejsza w BOP co akurat było prawdą potem uznałam czemu nie to może być interesujące.  
– Jak to? – spytałem.  
– Interesujące... – powtórzyła Weider. Potem spojrzała na mnie, zamilkła, ale nie przestała poruszać ustami, jakby rekompensując brak fonii.  
– Interesujące w znaczeniu prestiżu – powiedział Milo. – W znaczeniu dostania się do gazet.  
Weider się do niego odwróciła.  
– Dlaczego nie miałabym skorzystać człowiek siedzi nocami czemu nie miałabym trafić do gazet?  
– I nie sprzedać scenariusza filmowego – powiedział Milo.  
Weider znów otworzyła i zamknęła usta. Znów zaczęła dyszeć, znów zaczęła wyginać usta. Gwałtownym ruchem odwróciła głowę od Mila i zapatrzyła się w okno.  
– To było po zakończeniu sprawy nie było w tym nic nielegalnego takie rzeczy się dzieją bez przerwy.  
– To był pomysł pani czy Daneya?  
– Jego – powiedziała, za szybko. – Mówił spójrz na Marty’ego totalna pierdoła ale jeździ mercedesem i je obiady w studiu i mając tyle możliwości nie potrafi wyprodukować nic więcej niż gównem klasy C dla telewizji.  
– Daney uznał, że sam potrafiłby lep...  
– Uznał że gdyby miał możliwości Marty’ego byłby właścicielem studia.  
– Złudzenie wielkości – mruknął Milo.  
– W Hollywood nikogo innego nie powstrzymują – odparła Weider. – Mogłabym panu opowiedzieć sporo historii poza tym wiem dlaczego tak mówił.  
– Dlaczego?  
Chytry uśmiech.  
– Żeby mu stanął robił to kiedy miał problemy wywyższał się i obgadywał Marty’ego dla mężczyzn wszystko się do tego sprowadza żeby mieć większego fiuta niż ten drugi.  
– Mimo to – wtrąciłam się – potraktowała pani pomysł z filmem poważnie.

- O co panu chodzi?
- Nie jeździła pani z Daneyem na spotkania?
- Wszyscy jeżdżą na spotkania jak się przestanie jeździć na spotkania branża się skurczy jak wie pan co Daneya kiedy się zdenerwował.
- Wszyscy jeżdżą na spotkania, ale pani też.
- Tak jeździłam wzięłam to na poważnie czemu nie co było do stracenia macie coś do picia bardzo chce mi się pić.
- Przykro mi, nie – powiedział Milo.
- Cholera zaschło mi w ustach dlatego właśnie nie znoszę...
- Opadła jej głowa. Wbiła wzrok we własne nogi.
- Czego pani nie znosi?
- Pigulek prochów trucizny nie biorę niczego do diabła z durnymi konowalami na stres najlepiej robi ruch trzeba spalić toksyny a skoro o tym mowa zaczynam się czuć trochę zamknięta może moglibyśmy się przejść mały spacer...
- Kto umawiał te spotkania? – spytał Milo.
- Ja, Daney jeździł ze mną i myślał że jest cwany...
- A nie Marty?
- Marty dał nam kilka nazwisk wielkie rzeczy i tak je znałam od ojca miał notes z telefonami za który warto byłoby umrzeć niech pan nie słucha tego co mówi Marty to wariat...
- Ma pani kopię treatmentu? – spytałem.
- Nie dlaczego miałabym mieć?
- Zarejestrowała ją pani w Gildii Autorów?
- Nie po co?
- Czy to nie zwykła procedura?
- Jeśli komuś zależy – powiedziała. – Straciłam zainteresowanie po paru spotkaniach po ich reakcji widać było że nic z tego prędko nie wyniknie tak to jest w branży albo od razu zaskoczy albo od razu do kosza głupi błąd mój jedyny błąd.
- Jaki błąd?
- Że pozwoliłam go napisać Daneyowi wepchnął tam te same głupoty które miałam według niego wykorzystać w obronie Troya.
- Obwinił Barnetta Malleya – powiedziałem.
- Obwinił Barnetta Malleya ale podniósł to do absurdu poziomu Malley został jakimś seryjnym mordercą z obsesją na punkcie władzy i kontroli i części ciała.
- To przypomina trochę samego Daneya – powiedziałem.
- Hej – odparła wesoło Weider. – Chyba jest pan normalnie jakimś psychologiem.

Odwiozę panią do domu, Sydney – powiedział Milo.

– Ciągle chce mi się pić moglibyśmy się gdzieś zatrzymać?

– Jeśli będę mijał jakiś sklep, kupię pani colę.

– A może w Joya Juice sprzedają niedaleko mnie.

Kiedy wyjechaliśmy z parku, ucichła, zaczęła wykręcać dłonie.

– Jakie wrażenie zrobiła na pani Cherish Daney? – spytałem.

– Drew mówił że jest bardzo religijna chciała mieć dzieci całą gromadkę użył określenia kwoka ale nie mogła mieć była bezpłodna to był problem.

– To, że nie mieli dzieci?

– Adopcja w końcu się pogodziła z tym że nie może mieć własnych postanowiła adoptować miała obsesję na punkcie adopcji dzieci nawet z Chin Bułgarii Boliwii czy skądś on nie chciał nie chciał odpowiedzialności powiedziałam a może rodzinny dom dziecka w ten sposób ona będzie się mogła bawić w mamuszkę potem one wyjeżdżają ty masz wolne i jeszcze ci płacą.

– Drew spodobał się pomysł z rodzinnym domem dziecka?

– Bardzo powiedział to genialny pomysł Syd jesteś geniuszem tak do mnie mówił Syd wyjątkowo irytujące nie znosiłam tego ale on wciąż tak mówił kawał oferny kiedy już dojedziemy do Joya chciałabym coś z ananasek dobrze?

Poprowadziła Mila do baru z sokami, kawałek na północ od Sunset, w Palisades Village. Zostawił ją skutą i wszedł do środka.

Wszędzie dookoła pełno było kobiet, które wyglądały jak Weider. Sydney zsunęła się i położyła płasko na tylnym siedzeniu. Spytałem ją o Babetta Malleya, ale twierdziła, że nic o nim nie wie.

– Żadnych wrażeń?

– Po co był po drugiej stronie? .

– Nigdy pani nie zaciekawily teorie Daneya?

– To było pieprzenie.

– A to, że Malley jeździł na rodeo?

– O czym pan mówi?

Milo wrócił z gigantycznym kubkiem i słomką. Weider usiadła prosto.

– Niech pan zdejmie kajdanki muszę to jakoś trzymać – powiedziała. Milo nachylił się do samochodu i wsunął jej słomką do ust.

– Och niech pan da spokój – burknęła, ale napiła się łąpczywie, wciągając policzki. Kiedy przerwała, żeby nabrać tchu, na jej dolnej wardze pozostała drobina piany. Milo ją starł.

Spojrzała na niego przestraszona.

– Niech mi pan pozwoli to trzymać.

– Nie będzie już żadnych problemów?

– Obiecują naprawdę.

– Badzie pani unikać starć z sąsiadami?

Uśmiechnęła się.

– Czemu pana to obchodzi pan jest od poważnych spraw to o Daneya panu chodzi najwyraźniej zrobił coś poważnego ale mnie nawet nie interesuje co.

– Nie interesuje to pani?

– Nie żyję przeszłością przeszłość jest jak trup tylko gnije i śmierdzi czy mogę się jeszcze napić proszę i czy może pan proszę zdjąć te cholerne kajdanki?

– Pani i Drew już ze sobą nie rozmawiacie?

Ochryply śmiech.

– Nie rozmawiam z tą pierdołą od siedmiu lat pan sobie wyobraża że do niego zadzwonię powiem że pan tu był to by dopiero było gdyby spróbował się do mnie zbliżyć obciąłabym mu jego wie pan co.

– Wierzę – powiedział Milo. Uwolnił jej ręce i podał kubek. Napiła się, przez całą drogę powrotną do jej domu była spokojna i cicha.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, Milo pomógł jej wysiąść. Stała, patrząc na swoje frontowe drzwi, jakby po raz pierwszy widziała je na oczy. Milo wziął ją pod rękę i poprowadził podjazdem. W połowie drogi się zatrzymał. Weider stała, odrzuciła włosy, błysnęła zębami, powiedziała coś, na co się uśmiechnął. Stała na palcach i cmoknęła go w policzek.

Patrzył, jak szła do drzwi, stał, kiedy przekroczyła próg. Wrócił, kręcąc głową.

– Co to był za dowcip? – spytałem.

– Do... a, tamto. Powiedziała: „Odsyła mnie pan jak małego ptaszka z gniazda ćwir ćwir ćwir”. – Wepchnął kluczyk do stacyjki. – Zaskoczyło mnie to. Przez chwilę wydawała się całkiem miła. – Zmarszczył czoło. – To cmoknięcie. Muszę umyć twarz.

– To zupełna wariatka – powiedział przecząc dalej – ale wszystko, co nam powiedziała, się zgadza. Co sądzisz o obsesji Daneya na punkcie spermy?

– To część obsesji na punkcie samego siebie. Zainteresowało mnie, że od samego początku Daney próbował zrzucić winę na Malleya. Po co, jeśli nie znał Malleya sprzed morderstwa Kristal i nie miał jakiegoś powodu, żeby go nie lubić? Wspomniałem Weider o tym rodeo i popatrzyła na mnie, jakbym to ja był wariatem. A więc Daney kłamał, że dowiedział się o tym od niej. Znał Barnetta osiem lat temu albo się o niego rozpytywał.

– Może to ta orgia, jak sugerowałeś.

– Albo skromniejsza ewentualność powiedziałem. – Teraz już wiemy, że mamy dwie pary z problemem bezpłodności.

– Klinika! Poznali się w cholernej klinice leczenia bezpłodności?

– Weider powiedziała, że Cherish „w końcu” pogodziła się z myślą, że nie będzie miała własnych dzieci. To sugeruje, że przez jakiś czas próbowała zająć w ciążę. A więc musiała się leczyć.

– Pogaduszki w poczekalni, nieszczęścia chodzą parami i tak dalej.

– Dopóki Drew i Lara nie poszli ze swoją przyjaźnią krok dalej – powiedziałem. – Dwoje małżonków, którzy akurat byli płodni. Możliwe, że żadne z nich o tym nie wiedziało i ciąża Lary ich zaskoczyła. Drew musiał dojść do wniosku, że Lara ją usunie ze względu na Barnetta. Ale ona odmówiła. Urodzenie dziecka znaczyło dla niej więcej niż małżeństwo.

– Ni z tego, ni z owego Malleyom rodzi się dziecko, a Daneyom nie.

– Co dla Cherish musiało być przyczyną wielkiej frustracji i cierpienia. Masz trzy próby, zgaduj, na kim się wyładowała.

– Wsiadła Drew na głowę, zaczęła nalegać na dalsze leczenie.

– Które musiało być drogą i potwornie kłopotliwą szarpaniną o coś, czego Drew w ogóle nie chciał. Albo się zgodził i nic z tego nie wyszło, albo odmówił. Tak czy inaczej, Cherish za cel obrała sobie adopcję. Dostała na tym punkcie obsesji.

– Temu idiotcie się zdawało, że jest największym cwaniakiem na świecie, a tu nagle wszystko się skomplikowało przez problem, do którego powstania sam się przyłożył. To się nazywa kopanie leżącego.

– Więc postanowił wyeliminować źródło swojego upokorzenia – powiedziałem. – Zrobił z Krystal lekcję pogładową dla Cherish. „Widzisz, kochanie, jaką radość dają dzieci?” Jednocześnie mógł kontynuować swoją zabawę w Boga i uwolnić się od przyszłych żądań Lary. A skoro już wszystko posprzątał, dlaczego nie przerobić tego na scenariusz filmowy?

Milo się zgarbił, skrzywił i ścisnął kierownicę, spięty jak na pierwszej lekcji jazdy. Przez otwarte okna do samochodu wpadało słone powietrze. Uroczą okolica. Jak długo trzeba będzie czekać, aż Sydney Weider imploduje?

– Posprzątał na dobre – powiedział Milo. – Krystal, potem Troy, bo zabił Krystal, potem Nestor, bo zabił Troya. I Lara albo dlatego, że chciała się z nim związać na poważnie, albo dlatego że się domyśliła, że miał coś wspólnego ze śmiercią Krystal.

– Jane Hannabee też, bo Daney nie mógł być pewny, że Troy nie powiedział czegoś matce.

– A teraz Rand... Myślisz, że Daney załatwił któreś z nich samemu, czy to były zlecenia?

– Ktokolwiek zabił Larę, zabił też Randa. Tu stawiam na Daneya. Z Hannabee mogło być tak albo tak.

– Sześć trupów – mruknął Milo. – Jest jeszcze coś, o czym nie wspomniałem. Szukałem jakiejś Mirandy na liście podopiecznych Daneya. Nie ma ani jednej.

– Po co Daney miałby brać sobie dziewczynę i nie wystawiać rachunku państwu?

– Właśnie, po co.

– Och.

– A teraz jak do cholery mogę cokolwiek z tego udowodnić, skoro nie mam żadnych dowodowych powiązań?

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

– Tak – warknął. – Obawiałem się tego.

Wyrzucił mnie pod domem za dwadzieścia druga. Allison nie dzwoniła na moją komórkę, na sekretarce nie było żadnych wiadomości.

Za pięć minut miała mieć przerwę między pacjentami. Patrząc na zegarek, wypilem zimną kawę i zadzwoniłem do niej do gabinetu, kiedy duża wskazówka dotknęła dziewiątki.

– Cześć – powiedziała. – Jestem trochę zajęta, obiecuję, że zadzwonię, jak tylko będę mogła.

– Nagły wypadek?

– Coś w tym rodzaju.

– Z nami wszystko w porządku?

Cisza.

– Jasne.

Odezwała się o siódmej trzydzięci.

– Nagły wypadek załatwiony?

– Dzisiaj rano Beth Scoggins weszła w pracy do przebieralni i zamknęła się od środka. Chwilę trwało, zanim ktoś to zauważył. Kiedy ją znaleźli, siedziała na podłodze, zwinięta w kłębek, ssła kciuk. Nie reagowała, zmoczyła spodnie. Kierowniczką zadzwoniła po pogotowie, ambulans zawiózł ją do szpitala. Zrobili jej badanie krwi, potem jacyś psychiatrzy próbowali na niej swoich umiejętności. W końcu powiedziała komuś, że jestem jej terapeutką, i dyżury

psychiatra po mnie zatelefonował. To z nim rozmawiałam, kiedy zadzwoniłeś. Odwołałam resztę pacjentów na dzisiaj i pojechałam tam; właśnie wróciłam do gabinetu.

– Jak ona się ma?

– Ciągłe regres, ale zaczyna mówić. O rzeczach, o których nigdy dotąd nie mówiła.

– Coś więcej o Daneyu czy...

– Nie mogę o tym z tobą rozmawiać, Alex. – Jasne. Allison, jeśli to przeze mnie...

– Siedziała na całej górze problemów, jak na wulkanie. Byłam prawdopodobnie zbyt beztrojska, powinnam bardziej próbować ją otworzyć.

To samo, prawie słowo w słowo, mówiła Cherish Daney o Randzie.

Tu było inaczej. Allison była zawodowcem. Cherish błędziła po omacku.

Poza swoją specjalnością.

A może nie.

Głowę załaty mi różne przypuszczenia i teorie.

– Na pewno podeszłaś do tego najlepiej jak umiałaś – powiedziałem. Zabrzmiało fałszywie.

– Wszystko jedno. Słuchaj, muszę obdzwonić tych odwołanych, ułożyć na nowo plan zajęć, wydłużyć godziny przyjęć, a potem wracać do szpitala. Chwilę potrwa, zanim będziemy mogli... towarzysko się spotkać. Nawet nie sugeruj Milowi, że będzie miał kiedykolwiek dostęp do tej dziewczyny.

– To nie wchodzi w grę.

– Wiem, jaka jest stawka, Alex, ale w tym przypadku jesteśmy po przeciwnych stronach.

Przykro mi, ale tak musi być.

Trzy godziny później stała w moich drzwiach, kołysząc w dłoni kluczykami od samochodu. Włosy miała związane niedbale, czegoś takiego nigdy dotąd nie widziałem, czarne jak nocne niebo wisały za nią. Jedna pończocha miała oczko od kolana do pół łydki, z kilku paznokci łuszczył się lakier, szminka dawno zeszała z ust. Do klapy czarnego bawełnianego kostiumu miała przypięty identyfikator. Tymczasowy Dostęp, Wydział Psychiatrii. Oczy, zawsze głęboko osadzone, teraz były więźniami pociemniałych od zmęczenia oczodołów.

– Nie miałam zamiaru być taka niedostępna – powiedziała. – Chociaż cały czas mam problem, duży problem, z całym tym oszustwem.

– Jadłaś już kolację?

– Nie jestem głodna.

– Wejdz.

Pokręciła głową.

– Jestem zbyt zmęczona, Alex. Chciałam ci to tylko powiedzieć.

– I tak wejdz.

Podbródek jej zadrżał.

– Jestem wykończona, Alex. Nie będę dobrym towarzystwem.

Dotknąłem jej ramienia. Przetisnęła się obok mnie, jakbym był przeszkodą na jej drodze. Poszedłem za nią do kuchni; rzuciła na stół torebkę i kluczyki i usiadła, gapiąc się w zlew.

Nie chciała nic zjeść, ale zgodziła się na gorącą herbatę. Przyniosłem jej kubek i grzanekę.

– Uparty jesteś.

– Podobno.

Usiadłem naprzeciw niej.

– To nedorzeczne – powiedziała. – Miałam pacjentów, którzy przechodzili przez gorsze rzeczy. O wiele gorsze. Myślę, że to połączenie osobowości tej konkretnej pacjentki... może

straciłam kontrolę nad przeciwprzeniesieniem... i twojego udziału. – Podniosła kubek do ust. – Kiedy cię poznałam, to czym się zajmujesz... kręciło mnie. Praca z policją, bohaterstwo; trafiłam na kolegę po fachu, który robi coś więcej, niż tylko siedzi w gabinecie i słucha. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale miałam własne fantazje o bohaterstwie. Pewnie przez to, co mi się przytrafiło. Chyba żyłam trochę przez ciebie. Do tego jesteś seksownym facetem, bez dwóch zdań. Poleciałam na ciebie.

Tym, „co się jej przytrafiło”, była napaść seksualna, kiedy miała siedemnaście lat. I obrona przed próbą rabunku i grupowego gwałtu wiele lat później.

Zerknęła na swoją torebkę i wiedziałam, że myśli o swoim małym błyszczącym pistoleciku.

– Wciąż mnie to kręci, ale teraz nastąpiło brutalne przebudzenie. Zaczynam sobie zdawać sprawę, że ma to pewne niezdrowe aspekty.

– Na przykład oszustwo. – I trzymanie kobiety za nogi, żeby detektyw mógł ją spętać.

Jej oczy nabrały koloru płomienia odrzutowego.

– Zwyczajnie ją okłamałeś, Alex. Dziewczynę, której nie znałeś, nie zastanawiając się nad ryzykiem. Na pewno w większość przypadków to nic takiego, zwykła bajeczka w służbie wymiaru sprawiedliwości i nikomu nie dzieje się krzywda. Tym razem... Może na dłuższą metę wyjdzie jej to na zdrowie. Ale teraz...

Odstawiła kubek.

– Powtarzam sobie, że skoro była tak blisko krawędzi, w końcu i tak by spadła. Może po prostu ucierpiało moje ego. Nie spodziewałam się czegoś takiego...

Dotknąłem jej ręki. Nie zareagowała.

– W przypadku Mila podstępny to nic złego, rozumiem, jakich ludzi spotykają gliniarze. Ale ty i ja zdawaliśmy ten sam egzamin dopuszczający do zawodu i oboje wiemy, jaki jest nasz kodeks etyki.

Cofnęła dłoń.

– Myślałeś o tym, Alex?

– Tak.

– I?

– Nie wiem, czy będziesz zadowolona, kiedy usłyszysz moją odpowiedź.

– Spróbuj.

– Kiedy przyjmuję pacjentów jako terapeuta, reguły mają zastosowanie. Kiedy pracuję z Milem, reguły się zmieniają.

– Jak zmieniają?

– Nigdy nie skrzywdziłbym kogoś umyślnie, ale nie mogę zagwarantować poufności.

– Ani prawdomówności.

Milczałem. Nie było sensu mówić o człowieku, którego zabiłem kilka lat temu. Czysta samoobrona. Czasami jego twarz powracała do mnie w snach. Czasami wyobrażałem sobie twarze jego nienarodzonych dzieci.

– Nie chciałam cię atakować – powiedziała Allison.

– Nie czuję się atakowany. To rozsądna rozmowa. Może powinniśmy ją przeprowadzić wcześniej.

– Może. A więc oddzielasz jedno od drugiego. Nie męczy cię to?

– Jakoś sobie radzę.

– Bo źli ludzie czasem dostają to, na co zasługują.

– Tak jest łatwiej.

Bardzo się starałem, żeby nie zadrżał mi głos. Mówiłem to, co należało, chociaż tak naprawdę czułem się atakowany. Myślałem o sześciu trupach, może siedmiu, o braku oczywistego wyjścia. Myślałem o Cherish Daney takie rzeczy, że nie mogłem przestać.

– Jak duża część twojej pracy to oszustwa? – spytała Allison.

– Niewielka – odparłem. – Ale się zdarzają. Staram się nie stracić nad tym kontroli, lecz kiedy muszę, jakoś to sobie uzasadniam. Przykro mi z powodu tego, co się stało z Beth, i nie będę wymyślał sobie usprawiedliwień. Skłamałem jej tylko w jednej sprawie: że prowadzę badania nad rodzinnymi domami dziecka w ogóle. Nie uważam, żeby to miało wpływ na jej załamanie.

– Do tego załamania doprowadziło już samo poruszenie tej sprawy, Alex. To wyjątkowo delikatna dziewczyna, która w ogóle nie powinna być wciągana w policyjne dochodzenie.

– Nie mogłem o tym wiedzieć.

– No tak. Dlatego właśnie uczono nas dyskrecji, cierpliwości i rozwagi. Żeby nikogo nie skrzywdzić.

– Świadkowie często są narażeni na takie rzeczy – powiedziałem.

Długa chwila ciszy.

– A więc nie masz z tym wszystkim żadnego problemu – powiedziała Allison.

– Czy podszedłbym do Beth bezpośrednio, gdybym wiedział, że się zdekompensuje? Oczywiście, że nie. Czy wybrałbym inne podejście, na przykład przez ciebie? Oczywiście, że tak. Bo stawka jest wysoka, nawet wyższa, niż ci powiedziałem, a ona była potencjalnym źródłem bardzo ważnych informacji.

– Jaka to stawka?

Pokręciłem głową.

– Dlaczego nie? – spytała.

– Nie musisz tego wiedzieć.

– Jesteś zły, więc się na mnie odgrywasz.

– Nie jestem zły, chcę cię po prostu chronić przed paskudnymi rzeczami.

Tak jak chroniłem Robin.

– Bo nie ma nadziei, że zrozumiem.

Myślałem, że zrozumiesz. Ale to rzeczy o wiele zbyt paskudne.

– Po prostu nie ma powodu, żeby cię w to mieszać, Allison.

– Już jestem w to zamieszana.

– Jako terapeutka.

– Więc mam po prostu zająć się swoją terapią i nie wsadzać nosa w twoje sprawy?

To by wiele uprościło.

– To jedna z najbardziej wstrętnych spraw, przy jakich pracowałem, Ali. I tak już całymi dniami nurzasz się w gównie innych ludzi. Dlaczego chcesz jeszcze bardziej zbrukać sobie duszę?

– A ty? A twoja dusza?

– O ile można to nazwać duszą.

– Nie uwierzę, że to nie ma na ciebie wpływu.

Nienarodzone dzieci...

Nie odpowiedziałem.

– Ty umiesz sobie z tym poradzić, a ja nie? – spytała.

– Ja nie pytam o twoich pacjentów.

– To co innego.

– Czyżby?



– W porządku – powiedziała. Mamy więc w naszym związku nowe tabu. Co nas łączy?  
Ostry seks?

– I wystawna kuchnia – wskazałem grzanekę.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Wstała, zaniósła kubek do zlewu, wylała resztkę herbaty i go umyła.

– Lepiej już pójdę.

– Zostań.

– Dlaczego?

Stanąłem za nią, objąłem ją ramieniem w pasie. Poczułem, jak drżą mięśnie jej brzucha, kiedy zeszywniała. Odsunęła moją rękę, odwróciła się i spojrzała mi w oczy.

– Prawdopodobnie wbiłam między nas jakiś klin. Może obudzę się jutro i poczuję jak skończona idiotka, ale w tej chwili płonie we mnie ogień słusznego oburzenia.

– Wyższa stawka to sześć morderstw, może siedem. Jeśli wliczyć w to dziewczynę, która zastąpiła Beth jako asystentka Daneya. Najwyraźniej znikła, a nie ma jej w rachunkach.

Allison wysunęła się z moich objęć, oparła o blat i zapatrzyła w kuchenne okno.

– Do tego dziecko – ciągnąłem. – Dwóch nastoletnich chłopców, trzy kobiety i upośledzony umysłowo młody mężczyzna. I jak dotąd niczego nie możemy udowodnić.

Schyliła się nad zlewem, wygięła i zacharczała.

Próbowałem ją objąć. Zadygotała.

– Przepraszam – zaskomlała, odsuwając się. Ochlapała twarz wodą, wytarła rękawem. Porwała ze stołu torebkę i kluczyki, wybiegła z kuchni.

Dogoniłem ją, kiedy otwierała frontowe drzwi.

– Jesteś wykończona. Zostań. Prześpij się na kanapie.

Usta miała spierzchnięte, na policzkach maleńkie kropki pękniętych naczynek. Mikrowylewy po wysiłku wymiotowania.

– Uprzejma propozycja. Miły z ciebie człowiek.

– Chciałbym być dobrym człowiekiem.

Odwróciła wzrok.

– Muszę pobyć sama.

Wróciłem do kuchni, zacząłem żuć grzanekę, którą zrobiłem dla Allison, i myśleć o tym, co się właśnie stało.

Jutro rano ja też mogłem obudzić się w parszywym nastroju. Jeśli w ogóle zasnę. W tej chwili cieszyłem się, że jestem sam, że mogę rozważyć to wszystko, co kłębiło mi się w głowie.

Była jedenasta piętnaście. Pomyślałem, że Milo pewnie też nie śpi. A jeśli zasnął, to cholernie mi przykro.

– Która godzina? – wycharczał.

– Cherish Daney powiedziała mi, że próbowała otworzyć Randa, żałowała, że nie wyszło jej to lepiej. Dla jego dobra. Ale co, jeżeli miała inny motyw? A jeśli dowiedziała się, co zrobił Drew, i chciała, żeby Rand opowiedział jej o udziale Drew w zamordowaniu Kristal?

Milo zakaszłał ochryple, odchrząknął.

– Tobie też dobry wieczór. Skąd ci się to wszystko wzięło?

– Od początku mówiłeś, że Cherish musi coś wiedzieć. Może miała jakieś podejrzenia, ale je wypierała, dopóki nie natknęła się na coś rażąco oczywistego.

– Na przykład?

– Trofea. Ktoś z taką obsesją na punkcie władzy jak Drew mógł je zbierać. Podniecało go oszukiwanie Cherish, ukryty schowek byłby dla niego świetną zabawą. Ale arogancja prowadzi do nieostrożności. Może się zapomniał i zostawił coś na wierzchu. A może wszystkie te wycieczki z „asystentkami” wzbudziły jej podejrzenia i zaczęła szperać po domu. Jeśli sama nie jest potworem, znalezienie mocnych dowodów zbrodni Drew musiało ją przerazić. Bałaby się też z powodów osobistych: gdyby prawda wyszła na jaw, na pewno byłaby podejrzana o współudział. Wtedy mogłaby się zgłosić z własnymi dowodami i zostałaby zwolniona. Potwierdzenie przez Randa udziału Drew w morderstwie Kristal byłoby dużym krokiem w tym kierunku.

– Daney molestuje i morduje całymi latami, a ona aż do tej pory jest Panną Niewiniątkiem?

– Nic, czego się dotąd dowiedzieliśmy, nie świadczy, że zrobiła coś gorszego niż przekroczenie dozwolonej liczby podopiecznych. Beth Scoggins mówiła, że całymi dniami gotowała, sprzątała i uczyła. Moim zdaniem szuka sobie zajęć, żeby nie myśleć.

– Nie wspominając o siedmiu kawałkach miesięcznie.

– Daneyowi chodziło o pieniądze powiedziałem. – Może jej też. Ale ona jeździ starym gruchotem i żyje prosto. Poza tym widziałeś, jak pracowała z Valerie. Cierpliwie, mimo jej niechęci.

– Obowiązkowa kura domowa – sarknął Milo. – A tymczasem Drew rozsiewa swoją spernę... Ciągłe nie jestem przekonany, że jest kryształowo czysta, ale w porządku, założmy, że tak. Chce, żeby Rand wydał Drew, prowadzi mu terapię, a potem co?

– Nie udaje się jej. Najczęstszymi błędami niewykwalifikowanych terapeutów są za szybkie postępy i mówienie za dużo. Dodać do tego niepokoję Cherish i jestem pewien, że naciskała za mocno. Chciała, żeby Rand „widział”, jak Drew wynajmuje Troya do zabicia Kristal. Niezależnie od tego, czy tak było.

– Próbowwała mu to wmówić?

– Zaczęło się podczas odwiedzin w więzieniu. Sugerowała, miała nadzieję, że Rand coś sobie przypomni. Rand miał uległą osobowość, był łatwowierny, więc może rzeczywiście coś

sobie przypomniał, na przykład jak widział Drew rozmawiającego z Troyem niedługo przed morderstwem albo jakąś luźną uwagę Troya na temat Drew. A może tylko mu się tak wydawało. Bo dorosły, który by wszystko zaplanował, byłby z korzyścią dla niego samego. Zmniejszyłby jego własną odpowiedzialność.

– „Jestem dobrym człowiekiem”.

– „Jestem dobrym człowiekiem, bo za tym wszystkim stał Daney, jego prawą ręką był Troy, a ja znalazłem się tylko we właściwym czasie w niewłaściwym miejscu”. Cherish mogła nawet mu to tak przedstawić.

– Jeśli to kupił, dlaczego się nie otworzył?

– Osiem lat w więzieniu, pobicia, rany od noża, konieczność radzenia sobie samemu, wszystko to nauczyło go ostrożności. Tak czy inaczej pomysł, który zaszczerpiła mu Cherish, zakorzenił się, i to go przerażało: miał zamieszkać w domu diabła, który zrujnował mu życie. To dlatego był taki niespokojny, kiedy Daneyowie wzięli go do siebie.

– Więc po co w ogóle do nich poszedł?

– Nie miał wyboru. Nie miał rodziny, środków ani pojęcia, jak wygląda świat poza murami więzienia. Musiał też uważać, żeby nie wzbudzić podejrzeń Drew nagłą zmianą planów. Ale założyłem się, że zamierzał jak najszybciej stamtąd uciec. Kiedy tylko znalazłby kogoś, kto by go wysłuchał.

– Ciebie.

– Mógł być jeszcze czujniejszy przez nalegania Cherish. Lauritz Montez bronił go po łebkach. Rand na pewno nie postrzegał prokuratury ani policji jako swoich sprzymierzeńców. Zostawiałem ja.

– Ach, ta skromność – zakpił Milo. – A więc sprzedał Daneyowi lewą historyjkę, wyszedł, jakoś pokonał wzgórze, zadzwonił do ciebie z Westwood.

– Nie sądzę, żeby pokonał je sam. Nie umiał zapanować nad swoim strachem i Drew załapał jednak, że coś jest nie tak. Nie było go w domu, kiedy Rand wyszedł. Mógł być w pobliżu i go obserwować. Albo zadzwonił do domu, a Cherish mu powiedziała, że Rand poszedł na budowę. To wzbudziło jego podejrzania, bo wiedział, że budowa jest w sobotę zamknięta, że tylko się tam sprząta. Pojechał za Randem, znalazł go, zabrał do dzipa.

– I zawiózł do miasta? Po co?

– Żeby rozproszyć jego obawy – powiedziałem. – Rand idzie ulicą, zdezorientowany, szuka budki telefonicznej, a może próbuje tylko zebrać myśli. Daney podjeżdża, cały w uśmiechach, mówi: wskakuj, pojedziemy coś zjeść. Zaskoczony Rand czułby się zmuszony posłuchać, żeby nie okazać zdenerwowania. Daney przejechał przez wzgórze i jeszcze bardziej rozbroił go rozmową. Wysadził pod wejściem do Westside Pavilion z jakimiś drobnymi, kazał się zabawić, powiedział, że przyjedzie po niego później. W centrum handlowym nikt Randa nie pamięta, więc możliwe, że wcale tam nie wszedł. To był tępy, zdezorientowany dzieciak, który dorastał za kratkami. Równie dobrze można by go wysadzić na Marsie.

– Po co Daney zadawał sobie tyle trudu? Dlaczego nie zawiózł go w jakieś odludne miejsce i od razu nie zabił?

– Daney czuł, ale wtedy nie był jeszcze pewien, że zabójstwo Randa jest konieczne. Kolejna śmierć powiązana z Krystal mogła spowodować cały łańcuch wydarzeń, nad którymi by nie zapanował. I tak się właśnie stało. Kiedy wysadził Randa, zaczął się w pobliżu, żeby go obserwować. Zobaczył, że Rand oddala się od centrum, idzie do budki. Rand był podenerwowany, kiedy do mnie dzwonił, łatwo byłoby odczytać jego mowę ciała. Kiedy wyszedł z budki, Daney ruszył za swoją ofiarą.

– Znów go zabrał – powiedział Milo. – Tym razem musiał to zrobić pod bronią, Rand nie wsiadłby dobrowolnie.

– Nie można lekceważyć przebiegłości Drew. Jestem w stanie uwierzyć, że użył wymyślonej historyjki, na przykład: Cherish nagle źle się poczuła, muszą szybko wracać do domu. Może Rand myślał, że jeśli nie pojawi się w pizzerii, zaalarmuję kogoś i ktoś przyjdzie mu z pomocą.

Jeśli tak, przecenił mnie.

– Dobrze, tak czy inaczej wsiadł do dżipa, a Drew pojechał w jakieś odludne miejsce ciągnął Milo. – Sądząc po tym, gdzie wyrzucił zwłoki, prawdopodobnie do podnóża wzgórz w Bel Air. Rand, nie znając miasta, nie zorientował się, że Drew jedzie naokoło. Drew znajduje miejsce, zatrzymuje się. A potem co?

– Rand był duży i silny, więc Drew musiał uniknąć szamotaniny i zachowywać się przyjaźnie. Przygotował się, otwierając szybę w drzwiach pasażera. Sprawiał wrażenie spokojnego, ojcowskiego, może nawet uduchowionego. Rand prawdopodobnie patrzył przed siebie, przestraszony i zmieszany, ale siląc się na spokój, kiedy Drew przystawił mu pistolet do skroni i nacisnął spust. Miał potem mnóstwo czasu, żeby wyczyścić dżipa i znaleźć kulę. Kiedy skończył, pojechał po zmroku na Sunset, pod wjazd, upewnił się, że nikt go nie widzi, i wyrzucił ciało. Następnego dnia prawdopodobnie umył dżipa. Ale wciąż mogą tam być resztki krwi, osad spalonego prochu, kawałeczki kości.

– Dobra historia, Alex. Świetna, wszystko się zgadza. Ale nie dostaje się nakazów aresztowania pod sprytnie historyjki.

– Już masz podstawy do nakazu – powiedziałem. – Molestowanie nieletnich. Zainteresuj tym tych od nieletnich ze śródmieścia, przetrząśnij dom, wciągnij do papierów dżipa.

– Do tego potrzebuję wyników DNA, żeby udowodnić, co Daney zrobił Valerie – powiedział Milo. – Chyba, żeby któraś z innych dziewczyn się przyznała.

– Widziałeś go z Valerie w klinice.

– Widziałem, jak czekał, a potem ją odbierał. To było sugestywne, ale nie jednoznaczne. Jakież postępy z Beth Scoggins?

– Nie.

– Tak po prostu.

– Tak po prostu.

– Allison jest nieugięta?

– Zostańmy przy „tak po prostu” – powiedziałem.

Cisza.

– Masz jakieś propozycje?

– Porozmawiaj z Cherish na osobności. Nie mów od razu o morderstwach, powiedz jej, że wiesz o aborcji Valerie i że podejrzewasz, że to Drew był ojcem. Być może zaakceptuje swoje podejrzenia o molestowanie, a może nawet pójdzie na całość i opowie o Kristal.

– Jeśli tak bardzo jej zależy, żeby się oczyścić, dlaczego nie zgłosiła się, kiedy został zamordowany Rand?

– Tak jak Rand mieszka z Drew pod jednym dachem. Może się boi, że nie ma dość dowodów, żeby go zamknęli.

– Masz rację – zgodził się Milo. – Ale o czymś zapomnieliśmy: Cherish i Malley. Jeśli to jej kochaś, dlaczego mu o niczym nie powiedziała? A jeśli powiedziała, dlaczego ze mną nie współpracował? Coś tu cały czas nie gra, Alex. Nie jestem jeszcze gotowy wpisać Barnetta ani Cherish na listę tych dobrych.

– Wiemy na pewno, na jakiej liście jest Drew, a on mieszka z ośmioma nieletnimi dziewczynami. Do tego dochodzi Miranda.

– Nie jestem nieświadom powagi sytuacji.

– Nie chciałem sugerować, że jesteś.

– Daj mi się z tym przespać. Że tak się wyrażę. Rano każę Binchy’emu zacząć obserwować dom Daneya, co nie będzie łatwe, skoro na Galton Street jest tak cicho i spokojnie. Jeśli Cherish wyjedzie pierwsza, Sean pojedzie za nią i przekaże ją w moje ręce. Jeśli to Drew wyjdzie z domu, Sean pojedzie za nim, a ja złożę Cherish małą wizytę.

– Tak czy inaczej, daj znać, jak poszło.

– Równie dobrze możesz jechać ze mną.

O siódmej rano obudził mnie dzwonek do drzwi, a potem energiczne pukanie. Mój nieprzytomny umysł wiedział, co się dzieje: Allison wpadła przed pracą, żeby się pogodzić.

Wypełzłem z łóżka, w samych bokserkach doczłapałem do drzwi, otworzyłem je z szerokim uśmiechem.

Za nimi stał Milo, w wymęczonym zielonym blezerze, szarych sztruksach, żółtej koszuli i brązowym krawacie. W jednym ręku miał pudełko pączków z Daffy Donuts, w drugim dwa duże kubki kawy z tej samej cukierni. Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami, jakbym był okazem jakiegoś rzadkiego i podejrzanego gatunku.

– Zemsta? – spytałem.

– Za co?

– Za obudzenie wczoraj w nocy.

– Co... A, tamto. Nie, drzemałem tylko na fotelu. Siedziałem potem do trzeciej, wymyślałem różne scenariusze.

Minął mnie i wszedł. Zostawiłem go w kuchni i włożyłem szlafrok. Kiedy wróciłem, pudełko było otwarte; zawartość: jaskrawo kolorowe, smażone ciastka. Milo trzymał kawę. Poczynił godne podziwu postępy w pracy nad roladką wielkości sporego szczeniaka.

To samo jadł na drugim spotkaniu z Drew Daneyem. Powiedziałem to głośno.

– Tak, zainspirowało mnie – odparł, sypiąc okruchami. – Oddaj tłuszczowi, co mu się należy. – Wskazał drugi kubek. – Pij i obudź się, chłopcze.

– Daffy zamiast Dipsy?

– Mój lokalny dostawca, niezależny. Wspieram wolną przedsiębiorczość.

Napiłem się kawy, poczułem smak miedzi, pomyj i czegoś z grubsza przypominającego kawę. Zwalczyłem chęć splunięcia.

– Wymyśliłeś jakiś nowy scenariusz? – spytałem.

– Nie, postanowiłem na razie trzymać się tego, który ty mi podsunąłeś: Cherish próbowała bawić się w psychologa, za bardzo się spieszyła, wystraszyła Randa, Drew się domyślił. – Wepchnął do ust resztkę roladki. Usta zlepione lukrem wygięły się w górę. – A ja myślałem, że ta wasza cierpliwość, te miesiące „aha” i „rozumieć” to po to, żeby dłużej bił licznik.

– A ja myślałem, że gliniarze nie zawsze składają swoje trzustki w ofierze sacharozie. – Ziewnąłem. – Jedziemy gdzieś czy musimy coś jeszcze obgadać?

– Pojedziemy, kiedy zadzwoni Sean.

– A kiedy to będzie?

– Kazałem mu zacząć obserwować dom od siódmej i kontaktować się co godzina. Dopij kawę, idź się umyć i ubrać.

– Dwa na trzy to i tak niezły wynik – powiedziałem i zostawiłem kubek na stole.

Kiedy wróciłem, Milo siedział rozwalony w salonie, z komórką przy uchu; kiwał głową i tupał lewą nogą.

– Dzięki, świetnie, naprawdę świetnie.

Zatrzasnął telefon, wstał.

– Cały czas wyglądasz, jakbyś się jeszcze nie obudził.

– A ty nie – odparłem. – Co ci daje tyle energii?

– Niewielka szansa, że wszystkie elementy układanki wskoczą na swoje miejsca. To była Sue Kramer, niech ją Bóg błogosławi. Też wstała bladym świtem, śledząc tropy w innych strefach czasowych. Gdybym był hetero, normalnie bym się z nią ożenił.

– Już jest mężatką.

– Nie bądźmy tacy drobiazgowi. W każdym razie dowiedziała się paru rzeczy o naszych obu chłopakach. Jedziemy, opowiem ci w samochodzie.

Kazał mi prowadzić; kiedy odpaliłem seville'a, głowa opadła mu na piersi. Na wysokości skrzyżowania w Glen w stronę Valley już smacznie chrapał. Na Mulholland wyprostował się gwałtownie i zaczął mówić, jakby w ogóle nie spał.

– Kowboj urodził się w Alamogordo, jak mówiłem. Przeprowadził się do Los Alamos w wieku dziesięciu lat, bo ranczo, na którym pracował jego ojciec, zostało zamknięte i tatko dostał posadę stróża w laboratorium atomowym. Cała rodzina mieszkała tam przez dziesięć lat. Rodzeństwo sztuk jeden, starsza siostra, mężatka z dziećmi, pracuje dla miasta Cleveland. Po liceum Barnett pracował dwa lata jako kierowca ciężarówki, potem załapał się do policji Santa Fe.

– Był gliną?

– Jeździł przez osiemnaście miesięcy w patrolu, dopóki kilka skarg na nieuzasadnione użycie siły nie doprowadziło do porozumienia stron między nim a departamentem.

– Jak odejdzie sam, to nie będzie oskarżenia.

Milo kiwnął głową.

– Potem przez kilka lat nie wykazywał żadnych dochodów, według Sue jeździł po kraju jako sezonowy robotnik. Dziesięć lat temu zatrudnił się na ranczu dla turystów, przeprowadził się do Kalifornii. Kiedy się ożenił, zaczął czyścić baseny. Nie licząc świerzbienia ręki na zatrzymanych, kiedy miał dwadzieścia jeden lat, w jego przeszłości nie ma nic podejrzanego. Pierwsze wrażenie, jakie sprawia, jest chyba prawdziwe: małymówny samotnik, któremu w życiu się nie ułożyło.

– W przeciwieństwie do Daneya.

– Jego było tak trudno znaleźć, bo zmienił nazwisko. Urodził się jako Moore Daney Andruson, jest o pięć lat starszy, niż wynika z jego prawa jazdy. Wychowywał się na wsi w Arkansas jako jedno z siedmiorga dzieci, z których co najmniej trójka skończyła w więzieniu za brutalne przestępstwa. Jego starzy byli wędrownymi kaznodziejami.

– A więc to, co mówił o wychowywaniu się w kościele, to prawda – zauważyłem.

– Raczej w namiocie. Z gadami. Jego ojciec był treserem grzechotników, religijne uniesienia chroniły go podobno przed jadem. Do czasu.

– Jak Sue się tego wszystkiego dowiedziała?

– Chociaż to łotr, nazwisko zmienił legalnie i zgłaszał dochody urzędowi podatkowemu, z przerwami, odkąd skończył osiemnaście lat. Jego przeszłość kredytowa jako Moore'a D. Andrusona skończyła się dwanaście lat temu. Dużo niezapłaconych rachunków, dwa bankructwa.

– Ciekawe, po co w ogóle płacił podatki – zastanowiłem się.

– Nie miał wyboru. W pierwszych zakładach pracy dostawał pensje, potrącali mu podatek, ubezpieczenie i tak dalej. Teraz, kiedy obciąża państwo, wymaga się od niego zupełnie innych papierów.

– O jakich pracach mówimy?

– Zgaduj.

– Praca z młodzieżą.

– Wychowawca obozowy, doradca uzależnionych, zastępczy nauczyciel, nauczyciel w szkółce niedzielnej, wuefista, zawsze w małych miasteczkach. Na wnioskach wpisywał fałszywe tytuły zawodowe, przez to wylatywał z trzech posad w trzech kolejnych miasteczkach. Potem próbował na przedmieściach, jeździł szkolnym autobusem w dziewczęcej podstawówce w Richmond w Wirginii.

– To ci niespodzianka.

– Tam poznał Cherish. Był już wtedy Drew Daneyem. Ona skończyła właśnie college biblijny, uczyła upośledzone dzieci w innej szkole.

– Drew nie ma południowego akcentu – zauważyłem. – Dużo nad sobą pracował. Jego pracodawcy odkrywali jego fałszywe referencje dopiero po tym, jak go zatrudnili. To znaczy, że coś innego wzbudziło ich podejrzenia i zaczęli go sprawdzać.

– Nie wątpię, ale nikt nie chce podawać szczegółów. Sue musiała się mocno starać, żeby przynajmniej przyznali, że go znają.

– Co znaczy, że brudy zamietli pod dywan. Ktoś zgłosił fałszerstwo na policję?

– Nie, tylko go wyrzucali.

– Do następnej ofiary.

– Nic nowego – stwierdził Milo. – Dał się spisać policji, ale nie zrobił nic, za co by trafił do KOK czy jakiejś innej krajowej bazy danych. Obnażenie w miejscu publicznym, zmniejszone do nieobyczajnego wykroczenia w Vivian w Luizjanie; używanie czeków bez pokrycia, zakończone ugodą i spłatą długu, bez aresztu, w Keswick w Wirginii; napaść na tle seksualnym w Carrol County w Georgii. Ten zarzut oddalono. Szeryf powiedział, że wie, że Andruson to zrobił, ale dziewczyna, o której uwiedzenie go oskarżono, miała porażenie mózgowie i ledwie mówiła. Uznali, że nie da sobie rady jako świadek, postanowili oszczędzić jej przykrości.

– Morał z tej historii: wybieraj upośledzonych.

– Poprosiłem Sue, żeby dowiedziała się, ile zdoła, o tej zaginionej dziewczynie, Mirandzie. Dałem jej numer Olivii. To się nazywa zderzenie umysłów.

Z kieszeni jego marynarki dobiegła nas piskliwa melodyjka. Już nie Beethoven, jakieś latynoskie rytmy. Milo sięgnął i wyjął wciąż grający telefon; sprawdził numer dzwoniącego. Przeprogramował dzwonek, chociaż myślałem, że to robią tylko dzieciaki.

– Sturgis... tak, cześć. Nie, na posesji nie ma parkingu. Jestem pewny, Sean. Na pewno nic nie przeoczyłeś? No, to zdecydowanie skomplikowało sprawę... mam nadzieję, że nie... tak, tak, sprawdź to wszystko, będziemy za piętnaście, dwadzieścia minut, ja do ciebie zadzwonię, chyba że dowiesz się czegoś superważnego.

Klik.

– Sean jest na miejscu od szóstej czterdzieści pięć. Nigdzie nie widać dzipa Daneya ani toyoty Cherish. Ani też czarnej ciężarówki Malleya. Brama jest zamknięta, więc nie wie, czy ktoś jest w domu. Nie widać i nie słychać żadnych dzieci, ale Sean stoi trzydzieści metrów od posesji. Powiedziałem, żeby spisał numery wszystkich samochodów w okolicy i sprawdził je.

– Oboje wyjechali osobnymi samochodami – powiedziałem.

– Może pojechali na pączki. Daj no trochę szybciej, co?

Pędem przeleciałem przez kanion, przebiłem się przez poranne korki, w końcu dotarłem na Vanowen tuż po ósmej. Milo zadzwonił do Binchy'ego, żeby zapytać o numery.

– Nie, dawaj dalej... nie, nie... zaczekaj, powtórz... interesujące. Dobrze, czekaj, aż przyjedziemy. Wielkie dzięki, młody.

– Coś znalazł? – spytałem.

– Kremowego cadillaca deville zaparkowanego przed samym domem – odparł Milo. – Zgadnij, kto płaci ubezpieczenie.



Wielebny doktor Crandall Wascomb wyglądał, jakby jego wiara została poddana próbie, a on sam nie był pewien, czy ją przeszedł.

Otworzył furtkę po kilku sekundach łomotania Mila, cofnął się, oszołomiony.

– Doktor Delaware?

Na widok odznaki Mila przygarbił się. Nie z rozpaczy, z ulgą.

– Policja. Dzięki Bogu. Do was Cherish też dzwoniła?

– Kiedy do pana zadzwoniła, proszę pana? – spytał Milo.

– Wcześniej rano – odparł Wascomb. – Tuż po szóstej.

Siwe włosy miał nastroszone, ubrany był byle jak: ciężki szary sweter, zapięty nierówno, tak że wydymał mu się na piersi, biała koszula z pogniecionym kołnierzykiem, bordowy krawat zawiązany o wiele za nisko. Oczy za szklami w czarnej oprawce były wodniste i niepewne.

– Czego chciała, wielebny?

– Powiedziała, że potrzebuje natychmiast mojej pomocy. Pani Wascomb nie czuje się najlepiej, więc trzymam telefon w przedpokoju, zamiast przy łóżku, żeby jej nie budzić. Dzwonek obudził mnie, ale uznałem, że o tej porze to pomyłka, i nie wstałem. Kiedy znów zadzwonił, odebrałem i to była Cherish, przepraszała, że przeszkadza. Powiedziała, że coś jej wypadło, błagała mnie, żebym przyjechał do niej do domu najszybciej, jak się da. Próbowałem skłonić ją do wyjaśnień. Powiedziała, że nie ma na to czasu, że muszę jej po prostu uwierzyć, przecież zawsze była wierną uczennicą.

– Faktycznie, była. – Wascomb zamrugął.

– Czy była przerażona? – spytałem.

– Raczej... zaniepokojona, ale w konstruktywny sposób. Jakby nagle stanęła przed jakimś wyzwaniem i szykowała się, żeby mu sprostać. Pomyślałem, że może jedno z dzieci albo Drew się rozchorowali. Zapytałem ją jeszcze raz, co się stało, a ona odpowiedziała, że mi powie, kiedy przyjadę. Jeśli przyjadę. Powiedziałem, że przyjadę, i poszedłem się ubrać. Pani Wascomb się obudziła, powiedziałem jej, że to moja bezsenność, żeby się nie przejmowała i starała się zasnąć. Kazałem pokojówce czuwać nad nią, doprowadziłem się do porządku i przyjechałem. – Zmrużył oczy, patrząc to na Mila, to na mnie. – Kiedy przyjechałem, brama była otwarta, ale w domu nikogo. Frontowe drzwi nie były zamknięte, więc uznałem, że Cherish chciała, żebym wszedł. W domu – pustki. Rozejrzałem się, wyszedłem na zewnątrz. Coraz bardziej się denerwowałem. Wtedy wyszła stamtąd młoda kobieta. – Ruchem głowy wskazał dwie przybudówki: przerobiony garaż pomalowany na bladą błękit, żeby pasował do koloru domu, i – bardziej z boku – dziwny sześcian z betonowych pustaków.

Drzwi do sześcianu były otwarte na oścież.

– Zostawiłem je otwarte, żeby dziewczynki nie czuły się zamknięte – wyjaśnił Wascomb.

– Jest tam tylko jedno okno, zabite na glucho. Dwie były w tamtym drugim budynku, tym niebieskim, ale zebrałem je wszystkie w jednym miejscu do momentu przybycia pomocy.

– Wzywał pan pomoc? – spytał Milo.

– Zastanawiałem się właśnie, po kogo dzwonić, kiedy panowie przyjechaliście. Nic się raczej ważnego tak naprawdę nie dzieje, oprócz tego, że Cherish i Drew tu nie ma. – Jeszcze jedno spojrzenie na betonowy sześcian. – Żadna z nich chyba nie wie, co się tu dzieje, ale być może nie chciała ich martwić.

– „Z nich” znaczy z dzieci.

– Tak, z trzódki.

– Trzódki?

– Tak Cherish określała je w instrukcji.

– Jakiej instrukcji?

– Ojej – powiedział Wascomb. – Sam się już gubię, to wszystko takie...  
Z kieszeni swetra wyjął dwie kartki papieru, złożone do formatu pocztówki.  
Milo je rozłożył, przeczytał, wysunął szczękę.  
– Gdzie pan to znalazł, proszę pana?  
– Kiedy rozglądałem się po domu, zajrzałem do sypialni i zobaczyłem to na biurku. –  
Wascomb oblizał wargi. – Zauważyłem to, bo leżało na środku, na kawałku bibuły. Jakby  
chciała, żebym to znalazł.  
– Złożone?  
– Nie, rozłożone na płask. Naprawdę wyglądało, jakby chciała, żebym to przeczytał.  
– Co jeszcze było na biurku?  
– Pióra, ołówki – powiedział Wascomb. – I kasetka. Taka, w jakiej banki trzymają  
depozyty. Tego oczywiście nie ruszałem.  
Milo podał mi kartki. Dwie strony równej, pochylej kursywy.

*Trzódka: instrukcja codziennej opieki*

*1. Patricia: skaza białkowa (mleko sojowe w lodówce). Wymaga pomocy w czytaniu i  
pisaniu.*

*2. Gloria: Ritalin 10 mg przed śniadaniem, 10 mg przed kolacją, problemy z samooceną,  
radzi sobie dobrze ze wszystkimi zajęciami wyrównawczymi, ale wymaga bardzo dużo słownej  
zachęty.*

*3. Amber: Ritalin 75 mg przed śniadaniem, 10 mg przed kolacją, Allegra 180 mg w miarę  
potrzeby na katar sienny, alergia na penicylinę, na małże, nie lubi mięsa, ale trzeba ją zachęcać  
do jedzenia kurczaka; matematyka, czytanie, pisanie...*

– To by sugerowało, że szykowała się do dłuższej nieobecności – stwierdził Milo.  
– Cherish zawsze była zorganizowaną studentką – powiedział Wascomb. – Jeśli  
wyjechała na dłuższy czas, na pewno miała ważny powód.  
– Na przykład?  
– Nie wiem tego powiedzieć, poruczniku. Ale żywię dla niej najwyższy szacunek.  
– W przeciwieństwie do Drew.  
Wascomb zacisnął zęby.  
– Pan doktor na pewno opowiedział panu o naszych problemach z Drew.  
– Jego też nie ma – zauważył Milo.  
– Są mężem i żoną.  
– Myśli pan, że wyjechali razem.  
– Nie wiem, co mam myśleć, proszę pana. – Wascomb westchnął.  
– Kiedy Cherish dzwoniła, nie mówiła nic o wyjeździe, wielebny?  
– Nie... poruczniku, tak? Nie, nie mówiła, poruczniku. Oczekiwałem, że tu będzie, kiedy  
przyjadę. Skoro Cherish nie dzwoniła do pana, czy mogę zapytać, dlaczego pan tu jest?  
– By chronić i służyć, wielebny.  
– Rozumiem – odparł Wascomb. – Będziecie mnie panowie jeszcze potrzebować? Z  
przyjemnością zaoferuję pomoc Fulton w opiece nad tymi dziećmi, na krótki czas. Jednakowoż...  
– Czy mógłby pan jeszcze chwilę zostać? – poprosił Milo. – Pokazać mi tę kasetkę?  
– Stoi na biurku, poruczniku. Powinienem wracać do pani Wascomb.  
Milo lekko ujął go za rękaw.  
– Proszę jeszcze chwilę zostać, wielebny.  
Wascomb przygładził włosy, bez efektu.

- Oczywiście.
- Dziękuję panu. A teraz zajmijmy się trzódką.

Wnętrze sześcianu było kwadratem o boku czterech metrów, z czerwoną betonową podłogą i ścianami z pustaków w kolorze różowawego beżu. Trzy piętrowe łóżka na drewnianych ramach stały pod ścianami, dwa po lewej, jedno po prawej stronie. Na białej budce z włókna szklanego w kącie w głębi po prawej widniał napis TOALETA. Drzwi zdobiły naklejki z kwiatkami.

Przy wąskiej wolnej ścianie stały trzy podwójne, obtłuczone metalowe szafki. Na dole jednej widniała naklejka Z ZAPASÓW ZUNIFIKOWANEGO OKRĘGU SZKOLNEGO LA, na drugiej PRAKTYKUJ SPONTANICZNE AKTY DOBROCI.

Jedyne okno, w tylnej ścianie, było zasłonięte ekranem przeciw owadom i zabite na stałe. Szyba była dość szeroka, żeby wpuszczać do środka snop rozmytego, zakurzonego światła. Zasłony we wzór zwierzęcych łapek rozsunięto. Okno wychodziło na tylny mur posesji i czarny zarys dachu garażu sąsiada.

Pod parapetem stała niska komoda o sześciu szufladach. Jej wierzch zajmowały pluszowe zwierzaki, tubki, buteleczki i słoiczki kosmetyków. Obok stosik Biblii.

Na trzech dolnych łóżkach siedziało osiem dziewczynek w pastelowych piżamach i grubych, białych skarpetkach.

Przyjrzało się nam osiem par oczu. Wąski rozrzut wiekowy; według mnie, piętnaście do siedemnastu lat. Sześć Latynosek, jedna Murzynka, jedna biała.

Pokój pachniał hormonami, gumą do żucia i kremem do twarzy.

Valerie Quezada siedziała na brzegu łóżka w głębi po lewej. Wykręcała palce, przeciągała ramiona, bawiła się końcówkami długich, falistych włosów. Dwie inne dziewczynki poruszały się niespokojnie. Reszta siedziała bez ruchu.

– Dzień dobry, moje panie – powitał je Crandall Wascomb. – To panowie z policji, są bardzo mili. Ten pan to porucznik policji, przyjechał wam pomóc, obaj ci panowie chcą wam pomóc...

Spojrzał na nas bezradnie i zamilkł.

– Cześć – powiedział Milo.

Valerie wycelowała w niego palec.

– Już tu byliście.

Milo dał mi znak lekkim ruchem głowy.

– Tak, byliśmy, Valerie – powiedziałem.

– Pan wie, jak mam na imię – rzuciła oskarżycielskim tonem.

Kilka dziewczynek zachichotało.

– Gdzie jest Cherish, Valerie? – spytałem.

– Wyjechała.

– Kiedy wyjechała?

– Kiedy było ciemno.

– Mniej więcej o której godzinie?

Jej spojrzenie powiedziało mi, że to pytanie było absurdalne.

W pokoju – ani zegara, ani radia, ani telewizora. Jedyнным miernikiem upływu czasu mogło być światło wpadające przez okno.

W środku – czysto, nieskazitelnie czysto; betonowa podłoga świeżo zamieciona. Na każdym łóżku identyczne dwie małe poduszki i białe prześcieradło, złożone na różowym kocu.

Koce napięte ciasno, po wojskowemu.

Nie wyobrażałem sobie, żeby to Wascomb kazał dziewczynkom posłać łóżka. Robiły to same, z przyzwyczajenia.

– Czy któraś z was może wie, o której wyjechała Cherish?

Kilka przeczących ruchów głowami. Porządnie uczesanymi. Dziewczynki wydawały się zadbane. Jak często opuszczały posesję? Ten pokój? Czy jadały w głównym domu, czy tutaj? Czy nauka obejmowała okazjonalne wyjścia do miasta? Może dlatego nikt nie odebrał, kiedy dzwoniłem kilka dni temu. A może...

Jak mogło wpłynąć na poczucie rzeczywistości mieszkanie w takim ciasnym, sterylnym pomieszczeniu?

– Ktoś chce spróbować zgadnąć? – spytałem.

– One nic nie wiedzą – oznajmiła Valerie. – To ja widziałam, jak ona wyjeżdża. Tylko ja. Podszedłem bliżej. Znów chichoty.

– Rozmawiałaś z nią Valerie?

Cisza.

– W ogóle coś mówiła?

Niechętne przytaknięcie.

– Co mówiła?

– Że musi wyjechać, że ktoś się nami zajmie.

Jedna z dziewczynek szturchnęła łokciem sąsiadkę.

– Masz jakiś problem? – spytała Valerie.

– Nie mam żadnego. Szybka odpowiedź, ale potulnym głosem.

– Lepiej, żebyś nie miała.

– Spokojnie, moje panie, tylko spokojnie – łagodził Wascomb.

– A pan Daney? – spytał Milo. – Kiedy on wyjechał?

– Drew wyjechał wcześniej – powiedziała Valerie.

– Przed Cherish?

– Wczoraj. Była na niego wściekła.

– Cherish?

– Aha.

– O co była wściekła?

Wzruszenie ramion.

– Skąd wiedziałas, że jest wściekła? – spytałem.

– Po jej twarzy.

Valerie spojrzała na inne dziewczynki, szukając potwierdzenia. Wycelowała palec w okularnicę z rzadkimi, prostymi włosami. Dziewczynka zaczęła wydawać piszczące odgłosy, trąc językiem o zęby. Gniewne spojrzenie Valerie jej nie powstrzymało. Zrobił to mój uśmiech.

– A więc Cherish była zła na Drew – powiedziałem.

Valerie tupnęła nogą.

– Trish?

Wskazała ładną, długonogą dziewczynę o chłopięcej fryzurze i kształtnej twarzy skażonej trądzikiem.

Zdrobnienie od „Patricia”. „Skaza białkowa. Wymaga pomocy w czytaniu i pisaniu”.

Nie odpowiedziała.

– Po jej twarzy widać, kiedy jest wściekła – rzuciła Valerie. – Powiedz to.

Trish uśmiechnęła się, miała rozmarzone spojrzenie. Jej piżama była niebieska, z białymi obszyciami dziurek.

– Powiedz – rozkazała Valerie. – Po jej twarzy.

Trish ziewnęła.

– Na mnie się nigdy nie wkurzyła.

– Tylko na Drew – zaryzykowałem.

– Nie wrócił wczoraj do domu – odezwała się inna dziewczynka. – Pewnie dlatego się wściekła.

– Nie lubiła, kiedy nie wracał do domu? – spytałem.

– Nie.

– A często to robił?

Wzruszenie ramion.

Valerie nawinęła gruby kosmyk czarnych włosów na palec. Puściła go, patrzyła, jak opada poniżej jej pasa.

Odwróciłem się do niej.

– Raz w tygodniu? Coś w tym rodzaju?

Spojrzała na materac, kilkanaście centymetrów nad jej głową. Poruszyła ramionami, zabębniła palcami i jedną stopą wystukała jakiś rytm.

– Valerie?

– Pora na prysznic – oświadczyła.

– Gdzie bierzecie prysznic?

– W tym drugim domu.

– W głównym domu?

– W tym drugim.

– W budynku obok.

– Aha.

Znów spróbowałem z Trish.

– Czy Drew często wychodził?

– Był tutaj, chyba że wychodził. – Do Valerie: Tak jak wtedy, kiedy wychodził z too-bą.

Na jej twarz powoli wypełził uśmiech.

Oczy Valerie rozbłyły.

– Powiedz mu – wyrzuciła z siebie Trish. – Ty bez przerwy wychodzisz. Dlatego ciągle musisz się kąpać.

Valerie zerwała się z łóżka i rzuciła na nią. Trish bezskutecznie wymachiwała długimi rękami. Skoczyłem między nie, odciągnąłem Valerie. Miękki tułów, ale ramiona napięte, a barki jak granitowe guzy.

– To prawda – powiedziała inna dziewczynka.

– Bez przerwy z tobą wychodził – stwierdziła jeszcze inna. – Musisz się kąpać.

Głos z łóżka po drugiej stronie:

– Pozwala ci spać tam, a nie tu.

– Możesz się kąpać, kiedy chcesz.

– Bo jesteś brudna.

Val chrząknęła i szarpnęła się w moim uścisku. Pociła się; kropelki prysnęły z jej twarzy na moją.

– Odbija jej.

– Jak zawsze.

– On cię gdzieś zabiera bez przerwy! – krzyknęła Trish.

Valerie wyrzuciła z siebie potok przekleństw.

Wascomb się skulił.

– Ona wstaje w nocy i chodzi w kółko jak... jak... jakiś wampir – powiedziała Trish. – Dlatego widziała Cherish.

– Budzi nas. Dobrze, że ją stąd zabiera.

– Powiedz im, Monica. Teraz ty też tam śpisz.

Jedyna biała dziewczynka, o twarzy pekińczyka i rudoblond włosach, wbiła wzrok w swoje kolana.

– Monica wychodzi.

– Monica może się kąpać.

– Dziwki! wrzasnęła Valerie. Przestała się szamotać, ale pogroziła pięścią najpierw jednej grupie dziewczynek, potem drugiej. Oczy miała twarde, suche, zdeterminowane. – Zamknąć się!

– Przyznaj się, Monica! Możesz się kąpać!

– Ciebie też zabiera, Monicaaaaa!

Monica zwiesiła głowę.

– Przyznaj się, Monicaaa!

Pojedyncze hasła zlały się w skandowanie.

– Przy-znaj się! Przy-znaj się! Przy-znaj się! Przy-znaj się!

Monica się rozplakała.

– Ty kurwoooo! – wrzasnęła Valerie.

– Taki język naprawdę nie... – zaczął Wascomb.

– Sama jesteś kurwa! – krzyknęła Trish. – Ty i Monica ruchacie się z nim co noc, a potem się kąpicie.

– Valerie się rucha! Monica się rucha! Valerie się rucha! Monica się rucha!

Wascomb oparł się o ścianę i zrobił się biały jak kreda. Poruszał ustami, ale wszystko, co mówił, ginęło w jazgocie.

Val szarpnęła się i prawie wyrwała.

Podszedł do mnie Milo i we dwóch wyprowadziliśmy ją z budynku.

Skandowanie jeszcze chwilę trwało, potem ucichło. Za nami głos Crandalla Wascomba, cienki i drżący, wydostał się na poranne powietrze.

– ...Pomodlić. A może psalmy? Macie jakieś ulubione?

Zaprowadziłem Valerie na fotel ogrodowy na podwórku. Ten sam, w którym siedziała Cherish Daney, kiedy byliśmy tu po raz pierwszy. Poważna i zapłakana, czytała książkę o radzeniu sobie ze stratą.

Jej żal wydawał się autentyczny. Teraz się zastanawiałem, co naprawdę oplakiwała.

– Chcę się wykapać.

– Już niedługo, Valerie.

– Chcę do gorącej wody. – Stuknęła kolanem o kolano, podrapała się w jedno. Spojrzała w niebo. Skrzywiła usta. Obejrzała się na betonowy sześcian, teraz już cichy. To moja jebana woda i chcę ją mieć. Te dziwki mi jej nie zużyją.

– Przykro mi, że to zrobiły, Valerie.

– Suki.

Chwyliła z ramienia lok włosów, przesunęła nim po ustach, polizła.

– Wiesz więcej niż wszyscy inni – powiedziałem. – Domyślasz się może, gdzie pojechali Cherish i Drew?

– Już mówiłam.

– Powiedziałaś, że Drew wyjechał pierwszy, a Cherish była wściekła.

– Aha.

– Ale dokąd pojechali, Valerie? To ważne.

– Dlaczego?

– Cherish jest na niego wściekła. Co będzie, jeśli pojechała na niego nawrzeszczyć?

– On jest w porządku. Jeździ w różne miejsca.

– Na przykład?

– W różne miejsca.

– Jakie miejsca?

– Do fundacji.

– Zabiera cię do fundacji.

Cisza.

– Pomagasz mu, a inne dziewczyny są zazdrosne – powiedziałem.

– Suki.

– On ci ufa.

– Daje mi.

– Co ci daje?

Cisza.

– Daje ci, więc mu pomagasz.

– Aha.

– Co ci daje?

Długa cisza.

– Valerie? Co ci...

– Miłość.

– Rozumiesz miłość.

– Pewnie pojechał do kościoła. Nie wiem, jak się nazywają. Chcę się wykapać...

– Do kościoła.

Cisza.

– Valerie, wiem, że cię męczą te pytania, ale to ważne. Czy Cherish często wściekała się na Drew?

– Czasami.

– O co?

– Że nie zarabia pieniędzy.

Puściła włosy, podniosła pięść, obejrzała się na główny budynek.

– Uważała, że zarabia za mało.

– Aha.

– Na co?

– Chciała pojechać do Vegas.

– Powiedziała ci to?

Cisza.

– Drew ci powiedział.

Znów zaczęła zwijać włosy.

– Drew ci powiedział, że Cherish chciała jechać do Vegas.

Wzruszenie ramion.

– Wygląda na to, że rozmawiał z tobą o wszystkim.

– Aha.

– Zależało mu na pieniądzach?

Spojrzała na mnie.

– Ani trochę. Na duszy.

– Duszy?

– Dzieło Boże – powiedziała, kładąc rękę na piersi. – Został wybrany.

– A Cherish?

– Ona robiła to dla pieniędzy, ale ma pecha, on jej nie da.

– Drew ma pieniądze, których jej nie da?

Na jej usta wypłynął uśmiech.

– Schowane pieniądze – podsunąłem.

Zamknęła oczy.

– Valerie?

– Chcę się wykapać.

Splotła ręce na piersi, nie otwierała oczu, a kiedy coś mówiłem, nuciła. Siedzieliśmy tak w milczeniu przez kilka minut, potem z sześcianu wyszedł Milo z Crandallem Wascombem. Zerknął na mnie, przechodząc. Wyprowadził starego człowieka na zewnątrz.

Wrócił z uniesionymi brwiami.

– Wszystko gra?

– Valerie mi pomogła, ale na razie skończyliśmy.

Poruszenie pod jej powiekami.

– Pomogła? – spytał Milo.

– Valerie mówi, że Drew ma pieniądze, o których Cherish nie wie.

Oczy Valerie się otworzyły.

– To jego pieniądze. Nie możecie ich zabrać.

– Nie słyszałaś, że znalezione-niekradzione? – spytał Milo.

Nie odpowiedziała. Zacisnęła powieki.

Otworzyła je, słysząc hałasy dobiegające zza bramy.

Wszedł przez nią mundurowy policjant.

– Teraz się zacznie – mruknął Milo.



Za funkcjonariuszem patrolu z Van Nuys wszedł jego partner, potem sześciu członków niedawno stworzonego oddziału ze śródmieścia do walki z przestępstwami przeciwko nieletnim, w granatowych wiatrówkach z logo Departamentu Policji Los Angeles. Pięć kobiet detektywów, jeden mężczyzna, wszyscy jasnoocy i podekscytowani, jakby czyhali, aż kogoś aresztują. Niedługo potem pojawił się detektyw od przestępstw seksualnych z Van Nuys, Sam Crawford, z udęconą miną. Rozmówił się z szefową od nieletnich i zniknął.

Szefową była krępa brunetka po czterdziestce, o sztywnych i krótkich jak u teriera włosach. Milo streścił jej sytuację, ona wydała rozkaz i cały jej oddział oprócz jednej kobiety wszedł do sześcianu. Młodsza detektyw, Martha Vasquez, jak się przedstawiła, zajęła się Valerie.

– Jasne, skarbie, możesz się wykąpać – powiedziała, kiedy dziewczynka tego zażądała. Odprowadziła ją do przerobionego garażu, rozglądając się po posesji.

Milo przywołał mnie gestem, przedstawił brunetkę: Judy Weisvogel, i poinformował ją, kim jestem.

– Psycholog – powiedziała. – To się dobrze składa.

Milo wprowadził ją w sprawę – podkreślił molestowanie dziewczynek przez Daneya, wspomniał o podejrzewanych morderstwach, ale nie wchodził zbyt w szczegóły.

– Już widzę, że nie będzie łatwo – stwierdziła Weisvogel. – To nasze miejsce przestępstwa? – spytała, wskazując dom.

– Nie miałem jeszcze czasu się rozejrzeć – odparł Milo. – W najlepszym razie mamy tu zbiega.

– Zniknęli nasz zboczeniec i jego żona. Na pewno osobnymi samochodami?

– Dziewczynki mówiły, że wyjechali osobno, i obu samochodów nie ma.

– Ile czasu minęło między ich ucieczkami?

– Z tego, co mówią dzieci, jakiś dzień.

– Dobrze, zadzwonię po nakaz i ściągniemy techników, żeby przetrząsnęli tę budę. Będą mi też potrzebni ludzie z opieki społecznej, ale oni przychodzą do pracy dopiero na dziewiątą.

– Życie cywila – prychnął Milo.

– Sama radość, co? – spytała Weisvogel. Nie domyślasz się, dokąd mogli pojechać państwo Zbokowie?

– Nie. Ona może nie być zbokiem.

– Wszystko jedno. – Weisvogel wyjęła notes. – Daj mi ich nazwiska, każę ich szukać.

Milo je podyktował.

– Drew Daney. Może też podróżować jako Moore Daney Andruson.

– Anderson z „en” czy „on”?

Przeliterował.

– Jeździ białym dżipem. Ona toyotą. C-H-E-R-I-S-H.

– Też mi imię. Może spotkali się gdzieś i dali nogę?

– Jedna z dziewczynek mówiła, że ona była na niego wściekła – przypomniał Milo.

– Bo dowiedziała się, co on knuje?

– Nie wiem. Dziewczynki wiedzą, co się tu działo. Śmiały się z dwóch, które były z nim seksualnie aktywne.

– Jeśli żonka faktycznie wszystko odkryła, nie spieszyła się, co? – zauważyła Weisvogel.

– Jak pan sądzi, doktorze, przypadek umysłowy, patologiczne wyparcie?

– Możliwe – odparłem.

– Weszłam do tego pokoju, zobaczyłam te dziewczynki i natychmiast pomyślałam: harem. Bóg jeden wie, co znajdziemy, kiedy je przesłuchamy.

– Wygląda na to, że był wybredny. Wybierał jedną czy dwie dziewczynki, które dostawały specjalne przywileje. Ta, z którą rozmawiałem, myśli, że go kocha.

Weisvogel zamaszycie wzięła się pod boki. Nadgarstki miała grube jak mężczyzna.

– A więc jak długo już przyglądasz się temu obywatelowi, Milo?

– Od jakiegoś tygodnia w sprawie morderstwa. Inne rzeczy dopiero nam wyskoczyły.

– Inne rzeczy – powtórzyła Weisvogel. – No, trochę potrwa, zanim wszystko się wyjaśni.

A skoro już o tym mowa, panie doktorze, czy jest możliwość, że będzie pan dostępny, w sensie terapii? Nie obchodzi mnie, z iloma dziewczynkami się zabawiał, to będzie miało wpływ na wszystkie, prawda? Psychologowie departamentu są zawalieni badaniami personelu i przydałaby się nam pomoc.

– Jasne – zgodziłem się.

Wydawała się zaskoczona tą moją szybką zgodą.

– W porządku, dobrze, dzięki. Będziemy w kontakcie. Tymczasem informujemy się na bieżąco, Milo.

– Zrobi się, Judy. Skoro o tym mowa, na biurku w sypialni stoi kasetka. Cherish zostawiła ją na widoku obok instrukcji, a instrukcje leżały na kawałku bibuły, jak prezentacja. Dla mnie to znaczy „patrz tutaj”, jasne zaproszenie, żeby trochę pogrzebać.

– Instrukcje – powiedziała Weisvogel przypomniały mi jeden głupi okólnik, który dostaje się na służbie. Ona porzuca dzieci i pisze dla nich instrukcję. Mężulo je gwałci, ale muszą brać leki i jeść pożywne śniadania. Co za wariatka.

– Byłoby interesujące sprawdzić, co jest w tej kasetce, Judy.

Pokręciła głową.

– Zanim dotrze tu nakaz i technicy? E-e.

– Daney jest podejrzany o sześć morderstw, może siedem. Mogę z tego zrobić wyjątkowe okoliczności.

Weisvogel spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Judy – naciskał Milo wywoził te dziewczynki poza posesję, żeby je molestować, więc nie dom będzie twoim głównym miejscem przestępstwa, tylko jego dżip. Musimy go jak najszybciej znaleźć, a w kasetce może być coś, co nas do tego przybliży.

– Co, myślisz, że wariatka zostawiła mapę?

– Są różne rodzaje map, Judy.

– Cholernie jesteś tajemniczy, Milo. Nie lubię dobierać się do łakoci przed czasem. Brakuje mi jeszcze tylko jakiegoś adwokata jęczącego o materiale dowodowym.

– Ona stoi na widoku mimo oczywistych możliwości ukrycia – drażył Milo. – Czy to nie zaproszenie, żeby zajrzeć do środka?

Weisvogel się uśmiechnęła.

– Trzeba było iść na prawo. To lepsze niż uczciwa praca.

– Mogłem otworzyć kasetkę, zanim tu przyjechaliście, Judy.

– Pewnie, że mogłeś. – Weisvogel spojrzała mu w twarz. Oczy miała zielone, jaśniejsze niż on, prawie khaki, z okruciami błękitu rozsianymi wokół obwódki. Ani drgnęły. – A jeśli kasetka jest zamknięta na klucz?

– Mam narzędzia.

– Nie o to pytałam.

Milo się uśmiechnął.

– Cholera, a jeśli tyka? – powiedziała Weisvogel. – Tak, wiem, ściągniesz robota. Poważnie, mogą być problemy z materiałem dowodowym, Milo.

– Problemy można rozwiązać. Znajdźmy drania, zanim narobi więcej złego, a potem zajmijmy się szczegółami.

Weisvogel spojrzała na dom. Zgrzytnęła zębami. Przesunęła dłonią po szorstkowej fryzurze.

– A więc rozkazujesz mi, jako przełożony, otworzyć tę rzekomą kasetkę.

– Proszę cię, żebyś była odrobinę elastyczna...

– Ja słyszę, że odwołujesz się do swojego stopnia. Jestem tylko detektywem drugiej klasy, a ty to już sama oficerska góra.

Teraz ona się uśmiechnęła. Miała zęby palaczki.

– Ja jestem góra? – powtórzył Milo, jakby zdiagnozowano u niego jakąś obrzydliwą chorobę.

– Przepraszam, że tak nagle to na ciebie spadło – powiedziała Weisvogel. – Czy wobec tego dobrze rozumiem całą tę kwestię łańcucha dowodzenia?

Wciąż uśmiechnięta.

– Tak, tak – zgodził się Milo. – Jak ktoś będzie narzekał, to wszystko był mój pomysł.

– W takim razie nie mam chyba wyboru – stwierdziła Weisvogel. – Panie poruczniku.

Dołączyła do swoich detektywów w szczęście.

– Idziemy do samochodu – powiedział do mnie Milo.

– Po co?

– Po narzędzia.

– Nie mam żadnych.

– Masz łom. A ja mam to.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małą latarkę oraz zestaw nierdzewnych wytrychów na kółku.

– Zawsze je nosisz?

– Czasami – odparł. – Kiedy podejrzewam, że jakieś ważne przedmioty zostaną pozostawione na widoku.

Dom był wysprzątnięty, tak jak za pierwszym razem, kuchnia wyszorowana, korytarze odkurzone.

Kiedy wchodziliśmy do sypialni, spojrzałem wzdłuż korytarza na pozbawioną okien, przerobioną pralnię, w której spał Rand.

Milo wszedł do sypialni, a ja za nim. Biurko stało po lewej stronie podwójnego łóżka. Proste i rozchwiane, pomalowane na brązowo, rodem ze sklepu z tandetą; ledwie się zmieściło do zagraconej sypialni Drew i Cherish.

Milo włożył rękawiczki i zajrzał do szafy.

– Jego ciuchy tu są, jej nie. Wygląda na to, że spakowała się na dłuższy wyjazd.

– A on nie.

– Daje do myślenia, prawda?

Podszedł do biurka. Nóżki miało obłuzowane, a blat przechylony. W słoiku po dzemie stały pióra i ołówki. Zielona bibuła, na której Cherish położyła swoje instrukcje, wciąż tam leżała. Jeden róg miała przyciśnięty kasetką.

Szarą pancerną kasetką. Dużą, taką, jaką banki proponują wybranym klientom.

Milo obejrzał zamek, podniósł kasetkę, spojrzał na spód.

– Znaczek Columbia Savings. Nie istnieją już od lat.

– Kupione na starociach, tak jak szkolne szafki – powiedziałem. – To skąpcy.

Milo zmarszczył czoło.

– Tyle państwowych pieniędzy, a oni tak żyją?

– Jeśli Valerie ma rację, kłócili się o pieniądze. Może dlatego, że Drew ukrywał dochody.  
– W swojej tajemnej skrytce. To mogła być bujda, która sprzedał tej małej, żeby jej zaimponować.

– Ja bym stawiał na rzeczywistość. Od samego początku miał nad Valerie całą władzę, jakiej chciał, nie musiał jej nic udowadniać.

Wskazałem na kasetkę.

Milo ją odstawił. Jeszcze raz spojrział na zamek. Przejrzał swoje wytrychy i wybrał jeden. Podniósł kasetkę, zważył ją w dłoniach.

– Trochę lekka. Może Cherish znalazła forszę, zabrała ją i związała. Pytanie brzmi: gdzie się podział Drew, skoro wszystkie jego ubrania są tutaj?

– Mógł pierwszy dostać się do pieniędzy. Wyczuł podejrzenia Cherish, zorientował się, że robi się gorąco, i uciekł.

– Bez ubrań?

– Bez obciążenia. Moim zdaniem, do Vegas, bo powiedział Valerie, że Cherish chciała tam jechać.

– Stara zabawa w projekcję? Tak, Vegas by do niego pasowało, łatwo tam zniknąć takim łachudrom. Dobra, starczy tych domysłów. Dawaj.

Schował wytrychy do kieszeni i sięgnął po łom.

Wcisnął czubek pod wieko kasetki i napał całym ciężarem. Wieko odskoczyło bez oporu i Milo stracił równowagę. Zamachał rękami i musiałem odskoczyć, żeby nie trafił mnie łomem.

– Nie zamknęła kasetki – powiedziałem.

– Proszę, to zaproszenie, żeby zajrzeć.

Na wierzchu leżał kawałek szarego filcu, taki, jakiego używa się, żeby nie śniedziały srebrne sztuce. Pod spodem nie było pieniędzy, ale kasetka i tak była do połowy pełna.

Milo wyjmował kolejne przedmioty i kładł je na biurku.

Żaden z nich dużo nie ważył.

Pożółkły wycinek z gazety ze Stockton, sprzed siedmiu i pół roku. Artykuł o zamordowaniu w więzieniu Troya Turnera. Nazwisko Troya podkreślone czerwoną kredką, razem ze zdaniem, w którym wiązano go ze sprawą Malleyów. Nazwisko Kristal Malley podkreślone podwójnie.

Para nefrytowych kolczyków w kształcie kropli.

– Jakież pomysły? – spytał Milo.

– Może to Lary.

Czarne, twarde etui na okulary. W środku pół pocerniałej łyżeczki, tania zapalniczka i prymitywna strzykawka zrobiona z zakraplacza do oczu i igły. Szkło ubrudzone brązową mazią. Na czerwonym, aksamitnym wnętrzu etui złotymi literami adres optyka na AWarado.

Pod adresem kawałek papieru przyklejony taśmą do wnętrza wieczka.

Własność Marii Teresy Almedeira.

– Matka Nestora powiedziałem. – Nestor to związał, żeby trzymać w tym swój zestaw. Kiedy Daney go zabił, zabrał etui na pamiątkę.

Milo znów sięgnął do kasetki i wyjął cienką wełnianą bluzkę, granatową, z poziomym czerwonym pasem. Podnosząc ją za rękaw, sprawdził metkę.

– Madę in Malaysia, rozmiar S. To też może być Lary.

– Jane Hannabee – powiedziałem. – Miała to na sobie, kiedy spotkaliśmy się w więzieniu. Nowiutkie. Weider próbowała ją trochę upiększyć.

– A Daney wręcz przeciwnie... – Przyjrzał się bluzce uważniej. – Nie widać tu krwi.

– Zadzgał ją we śnie. Nie miałyby na sobie czegoś nowego. Zawinał ją z powrotem w folię, przetrząsnął jej rzeczy, zabrał upominek.

– Dobra, jeśli kolczyki należały do Lary, może jej matka to potwierdzi... Spójrz na to.

Kserokopia dokumentu hrabstwa. Zgłoszenie przyjęcia do rodziny zastępczej.

Dzieckiem była szesnastolatka Miranda Melinda Shulte. Drew i Cherish Daney oboje podpisali papiery, ale dziewczynki nie przysłano.

– Numer siedem – powiedziałem.

Miło przetał oczy.

– Nie ma dowodów, że zabijał inne dziewczynki. Dlaczego ona, Alex?

– Była tu tylko tydzień, ale Beth Scoggins opisała ją jako agresywną, uzurpującą sobie status królowej ula. Dla Daneya muszą być uległe. Może była za bardzo pewna siebie. A może wydawało się jej, że pragnie jego uwagi, ale kiedy przyszło co do czego, stawiała opór.

– Nie chciała grać w jego grę – głośno myślał Milo. – Gdzieś tam może być jakaś zamartwiająca się rodzina.

Albo, co gorsza, może jej nie być.

– Kiedy go znajdziemy – powiedziałem – może się dowiemy, gdzie ją pochował.

– Uwielbiam twój optymizm.

Milo odłożył wniosek na biurko. Patrzył na niego przez chwilę. Wrócił do kasetki.

Opakowanie pigułek. Dziewięć bąbli, siedem z nich pustych. Dwie okrągłe białe pigułki, ukośnie nacięte. Nad kreską wytłoczony napis HOFFMAN, pod spodem 1.

Napis na opakowaniu: ROHYPNOL, 1 MG (FLUNITRAZEPAM).

– Imprezowe pigułki – powiedziałem.

– Dalej. Milo wyjął identyfikator Randa Duchaya z poprawczaka. Na zdjęciu Rand wyglądał na oszołomionego.

Na końcu, na samym dnie, leżała szara koperta, niewiele większa niż karta do gry, zamknięta na sznurek przewlekany przez otworek. Dłonie Miła w rękawiczkach zaczęły się z nim zmagać. Zaklął, w końcu go rozwiązał. Przytknął kopertę do blatu biurka i ostrożnie nią potrząsnął.

Na blat wypadła małeńka bransoletka. Kwadratowe, białe, plastikowe sześcianiki, nawleczone na różową nitkę.

Siedem. Na każdym litera.

KRISTAL

Tak jak betonowy sześcian, przerobiony garaż miał tylko jedno okno. Nie był większy od tamtego, ale ponieważ stały w nim raptem dwa łóżka, wydawał się o wiele przestronniejszy.

– Valerie – spytałem – gdzie Drew trzymał swoje pieniądze? To ważne.

Ona siedziała na łóżku, ja metr od niej, na plastikowym różowym krześle.

To było prawdziwe łóżko, nie piętrowa prycza. Drewniane wezgielnie ozdobione wzorem kwiatów i pnączy. Obok komoda z tego samego kompletu. Wytarty szary dywan zakrywał większą część podłogi.

W rogu ścianki działowe z dykty wydzielały łazienkę, z prysznicem, szamponami, hotelowymi mydełkami i nieotwartymi jeszcze odżywkami.

Na łóżku Valerie leżał stos pluszaków. Na łóżku Moniki, naprzeciwko, samotny niebieski miś.

Wyraźna hierarchia. Kwatera dla ulubionej podopiecznej i jej następczyni. Jak Drew wyjaśnił to Cherish? Co ona w ogóle myślała?

Czarne włosy Valerie lśniły wilgocią. Bawiła się ręcznikiem z napisem SHERATON UNIVERSAL. Oczy miała jak kamyki.

– W kasetce? – spytałem. – Trzymał swoje pieniądze w szarej, metalowej kasetce?

Kamyki się zaokrągliły, kiedy odwróciła wzrok. Zwężone źrenice. Jej dłonie tańczyły na kolanach.

– Znaleźliśmy kasetkę, Valerie, ale nie było w niej żadnych pieniędzy, więc chyba Drew wszystko to sobie wymyślił.

– Nie! Widziałam.

– Widziałaś pieniądze?

Unikała mojego wzroku.

Wzruszyłem ramionami.

– Skoro tak twierdzisz.

– Były tam.

– Teraz ich nie ma.

– Suka!

– Myślisz, że zabrała je Cherish.

– Ukradła je.

– Nie należały do niej?

– My je dostaliśmy! W fundacjach!

W jej oczach ogień. Oddanie. Beth Scoggins opowiadała, jak Daney zrobił się oziębły po jej aborcji. Od aborcji Valerie minęło kilka dni, a ona wciąż wierzyła, że Daneyowi na niej zależy.

– Wygląda na to – powiedziałem – że Cherish się dowiedziała, gdzie je schował.

Cisza.

– Jak myślisz, jak je znalazła?

Wzruszenie ramion.

– W ogóle się nie domyślasz?

– Sprzątała. Pewnie.

– Gdzie sprzątała?

Wstała, przeszła wzdłuż pomieszczenia, potem w poprzek. Mijając łóżko Moniki, poprawiła koc.

Odgrywała pokojówkę.

Znów okrążyła pokój.

– Gdzie sprzątała? – spytałem. – Jeśli mamy znaleźć wasze pieniądze, musimy wiedzieć gdzie szukać.

Zatrzymała się. Znów ruszyła. Powiedziała coś, czego nie usłyszałem.

– Słucham?

Kolejny niestyszalny szept.

Podszedłem do niej.

– Gdzie, Valerie?

– Pod spodem.

– Pod domem?

Cisza.

– Naprawdę jest jakieś „pod spodem”, Valerie?

– Tutaj!

Podbiegła do własnego łóżka i uderzyła dłońmi w pościel. Jeszcze raz. Potem pięściami.

– Sprzątałam dokładnie, ale ona się tu zakradła! Suka!

Oddałem ją pod opiekę Judy Weisvogel. Milo dał mi parę rękawiczek i we dwóch wyciągnęliśmy łóżko z kąta. Betonowa podłoga pod północną ścianą garażu została połatana całe lata temu jakimś szarawym uszczelniaczem, obficie rozchłapanym po pęknięciach i szparach. Przeświecające spod bieli plamy oleju przypominały o pierwotnej funkcji pomieszczenia. W rogu plama uszczelniacza była przecięta czterema prostymi nacięciami, układającymi się z grubsza w kwadrat. Trochę ponad pół na pół metra.

Zlewał się z podłogą, nie miał uchwytów ani żadnych wystających części, nikt by go nie zauważył, gdyby go nie szukał.

Cherish Daney zauważyła. Było wiele różnych sposobów sprzątaania.

Milo ukląkł i przyjrzał się nacięciom.

– Ślady łomu.

Wcisnął swój łom w szczelinę. Płyta odsunęła się bez oporu. Pod nią znajdował się ciemny otwór, głęboki na jakiś metr.

– Pusto – powiedział Milo. – Nie, czekaj...

Położył się na ziemi, wsadził rękę w dziurę, wyjął zakurzone, drewniane pudełko.

Po wewnętrznej stronie wieka była plakietka SMITH & WESSON. Dno pokrywała pianka z dopasowanym do kształtu wgłębieniem. Dopasowanym do kształtu rewolweru.

Milo dźgnął piankę palcem w rękawicze.

– Ciekawe, komu się pierwszemu poszczęściło.

Opuściliśmy posesję, teraz otoczoną policyjną taśmą. Judy Weisvogel stała przy sześcianie i cicho rozmawiała z Valerie. Dziewczynka skręcała kosmyk włosów i przestępowała z nogi na nogę. Weisvogel wyjęła chusteczkę i otarła jej oczy. Kiedy je mijalem, spojrzenie Valerie napotkało moje; zmrużyła oczy z pogardą i pokazała mi środkowy palec. Judy Weisvogel zmarszczyła czoło i odciągnęła ją stamtąd.

Co Allison pomyślałaby o moim podejściu?

Co ja sam o nim myślałem?

Włączyłem silnik i ruszyłem, skupiając się na plastikowej bransoletce.

– Wygląda na to, że masz tam nową fankę – powiedział Milo.

– Jest zła, że Cherish weszła do tego pomieszczenia. Wściekła na mnie, że wydusiłem z niej informacje. To kolejne pogwałcenie jej terytorium.

- Terytorium. Jak mała żonka. Chore.
- Minie dużo czasu, zanim sobie uświadomi, co on jej zrobił.
- O tak. Twoja praca jest o wiele trudniejsza niż moja – stwierdził Milo.

Wyjechałem na autostradę i mocno przycisnąłem gaz.

– Chyba wszystko już jasne. Cherish zdecydowanie chciała, żeby ktoś znalazł te pamiętki. Zostawiła kasetkę dla Wascomba, z nadzieją, że ją otworzy. Wiedziała, że nawet jeśli Wascomb tego nie zrobi, w końcu wezwie policję i prawda wyjdzie na jaw.

– Nie sędzę, żeby prawda wiele dla niej znaczyła, Alex. Zostawiła te dzieci i dała nogę ze wszystkimi ubraniami. Może też z pieniędzmi i bronią, chyba że Drew był tam pierwszy. I stwierdzam po namyśle, chyba tak było. Taki drań miałby nos wyczulony na kłopoty. Możliwe, że w tej chwili baluje już w Caesar's Palace, ma nową tożsamość.

– Valerie powiedziała, że został wezwany do jakiejś fuchy. W kościele. Mógłbyś się dowiedzieć, gdzie pracował, sprawdzić, czy nie da się go wytropić. Jeśli to wezwanie to prawda.

– Jeśli? – spytał Milo.

– Jest inna możliwość powiedziałem. – Cherish zabrała pieniądze i pistolet. A Cherish ma chłopaka.

Droga do Soledad Canyon zajęła czterdzieści minut. Zaparkowałem kawałek dalej na drodze i na kemping poszliśmy pieszo. Milo rozpiął kaburę pistoletu, ale go nie wyjął.

Nie było kruków, nie było jastrzębi, nie było żadnego śladu życia na brudnoszarym niebie, płaskim jak flanelowa płachta. Mimo że mam ciężką nogę, jazda się nam dłużyła, pełna długich okresów milczenia; mijaliśmy zwirowiska, złomowiska i ciągi identycznych domów przy zakurzonych drogach, dzisiaj jeszcze bardziej przygnębiających. Deweloperzy będą wgryzać się w pustynię, dopóki im będzie wolno. Sprowadzą się tu nowe rodziny, przyjdą na świat dzieci, które wyrosną na nastolatki. Te, znudzone, będą narzekać na upał i spokój, i dni ciągnące się jak zapętłona taśma. Przesyt niczego zrodzi kłopoty. Ludziom takim jak Milo nigdy nie zabraknie pracy.

Ani ludziom takim jak ja.

Kiedy zbliżyliśmy się do Górskich Widoków, Milo się zatrzymał, wyjął telefon, sprawdził, czy znaleziono dzipa Drew Daneya.

– Nic.

Niepowodzenie jakby dodało mu otuchy.

Na kempingu niewiele się działo. Na parkingu stały dwa samochody, generator milczał. Wraz ze świeżą warstwą kurzu i apatycznym niebem ośrodek sprawiał wrażenie opuszczonego.

Nigdzie nie było widać Bunny MacIntyre. Ruszyliśmy prosto między drzewa.

Czarna ciężarówka Barnetta Malleya stała tam gdzie poprzednio, przed cedrowym domkiem.

Szyby zasunięte.

Milo wyjął pistolet. Gestem kazał mi się zatrzymać, sam wolno ruszył dalej. Zajrzał do samochodu ze wszystkich stron. Podszedł do drzwi domku.

Puk puk.

Nie rozległo się: „Kto tam?”

Powitalna wycieraczka leżała na swoim miejscu, pokryta suchymi liśćmi i ptasim łajnem. Milo zniknął za domkiem, tak jak to zrobił za pierwszym razem. Wrócił i nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Wszedł do środka.

– Chodź! – zawołał.



Rustykalne, wyłożone drewnem wewnątrz, wysprzątane i pachnące lizolem. Puste jak schowek Drew Daneya.

Tyle że stało tam pianino. Poobijany, brązowy gulbransen, nuty przypięte spinaczem do stojaka.

Na wierzchu *Ostatnia randka* Floyda Cramera. Pod spodem: *Piosenki country dla początkujących*. *Desperado* Eaglesów. *Prawnicy, spluwy i forsą* Warrena Zevona.

Na ścianie pusta gabłota na broń. Przez zapach środka dezynfekującego przebijał się odór męskiego potu, starych ubrań i oliwy.

– Co wy tu robicie, do cholery! – zapytał ze złością głos za nami.

W drzwiach stała Bunny MacIntyre. Na kasztanowej trwałej zawiązała pomarańczową chustę, miała na sobie niebieską, kraciastą kowbojską koszulę wpuszczoną w proste dżinsy. Pomarszczoną szyję okalał naszyjnik. Srebro i turkusy, ze środkowego zwisała pacyfka.

Barnett Malley miał go na sobie w dniu, kiedy chcieliśmy z nim porozmawiać.

MacIntyre spojrzała na pistolet Mila i prychnęła.

– Proszę to schować. Milo posłuchał.

– Zadałam panom pytanie.

– Wygląda na to, że ma pani wolny domek.

– I tak już zostanie.

– A niech to, proszę pani. Już się zastanawiałem, czy nie zamieszkać na wsi.

– Więc niech pan zamieszka, ale gdzie indziej. To mój domek. Urządzą tu studio malarskie – powiedziała MacIntyre. – Powinnam była to zrobić już dawno. A teraz proszę wyjść, nie macie panowie mojej zgody, żeby tu wchodzić. No, dalej.

Lekceważąco machnęła ręką.

Milo podszedł do niej szybkim krokiem, wciąż się uśmiechając. Kiedy dzieliło ich już niecałe pół metra, jego uśmiech zniknął, a twarz pociemniała.

MacIntyre się nie cofnęła, ale widać było, że dużo ją to kosztowało.

– Kiedy Malley wyjechał i dokąd? – spytał Milo. – I żadnych bzdur.

MacIntyre zatrzepotała różowymi rzęsami.

– Nie przestraszysz mnie pan – powiedziała, ale głos palaczki miała zduszony.

– Nie chcę nikogo straszyć, proszę pani, ale zakuję panią i zamknę za utrudnianie pracy policji, jeśli będzie pani dalej pyskować.

– Nie może pan tego zrobić.

Obrócił ją, wykręcił jej rękę. Niechętnie. Żal przytłumił gniew w jego spojrzeniu.

Staruszka, powiedziały jego oczy. Oto, do czego doszło.

– Cholerny oprych! – zawyła MacIntyre. – Czemu ode mnie chcecie?

Piszczała ze strachu, oktawę wyżej niż normalnie. Milo ją puścił, obrócił znów twarzą do siebie.

– Prawdy.

Pomasowała nadgarstek.

– Odważniak. Złożę skargę.

– Jestem pewien, że świetnie było go tu mieć. Młodszy facet, nie mnie osądzać. Ale teraz zniknął, z kobietą w swoim wieku, rzeczywistość zrobiła się dość nieładna, więc pora porzucić marzenia o romansie maja z grudniem i pomóc mi dotrzeć do prawdy – powiedział Milo.

Bunny MacIntyre rozdziawiła usta. Uśmiechnęła się. Klepnęła się w biodro i ryknęła śmiechem.

– Myślał pan, że on był moim chłopcem do zabawy? – spytała, kiedy złapała w końcu oddech. – Boże, aleś pan głupi!

Znów zaczęła się śmiać.

– Kryje go pani – powiedział Milo. – Dla platonicznego romansu?

MacIntyre rechotała, aż ochrypła.

– Głupi, głupi, głupi! To mój krewniak, pacanie. Syn mojej siostry. Umarła na raka, tak samo jak ojciec Barnetta. Rząd może sobie mówić, co chce, nie przekona mnie pan, że to nie od promieniowania.

– Los Alamos.

Zamrugła.

– Coś panu powiem, robili tam najróżniejsze wariactwa. Kilka lat temu mieli wielki pożar, setki hektarów poszły z dymem, ale laboratorium ocalało. To brzmi logicznie? Podobno ogień podłożyli jacyś strażnicy leśni, żeby wypalić przecinki, a rozdmuchał go wiatr. – Prychnęła. – Nie wierzę w takie bajki.

– Barnett to pani siostrzeniec.

– Z tego, co ostatnio słyszałam, tak się właśnie nazywa syna siostry. Tylko ja mu zostałam, drogi panie. To sierota, rozumie pan? Chciałam go wziąć od razu, ale on nie chciał jałmużny, więc posłałam go do Gilberta Grassa. Kiedy Gilbert przeszedł na emeryturę, powiedziałam Barnettowi, że przydałaby mi się pomoc. To prawda. Nie wolno już pomagać własnej rodzinie?

– Ma siostrę w Ohio.

MacIntyre wydeła wargi.

– Tamtą. Wyszła za bankiera, bogatego snoba. Zawsze patrzyła na Barnetta z góry, bo nie przykładał wagi do nauki. Nie był głupi, niech pan się nie waży myśleć, że był głupi. Miał problemy z czytaniem, ale dać mu pompę do naprawy albo coś do zbudowania, a uwijał się z tym w mgnieniu oka.

– Świetnie. A gdzie jest teraz?

– To dobry chłopak – powiedziała MacIntyre. – Dlaczego nie zostawicie go w spokoju?

– Gdzie on jest, proszę pani?

– Nie wiem.

– Pani MacIntyre...

– Głuchy pan jest? – Znów rozmasowała nadgarstek. – Może mnie pan męczyć do jutra, ale nie wiem! Nie powiedział mi.

– Wyjechał bez słowa?

– Podziękował mi za wszystko, co dla niego zrobiłam, powiedział, że pora ruszać. Nie zadawałam pytań, bo nie lubię ich zadawać, a Barnett nie lubi na nie odpowiadać. Przeszedł już dość. Jest wegetarianinem, mówi to panu coś?

– Lubi zwierzęta.

– Lubi spokój.

– Kiedy wyjechał?

– Trzy dni temu.

– Jego ciężarówka dalej tu stoi.

– Rany – powiedziała MacIntyre. – Sherlock Holmes chyba przytył parę kilo.

– Czym jeździ?

Cisza.

– Proszę pani?

– Ma drugą.

– Drugą ciężarówkę? – zdziwił się Milo. – Nie jest zarejestrowana.

– Jest, na mnie.

– A więc to pani odpowiedzialność, a nie jego.

– Chyba tak.

– Jaka?

Nie odpowiedziała.

– Jeśli coś się stanie – powiedział Milo – pani będzie za to odpowiadać. A jeśli jest zarejestrowana, wystarczy, że wykonam jeden telefon.

Skrzywiła się.

– Jeśli nie jest, będzie pani miała kłopoty.

– Nie miałam czasu się do tego zabrać. Należała do Gilberta, kupiłam ją od wdowy po nim.

– Jaka marka?

– Też ford.

– Kolor?

– Też czarna.

– Gdzie Barnett ją trzyma?

– Gdzieś w Santa Clarita, i niech mnie pan nie pyta gdzie, bo nie wiem.

– Wynajmuje garaż?

– U mechanika. Przerabia ją. Podkręcony silnik, duże opony, wie pan, jak to chłopcy lubią. Nie sądzi pan, że Barnett ma prawo do odrobiny radości?

– Podróżuje sam?

– Przed chwilą pan powiedział, że ma dziewczynę.

– Wiedziała pani o tym wcześniej? – spytał Milo.

– Wspominał, że ma przyjaciółkę, nie wiem, jak się nazywa.

– Nie widziała jej pani?

– Nie, ale jest dobra dla Barnetta i tylko to mnie obchodzi.

– Skąd pani wie, że jest dla niego dobra?

– Zaczął być trochę szczęśliwszy.

Wyszliśmy z powrotem na drogę, a kiedy odpalałem seville'a, Milo jeszcze raz sprawdził, czy nie znaleziono dżipa. Pokręcił głową.

- Teraz maltretuję staruszki.
- Przeżyje.
- Dzięki za wsparcie – powiedział. – Co się stało z twoją wrażliwą stroną?
- Poszła spać. Mam jechać do Santa Clarita, znaleźć warsztat, który robił drugą ciężarówkę Barnetta?
- Za dużo roboty, za mało korzyści. Malley i Cherish już są w drodze. Pytanie, która to droga.
- Pozostaje jeszcze kwestia toyoty Cherish.
- Myślisz, że podróżują osobno? Słyszałeś MacIntyre. Barnett jest szczęśliwy.
- Potrzeba by czegoś więcej niż romansu, żeby w jego życiu zagościła radość.
- Co masz na myśli?
- Może nie chciał z tobą współpracować, bo miał własny plan. Facet na jego miejscu mógłby uznać, że jakaś satysfakcja ulżyłaby mu w cierpieniu. A Cherish mogłaby mu pomóc.
- Zemsta powiedział Milo.
- I tak można to nazwać.

Kiedy wróciliśmy do Valley, słońce zaczynało już zachodzić. Pojechałem prosto do parku, w którym zamordowano Kristal Malley, mając nadzieję na prostą krwawą symetrię.

Zamiast trupa Drew znaleźliśmy tylko wydeptany, smutny trawnik zasłany śmieciami.

Milo wyjął swoją kieszonkową latarkę i omiół wąskim snopem światła publiczne toalety, opisane w policyjnym raporcie Sue Kramer i kontener na śmieci, cuchnący odpadami.

Huśtawki, na których dwóch młodych morderców paliło papierosy i piło piwo.

Dzisiaj nie było tu dzieci. W ogóle nikogo nie było. W oddali widzieliśmy sypiące się, kanciaste bloki 415 City, skąpane w ostrym świetle latarni. Zawyla policyjna syrena, potem ucichła. Noc wypełniały krzyki, śmiech i perkusyjne rytmy. Powietrze było ciężkie, duszące i niebezpieczne, jak dłonie na gardle.

Milo schował latarkę.

– Bez sensu. Mogą być wszędzie. Może Cherish naprawdę chciała jechać do Vegas.

– Gdzie dokładnie znaleziono Larę? – spytałem.

Usiadł na jednej z huśtawek. Łańcuch zawył w proteście. Milo zadzwonił do Sue Kramer, zadał jej to samo pytanie, uważnie wysłuchał. Zapisał coś, rozłączył się, podał mi notatkę.

– Jeśli to cokolwiek da.

Rezerwat Przyrody Sepulveda Basin to dziewięćdziesiąt hektarów czegoś, co uchodzi w LA za środowisko naturalne. Utworzony przez zbiornik pełny niezdatnej do picia wody i kanały przeciwpowodziowe roboty wojskowych inżynierów, obsadzony lokalną roślinnością, jest wciśnięty między dwie autostrady, a mimo to piękny jak widokówka. Uwielbiają go ptaki; kilkaset gatunków przylatuje tam i odlatuje stąd. Ludzie są mile widziani, pod kilkoma warunkami. Nie wolno polować, łowić ryb, jeździć na rowerach i karmić kaczek. Nie wolno też schodzić z wyraźnie oznaczonych ścieżek.

Trzymając się wskazówek Sue Kramer, skręciłem z Balboa Boulevard, tuż za liceum Birmingham, i przejechałem kawałek płaską, pozbawioną drzew okolicą. Chwilę później

pojawiła się rzeka Los Angeles, puste, spryskane sprayem koryto, opróżnione przez niezwykle suchą zimę.

– Tam zaparkowała – powiedział Milo, wskazując miejsce nad rzeką, na wpół ukryte w kępie eukaliptusów.

Nie było widać żadnych pojazdów.

Jechałem dalej.

– Dokąd teraz? – spytał.

– Może donikąd.

– W takim razie po co?

– A co masz lepszego do roboty?

Jadąc dalej do Burbank, skręciłem w lewo i przeciąłem południowy skraj rezerwatu. Tu drzewa rosły gęsto. Znaki wskazywały drogę do tamy. Ptaków było nie więcej, niż widzieliśmy w Soledad Canyon. Może coś wiedziały.

Obaj zobaczyliśmy go w tej samej chwili.

Białego dżipa, na samym końcu małego parkingu przy Burbank.

Stał sam. Według tablic czas dozwolonego parkowania skończył się godzinę temu.

– Zwyczajnie na widoku – powiedział Milo. – Można sobie wsadzić gdzieś nakaz poszukiwania. Gdzie są parkingowi faszyci, kiedy ich człowiek potrzebuje?

Zatrzymałem się za dżipem.

– Stoi sobie tu i nikt nie zwraca uwagi – sapnął Milo.

– To zaproszenie, żeby zajrzeć do środka.

Milo wyjął kolejną parę rękawiczek. Ile ich ze sobą nosił? Obszedł dżipa, zajrzał pod spód, potem do środka. Drzwi były zamknięte na klucz, wewnątrz puste. Przez okno w klapie widać było wyraźnie bagażnik. Nic.

– Masz ochotę się przejść? – spytał.

Gruntowa ścieżka prowadziła na szczyt tamy. Roślinność była tu gęstsza – eukaliptusy, sękaty sykomory, dzikie dęby zadowolone z suszy, rośliny zimo-zielone, które miały na jej temat zdanie wręcz przeciwne. Co chwila mijaliśmy wyłożone kostką drożki, prowadzące do Burbank i Victory, ale trzymaliśmy się ścieżki. Dwadzieścia metrów dalej zarośla zgęstniały jeszcze bardziej, zrobiło się zupełnie ciemno i Milo włączył latarkę – rzucała niezdrowy, błądy snop światła, zdychający metr przed nami.

Skąły, kamienie i uciekające robaki.

– Jesteś dobrze przygotowany – powiedziałem.

– Zostało mi to ze skautów – odparł. – Doszedłem aż do sprawności Orła.

Gdyby tylko wiedzieli, jak skończę...

Obeszliśmy pół rezerwatu, daremnie. Podniecenie, które zakłuło mnie w piersi na widok dżipa, teraz zaczęło przygasać.

Mieliśmy już zawracać, kiedy usłyszeliśmy ten dźwięk.

Ciche, uporczywe brzęczenie, niemal ginące w wyciu samochodów na autostradzie.

Muchy.

Milo zrobił użytek ze swoich długich nóg i był na miejscu w kilka sekund.

Kiedy go dogoniłem, świecił latarką na pień dziesięciometrowej sykomory.

Gruby, ze sterczącymi, sękatymi, poskręcanyimi gałęziami. W przeciwieństwie do rosnących dookoła dzikich dębów i innych roślin sykomora była łysa, ledwie kilka zeschniętych, zbrązowiałych liści.

Drew Daney, ubrany w ciemny dres i adidas, zwisał z niskiej gałęzi, ze stopami pięć centymetrów nad ziemią. Głowę miał wygiętą w bok, oczy wylaziły niemal z oczodołów, a język wyglądał jak miniaturowy bakłażan wystający z przekrzywionych ust.

Milo oświetlił jego głowę. Pojedynczy strzał w lewą skroń. Gwiazdzista rana wlotowa. Wylotowa większa. Małeńkie, rozgorączkowane mrówki biegały po obu. Muchom bardziej chyba pasował wylot.

Chwilę to trwało, ale w końcu znalazł dziurę w pniu, w której utkwiał pocisk. Oczy i język Daneya świadczyły, że najpierw go powieszono.

– Trochę przesadzili – powiedziałem. Pomyślałem o tym, jak dyndał, kilka centymetrów od ocalenia. Szarpał sznur, próbował się podciągnąć.

Używał siły swojego potężnego torsu. Może mu się udało, na kilka sekund, może nawet minut.

Musiał się w końcu poddać. Czuł, jak uchodzi z niego życie.

Milo opuścił latarkę.

– Popatrz na to.

W kroczu Daneya coś się kłębiło. Zmasakrowana jama o poszarpanych krawędziach, kule porozrywały bawełnę spodni. Tutaj niepodzielnie królowały muchy.

Milo podszedł bliżej i się przyjrzał. Kilka owadów odleciało, ale tylko kilka.

– Wygląda na rany postrzałowe... i to sporo. – Pochylił się i obejrzał pień drzewa. – Tak, proszę, wygląda, że... cztery, nie, pięć kul... tak, pięć.

– Cały bębenek sześciostrzałowca – powiedziałem. – Kowbojska splota.

– Jest tam coś jeszcze. – Poświecił, zajrzał i pokazał palcem. – Dwie obrączki.

Podszedłem bliżej i zobaczyłem dwie obrączki z białego złota, wysadzone małeńkimi, niebieskimi kamykami. Te same widziałem w więzieniu osiem lat temu.

Przyczepione do tego, co zostało z narządu Daneya.

– Obrączki Drew i Cherish – powiedziałem. – Wyraziła się jasno.

Milo odsunął się od trupa. Zmierzył go wzrokiem. Bez wyrazu.

Wyjął telefon i zadzwonił na posterunek Van Nuys.

– Mówi porucznik Sturgis. Odwołać poszukiwania zaginionego zbiega Daneya. Daneya. Przeliteruję.

Obaj oddaliliśmy się od zwłok i czekaliśmy.

– Powieście go wysoko – powiedział. – Albo raczej powieście go nisko.

Nie mógł ustać w miejscu, podszedł i przyjrzał się adidasom Daneya. Fatalne pięć centymetrów.

– Musiało być trudno. Myślisz, że użyli jego broni, czy Barnett sięgnął do swojego arsenału?

– Myślę, że użyli pistoletu Drew. Pokusa poetyckiej sprawiedliwości.

– Cherish zabrała go razem z pieniędzmi. Skoro komuś już zależy na ironii, po co się krępować?

Trzeba było wspiąć się pieszo na gruntową ścieżkę, ale nie trwało długo, zanim pojawiło się sześciu mundurowych. Potem czterech detektywów i biała furgonetka koronera z dwoma śledczymi.

Milo streścił wszystko jednemu z detektywów, potem podszedł do mnie, za policyjną taśmę.

– Gotowy na kolację?

– To wszystko?

– Teraz to już nie nasz problem.

Pojechaliśmy na włoskie jedzenie i wino do Octavio's na Ventura Boulevard w Sherman Oaks.

Nie rozmawialiśmy, dopóki Milo nie zjadł połowy linguini z małżami.

– Świetne te bułeczki – powiedział.

– To prawda, świetne. Cherish mogła nie mieć takiego zamiaru – powiedziałem kieliszek chianti później – ale pomogła wystawić Randa. Może chciała tylko, żeby wydał Drew, ale to był niechlujny plan. Powinna wiedzieć, że Rand nie jest dość bystry, żeby ukryć swoje nerwy. Zaćmiła ją nienawiść do Drew.

– Niechlujność nie jest karana sądownie. – Milo oderwał kawałek chleba, zamoczył go w sosie. – Coś pysznego.

– Dla ciebie to już naprawdę koniec.

– Nie widzę powodu, żeby było inaczej.

– A Cherish i Barnett? Wieszają Daneya i odstrzelują mu jaja?

– To taki trochę Dzik Zachód – powiedział, nawijając makaron na widelec. Część spadła; zebrał całość, wsadził do ust, ochlapując sobie sosem brodę. – A ja nie jestem szeryfem Dodge City.

– W porządku powiedziałem.

– Nie wiemy na pewno, że stali za tym Malley i Cherish, prawda? Taki gość jak Drew mógł mieć bardzo różnych wrogów.

Popatrzyłem na niego.

Wytał brodę serwetką.

– Tak czy inaczej, chłopcy z Valley doprowadzą tę sprawę do logicznego zakończenia.

– Skoro tak twierdzisz.

– A co, dla ciebie to jeszcze nie koniec?

– Chyba tak. Nie licząc terapii dziewczynek. Jeśli detektyw Weisvogel zadzwoni.

– Tym mnie zadziwiłeś – przyznał Milo. Zważywszy na twoje podejście do długoterminowych zobowiązań. Co to było, zaskoczyła cię?

– Tak, musiała mnie zaskoczyć.

Milo znów zanurkował w talerz, przerwał, żeby złapać oddech.

– Przepraszam, jeśli cię rozczarowałem, Alex, ale jestem zmęczony.

– Nie mam do ciebie pretensji.

– Bardzo zmęczony. W sensie, budzę się rano i nie mam ochoty wstawać, i męczyć się przez cały dzień.

– Przykro mi – powiedziałem.

Podniósł nitkę makaronu. Wciągnął ją do ust tak, jak to robią dzieci.

– Nic mi nie będzie.

Dwa dni później zadzwonił.

– Daney może i wymył dziapa, ale to skrzynia pełna skarbów, jeśli chodzi o materiał dowodowy. Włosy łonowe, nasienie, drobinki krwi w ożebrowaniu pod drzwiami. Poza tym właśnie zadzwonili do mnie ze śródmieścia. Przyjęli mój wniosek o badanie DNA i wysyłają próbki do Cellmark. Jeśli się nie odezwą przez trzy miesiące, mam zadzwonić.

– Jakies wieści o Cherish i Barnecie?

– Nic nie słyszałem, ale mogłem nie usłyszeć.

– Nie jesteś w obiegu.

– Nie jestem. W każdym razie wyjeżdżam z Rickiem na Hawaje, pomyślałem, że zadzwonię i dam ci znać.

– Zazdroszczę.

– Wynajęliśmy mieszkanie na dużej wyspie, dziesięć dni.

– Myślałem, że się nie opalasz.

– To się przysmażę.

– Kiedy wylatujecie?

– Za dwadzieścia minut, jeśli tablica odlotów nie kłamie.

– Jesteście na lotnisku?

– Coś pięknego, mówię ci. Dwie godziny odprawy prowadzonej przez idiotów. Musiałem zdjąć buty, przetrząsnęli mi torbę, przeszukali mnie. Tymczasem wszyscy inni, w tym facet, co to mógłby być bliźniakiem Osamy, przechodzi bez słowa.

– To pewnie przez twój groźny wygląd.

– Dobrze, że nie wiedzą, jak jestem naprawdę groźny.

Detektyw Judy Weisvogel nie zadzwoniła tego dnia, ale następnego ranka, kiedy wróciłem z biegania, zastałem wiadomość na sekretarce. Miałem nadzieję, że to Allison. Powiedziałem sobie, że pewnie ma pełne ręce roboty i że może mnie też by się to przydało.

Zastałem Weisvogel w jej biurze w śródmieściu.

– Dziękuję za telefon, doktorze. Cały czas jest pan chętny?

– Jestem.

– O ile się zorientowaliśmy, miał pan rację. Molestował tylko Valerie i Monice Strunk. Valerie nie chce z panem rozmawiać, ale Monica chyba nie ma z tym problemu. Pan się na tym lepiej zna, moim zdaniem jednak jest strasznie tępa, prawie że upośledzona. A może to trauma.

– To by się zgadzało – powiedziałem. – Valerie była numerem jeden, Monice sprowadził na zapas.

– Bydlak. Nie mogę powiedzieć, że jego los spędza mi sen z oczu.



- Jak Valerie przyjęła tę wiadomość?
- Jeszcze nie wie. Zastanawiałem się, czy jej powiedzieć, skoro wciąż mówi o nim, jakby to był sam Jezus. Cholerny syndrom sztokholmski. Co pan o tym sądzi?
- Poszukajcie kogoś, z kim znajdzie wspólny język, i poproście, żeby jej powiedział.
- Dobry pomysł. Nie ma żadnej rodziny, oprócz jakichś dalekich krewnych, którzy nie chcą mieć z nią nic wspólnego.
- Biedne dziecko – powiedziałem.
- Wszyscy jesteśmy biedni. Kiedy może pan zacząć?
- Przyjadę jutro.
- Świetnie. Załatwiliśmy wszystko z opieką społeczną dziewczynki mieszkają w schronisku dla młodzieży w śródmieściu. Prowadzonym przez zielonoświątkowców, ale ci, co nim kierują nie przesadzają ze świętoszkowatością i wiem z doświadczenia, że są porządni.  
Podała mi adres na Szóstej ulicy.
- Będę tam o dziesiątej powiedziałem.
- Jeszcze raz dzięki, doktorze. Jeśli ma pan jakieś sugestie co do tego, gdzie je umieścić na dłużej, jesteśmy otwarci. Schronisko jest w porządku, ale na jakiś czas. Nie widzę możliwości, żeby wysłać je do nowych rodzin zastępczych bez dokładnego sprawdzenia. – Zaśmiała się. – Mówię jak ktoś z opieki społecznej.
- Taka praca.
- Chyba że się tego w pracy nie stosuje – powiedziała. A ja nie jestem jeszcze na to gotowa.

Tego wieczoru zadzwoniła Allison.

– Jadę samochodem, jestem dziesięć minut od ciebie. Mogę wpaść?

– Oczywiście.

Zostawiłem frontowe drzwi otwarte. Siedem minut później weszła.

Kosmetyki, biżuteria, włosy rozpuszczone i lśniące. Błyszcząca, biała jedwabna bluzka wpuszczona w spodnie koloru czerwonego wina. Bordowe zamszowe sandały z maleńkimi kryształami górskimi na rzemykach. Cieniutkie złote łańcuszki wokół podbicia.

Ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała mnie w usta, ale pocałunek nie trwał długo.

Usiedliśmy w salonie, dotykając się udami. Wziąłem ją za rękę. Poglaskała mnie po kolanie.

– Mam wrażenie, że minęły chyba wieki – powiedziała – odkąd się razem rozrywaliśmy.

– To były całe wieki.

– Słyszałam o Drew Daneyu. Mówili o tym w wiadomościach, coś o tamie Sepulveda.

Podali mało szczegółów.

– Chcesz poznać szczegóły?

– Raczej nie. U ciebie wszystko w porządku?

– Tak, a u ciebie?

– U mnie też.

Spuściła oczy.

– Co się stało?

– Chciałabym cię jakoś rozerwać, Alex, ale muszę wyjechać pojutrze do Connecticut.

Babcia upadła i złamała biodro, Wes mówi, że porobiło się jej coś z głową, zupełnie nie jest sobą. Już dzisiaj bym wyleciała, ale muszę myśleć o Beth. Już jej lepiej, o wiele lepiej, znalazła się bardzo dobra specjalistka, która chce z nią pracować. Beth chyba ją lubi, ale nie wytworzyło się jeszcze między nimi porozumienie, do tego trzeba się zająć całym tym problemem porzucenia. Mam nadzieję, że za dwa dni zaakceptuje tę specjalistkę. Że zrozumie, że moja nieobecność będzie chwilowa. – Westchnęła. – Nie powiedziałabym tego nikomu innemu, ale nic by mnie bardziej nie uradowało, niż gdybym wróciła i odkryła, że woli jednak specjalistkę.

– Wiem, jak się czujesz.

– Jestem taka wyczerpana, Alex. Jak nie gabinet, to szpital. Teraz jeszcze babcia. Czasami mam wrażenie, że jestem nosicielem, a wszyscy inni to pasożyty. Czy to nie straszne? Nikt mnie nie zmuszał do tej pracy.

Objąłem ją ramieniem. Na moment zeszywniała, potem oparła mi głowę na ramieniu. Jej włosy łaskotały mnie w nos. A niech to.

– Wiem, że o wielu rzeczach powinnam ci powiedzieć – odezwała się po chwili – ale zwyczajnie nie mam siły. Czy moglibyśmy po prostu iść do łóżka i się nie kochać? Zrozumiem, jeśli powiesz „nie”, ale gdybyś się zgodził, byłabym ci bardzo wdzięczna.

Wstałem i wziąłem ją za rękę.

– Dziękuję – powiedziała. – Mam przynajmniej przyjaciela.

Lubi swoje ciało i zazwyczaj rozbiera się na moich oczach. Tym razem rozebrała się w łazience i wyszła w staniku i majtkach. Ja byłem goły pod prześcieradłem. Kiedy wczołgała się do łóżka i poczułem, że materac się ugina, dostałem erekcji i odwróciłem się, żeby to ukryć.

Wyczuła to, przewróciła się na bok, ścisnęła, puściła.

– Taki chętny – powiedziała. – Przepraszam.

Położyła się na plecach i zakryła oczy przedramieniem.

– Nie musisz przeproszać – powiedziałem.

Niepotrzebnie. Mocno już spała, oddychając ustami; miseczki stanika podnosiły się miarowo i opadały.

Wiedziałem, że sen do mnie nie przyjdzie. Nie ta pora, za dużo myśli w głowie.

Jutrzejszy ranek. Jak postąpić z Monicą Strunk?

Czy Valerie będzie umiała porozumieć się z innym terapeutą?

Gdzie była Miranda?

Czy moja rola jako współpracownika policji nie sprawi, że każde podejście do dziewczynek będzie daremne i ostatecznie będę musiał przyznać się Judy Weisvogel, że mi się nie udało?

Człowiek na drzewie.

Dziecięca bransoletka.

Zacząłem miarowo oddychać, żeby się uspokoić, wypędzić tę sprawę z głowy.

Myślałem o telefonie, który będę musiał wykonać wcześniej czy później.

Raczej wcześniej niż później, zważywszy na okoliczności.

Allison spała, a ja przeciwczyłem go sobie w myślach.

Dryń dryń dryń.

To ja.

O, cześć.

Co u ciebie?

W porządku.

A u ciebie?

Jakoś leci.

To dobrze.

Pomyślałem, że może bym wpadł. Odwiedził Spike'a.

Jasne, nie ma sprawy. Ja też tu będę.